



**MAGDALENA SALIK**



Ostatnio ukazały się:

Mariusz Kaszyński - Rytuał Krzysztof

Piskorski - Zadra. Tom II

Anna Brzezińska - Opowieści z Wilżyńskiej Doliny (wyd. II)

Krzysztof Kochański - Zabójca czarownic Mariusz Kaszyński -

Martwe światło

W przygotowaniu:

Krzysztof Kochański - Drzwi do piekła Jakub

Ćwiek - Ofensywa szulerów

E

runa

Agencja Wydawnicza  
RUNA

## GILDIA HORDÓW

Copyright © by Magdalena Salik, Warszawa 2009 Copyright © for the cover illustration by Tomasz Maroński Copyright © 2009 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2009

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne  
Redakcja: Beata Kajtanowska, Maria Bontemps  
Korekta: Jadwiga Piller Skład: własny  
Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o. ul.  
Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I  
Warszawa 2009  
ISBN: 978-83-89595-53-9

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.  
Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:  
Agencja Wydawnicza RUNA  
00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436  
tel./fax: (0-22) 45 70 385  
e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

[www.runa.pl](http://www.runa.pl)

apadał zmierzch, ale na głównym szlaku biegnącym przez Gruaron kurz nie opadał ani na chwilę.

Wydawało się, że nad całą krainą słychać tętent końskich kopyt. Niezliczone karoce, powozy i używane przez miejscowych wozy zwane szpulkami opuszczały miasta graniczne: Tyngę na wchodzie i Omorg na zachodzie, a także wszystkie zamki, miasteczka i osady znajdujące się pomiędzy nimi. Wyruszano w ostatnie podróże tego roku: w interesach, by odwiedzić krewnych, zdobyć zawód w wielkich miastach Cesarstwa, albo też po prostu po to, by przez najbliższe sześć miesięcy być jak najdalej od Dolin Gruaronu. Kto tylko mógł, pakował dobytek i jechał na wschód czy zachód, licząc, że przezimuje na łasce rodziny, przyjaciół lub w ostateczności w wynajętym pokoju w oberży. Podróże te były najczęściej pospieszne i trochę już niebezpieczne, choć na razie tylko z powodu wałęsających się po pustkowiach band kriroksów, czyli pospolitych rzezimieszków. Wiedzano powszechnie, że jeszcze przez trzy tygodnie na trakcie nie wydarzy się nic niezwykłego. A właśnie trzech tygodni potrzeba było, by przemierzyć Doliny Gruaronu szlakiem łączącym Tyngę i Omorg.

Słońce skryło się już za horyzontem, ale mimo to w miejscu odległym o dwa dni drogi od Tyngi, gdzie główny trakt po raz pierwszy stykał się z Puszcza Kryto w, nadal było dość jasno. Po zbliżeniu się do lasu szlak biegł prosto na zachód. Stamtąd właśnie wypływały ostatnie różowe poświaty i delikatnie osuwały się na ziemię. Przed chwilą przejechały tędy dwa koślawe chłopskie wozy, szpulki, wiozące miejscowych z osad położonych na skraju Puszczy. Ich pojawienie się zapowiedział charakterystyczny dźwięk, przypominający szczęk oręza

bezustanny i drażniący charkot. Kiedy szpulki minęły zakręt, hałas wzmógł się do nieznośnego poziomu, po czym stopniowo rozpląnął w oddali. Zapadła cisza, której nie mącił ani szelest liści, ani krzyk nocnych ptaków. Nad Puszcza zaczął napływać chłód.

I wtedy właśnie na wzgórzu pojawił się powóz. Wysoki, elegancki, nie przypominał niczym używanych przez miejscowe rycerstwo. Wydawało się, że musiał zostać zbudowany daleko od krainy, przez którą się toczył - nie pasował ani do rozjechanej drogi, ani do kryjącej w sobie coś złowrogię ciszy. Także ciągnące go konie musiały urodzić się poza Gruaronem - stapały zbyt pewnie i zbyt śmiało strzygły uszami. Stangret i dwóch jeźdźców, podążających stępą za powozem, nosili szaty z herbem margrabiego Tyngi.

Połączenie to - nieznaną pojazd i słudzy lokalnego władcy - budziło szacunek wszystkich, którzy mijali powóz na szlaku. W ten sposób podróżować mógł tylko ktoś spoza Dolin Gruaronu i to ktoś na tyle znaczny, że margrabia uznał za niezbędne otoczyć go względami i przydzielić eskortę. Na dodatek okna powozu zakrywały zasłony, a na drzwiach nie umieszczono żadnego herbu, najwyraźniej podróżny chciał zachować incognito. Podejrzewano, że to jakiś wysoki urzędnik Cesarstwa odbywa z polecenia Tyrona Śmiałego ostatnią tego roku podróż. A może to ktoś z dworu, ścigany niełaską, postanowił przezimować w Omorgu? Albo sam margrabia Tyngi po raz ostatni tej jesieni wypuścił się do któregoś ze swoich okolicznych zamków? Na jednej ze szpułek, które zaraz za wzgórzem przepuściły powóz, padła jeszcze jedna sugestia: to pewnie Stary Człowiek hrabiego Omorg wraca do swojego pana pochwalić się kolejną zbrodnią. Ciekawe, w której części Gruaronu odbywa się właśnie stypa?

Tymczasem w powozie znajdowały się dwie osoby, nijak nieodpowiadające żadnemu z tych przypuszczeń.

Przodem do kierunku jazdy siedziała młoda kobieta. Ubrana była w szarą, skromną suknię, pozbawioną jakichkolwiek ozdób: wstążek, kokard, klejnotów. Jej ręce spoczywały nieruchomo na poduszce, którą miała na kolanach. Trzymała się prosto, nawet trochę sztywno. Patrzyła bez przerwy przez okno. To znaczy, patrzyłaby, gdyby okno było odsłonięte; na razie wpatrywała się z natężeniem w zakrywającą je szczelnie firankę. Bładość twarzy i nieruchomość ciała powodowały, że dziewczynę tę można było przy pierwszym spojrzeniu wziąć za posąg, a nie człowieka z krwi i kości. Wrażenie to potęgowały nieruchome ciemne oczy.

Natomiast drugi pasażer, dobiegający pięćdziesiątki mężczyzna, nieustannie się wiercił. Bez przerwy trząsł krótkimi rękami, podrywał się z siedzenia i przez szparę

między firanką a oknem wyglądał na zewnątrz. Następnie wyciągał z kieszeni brudnego kaftana wielką kraciastą chustkę i wycierał nią mokre od potu czoło. Potem kręcił się, przekładał poduszki i znów uchylał rąbek zasłony. Od czasu do czasu rzucał niespokojne spojrzenie na kobietę, chrząkał, wzdychał, sapał i zaczynał machać rękami. Był niewielkiego wzrostu, pękaty, z głową w kształcie jajka osadzoną na krótkiej czerwonej szyi. Jego twarz pokrywała niezdrowa wysypka - wielkie krosty panoszyły się na tłustych policzkach i podbródku, znaczyły nawet ociekające potem czoło. Niewielkie bładniebieskie oczy wpatrywały się w kobietę z nieukrywanym przerażeniem.

- To wielkie ryzyko wyruszać w drogę tak późno - rzekł nagle cicho i szybko, przerywając panujące w powozie milczenie. Starał się mówić spokojnie, ale jego głos zabrzmiał chrapliwie i jakoś mało grzecznie.

Siedząca naprzeciwko kobieta nie drgnęła. Przez chwilę wydawało się, że nie usłyszała w ogóle wypowiedzianej przez towarzysza podróży uwagi. W końcu jednak przeniosła na niego wzrok, ale tylko wzrok. Jej twarz nadal pozostała zwrócona w stronę zasłoniętego okna.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - powiedziała ze znużeniem.

- Tego nie wiemy, tego nie wiemy - wykrzyknął mężczyzna i nie wiadomo czemu zatarł ręce. Podskoczył do okna i lekko uchylił zasłonę. - One już tam mogą być.

Kobieta nic nie powiedziała.

- Tylko trzy tygodnie, trzy tygodnie! A jeśli oni wszyscy się mylą? Za późno na podróż! Cofnijmy się! - Na chwilę przysiadł nieruchomo i złożył ręce jak do modlitwy.

Upłynęła może minuta. Mężczyzna nie wytrzymał, opuścił ręce i znów zaczął się kręcić. Mówił jeszcze szybciej niż poprzednio.

- Za panowania prapradziadka naszego najmiłościvszego cesarza, sto sześćdziesiąt lat temu, pojawiły się dwadzieścia dni przed przesileniem jesiennym. Dziesięć lat później przyszły miesiąc wcześniej, a za panowania dziadka cesarza, siedemdziesiąt lat temu, dostrzeżono je już czterdzieści dni przed przesileniem...

- Wszyscy teraz podróżują - przerwała kobieta. Patrzyła teraz na swoje ręce złożone na poduszce.

- Nie, nie wszyscy! - zapiszczał mężczyzna. - Margrabia Tyngi nigdy nie rusza się z miasta po zakończeniu miesięcy letnich. Nigdy! Wie doskonale, że jeszcze sześćdziesiąt lat temu przyszły czternaście dni przed przesileniem jesiennym.

- Ale od tej pory przychodziły zawsze po nim - odpowiedziała z widoczną niechęcią i nawet smutkiem.

- Nie jesteś stąd, nie rozumiesz tego. Tu nie ma żadnej reguły. Nikt jeszcze jej nie znalazł. Nikt! Nigdy nie narodził się taki mędrzec, który potrafiłby z niezachwianą pewnością orzec, kiedy w danym roku przyjdą. Nie ma księgi, która to wyjaśnia, nawet w Hroście. Nie ma żadnej zasady. Wracajmy... - zajęczał nagle, bliski łez.

Cudzoziemka nadal się nie poruszyła. Widać było, że wszystko to już słyszała wielokrotnie. Mimo to kolejne zdania wypowiedziała tak, jak gdyby mówiła je po raz pierwszy.

- Nie prosiłam cię o towarzystwo. W każdej chwili możesz wrócić. Ktoś na pewno zabierze cię z traktu do Tyngi. Dam ci list do margrabiego...

- Mogę wrócić tylko z tobą - przerwał jej. - Wiesz o tym doskonale.

- ...a w drodze powrotnej, za pół roku, sama wyjaśnię margrabiemu, że wycofałeś się za moją zgodą.

- Nie, nie, to niemożliwe! - wykrzyknął mężczyzna. - Mogę wrócić tylko z tobą.

- Nie rozumiem cię - powiedziała ze zmęczeniem. W powozie na chwilę zapanowała cisza. Mężczyzna jakby ważył coś w sobie, po czym znów zamachał rękami. Już miał się odezwać, zastanowił się, machinalnie wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią czoło. Podskoczył dwa razy na siedzeniu, trzy razy zaklaskał w dłonie, wreszcie spojrzał na kobietę i zebrał się na odwagę.

- Nie wiem, dlaczego jedziesz do Omorgu, ale mamy wybór, to znaczy ty masz wybór...

- Nie rozumiem cię, panie Sorso - powiedziała jeszcze raz kobieta i zmarszczyła brwi. - Margrabia Tyngi wcale nie zmusił cię do towarzyszenia mi, w każdym razie nie miał żadnego powodu, by tak zrobić. Gdyby istniało choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, wynająłabym jednego z Hordów.

- Wynająłabyś Horda! - pisnął mężczyzna i jakoś bez związku dodał: - Miałas przyjechać do Tyngi tydzień wcześniej.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała zaskoczona.

- Wspomniał o tym margrabia - rzekł szybko Sorso.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, usiłując coś sobie przypomnieć. Najwidoczniej jednak nie zdołała, bo w końcu lekko wzruszyła ramionami. Nie spostrzegła, że mężczyzna obserwuje ją bardzo uważnie, wzrokiem przenikliwym, o jaki trudno było podejrzewać takiego człowieka jak on. Sorso widząc, że jej wysiłek spełził na niczym, znów zaczął chrząkać i kręcić się, a jego oczy zaszklily się łzami.

Tymczasem na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. Konie zwolniły. Stangret zdjął z głowy kapelusz, podniósł go wysoko i zamachał. Na dany znak jeden z jeźdźców spiął swego wierzchowca i zbliżył się do drzwiczek. Delikatnie zastukał w szybę i poczekał, aż pasażerka podniesie zasłonę i uchyli okno. Potem lekko skłonił głowę i powoli, mocno rozciągając słowa, zapytał:

- Kiedy rozkażesz zatrzymać się na noc? Cudzoziemka zastanowiła się.

- Czy w pobliżu znajduje się jakaś karczma? Jeździec wyglądał na zaskoczonego.

- Karczma? Nie, tu nie ma czegoś takiego.

- Nie ma karczmy? Przy głównym trakcie? Nie rozumiem.

- Tłumaczyliśmy ci to już wczoraj - wtrącił Sorso. - W Dolinach Gruaronu nie ma czegoś takiego jak przydrożne karczmy. Są w miasteczkach i na zamkach, ale nie przy drodze. Za blisko Puszczy Krytów. I nie opłaca się. Interes tylko na pół roku, a potem trzeba by go zostawić na pastwę kriroksów. Kiedyś jedna była o pięć dni drogi od Tyngi, lecz kiedy właściciel pojechał na zimę do miasta, krirokși zdążyli ją spalić. Ale to było wiele lat temu.

zdania wypowiedziała tak, jak gdyby mówiła je po raz pierwszy.

- Nie prosiłam cię o towarzystwo. W każdej chwili możesz wrócić. Ktoś na pewno zabierze cię z traktu do Tyngi. Dam ci list do margrabiego...

- Mogę wrócić tylko z tobą - przerwał jej. - Wiesz o tym doskonale.

- ...a w drodze powrotnej, za pół roku, sama wyjaśnię margrabiemu, że wycofałeś się za moją zgodą.

- Nie, nie, to niemożliwe! - wykrzyknął mężczyzna. - Mogę wrócić tylko z tobą.

- Nie rozumiem cię - powiedziała ze zmęczeniem. W powozie na chwilę zapanowała cisza. Mężczyzna jakby ważył coś w sobie, po czym znów zamachał rękami. Już miał się odezwać, zastanowił się, machinalnie wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią czoło. Podskoczył dwa razy na siedzeniu, trzy razy zaklaskał w dłonie, wreszcie spojrzał na kobietę i zebrał się na odwagę.

- Nie wiem, dlaczego jedziesz do Omorgu, ale mamy wybór, to znaczy ty masz wybór...

- Nie rozumiem cię, panie Sorso - powiedziała jeszcze raz kobieta i zmarszczyła brwi. - Margrabia Tyngi wcale nie zmusił cię do towarzyszenia mi, w każdym razie nie miał żadnego powodu, by tak zrobić. Gdyby istniało choćby najmniejsze niebezpieczeństwo, wynajęłabym jednego z Hordów.

- Wynajęłabyś Horda! - pisnął mężczyzna i jakoś bez związku dodał: - Miałś przyjechać do Tyngi tydzień wcześniej.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała zaskoczona.

- Wspomniał o tym margrabia - rzekł szybko Sorso.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, usiłując coś sobie przypomnieć. Najwidoczniej jednak nie zdołała, bo w końcu lekko wzruszyła ramionami. Nie spostrzegła, że mężczyzna obserwuje ją bardzo uważnie, wzrokiem przenikliwym, o jaki trudno było podejrzewać takiego człowieka jak on. Sorso widząc, że jej wysiłek spełził na niczym, znów zaczął chrząkać i kręcić się, a jego oczy zaszkliły się łzami.

Tymczasem na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. Konie zwolniły. Stangret zdjął z głowy kapelusz, podniósł go wysoko i zamachał. Na dany znak jeden z jeźdźców spiął swego wierzchowca i zbliżył się do drzwiczek. Delikatnie zastukał w szybę i poczekał, aż pasażerka podniesie zasłonę i uchyli okno. Potem lekko skłonił głowę i powoli, mocno rozciągając słowa, zapytał:

- Kiedy rozkażesz zatrzymać się na noc? Cudzoziemka zastanowiła się.

- Czy w pobliżu znajduje się jakaś karczma? Jeździec wyglądał na zaskoczonego.

- Karczma? Nie, tu nie ma czegoś takiego.

- Nie ma karczmy? Przy głównym trakcie? Nie rozumiem.

- Tłumaczyliśmy ci to już wczoraj - wtrącił Sorso. - W Dolinach Gruaronu nie ma czegoś takiego jak przydrożne karczmy. Są w miasteczkach i na zamkach, ale nie przy drodze. Za blisko Puszczy Krytów. I nie opłaca się. Interes tylko na pół roku, a potem trzeba by go zostawić na pastwę

kriroksów. Kiedyś jedna była o pięć dni drogi od Tyngi, lecz kiedy właściciel pojechał na zimę do miasta, kriroksi zdążyli ją spalić. Ale to było wiele lat temu.

- I wszyscy podróżni nocują tak po prostu na szlaku? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak. Tak zawsze było w Gruaronie.

Jeździec ponownie pochylił się w stronę okna. Widząc to, kobieta machnęła ręką.

- Jedźmy jeszcze godzinę.

- Konie zmęczone... - wtrącił żywo Sorso.

- Jedźmy jeszcze godzinę - powtórzyła. Jeździec skłonił się lekko.

- Zatrzymaj się za jakąś godzinę - krzyknął do stangreta.

Kobieta zamknęła okno, ale nie zasłoniła zasłony. Patrzyła na mijane drzewa.

- Zasłoń zasłonę lub zgaśmy światło - powiedział po chwili Sorso, wskazując na dwie palące się nad drzwiami świece, sprytnie unieruchomione w szklanych lampionach. - Ktoś nas może wypatrzeć.

- Kto? - spytała. Nadal przyglądała się drzewom.

- Kriroksi albo... - zawahał się - one.

- One widzą? Słyszałam jakieś historie... - powiedziała cicho. Najwyraźniej myślała o czymś innym. Nagle odwróciła się i wskazując na drzewa, zapytała głośniejszym głosem: - Czy to są właśnie kryty?

Mężczyzna aż podskoczył na siedzeniu. Zatrząsł się i parę razy prychnął. Nawet w niewielkim świetle jego krosty wyglądały odpychająco. Chwycił właśnie jedną z nich i próbował wycisnąć.

- Nie, to nie są kryty. To zwyczajne, pospolite drony, rosną tutaj wszędzie. A one... One widzą, widzą doskonale. Zasłoń zasłonę! - krzyknął nagle. - Czy naprawdę nikt tam nic nie wie o naszym przekleństwie?

Towarzyszka podróży znów wydawała się znużona. Jak poprzednio znieruchomiła, a jej wzrok stracił blask. Podniosła rękę, by dotknąć firanki, ale zawahała się. Ręka wróciła na poduszkę. Kobieta opuściła głowę i w powozie na długi czas zapadła cisza.

Szlak skręcił teraz na południowy zachód, oddalając się od Puszczy. Za oknem nie było już widać drzew. Powóz toczył się po łagodnych wzgórzach, jak okiem sięgnąć pustych i w miarę jak zapadał zmierzch coraz bardziej szarych.

- Od kiedy przekroczyłam bramy Tyngi, ciągle słyszę to samo - odezwała się wreszcie cudzoziemka. - Wszyscy mówią o przekleństwie, wszyscy rozpaczają i złorzeczą. A coś można chyba zrobić. Słyszałam, że Hord potrafi sobie poradzić nawet z kilkoma, potrafi je zwodzić i zabijać. Dlaczego więc mężczyźni z Gruaro-nu nie ruszą na północ? Pytałam nawet o to margrabiego Tyngi.

- Tak było, tak było kiedyś - zaskrzeczał Sorso. - Stare księgi o tym mówią. Chodziły na północ, do Puszczy Krytów, całe wyprawy. Setki mężów. Czteryście lat temu poszło pięciuset. Wielka Wyprawa Olefa. Olef, najdzielniejszy z dzielnych. Śpiewano o nim pieśni. Olef nie wrócił i nikt nigdy nie wrócił. Zabrały, wszystkich zabrały.

Kobieta pokręciła głową, jakby usiłując coś zrozumieć.  
- Zabrały? Jak to? Gdzie? Chyba zabiły?

\*TT TT\*

W tym momencie z rozciągającego się za oknami półmroku dobiegł bardzo dziwny dźwięk. Nie był głośny, a przecież wszyscy usłyszeli go wyraźnie. Syk, długi i przeciągły, zabrzmiał tak, jakby w okolicy odezwało się nagle tysiąc węży. „Ssss” dobiegało przez kilka sekund z ciemności.

Kobieta zamarła. Nie tylko nie słyszała nigdy czegoś takiego, ale nawet nie podejrzewała, że taki dźwięk może w ogóle istnieć. Przez jej twarz przebiegł skurcz. Szybko odwróciła się w stronę współtowarzysza podróży. I aż krzyknęła.

Sorso wyglądał na bliskiego szaleństwa. Trzęsące się ręce przyciskał z całej siły do uszu, drżał, a jednocześnie zaczął się bujać, przechylając ciało do przodu i do tyłu. Wyglądało to tak, jakby bił siedzącej naprzeciwko kobiecie pokłony. Najbardziej jednak zmieniła się jego twarz. Szeroko wytrzeszczone oczy niemal wyskakiwały z orbit, a z otwartych ust zaczęły dobiegać przeciągłe jęki.

- Co ci jest? - zawołała. - Czy coś cię boli? Panie Sorso?

Nic nie wskazywało, że mężczyzna ją słyszy. Nie przestawał się dziwnie kiwać. Nadal stękał, jakby przed chwilą ktoś uderzył go w brzuch.

- Panie Sorso! - zawołała jeszcze raz kobieta. Nie dało to jednak żadnego efektu. Pochyliła się więc do przodu i krzywiąc się, jakby pokonywała obrzydzenie, chwyciła mężczyznę za ręce, usiłując oderwać je od jego głowy. Przez chwilę siłowała się z Sorso w milczeniu, po czym widząc, że jej wysiłki na nic się nie zdają, odsunęła się i wymierzyła mu policzek.

W tym momencie mocne szarpnięcie rzuciło ją na poduszki. Usłyszała krzyk stangreta, świst i konie poszły galopem, uciekając w panice. Powóz zaczął podskakiwać na wybojach. Jednocześnie ktoś kilka razy uderzył pięścią w drzwi.

Ku zdumieniu kobiety Sorso błyskawicznie oprzytomniał. Uprzedził ją i otworzył okno. Natychmiast pojawiła się w nim głowa mężczyzny, który uprzednio pytał o nocleg.

- Musisz wykonać rozkazy! - krzyknął jeździec, zwracając się najwyraźniej do Sorso. - Pamiętaj! Postaramy się uciec, ale ty musisz szybko wykonać rozkazy! Masz! - W tym momencie do powozu wpadł krótki, żelazny miecz i głośno szczerknął o podłogę. -I zgaś światło!

- Natychmiast skracajcie na południe! - wrzasnął Sorso i z trzaskiem zamknął okno. Zaciągnął zasłonę i rozejrzał się po powozie. Jego wzrok zatrzymał się na suficie. Nie zwracając uwagi na oniemiałą towarzyszkę, wskoczył na

- To nasza klątwa, nasze przekleństwo. Żaden cudzoziemiec tego nie zrozumie - zajęczał mężczyzna. -One nie zabijają, one...

siedzenie, które przed chwilą zajmował. Jednym ruchem zrzucił umieszczone na górnej półce bagaże.

- Co robisz?! - zawołała cudzoziemka.

Chciała wstać, ale nagle powóz zachybotał się gwałtownie i oboje potoczyli się w lewo. Sorso spadł z siedzenia i uderzył się o klamkę. Kiedy trzymając się dygoczących ścian, próbował wstać, z jego nosa pociekła krew.

- Mamy mało czasu - wychrypiał, łapiąc kobietę za ręce i zbliżając do jej twarzy swoją zakrwawioną twarz. - Słuchaj uważnie. Widzisz ten uchwyt w suficie? - Machnął ręką do góry. - Ten powóz ma podwójny dach. Pociągając za uchwyt, otworzysz schowek. Może się w nim ukryć jedna osoba. Weź to - wcisnął jej w dłoń nóż, który pojawił się nie wiadomo skąd - i wdrap się tam. Szybko! - wrzasnął, odsuwając się od niej.

- Co się dzieje? - krzyknęła, ściskając w obu dłoniach chłodną rękojęść.

Sorso stanął na nogach. Ponieważ powozem trzęsło znacznie mocniej niż poprzednio, trzymał się jedną ręką półki. Drugą chwycił miecz, który przed chwilą wrzucił do środka jeździec.

- Mamy mało czasu. Rób natychmiast, co mówię!

Kobieta zrozumiała, że on nie żartuje. Wahala się tylko sekundę. Zadrzała. Spojrzała szybko na sufit.

- Jak mam się tam wdrapać? - spytała.

- Wejdz na siedzenie, o tak, dobrze - dodał zadowolony, że błyskawicznie spełniła jego rozkaz. - Siegnij do uchwytu i otwórz zasuwę. Mocniej, musisz mocniej szarpnąć! Dobrze! - Powóz podskoczył i oboje znów omal się nie przewrócili. - Wrzuć do środka nóż. Tak. Teraz oprzyj się na moich rękach...

- Co takiego? - Stojąc na siedzeniu, kobieta sięgała otworu ponad swoją głowę. Był on szerokości połowy powozu. Podniosła rękę i włożyła ją do środka, jednak nie była w stanie wymacać sufitu. - To jest jak trumna! - zawołała z rozpaczą. - Błagam, powiedz mi, co się dzieje!

Pan Sorso pochylił się i splótł dłonie w koszyczek.

- Stań na moich rękach. Potem wsuń się do otworu. No już, szybko! - krzyknął, widząc że się waha.

Posłusznie podniosła stopę i postawiła ją na zaimprowizowanym oparciu. Następnie położyła dłonie na krawędziach otworu. Spojrzała w górę. Nic, ciemność. Zagryzła wargi i powoli podciągnęła się wyżej.

- Dobrze! Poszukaj nad głową uchwytu! Powozem trzęsło teraz okropnie i kobieta o mało nie uderzyła się o krawędź schowka. Za moment jej głowa znalazła się w ciemnościach. Wyciągnęła rękę i wreszcie wymacała właściwy sufit. Przesunęła po nim palcami, aż natrafiła na uchwyt.

- Mam! - krzyknęła.

W tym momencie Sorso, sapiąc z wysiłku, wyprostował się. Napięła mocno wszystkie mięśnie i leżała już w środku

na brzuchu. Zaczęła szukać w ciemnościach przed sobą i natrafiła na ścianę, a na niej na drugą kłamrę. Podciągnęła się i dzięki pomocy pana Sorso wciągnęła nogi do otworu. Leżała płasko, mając tuż nad głową dach powozu. Nagle krzyknęła - dotknęła twarzą ostrza, które wcześniej wrzuciła do schowka.

- Zamykam! - zawołał z dołu Sorso. - Bądź cicho i czekaj. Jak nam się uda, pomogę ci zejść. Jak nie, idź z

wpadał na jakiś kamień i wtedy ukryta pod sufitem kobieta całym ciałem uderzała o dach. Zęby jej szczękały. Zaraz po tym, jak Sorso zasunął kłapę, usłyszała dźwięk tłuczonego szkła - widocznie mężczyzna rozbił lampiony, by jak najszybciej zgasić świece. Było już jednak za późno.

Przez chwilę cudzoziemce wydało się, że słyszy jakieś krzyki na zewnątrz. Konie zarżały przeraźliwie i ktoś na cały głos zaryczał „Z prawej!!!”. Powozem szarpnęło i gdzieś z boku dobiegło zupełnie nieludzkie „Aghhh!”. „Nie!” - krzyknął ktoś inny, chyba stangret, i jednocześnie konie znów zarżały, tak jakby stanęły dęba. Zazgrzytało żelazo, miecze ze świstem przecinały powietrze.

Odgłosy walki trwały jednak krótko. Kobieta poczuła nagle, że się zatrzymali. Zrobiło się cicho.

Minęło kilka sekund i raptem szczęknęła kłamka. Sorso krzyknął i jednocześnie rozległ się przeraźliwy pisk. Na dole rozpoczęła się szamotanina. Buch, buch, buch - coś waliło w ściany powozu, który trząsał się na wszystkie strony. Znów szczęknęło żelazo. Potem coś piszczalo, jednocześnie Sorso wrzasnął „Nieeeeeee!”. Na koniec wydał z siebie warkot i całym pojazdem mocno szarpnęło. Ostatnią rzeczą, jaką kobieta usłyszała, było głośnie stęknienie.

I syk.

ego samego wieczoru, kiedy pan Sorso bezskutecznie błagał swą towarzyszkę o powrót do Tyn-J gi, w osadzie Galleck, położonej we wschodniej części Puszczy Krytów, przygotowywano się do smutnej ceremonii.

Gdy słońce zniknęło za horyzontem, mieszkańcy kilkunastu chat, skleconych byle jak z gliny i słomy, zebrali się na pobliskiej polanie. Polana ta, oddalona o kilkaset kroków od sadyby, znajdowała się na niewielkim

powrotem do Tynji. Trzymaj nóż w pogotowiu. I bądź cicho!

- Co to jest?! - wrzasnęła. - Co to jest?! Usłyszała ostatnie słowa, jakie wypowiedział:

- To one! Grychty!

W schowku zapanowała ciemność. Powóz bez przerwy podskakiwał. Najwyraźniej od jakiegoś czasu nie jechał już po drodze. Raz po raz

wzniesieniu. Otaczał ją rząd drzew o pniach tak potężnych, że do objęcia najmniejszego z nich potrzeba było kilku osób. Wysoko nad głowami pnie dzieliły się na pięć konarów, które gięły się i skręcały. Z konarów odchodziły kolejne gałęzie, coraz cieńsze i coraz liczniejsze. Wysoko na głowami gęstwina tworzyła ciasno zbite zielone czapy. Mimo że drzewa, zwane przez wszystkie ludy Gruaronu krytami, dźwigały nie liście, ale drobne igielki, w dzień ich korony pochłaniały niemal całe docierające z nieba światło.

Ludzie zebrani pod zielonymi czapkami krytów wyglądali i zachowywali się uroczyście. Wszyscy ubrani byli w płócienne koszule i szerokie spodnie w różnych odcieniach brązu. Każdy mężczyzna miał przypięty do boku miecz lub przynajmniej nóż. Kobiety, prawie tak samo wysokie jak mężczyźni i podobnie jak oni potężnie zbudowane, przyprowadziły ze sobą dzieci. Ich włosy, tak jak włosy dorosłych, splecione były w cienkie warkoczki ozdobione czerwonymi lub pomarańczowymi wstążkami.

Kolory te - czerwony i pomarańczowy - wskazywały, że cała osada pogrążona jest w żałobie.

Ledwie mieszkańcy Galleck znaleźli się na polanie, podzielili się na kilka grup. Jedną stanowili starsi mężczyźni, o siwych, niekiedy zupełnie białych włosach i wyważonych, oszczędnych ruchach. Skupili się blisko siebie i trwali nieruchomo w milczeniu. Obok zatrzymało się kilka rodzin z małymi dziećmi, które, trzymane przez matki za ręce, szybko zaczęły się wiercić i rozglądać ciekawie na boki. Podobnie zachowywały się dziewczęta, zmuszone do pozostania przy rodzinach. Niektóre z nich od początku czuwania kręciły się i strzelały naokoło wzrokiem. Jedna czy dwie, skarcone przyciszonym głosem przez starszych, wpatrywały się tępo przed siebie.

Dalej prostowali się młodzi mężczyźni. Goszcząca na ich twarzach powaga szybko ustąpiła nudzie. Pogrzeb, w którym mieli uczestniczyć, nie robił na nich wrażenia. Należał do kategorii spraw, które jeszcze ich nie dotyczyły i którymi w tym momencie życia nie zamierzali sobie zaprzętać głowy.

Nad polaną górowało starannie zbudowane rusztowanie. Obok piętrzyły się przyniesione z lasu suche gałęzie. Gdy zrobiło się ciemno, kilka osób zapaliło pochodnie. W ich blasku kobiety przywiązywały nasączone oliwą czerwone szmaty do gałęzi. Następnie mężczyźni układali je pod rusztowaniem. W zupełnej ciszy, przerywanej tylko szumem w konarach drzew, powstawał stos.

Czas sączył się powoli. Upłynęły długie godziny, nim ostatnie gałęzie dotknęły podwyższenia.

W tym czasie zmienił się wygląd zgromadzenia. Oczekiwanie sprawiło, że ludzie w sile wieku stali się posepni. Młodszy, znudzeni do szczytu, bez nadziei patrzyli na rosnące palenisko. Zazdrościli tym spośród rówieśników, którzy wcześniej zgłosili się do budowy stosu i w ten sposób uniknęli przynajmniej bezsensownego sterczenia w ciemnościach.

Uniknęły tego również dzieci. Większość z nich spała skulona w objęciach rodziców.

Gdy stos był gotowy, wysoki starzec o krótkich, siwiejących włosach, podniósł rękę. Spomiędzy drzew, gdzie zalegała już ciemność, na polanę wkroczył kondukt. Wszyscy drgnęli, jakby ocknęli się ze snu, i odsunęli się na boki. Kiedy pochód wkroczył w zasięg światła, można było dostrzec, że na noszach, dźwiganych przez czterech mężczyzn, leży owinięte w płótno ciało. Tragarze położyli je razem z noszami na rusztowaniu.

Jeden z mężczyzn podał przywódcy osady pochodnię. Starzec podszedł do stosu i powiedział wyraźnie, ale niezbyt głośno:

- Zegnaj, Morcie. Niech twoja dusza odnajdzie drogę między konary Łotra.

Następnie przyłożył ogień do najbliższej gałęzi owiniętej szmatą. Zajęła się natychmiast, a od niej zapaliły się kolejne. Po kilku minutach cały stos stanął w płomieniach.

Kiedy ogień rozpalił się na dobre, przywódca osady odwrócił się i wyciągnął przed siebie nóż o ostrzu wygiętym w łuk. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Wreszcie jedna z kobiet podeszła i wzięła z jego rąk narzędzie. Podniosła je do góry, a metal zaświecił na czerwono.

Kobieta cofnęła się na skraj polany. Zatrzymała się przed najbliższym drzewem i na chwilę pochyliła. Gdy zbliżyła się z powrotem do ognia, oprócz ostrza, trzymała w rękach niewielką gałązkę.

Gałązka ta, mierząca nie więcej niż stopę, była przedziwnego kształtu. Wyglądała jak drzewo, jedno z tych, które okalały polanę, ale pomniejszone kilkadziesiąt razy. W połowie długości gałązka rozdzielała się na pięć części, z których każda znów dzieliła się na pięć i jeszcze raz na pięć. Poszczególne rozgałęzienia kończyły się drobnymi i ostrymi igielkami.

Kobieta podeszła do przywódcy osady i podała mu małe drzewko. Ten ucałował je, wyszeptał kilka słów, po czym odwrócił się i wrzucił gałązki w płomień.

W tej chwili wszyscy jak jeden mąż pochylił głowy

Mieszkańcy osady Galleck należeli do ludu krywów, jednego z trzech zamieszkujących Puszczę Krytów. Rytuał pogrzebowy krywów składał się z dwóch części. Po zapaleniu stosu, którego ułożenie zajmowało zwykle kilka godzin, do ognia wrzucano młody pęd krytu, świętego drzewa Guaronu. Krywi wierzyli, że tylko wtedy gdy gałązki krytu spłoną razem z ciałem zmarłego, dusza nieboszczyka ma szansę zbliżyć się do Łotra, bóstwa czczonego przez wszystkie ludy Dolin.

Gdy gałązkę krytu objął pierwszy język ognia, na ścieżce, którą przed chwilą przyniesiono zwłoki, pojawiła się jeszcze jedna postać.

Był to średniego wzrostu, około trzydziestoletni mężczyzna. Krótko obcięte blond włosy okalały szeroką twarz o lekko zgrubiałych, na pierwszy rzut oka, wydawałoby się, pospolitych rysach. Miał prosty, szeroki nos, wyraźnie zarysowany podbródek i zapadnięte policzki. Był mocno zbudowany, ale poruszał się zwinnie. Jego sylwetka wskazywała, że przyzwyczajony jest do ciągłego wysiłku fizycznego. Pod wysokim czołem błyszczały bystre oczy.

Człowiek ten, w przeciwieństwie do zebranych na polanie krywów, ubrany był od stóp do głów na czarno - w ciasno dopasowany kaftan z mnóstwem kieszeni i wąskie spodnie, wpuszczone w wysokie buty o miękkich podeszwach. Całe jego ciało opinały niezliczone paski. Największy przebiegał przez bark i ginął pod ramieniem. Do przedramion obcy nosił przypięte dwie długie i wąskie rurki, których otwory znajdowały się na wysokości nadgarstków. Z kolei do paska przebiegającego przez bark przymocowano sprytnie dwa mniejsze kawałki skóry, połączone z pasem biodrowym. Czyjaś wprawna ręka nawlekła na nie rząd strzałek, nie większych od palca. W pochwie wiszącej u pasa krył się jednoręczny miecz o zwężającej się głowni i krótkiej rękojeści. Obok niego znajdowała się druga pochwa - z nożem. Co dziwne, mimo tylu klamer i kawałków metalu, które miał na sobie, mężczyzna poruszał się prawie bezszelestnie.

Kiedy wyszedł spomiędzy drzew i zobaczył skupionych ludzi, zawahał się. Spojrzał uważnie na polanę. Wysoki, rozchobotany płomień strawił już suche gałęzie i powoli ugiął się, jakby pod naporem cisnących się zewsząd ciemności. Nikt nie dorzucał świeżych drewn. Zebrani czekali, aż ogień się wypali.

To już nie potrwa długo, pomyślał nieznajomy i zatrzymał się.

Niedostrzeżony przez nikogo usiadł na ziemi i oparł się plecami o pień drzewa. Do jego uszu docierały niezrozumiałe, dziwnie brzmiące frazy. Mimo że nie widział ognia, wyraźnie czuł smród palonego ciała.



Tak jak przewidywał, kilkanaście minut później ceremonia pogrzebowa krywów dobiegła końca. Ogień dogasał. Większość ludzi się rozeszła. Tylko kilku mężczyzn krzątało się jeszcze przy stosie, zagarniając do



środka niedopalone szczapy. Przywódca osady przyglądał się temu w milczeniu.

Nieznajomy podniósł się lekko. Ruszył przed siebie, szurając nogami. Nie chcąc zaskoczyć krywów, starał się wywołać jak największy hałas.

Na dźwięk jego kroków przywódca Galleck odwrócił się gwałtownie. Jego towarzysze natychmiast porzucili porządkowanie paleniska. Wyprostowali się. Dwóch obdarzonych najlepszym refleksem skoczyło do przodu, zasłaniając sobą starca.

Po twarzy przybysza przemknął cień uśmiechu. Zatrzymał się i powoli wyciągnął przed siebie otwartą prawą rękę.

Mimo podeszłego wieku przywódca osady pierwszy go rozpoznał. Dał znak pobratymcom, a następnie powiedział kilka słów w szorstkim, gardłowym języku. Kry wi patrzyli jeszcze przez chwilę na przybysza, po czym odwrócili się na pięcie. Udając, że wysłannik Gildii Hordów w ogóle ich nie interesuje, wrócili do swoich zajęć.

Mężczyźnie było to na rękę. Szybko podszedł do starca.

- Witaj. Mam...

- Witaj, Hordzie. Jestem Meron, Sługa Krytów w Galleck. - Starzec mówił głośniejszym głosem, niż było potrzeba, uroczyście przeciągając każde słowo. - Dziękujemy, że Gildia bez zwłoki odpowiedziała na nasze wezwanie. - Na jego twarzy widać było cień lekceważenia, a w głosie dało się słyszeć lekką drwinę.

Krywów drażnił fakt, że tak jak wszyscy w Dolinach Gruaronu, w zimie muszą korzystać z usług Gildii Hordów. Skąpi z natury, zawsze klócili się o to, ile mają Gildii zapłacić za dostarczanie przesyłek i przekazywanie wiadomości.

Przybysz popatrzył kątem oka za plecy Sługi Kry-tów. Starzec specjalnie mówił głośno, tak by słyszeli go towarzysze. Nieznajomy pomyślał, że ledwie ceremonia pogrzebowa dobiegła końca, uroczysty nastrój mieszkańców Puszczy uleciał z dymem. Krywi z powrotem byli kry wami.

- Jak zawsze nie ociągając się spieszcie tam, gdzie was potrzebują... - kontynuował Meron, jeszcze bardziej wysilając gardło. Między słowami pojawiły się poświsty.

Krywi przy stosie uśmiechnęli się szeroko.

Twarz Horda, dotychczas bez wyrazu, zrobiła się nagle poważna. Sięgnął do kieszeni. Uważnie obserwując Sługę Krytów, wyciągnął przed siebie rękę, odwrócił ją i rozłożył palce.

Na jego dłoni leżało trójkątne ucho pokryte brunatnymi łuskami. Mimo słabego światła wyraźnie było widać, że jest umazane świeżo zakrzepłą krwią.

Meron odetchnął gwałtownie. Odruchowo cofnął się o krok. Podniósł głowę i popatrzył na Horda. W jego oczach czaiło się pytanie, którego najwyraźniej nie chciał czy też nie był w stanie wypowiedzieć.

Hord zrozumiał to spojrzenie.

- Grychty są już w Dolinach Gruaronu - powiedział cicho.

Sługa Krytów patrzył na niego przez kilka sekund. Następnie zamknął na moment oczy. Z jego twarzy odpłynęła cała krew. Nagle drgnął.

- Czy... - wskazał na otaczający ich las.

- Nie, na razie nic wam nie grozi. - Przybysz po raz drugi odpowiedział na niewypowiedziane pytanie.

- Zanim tu przyszedłem, zbadałem okolicę. Macie kilka godzin.

Meron odetchnął. Popatrzył jeszcze raz na ucho grychty, a potem odwrócił się szybko i skinieniem ręki przywołał do siebie jednego z krywów.

- Niech kobiety przeniosą wszystkie zapasy, jakie zdołaliśmy zgromadzić, na kryty. Niech natychmiast ukryją tam dzieci.

Kryw otwierał już usta, ale nim zdążył powiedzieć choć jedno słowo, zatrzymał wzrok na ciągle otwartej dłoni Horda. Na widok zakrwawionego strzępu jego oczy rozszerzyły się.

- Spiesz się - rzucił ostro Meron.

- Platformy nie są jeszcze gotowe. I mamy za mało jedzenia - odpowiedział kryw drżącym głosem.

- Naprawcie, co się da. Zbierz myśliwych i idźcie na polowanie. Może wam się poszczęści. Jak daleko mogą odejść od Galleck? - spytał Hord.

- Niedaleko.

Kryw szybko odszedł. Meron

dotknął ręką czoła.

- Trzy tygodnie...

Hord opuścił dłoń. Nieznacznym ruchem wsunął ucho do jednej z kieszeni kaftana. Pochylił głowę, a jego wzrok uciekł gdzieś w bok.

Puszcza Krytów była ulubionym miejscem polowań grycht. Przychodzące co roku z północy stwory tylko zimą wypuszczały się na rozległe południowe równiny. W pierwszych tygodniach po przesileniu wolały pozostawać w lasach, krążąc po kilka wokół ludzkich osad. Ich

mieszkańcy ukrywali się wtedy na krytach, na których mocowali szerokie drewniane platformy. Kryty były potężnymi drzewami. Na jednym, mając odpowiednie zapasy, mogło bezpiecznie przezimować nawet kilkanaście osób. Każda sadyba w Puszczy zbudowana była wokół skupiska krytów.

Gdyby grychty przyszły wtedy, kiedy wszyscy ich się spodziewali, czyli po przesileniu jesiennym, za trzy tygodnie, mieszkańcy Puszczy zdążyliby zgromadzić na drzewach wszystko, co potrzebne do przetrwania zimy - zapasy jedzenia, ciepłe ubrania, broń. Teraz jednak byli nieprzygotowani. Hord pomyślał, że dla osady Gal-leck, tak samo jak dla każdej sadyby w Puszczy, zima w tym roku będzie wyjątkowo ciężka.

- Gdzie je spotkałeś? - zadał w końcu pytanie Sługa Krytów. - Jak to się stało? - dodał, mając na myśli odcięte ucho.

Przybysz spojrział na niego. Zazwyczaj krywi nie pytali o szczegóły wędrówek Hordów, a gdy pytali - rzadko odpowiadał. Gildia patrzyła na to niechętnie. Jednak teraz, wobec przedwczesnego nadejścia grycht, sytuacja była szczególna.

- Godzinę przed zmrokiem byłem w miejscu, gdzie droga biegnąca z Tyngi zbliża się do Puszczy Krytów. Już miałem skręcić w las, gdy niespodziewanie mój koń się spłoszył. Ukryłem się między drzewami. Najpierw zobaczyłem cztery grychty, które wracały z równiny. Pewnie zdążyły napaść na jakiś przejeżdżający wóz. Potem przeszły jeszcze dwie grupy po trzy. W sumie dziesięć grycht, ogromne stado. Każda grupa miała już łup, jedna nawet podwójny. Musiały porwać czterech ludzi.

Meron zacisnął usta.

- Mogłem się ukryć, ale chciałem ratować konia - ciągnął Hord. - Miałem nadzieję, że mnie ominą. Jednak jedna grychta zatrzymała się, a potem ruszyła w moją stronę. Najpierw zaatakowała konia.

- Co było dalej? - zapytał Sługa Krytów.

- Dalej? - powtórzył Hord. - Ano nic. Zabiłem grychtę i odciąłem jej ucho. Miałem szczęście. Pozostałe nie zainteresowały się mną, najwidoczniej miały już to, po co tu przyszły, i pognały do lasu. Szedłem za nimi przez dwie godziny, aby się upewnić, że pójdą prosto na północ. Minęły z daleka waszą osadę. Zbadałem uważnie okolicę. Przez noc nie macie się czego obawiać.

- Przez noc? - powtórzył Meron. - Za cztery godziny nadejdzie świt.

Gałęziami krytu nad ich głowami poruszył lekki wiatr. Kryty nie gubiły na zimę igieł, ale gdy przez Puszcę przelatywał podmuch, kilkanaście kłujących szpilek opadło na ziemię z cichym, charakterystycznym szelestem.

- Czy nadal masz jakieś zlecenie dla Gildii? - zapytał Hord.

Sługa Krytów zastanowił się.

- Tak - powiedział - zwróciłem się do was, ponieważ potrzebowaliśmy posłańca, który zaniesie list do Omorgu. Teraz, co prawda, nie mam już po co wysyłać listu, ale za to chciałbym cię prosić, żebyś zabrał prochy jednego z naszych. - Odwrócił się i wskazał na stos. - Niech jego szczątki spoczną jak najdalej od tej Przeklętej ziemi.

Hord zmarszczył brwi.

- Omorg znajduje się na drugim krańcu Dolin, a Tynga tylko o trzy dni drogi stąd. Dlaczego nie chcecie pochować go na wschodzie?

- Tak byłoby znacznie prościej - Meron popatrzył na nieznanego spod oka - i taniej. Ale ten człowiek pragnął, by jego prochy zatopiono w jeziorze Dren na Ziemiach Zachodnich. Rozumiem - zawahał się - że teraz policzysz już zimową stawkę?

Hord kiwnął głową.

- Czyli...?

- Czteryście gri.

Meron poruszył rękami, jakby chciał protestować.

Hord przymknął oczy. Krywi uwielbiali się targować, czego on sam nie znoślił.

Sługa Krytów milczał jednak. Spojrzał na ciemne drzewa. Przypomniał sobie, że ma tylko cztery godziny, w ciągu których musi dopilnować, by na krytach znalazło się wszystko co potrzebne na zimę. Czekają go mnóstwo pracy. Nie miał czasu na targi.

- Dobrze - stwierdził z westchnieniem. - Zapłacimy ci tyle, ile mówisz. Kiedy chcesz wyruszyć?

Hord popatrzył na kręcących się nieopodal ludzi. Część rozgrzebywała palenisko, tak by ogień jak najszybciej wygasł. Inni zagarniali stygnące popioły.

- Jak tylko przesyłka będzie gotowa.



Więść o pojawieniu się grycht rozeszła się po Dolinach Gruaronu błyskawicznie. Po trzech dniach nawet w osadach położonych najdalej na południu panował harmider i zgiełk. Kto tylko mógł, pakował dobytek na szpulkę i wyruszał do najbliższych otoczonych murami miast. Drzwi i okna zabijano deskami, a cenniejsze rzeczy, których nie dało się zabrać ze sobą, zakopywano w pospiesznie przygotowanych kryjówkach. Ludzie wiedzieli, że zanim nadejdzie wiosna i grychty znikną z Gruaronu, niejedną osadę zdążą splądrować kriroksi.

Im dalej na północ, tym ruch ten był bardziej gorączkowy. W środkowej części Dolin, na równinach Gro-lon, na wiadomość o pojawieniu się grycht chwytało tylko parę

ciepłych ubrań i bez zwłoki uciekano. Część zamieszkujących Równiny ludzi kryła się w pobliskich zamkach, część zimowała na krytach. Niestety na równinach Grolon, tak samo jak na południu, drzew tych było niewiele. Co więcej, w tym rejonie Dolin widać je było z daleka, a więc nie stanowiły bezpiecznej kryjówki. Wprawdzie grychty nie były w stanie się na nie wspiąć, ale potrafiły krążyć u stóp jednego drzewa nawet kilkanaście dni, nie pozwalając chowającym się na nim ludziom ani na chwilę zejść na ziemię.

Najgorszy los spotkał tych, którzy mieszkali w Puszczy Krytów. To ich sadyby były pierwsze na szlaku przychodzących z północy grycht. Zwykle gdy na Doliny Gruaronu spadało przekleństwo, mieszkańcy Puszczy znajdowali się już na platformach i tylko z góry obserwowali przemarsze kolejnych stad. W tym roku jednak dopiero rozpoczynano przygotowania do przeniesienia się na kryty.

Grychty obłowiły się jak nigdy. Niewiele było osad takich jak Galleck, które dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności nie straciły ani jednego mieszkańca.

O świcie tego dnia, kiedy grychty pojawiły się w leśnych ostępach, na zachodzie Dolin Gruaronu, w Omorgu, panował całkowity spokój. Bramy zamknięto wprawdzie na noc, ale tylko po to, by uniemożliwić kriroksom wśliznięcie się do miasta.

Omorg był mniejszy od Tyngi, ale znacznie od niej piękniejszy. Leżał u stóp gór Dren i strzegł jedynego wąskiego przesmyku, którym można było opuścić Doliny kierując się na zachód. Przesmyk ten nazywano tunelem Iri. Wszyscy, którzy chcieli wjechać do lub wyjechać z Gruaronu, podróżowali właśnie nim.

Miasto czerpało z tego mnóstwo korzyści. Za przejazd przez tunel Iri trzeba było płacić i to - szczególnie zimą - słono.

Dzięki swemu położeniu Omorg wyglądał niezwykle malowniczo. Kolejne podgrodzia rozlewały się u stóp gór Dren jak falbany kobiecej sukni. Nawet w najniższych dzielnicach rzadko widać było skleconą z gliny lepiankę czy koślawą drewnianą chatę. Mieszkańcy Omorgu byli ludźmi bogatymi i wcale się z tym nie kryli. W grodzie przeważały domy budowane z kamienia i cegieł. Idąc wyżej, pokonując kolejne schody i bramy, trafiało się w coraz wspanialsze okolice. W środku Omorgu zachwyty wzbudzały ogromne pałace o złożonych balkonach i marmurowych schodach. Do wielu z nich przylegały rozległe ogrody, starannie wypielęgnowane, z rzędami

fontann, którymi płynęła chłodna górską wodą. Z tarasów roztaczał się wspaniały widok na zachodnią część Puszczy Krytów, która ciągnęła się aż po horyzont.

Rejony te przybysz z zewnątrz mógł podziwiać jedynie latem. Dzielnice, w których znajdowały się domy najbogatszych rodów Omorgu, zamykano na zimę. Uciekinierzy z okolicznych osad nie mieli do nich wstępu. Pilnowała tego straż miejska, której członkowie rekrutowali

rozpościerające się w oddali równiny Grolon. Został wzniesiony pośpiesznie - okna zamkowe były różnej wielkości i rozmieszczone przypadkowo. W Omorgu opowiadano, że powstał w pierwszych latach po tym, jak na Gruaron spadła klątwa. Co znamienne, twórcy zamku, jakby chcąc odgrodzić się od świata, wzniesli najpierw mur, a dopiero potem zbudowali baszty i część mieszkalną.

Przez długi czas mur zamkowy nie miał bramy. Jedynym sposobem wejścia i wyjścia była spuszczana platforma, podobna do tych, jakie później pojawiły się na krytach. Z koni trzeba było zsiąść pod murami i następnie zdać się na skrzypiący mechanizm. Wierzchowce odprowadzano do znajdującej się nieopodal niewielkiej tajni.

Dopiero pradziadek ostatniego władcy zamku zerwał z tą tradycją. Kazał wykuć w środkowej części muru otwór, w który wprawiono niewielkie drzwiczki.

Wiekowa budowla niszczała. Wiatry wiejące z głębi Dolin rozbiły się o nią, przyspieszając rozpadanie budulca. Niektóre okna w zamku nie miały szyb. Dwie z trzech baszt były bliskie zawalenia. Ich ściany pokryła pleśń. Mur kruszał - jego fragmenty, wielkie kamienne bloki pokryte mchem, od czasu do czasu odrywały się od ścian i toczyły w dół, wpadając do położonych niżej ogrodów. Ich właściciele usuwali je po cichu, nie próbując protestować - zamek Omorg należał do jednego z najstarszych i najbogatszych rodów nie tylko Dolin Gruaronu, ale w ogóle całego Cesarstwa.

O tym, dlaczego popadał w ruinę, w górskim grodzie opowiadano niechętnie i z przestraszeniem.

/?=rr 11111 -n—

Graf Orinu i Ostii, hrabia Omorg - tak brzmiały tytuły, jakie odziedziczył ojciec obecnego władcy zamku. Podobnie jak większość członków rodziny, urodził się poza Gruaronem. Wychował się na cesarskim dworze razem z dziećmi wielkich panów. W dzieciństwie był ponoć ulubionym towarzyszem zabaw cesarza, Tyrona Śmiałego. Wysoki, zgrabny, miał piękne niebieskie oczy i ciemne włosy. Szeptano, że jest słońcem, przy którym gaśnie nawet blask przyszłego władcy.

się z ludów pochodzących spoza Dolin Gruaronu. Rada miejska Omorgu płaciła im przez całą zimę mnóstwo gri, ale dzięki temu zyskiwała pełną kontrolę nad miastem.

Nad grodem górował zamek Omorg, trzybasztowa kamienna budowla, jedna z najstarszych w całych Dolinach. Poniżej znajdowały się znacznie wspanialsze pałace, ale tylko z niego w jasny dzień można było dostrzec

Mimo to Tyron nie był zazdrosny. Kochał całym sercem swojego towarzysza. To dzięki jego wstawieniu Orin, mimo bardzo młodego wieku, otrzymał godność Wielkiego Koniuszego Cesarstwa. Wszyscy byli pewni, że gdy Tyron zasiądzie na tronie, hrabia Omorg zostanie jego najbliższym doradcą.

Stało się jednak inaczej.

Trzydzieści trzy lata przed fatalną jesienią, kiedy grychty przedwcześnie przyszyły z północy, w tunelu Iri pojawił się wspaniały orszak. Za wysoką karetą, którą ciągnęły śnieżnobiałe konie, toczyło się kilkadziesiąt wozów. Wszystkie ugięły się pod ciężarem zdobionych skrzyń, mebli obitych jedwabiem, wysokich na kilka stóp luster. Mieszkańcy Omorgu wylegli tłumnie na ulice, starając się zgadnąć, do którego z pałaców zdąży kolumnada, wspaniałością nieustępująca orszakowi cesarskiemu.

Kareta jechała coraz wyżej i wyżej. Mijała kolejne bramy, aż w końcu, ku zdumieniu gapiów, minęła ostatni z pięknych pałaców Omorgu i zatrzymała się przed wielkimi drewnianymi drzwiczkami prowadzącymi do zamku.

Zamek niszczał już wtedy, ale nie był jeszcze w opłakanym stanie. Gdy białe rumaki zatrzymały się przed pokrytymi mchem murami, mieszkała w nim tylko jedna osoba - rządcą z miejscowego rodu, siedemdziesięcioletni starzec. Minęło trochę czasu, zanim usłyszał łomotanie do drzwi i poczłapał otworzyć je wielkim żelaznym kluczem. Gdy w końcu odsunął skobel i zaskrzypiały porządki zawiasy, stary ujrzał przed sobą przystojnego młodzieńca w wyszywanych srebrnym szatach.

- Kto tu? - warknął nieprzyjaźnie, patrząc podejrzliwie na wystrojonego piękniś. Miał bardzo krótki wzrok, a więc nie dostrzegł ani karety, ani wozów, ani kilkadziesiąt jeźdźców w szatach z herbem Orinu, którzy tłoczyli się z tyłu.

Młodzieniec nie spieszył się. Odsunął starego jednym ruchem ręki, po czym powolnym, uroczystym krokiem wszedł na dziedziniec. Rozejrzał się wokół i skrzywił na widok powybijanych szyb i kruszących ścian zamku. Za nim przez wąskie przejście przecisnęli się kolejno żołnierze i słudzy.

W ten właśnie sposób na zamku pojawił się ten z rodu Orinów, który jako jedyny miał pozostać w Omorgu aż do śmierci.

Dlaczego młody Orin porzucił dwór, na którym miał piękną pozycję? Czyżby stracił przyjaźń Tyro-na? Dlaczego przyjechał właśnie tutaj, do obłożonej klątwą krainy, a nie do którejś ze swoich posiadłości na Zachodzie? Te i wiele innych pytań zadawano sobie przez najbliższych kilka miesięcy pod każdym dachem w Omorgu.

W tym czasie na zamku trwały pospieszne prace. Naprawiano mury, wstawiano okna, tynkowano ściany komnat. Widać było, że właściciel budowli stara się jak najszybciej przywrócić swojej siedzibie godny wygląd. Dlaczego mu tak pilno? - zastanawiały się przekupki na targach i szacowne matrony krążące między straganami.

Ta tajemnica i jeszcze parę innych wkrótce się wyjaśniła. W miesiąc po zjawieniu się w Omorgu młodego Orina pod zamkową bramą pojawiła się jeszcze jedna

pani, która razem z Orinem zamknęła się w niedostępnej twierdzy. Według plotek, które rychło przyfrunęły tunelem Iri, była to jedna z dwerek siostry Tyrona, którą Orin poznał na cesarskim dworze. Powiadano, że kochał się w niej sam Tyron, ale ona odrzuciła go, oddając serce najpiękniejszemu dworzaninowi Cesarstwa. Czy to Tyron kazał Orinowi opuścić dwór, czy też Orin sam postanowił się usunąć, tego już nikt nie wiedział. Minęły dwa lata.

Któregoś dnia hrabina Omorg stanęła na platformie. Na jej znak słudzy znajdujący się na murach zaczęli kręcić korbami. Winda z chrzęstem ruszyła w górę. W pewnym momencie powiał mocniejszy wiatr i platforma zachwiała się. Kobieta spojrzała w dół, zakreśliła jej się w głowie i upadła na ziemię z wysokości kilkunastu stóp.

Paręnaście godzin później przyszedł na świat kolejny z Orinów.

Hrabia Omorg czekał pod drzwiami sali, w której wokół jęczącej kobiety kręciło się kilka służących i wezwana pospiesznie z miasta akuszerka. Nie śmiał nikogo o nic pytać, więc obserwował tylko twarze wychodzących z komnaty. Wydawało mu się, że powietrze wokół gęstnieje. Chodził tam i z powrotem, zatrzymując się czasem pod drzwiami i nasłuchując.

Dopiero gdy słońce znalazło się w najwyższym punkcie na niebie, drzwi otworzyły się i stanęła w nich blada kobieta w uwalanym krwią fartuchu. Na rękach trzymała niemowlę.

- Masz syna... - zaczęła niepewnie, ale Orin nie spojrzał ani na nią, ani na dziecko.

Szybko wszedł do środka. Podeszedł do łóżka i uklęknął. Chwytał rękę ukochanej i przyciskał ją do ust. Ręka była chłodniejsza od jego dłoni i z każdą chwilą robiła się coraz zimniej sza.

Dopiero gdy zapadł zmierzch, pan na Omorgu pojawił się w drzwiach. Działo się z nim coś dziwnego. Jego czoło

kareta. Władca zamku wybiegł jej naprzeciw i sam otworzył drzwiczki. Następnie podał rękę wychylającej się na zewnątrz dziewczynie. Kiedy oboje przeszli przez trzeszczące drzwiczki, zatrzymał się i powiedział:

- Te mury przez kilkaset lat nie miały żadnej bramy. Dopiero mój dziadek kazał wykuć w nich otwór. Każę go dziś zamurować i będziesz w ten sposób ostatnią osobą, która weszła tędy do środka. Kiedy zechcemy, a nie sądzę, by przydarzało się to zbyt często, tak jak moi przodkowie wydestaniemy się na zewnątrz dzięki platformie.

Dziewczyna podniosła głowę. Kilkadziesiąt stóp wyżej zobaczyła dwie drewniane windy. Ponad nimi piętrzyły się groźne i niedostępne szczyty Dren.

Jeszcze tego samego dnia słudzy Orina zdjęli drzwi z zawiasów i zamurowali jedyny otwór, jaki łączył zamek Omorg z rozpościerającym się u jego stóp miastem. Mimo to w grodzie szybko odkryto, kim jest młoda

pokrywał pot, miał nienaturalnie rozszerzone oczy i niemal sine usta. Zataczając się, poszedł w kierunku schodów prowadzących do jednej z baszt. Tego wieczoru i przez następne kilka tygodni nie chciał nikogo widzieć.

W tym czasie wydał tylko jedno polecenie - by jego syna, któremu kazał dać na imię Gret, odesłano z Dolin Gruaronu, do Orinu, do pałacu babki.

Kiedy Orin opuścił wreszcie swoją pustelnię, słudzy ledwo go poznali. Nic nie pozostało ze zręcznego, pięknego dworzanina. Wyglądał dziesięć lat starzej. Schudł, zgarbił się, jego skóra nabrała żółtego, niezdrowego odcienia. Poruszał się dziwnie, jakby się skradał. Najbardziej jednak zmieniły się jego oczy - wcześniej pogodne, teraz przygaszony wzrok ukrywały na wpół-przymknięte powieki.

Przemianie uległo też jego zachowanie. Przestał interesować się grodem, Dolinami Gruaronu i w ogóle wszystkim, co działo się poza murami zamku. Większości sług kazał wracać na Ziemię Zachodnie. Zostało przy nim tylko dwóch ludzi, którzy musieli obsługiwać kołowrót. Nie mieli dużo pracy - co prawda Orin wypuszczał się czasami na północ i południe Dolin, ale nikt go nigdy nie odwiedzał.

Z jednej z takich samotnych podróży pan na Omorgu przywiózł człowieka, który został jego najwierniejszym sługą. W mieście nigdy nie dowiedziano się, kim był ten osobnik ani skąd pochodził. Starszy od Orina o jakieś piętnaście lat, miał wąskie wyblakłe oczy, ostry nos i wykrzywione wargi. Włosy porastały mu głowę kępami. Mężczyzna ten miał długie ręce i wyjątkowo chude nogi.

Nie znano jego imienia, a ponieważ szybko pochylił się do ziemi i zestarzał, powszechnie zwano go Starym Człowiekiem hrabiego Omorg. Wieść o nim wkrótce przekroczyła granice miasta i dotarła do najdalszych zakątków Gruaronu.

Od czasu pojawienia się w Omorgu, Stary Człowiek stał się uchem i okiem hrabiego. Władca zamku dał mu pismo, w którym raz na zawsze wyjaśniał, że wszystkie polecenia tego mężczyzny należy traktować tak, jakby wydawał je on sam. Stary Człowiek krążył więc po mieście, zaopatrując Orina w coraz bardziej wymyślną żywność, a z czasem także w coraz piękniejsze kobiety

Z roku na rok wymagania pana na Omorgu rosły. Zaczął potrzebować pieniędzy.

Stary Człowiek wymusił na mieszczanach daninę w postaci ciągle rosnącej liczby gri. Początkowo wyludzał złoto od najbogatszych mieszkańców Omorgu, szantażem lub groźbą zmuszając ich do płacenia. Korzystając z udzielonego na piśmie rozkazu, skłonił też radę miasta do podwyższenia stawek za przejazd przez tunel Iri. Zdobyta w ten sposób nadwyżka trafiła oczywiście do kieszeni pana na Omorgu. Jego sługa ściągał również haracz z kupców, którzy coraz rzadziej zjawiali się w grodzie. Groziło to ruiną całemu miastu i wszyscy jak jeden mąż przeklinali Wielkiego Koniuszego Cesarstwa.

Z czasem Stary Człowiek zaczął wypuszczać się do innych miast Gruaronu, gdzie zdobywał złoto, posługując się zupełnie już zbrodniczymi metodami. Powiadano, że tam, gdzie pojawia się chytry starzec, zaraz ktoś umiera otruty. Jego zła sława i zła sława hrabiego Omorg rosła z roku na rok. Bano się ich powszechnie i powszechnie nienawidzono.

Po kolejnych kilku latach zbytek i kobiety znudziły się Odnowi. Wszystkie zdobyte kwoty Stary Człowiek przeznaczał teraz na środki halucynogenne. Kupował je od Mistrza Gildii Hordów lub od znachorów z ludu trynów. Czasami przez całe dni hrabia Omorg nie opuszczał swych komnat, zażywając coraz to nowsze specyfiki dostarczane mu przez sługę.

W tym czasie zamek ostatecznie podupadł. Od czasu śmierci żony Orin w ogóle o niego nie dbał. Poczynione wcześniej naprawy nie na wiele się zdały. Wilgoć napływająca w miesiącach letnich z głębi Dolin przyspieszała erozję murów, które znów pokryły się mchami. W miarę jak kurczyły się zasoby Orina, ograniczał on liczbę komnat, w których przebywał i które ogrzewano. W końcu używał zaledwie dwóch, położonych w jednej z baszt zamczyska. Tam też kazał przenieść wszystkie sprzęty, jakie pozostały z dóbr przywiezionych przed laty do Omorgu. Reszta pomieszczeń stała pusta. Po kilku mroźnych zimach ze wszystkich ścian odpadły tynki. Kawałki zewnętrznego muru znowu zaczęły staczać się do położonych niżej ogrodów.

9 " " " "

Minęło dwadzieścia lat od śmierci żony Orina, kiedy w tunelu Iri, między stromymi zboczami wiecznie pokrytych śniegiem gór, pojawił się wysoki młodzieniec. Zatrzymał się przy bramie i płacąc strażnikowi trzy gri za wjazd do miasta, zapytał o drogę na zamek.

- Nie masz tam czego szukać. - Żołnierz przyjrzał się uważnie przygarbionej sylwetce mężczyzny, którą skrywał zwykły podróżny strój. - W zapleśniałych murach gnije tylko stary wszetecznik i jego podły zausznik.

Młodzieniec spojrział na niego bystro.

- Widzę, że doniesiono mi prawdę - rzekł spokojnie.

- Co masz na myśli?

- Miasto Omorg nieszczególnie kocha mojego ojca.

Uśmiechnąwszy się pod nosem, spał konia i minął oniemiałego żołnierza. Chwilę potem kopyta wierzchowca zastukały o bruk Omorgu.

Czcigodni mieszkańcy pięknego grodu na śmierć zapomnieli, że ich prześladowca ma syna.

Także słudzy Orina nie mogli w to uwierzyć. Kiedy przybysz znalazł się pod zamkiem, długo musiał tłumaczyć ludziom tkwiącym na murze, kim jest. W końcu zgodzili się zanieść swemu panu pierścień, który młodzieniec przywiązał do spuszczonego z góry sznura. Minęło kilkanaście minut, gdy na znak dany przez kogoś gdzieś zaskrzypiał kołowrót. Po chwili przybysz stanął na platformie, która z chrzęstem zaczęła się podnosić. Skupiony patrzył na widoczną w oddali, ciągnącą się aż po horyzont Puszcę Krytów.

Nie wiadomo, jak wyglądało pierwsze spotkanie ojca z synem ani co na nim powiedziano. W każdym razie młodzieniec pojawił się już następnego dnia w mieście i w asyście Starego Człowieka przedstawił się radcom i najznacniejszym obywatelom Omorgu. Przyjmowano go z ledwie ukrywanym przestraszaniem.

W czasie tych wizyt Stary Człowiek prawie się nie odzywał. Wydawał się dziwnie przybity. Wieczorem młodzieniec powrócił na zamek, gdzie pozostał jeszcze kilka dni. Po tygodniu opuścił Omorg i wrócił na zachód. Razem z nim, ze skurczoną, ponurą twarzą, odjechał Stary Człowiek.

Po wizycie syna Orin uspokoił się. Pojawił się na położonym na skalnej półce cmentarzu, gdzie ubrany na czarno pochylił się nad grobem żony. Czasami wyjeżdżał na kilka godzin na przejażdżkę poza miasto i odwiedzał okoliczne osady trynów. Bywał też w Hroście, położonej koło Omorgu siedzibie Gildii Hordów. Nie próbował jednak kontaktować się z nikim z grodu ani przepraszać za krzywc'y, jakich doznali od Starego Człowieka.

Kiedy umiał dwa lata później, mieszkańcy Omorgu odetchnęli wreszcie z ulgą.

Zamek niszczał, uginając się pod wiatrami z głębi Dolin.

Kilka lat po śmierci Orina, chyłkiem i w przebraniu, do miasta powrócił Stary Człowiek. Zanim ktokolwiek dowiedział się o jego przybyciu, ukrył się za pleśniejącymi murami. Zaraz po nim przyjechał do grodu syn hrabiego, nowy pan Omorgu. Spodziewano się, że - tak samo jak poprzednio - jego pobyt w górskim grodzie nie potrwa długo. Jednak tym razem mijały tygodnie i miesiące, a Gret Orin ani na chwilę nie opuścił miasta.

Dla mieszkańców Omorgu człowiek ten stanowił wielką niewiadomą. Kilkanaście osób poznało go podczas pierwszej wizyty w grodzie, ale ani wtedy, ani teraz nie wyjaśniło się, gdzie dorastał i co porabiał przez pierwszych trzydzieści lat życia. Przypuszczano, że jak ojciec wychował się na cesarskim dworze, lecz nikt nie śmiał zadawać mu żadnych pytań. Wiedzano, że Stary Człowiek, teraz zgrzybiały starzec, o którym krążyły mroczne legendy, nadal mu służy.

Chociaż młody graf ani z wyglądu, ani z zachowania nie przypominał swego ojca, bano się go niemal tak bardzo jak poprzedniego pana na Omorgu. Ci, którzy go poznali, mówili szeptem, że to człowiek, w którym jest coś dziwnego. Który na coś czeka.



Gdy około południa przerażone gromady trynów zaczęły wlewać się do miasta, mężczyzna stojący przy

oknie jednej z baszt zamku Omorg zacisnął dłonie na kamiennym parapecie.

Miał trzydzieści jeden lat, ale wyglądał trochę starzej. Sprawiała to sylwetka - wysoka, sucha i koścista, przypominająca kształtem wąski trójkąt, którego górny bok stanowiły nieproporcjonalnie szerokie barki. Odnosiło się wrażenie, że człowiek ten jest garbaty, tymczasem on tylko bez przerwy pochylał głowę. Ogromne łopatki mocno odciskały się pod ciemną, długą szatą, zdobioną herbem Orinów. Syn wyjątkowo pięknych rodziców sam nie był przystojny - na długiej, pociągłej twarzy zbyt mocno odcinały się wąskie wargi i ostry nos. Tylko oczy, uprzejme i jasne, łagodzący niepokojące wrażenie, jakie wywierały rysy twarzy i kanciaste kształty całej postaci.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na drugą osobę znajdującą się w komnacie - starca siedzącego na ustawionym na środku sali wysokim krześle. Poza tym trzeszczącym sprzętem o wypłowiałym obiciu w pomieszczeniu nie było ani jednego mebla.

- Postarzałeś się bardziej, niż myślałem - powiedział Orin powoli. - Nie nadajesz się już nawet do ściągania tu kobiet, co ci tak dobrze wychodziło za czasów mojego ojca.

Staruch zamachał rękami. Jego głos był piskliwy, a gdy się odzywał, prychał na wszystkie strony śliną.

- Musisz przyznać, że tego nie sposób było przewidzieć - wskazał na okno.

Wysoki mężczyzna pokręcił głową.

- Doszły mnie słuchy, że wziąłeś pod uwagę nawet nadejście grycht.

- Tak. Sorso i jeźdźcy otrzymali odpowiednie rozkazy. Tylko że... - Staruch zawahał się.

- Tylko że zima przyszła w tym roku o trzy tygodnie za wcześnie? - dokończył za niego Gret Orin.

Nie wydawał się zły. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie spokojnego. Jego twarz wyrażała ogromne skupienie. Jednak Stary Człowiek, znający go doskonale, czuł niepokój.

Przez chwilę obaj milczeli. Orin zastanawiał się nad czymś, stary obserwował go uważnie.

- Z jakiego okresu pochodzą ostatnie wiadomości, jakie mamy z Tyngi? - zapytał w końcu pan na Omorgu.

- Sprzed dwudziestu pięciu dni - zaskrzeczał sługa.

- I mówią one, że...

- Że miała przybyć do Tyngi za miesiąc - wpadł mu w słowo Stary Człowiek. - Istnieje więc szansa, że zjawiła się w Tyndze już po nadejściu grycht. Wtedy Sorso i margrabia zatrzymają ją w mieście aż do wiosny - dokończył szybko.

Orin nie zadowolił się takim wyjaśnieniem. Powoli przechadzał się po komnacie. Złożył ręce na plecach i mocniej niż zwykle wyciągał głowę do przodu.

- Ale równie dobrze mogła przybyć do Tyngi wcześniej i wyruszyć w drogę, zanim pojawiły się te stwory - powiedział, zatrzymując się na środku. - A wtedy - zmarszczył brwi - grychty zaskoczą ją gdzieś na szlaku.

Staremu błysnęły oczy. Na jego ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech, który natychmiast znikł.

- Nie bój się - zaskrzeczał bardziej piskliwie niż poprzednio. - Sorso wiedział, co ma robić nawet w takiej sytuacji. Dodatkowo zadbałem też o to, by kontrolował go jeden z jeźdźców. Jak tylko spostrzegą niebezpieczeństwo, pojedą do najbliższego miasta lub zamku. Ktoś ich w porę ostrzeże. Wieści o grychtach rozejdą się błyskawicznie.

Pochylony mężczyzna pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że w ogóle nie opuściła Tyngi. A jeśli już, to że było tak, jak mówisz. Niemniej jednak - zawahał się - wolałbym mieć pewność.

Chciał użyć słowa „muszę”, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar.

Stary dostrzegł jego wahanie i domyślił się, co pan na Omorgu chciał powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

- Pewność zdobędziesz wiosną - rzekł z naciskiem. - Do tego czasu trzeba czekać. Nic nie jesteśmy w stanie na to poradzić. Pokonał nas zły los, który ciąży nad tą krainą.

- Wiosną - powtórzył Orin - czyli co najmniej za cztery miesiące.

Starzec powoli zaczął podnosić się z krzesła. Przychodziło mu to z trudem - chwiał się i drżał. Jego ręce kurczowo chwyciły się oparcia. Ciężko sapiąc, podniósł całe ciało i wyprostował się. Potem na moment zamarł,

- Szybciej nie zdobędziesz pewności. Bardzo mu zależało, żeby widzieć twarz swojego pana.

Jednak, mimo wszystko, jest taki sam jak ojciec, pomyślał. Liczy się tylko kiecka. I to jedna, upatrzona. Przeklęty ród.

Czoło starego spochmurniało.

Tymczasem Gret Orin głęboko się zamyślił.

Za kilka dni tylko grychty będą krążyć po pustkowiach. Grychty i Hordzi. Jeśli Newia jest już w Gru-aronie i jeśli wyjechała z Tyngi... - Odwrócił się od okna. Nie będę siedział tu beczynn timerem, pomyślał.

Zaczął krążyć po komnacie. Wyminął starego, który stanął tuż za nim, i poszedł na drugi koniec pomieszczenia. Zawrócił. Doszedł do okna i znów ruszył z powrotem. Kroki rozbrzmiewały głośnym echem w niemal pustej sali.

Stuk ciężkich butów z cholewami. Jego własnych butów. Stare krzesło udające tron. Oblupane z tynku ściany. I jakaś postać stojąca przy oknie. Coś takiego kiedyś już widział. Kiedy to było? Dwa, cztery i jeszcze pięć. Jedenaście lat temu. Jedenaście lat temu rozmawiał w tej sali z ojcem.

To była jedna z tych rozmów, które choć wydają się bez znaczenia, pozostają w pamięci.

Był późny wieczór. Hrabia Omorg wezwał syna przez starego, który wtedy jeszcze trzymał się całkiem prosto. Salę oświetlały pochodnie, było ich jednak mało i w środku panował półmrok. Kiedy Gret Orin wszedł do komnaty, ojciec stał przy oknie. Na dźwięk jego kroków odwrócił się. Wskazał ręką na krzesło. Młodzieniec pomyślał, że ojciec musi być pod wpływem środka odurzającego. Od czasu jego przyjazdu pan na Omorgu w ciągu dnia pozostawał przytomny. Jednak zawsze co wieczór zażywał specyfiki dostarczane mu przez Starego Człowieka i wtedy wszyscy schodzili mu z drogi.

Młody Orin posłusznie usiadł na krześle. Lekko wzruszył ramionami. Był w Omorgu od pięciu dni i przyzwyczał się już, że pod wpływem narkotyków ojciec opowiadał niestworzone historie.

- Doliny Gruaronu - Wielki Koniuszy Cesarstwa odezwał się cicho. - Doliny Gruaronu. Niesamowita kraina. Łąd, który żyje swoim własnym życiem. Który ma swoje plany. Czasami zgadzają się one z twoimi, a czasami nie.

Zaśmiał się.

- Przyjeżdżasz tutaj i myślisz, że zrobisz to czy tamto. Że zostaniesz tu rok lub pięć lat, a potem wyjedziesz. Nie zdajesz sobie sprawy, że z chwilą, gdy przekroczyłeś tunel Iri, Doliny spostrzegły twoją obecność.

jakby sprawdzając, czy grunt, po którym stąpa, nie usunie mu się spod nóg.

- Wezwij któregoś z Hordów i każ mu pójść do Tyngi - zaskrzeczał w końcu, kaszłąc.

Orin odwrócił się w stronę okna.

- Zanim wróci, miną dwa miesiące.

Starzec ruszył w jego stronę.

Gret Orin poruszył się niespokojnie. Nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Na tyle, na ile poznał swojego ojca, wydawało mu się, że ten nie jest odurzony. A jednak mówił dziwnym tonem.

- Zapamiętaj coś - powiedział pan na Omorgu, odwracając się do okna. - Doliny Gruaronu są jak studnia bez dna o gładkich, ciemnych ścianach. Wpadasz w nią i lecis w dół, choć wydaje ci się, że nadal podążasz utartą ścieżką.

- Kiedyś przyjedziesz tu znowu - mówił dalej głos<sup>nie</sup>J- - Zostaniesz kilka tygodni dłużej, niż planowałeś.

Potem tygodnie zamienią się w miesiące. Nawet się nie spostrzeżesz, kiedy miesiące staną się latami.

- Nie sądzę - szepnął Gret Orin.

Ojciec usłyszał to, ale zbył jego słowa machnięciem ręki.

- Oczywiście, że nie sądzisz. I nie będziesz sądził jeszcze długo po tym, jak Doliny oplotą cię swoimi mackami. Ale w pewnym momencie poczujesz, że coś związało cię z tą krainą. Już nie będziesz mógł wyjechać. Nawet nie przyjdzie ci to do głowy. I wtedy właśnie przypomnisz sobie moje słowa.

- A więc powiem ci jedno - ciągnął po chwili milczenia. - Grychty to najmniejszy z problemów Dolin Gruaronu. Grychty to tylko śmieszne stwory, które Doliny wypływają ze swoich trzewi, by oczyścić się z najgorszych ludzi. Tymczasem działają tu znacznie groźniejsze siły. O ich celach nic nie wiadomo. Ich potęgi można się jedynie domyślać.

Hrabia Omorg powoli ruszył w kierunku syna, który patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Kiedy przyjdzie ci tu żyć, pamiętaj, że w Dolinach Gruaronu od dawna liczy się tylko jedna siła. Jest nią Gildia Hordów. Musiałeś o nich wiele słyszeć, ponieważ poza Dolinami opowiada się o Gildii rozmaite historie. Jedni się z Hordów śmieją, drudzy powtarzają niestworzone rzeczy o ich potędze. Słuchaj tych drugich, a następnie przemóż sobie ich słowa kilka razy. Wtedy może zdołasz dostrzec prawdziwą twarz Gildii. Wynalazki, które pozwalają im mierzyć się z grych-tami, to tylko najmniej pomysłowe sztuczki, na jakie wpadli. Hordzi mogą znacznie, znacznie więcej. I znają tajemnice, których istnienia domyśla się zaledwie kilka osób w Cesarstwie.

Był już bardzo blisko syna. Pochylił się nad nim. Gret Orin zobaczył tuż przed sobą przekrwione oczy.

- Pamiętaj, gdybyś kiedyś zgubił coś cennego w Dolinach, tylko Gildia Hordów zdoła to odnaleźć. Musisz



udać się do Gildii. To ryzykowny sposób, ale jedyny. Jednak nie możesz przyjść tam tylko z workami złota. Złoto to tak naprawdę ostatnia rzecz, o jaką Gildia się troszczy. Musisz mieć klucz, który pozwoli ci uzyskać od nich to, czego chcesz. Tym kluczem jest pewien człowiek.

Hrabia pochylił się do ucha syna.

- W spadku po mnie dostaniesz tylko te mury i nazwisko tego człowieka - wyszeptał. - Jest ono znacznie cenniejsze niż ten zamek, a nawet wszystko to, co dała ci twoja babka. To nazwisko to klucz do potęgi Gildii. Gdybyś zgubił coś cennego w Dolinach, tak cennego, że gotowy jesteś zaryzykować życie, wykorzystaj je. Wypowiem je tylko raz, więc uważaj.

wyławiał je z zakamarków pamięci, przyglądał mu się, po czym odkładał na bok. Z czasem robił to coraz rzadziej. Coraz rzadziej myślał też o innych słowach ojca wypowiedzianych tamtego wieczoru. W końcu zapomniał o jednym i drugim.

Gret Orin pokręcił głową. Ojciec miał wtedy rację - faktycznie nawet nie zorientował się, kiedy Doliny nierozzerwalnie związały się z jego planami na przyszłość. Jednak mieszkał w Omorgu już rok i jakoś nigdy nie spostrzegł, by Gildia Hordów troszczyła się o coś więcej niż zdzieranie z mieszkańców Dolin ostatnich gri. W Hordach nie było nic szczególnego. Ale może to on nie dość uważnie patrzył?

W każdym razie jedno było pewne - znali Doliny Gruaronu jak nikt inny.

Nazwisko. Jak, u licha, może brzmieć to śmieszne nazwisko?

Wzrok pana na Omorgu zatrzymał się na starcu, nadal stojącym przy oknie.

Stary cię do niego zaprowadzi, powiedział ojciec.

A zatem sługa zna tę osobę i na pewno wie coś o Gildii Hordów. Coś, o czym nigdy nie poinformował swego młodego pana.

Gret Orin zmarszczył brwi.

- Słuchaj - zaczął, przerywając długie milczenie. - Ojciec powiedział mi kiedyś o osobie, która jest, jak się wtedy wyraził, kluczem do potęgi Gildii Hordów. Kto to taki?

Od jakiegoś czasu wydawało się, że starzec zasnął. Stał nieruchomo z przymkniętymi oczami. Położył jedną rękę na parapecie. Jednak na dźwięk głosu swojego pana natychmiast się ocknął. Oczy mu błysnęły. Twarz się skurczyła - jak zawsze, gdy coś było nie po jego myśli.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Wiesz. - Orin podszedł do niego i stanął obok, tuż przy drewnianej futrynie. - Potrzebuję pomocy Hordów. Pewnie wynajmę kilku z nich i spróbujemy dostać się do Tyn-gi. Ale ojciec mówił, że Gildia dysponuje siłą, o której nikt nie wie. I że ten ktoś może być przydatny. „Gdybyś zgubił coś cennego w Dolinach...” - tak się wyraził. A ja właśnie

Gret Orin czuł na szyi oddech ojca. Hrabia szepnął mu coś do ucha, po czym wyprostował się.

- Stary cię do niego zaprowadzi. Ten człowiek jest mi winny życie - zaryzykuje je dla ciebie.

Odwrócił się i wyszedł z komnaty.

Gdybyś zgubił coś cennego w Dolinach... Nazwisko. Jak ono brzmiało? Dźwięcznie. Krótko. Po rozmowie z ojcem młody Orin od czasu do czasu

zgubiłem coś cennego. Dlatego trzeba mi czegoś więcej niż eskorty.

Stary zacisnął dłonie na parapecie. Kręcił trzęsącą się głową.

- Nie wiem, czy on jeszcze żyje.

Orin spojrział na niego uważnie.

- Ten człowiek, o którym mówił ojciec? Sługa przytaknął bez słowa.

- Kto to jest?

Matowe, blaknące oczy Starego Człowieka wydawały się ponure.

- Jeden ze starszyny Gildii. Najwyższego kręgu wtajemniczenia. Ktoś, kto wie o nich wszystko i kto... już do Gildii nie należy.

Orin wydawał się zaskoczony.

- Jak to możliwe? Przecież z Gildii nie można wystąpić.

- Tak, ale można zostać wykluczonym - rzekł sługa cicho. Mówił szybko, tak jakby chciał jak najszybciej pozbyć się niewygodnych informacji. - Tak właśnie stało się w tym wypadku. Dlaczego Hordzi wyrzucili go ze swoich szeregów, nie wiem. Nikt zresztą tego nie wie. To tajemnica Gildii. Zamyślił się.

- Wykluczenie zdarza się rzadko. Raz na kilkadziesiąt lat. Zawsze oznacza śmierć. Ale temu Hordowi się udało. Wiem, że w pewnym momencie pomógł mu twój ojciec. Nie znam jednak szczegółów. Hrabia Omorg zdradził mi tylko, jak go odnaleźć. Kazał mi też od czasu do czasu sprawdzać, czy on jeszcze żyje. Ostatni raz zrobiłem to dwa lata temu.

- Jak ten człowiek mógłby mi pomóc? Stary Człowiek wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale znając Hordów... Orin pochylił głowę. Zamyślił się.

- Czy to możliwe, by znał jakąś inną drogę do Tyn-gi niż...? - zapytał po chwili, wskazując ręką za okno.

Stary popatrzył na niego z ukosa.

- Naprawdę chcesz tam jechać?

Orin skinął głową.

- A więc?

- Znajac Hordów... - powtórzył powoli stary. - Potrafią przemieszczać się po Dolinach Gruaronu tak szybko jak nikt inny.

Orin podszedł do drzwi i pociągnął za znajdujący się obok nich sznurek. W głębi zamku odezwał się dzwonek. Mężczyzna wrócił do okna.

- Jak go odnajdę? - zapytał spokojnie.

Starzec przyglądał się dachom położonych niżej pałaców.

- Jedź do Waru, niewielkiej sadyby trynów leżącej o cztery godziny drogi od Omorgu. Szczęśliwcy posiadają parę krytów, więc na zimę nie muszą chować się w mieście. Powiesz ich przywódcy tylko jedno słowo: *gro-tho*. To ze starożytnego języka trynów. Wtedy dowiesz się, co dalej.

- Ty tego nie wiesz? - zapytał Orin podejrzliwie. Stary zacisnął usta.

- Nie.

W tym momencie do komnaty wszedł jeden ze sług Orina, młody chłopak, który przyjechał wraz z nim z Ziemi Zachodnich.

- Osiodłaj konia.

Gret Orin ruszył już w stronę drzwi, gdy nagle coś sobie przypomniał. Zatrzymał się w pół kroku.

- Zaraz. Jak brzmi nazwisko tego człowieka? Tym razem głos starego nie zabrzmiał piskliwie.

- Tora. Nazywa się Torn.

Sługa zniknął za drzwiami.

Gret Orin zastanowił się.

- War. Nigdy nie słyszałem o takiej osadzie, a wydawało mi się, że okolice Omorgu znam już bardzo dobrze.

Stary pokiwał głową.

- To nawet nie osada, tylko mała sadyba. Dokładnie na północ stąd, przytulona do gór. W tamte rejony rzadko kto się zapuszcza.

Orin uśmiechnął się nieznacznie, po raz pierwszy tego dnia.

- Dobrze. Cztery godziny na północ wzdłuż gór. Zakładając, że ten były Hord jest niedaleko Waru, powinienem wrócić jutro, najdalej pojutrze.

Starzec nic nie odpowiedział. Jego twarz pozostała ponura. Jeszcze kilka lat temu wskoczyłby na konia<sup>1</sup> pojechał ze swoim panem. Jednak od dawna nie był<sup>w</sup> stanie utrzymać się w siodle. Jego aktywność, kiedyś budząca przerażenie w całych Dolinach, ograniczała się teraz do zamku.

czasu głośnym krakaniem, dobiegającym z bardzo bliska. Co jakiś czas z lewej strony rozlegało się głośnie „Kra!”, które ginęło natychmiast w powodzi podobnych dźwięków.

Co to jest? Newia usiłowała wmawiać sobie, że nie ma pojęcia, ale uporczywa myśl nie dawała się odpędzić. Biją się o padlinę. Ludzką czy końską?

Zaczęła się nerwowo wiercić. Dzięki temu spostrzegła, że zasuwą zasłaniająca otwór, którym się tu dostała, nie została domknięta. Przez szczelinę do wnętrza schowka wpadał wąski promień światła.

Newia zmrużyła oczy. Jak wydostać się na zewnątrz? Jeszcze raz popatrzyła w stronę przesuwanych drzwiczek. Dopiero teraz zauważyła, że znajdujący się na nich uchwyt był podwójny - od strony karety i od strony schowka. Gdyby udało się go dosięgnąć...

Wzięła kilka głębokich oddechów i z trudem przekreśliła się na bok. Następnie - co było łatwiejsze - położyła się na plecach. Oparła się na łokciach i przesunęła nieco w dół, tak by dotknąć stopami zasuwę. Zaczęła delikatnie poruszać nogą, starając się wymacać uchwyt. Zahaczyła o niego palcami i spróbowała podciągnąć do góry. Przesuwane drzwiczki były jednak ciężkie i stopa natychmiast się omsknęła.

Newia odetchnęła głośno i ponowiła próbę. Tym razem oparła obie nogi o klamrę i spróbowała je zgiąć. Przez moment nic się nie działo, ale potem drzwiczki odsunęły się z chrzęstem.

Czoło kobiety pokryło się potem. Odpoczęła, po czym przekreśliła się z powrotem na brzuch. Wysunęła nogi na zewnątrz. Nie wypuszczając noża z ręki, wymacała klamrę na suficie. Przytrzymując się, zaczęła powoli opuszczać się

iedy Newia ocknęła się, na zewnątrz świeciło. Otworzyła oczy i spróbowała się unieść. Natychmiast uderzyła głową w sufit. Jęknęła. Przed sobą miała tylną ścianę powozu z metalowym uchwytem. Dopiero teraz, gdy w schowku panował półmrok, zobaczyła na klamrze ogromną pajęczynę, której część musiała znajdować się na jej włosach i sukni.

Usiłowała zmienić pozycję, ale całe ciało miała zeszytywniałe. Zacisnęła palce. Zaskoczona poczuła, że w prawej dłoni trzyma nóż. I wtedy przypomniała sobie wszystko - niespodziewany atak grycht, szaloną ucieczkę oraz pana Sorso, który uratował jej życie, pomagając ukryć się pod dachem powozu.

Przez chwilę leżała nieruchomo i nasłuchiwała uważnie. Na zewnątrz panowała cisza, przerywana od czasu do

na dół. Za chwilę jej biodra przestały opierać się o dno schowka. Wisiała teraz na rękach. Zamknęła oczy i puściła uchwyt.

Okazało się jednak, że nie miała się czego obawiać. Siedzenie znajdowało się tuż pod jej nogami. W porównaniu z wdrapaniem się na górę wyjście ze schowka było stosunkowo łatwe.

Gdy Newia podniosła głowę i rozejrzała się, poczuła mdłości.

W powozie było pobojuwisko. Podręczny bagaż był porozrzucany na podłodze. Z górnej półki zwisał długi płaszcz podróżny, rozdarty na pół. Najgorsze jednak było to, że wszystko - ściany powozu, siedzenia i wiszący smętnie płaszcz - powalane było krwią.

Newia poczuła, że zemdleje, jeśli natychmiast nie wydostanie się na zewnątrz. Potykając się o rozrzucone tobołki, wyskoczyła z powozu i po raz drugi zrobiło jej się słabo.

powóz, aż po horyzont nie było jakiegokolwiek punktu, który przyciągałby wzrok. Pustkowie były ciche i wydawały się wymarłe. Tylko w oddali majaczyła czarna linia lasu.

Minęło kilkanaście minut, zanim Newia przemogła słabość. Usiadła na ziemi i objęła się rękami. Było jej zimno. Popatrzyła na swoją suknię i spostrzegła, że jest umazana krwią - musiała ją pobrudzić, kiedy zeskoczyła na siedzenie. Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Próbowła je powstrzymać, ale nic z tego nie wyszło. Rozpłakała się.

Grychty przyszły, myślała, łkając. Porwały wszystkich. Dlatego nie ma ciała. Zabrały je na północ. Ten syk... - Wzdrygnęła się. Sorso mnie ocalił. Dlaczego? Przyszło jej do głowy, że pod sam koniec ucieczki padły jakieś słowa, które powinna zapamiętać. Ale jakie to były słowa?

Muszę teraz coś zrobić, pomyślała. Nie wolno mi tu zostać. One wrócą.

Znajdowała się w pobliżu głównego traktu prowadzącego z Tyngi do Omorgu. Od Tyngi dzieliły ją dwa dni drogi, ale powozem. Na piechotę przejście tej odległości komuś silnemu i sprawnemu zajęłoby pięć dni. Ale jej? Tydzień. Zanim trafię do Tyngi, minie tydzień. Pod warunkiem oczywiście, że szybciej one mnie nie znajdą. I że się nie zgubię. Wiedziała, że ostatniego dnia podróży opuszczali często główną drogę, jadąc skrótami znanymi tylko miejscowym.

Przez chwilę siedziała bezmyślnie, wpatrując się w opuszczony powóz, jedyny czarny punkt na rudych polach. W końcu odwróciła się i spojrzała w drugą stronę wzrok

Kilkanaście kroków od drzwiczek leżały dwa trupy koni. Zwierzęta miały rozszarpane gardła. Na obu ścierwach siedziały kruki. Ptaki wydziobały już koniom oczy i teraz rozdzierały im brzuchy. Raz po raz jedno ptaszysko popychało inne, starając się wyrwać mu z dzioba krwawy ochłap. Wtedy rozlegało się głośnie krakanie. Po krótkiej walce ptaki uspokajały się i zgodnie pochylały nad rozharatanymi końskimi brzuchami.

Newia odwróciła się i nie patrząc pod nogi, pobiegła przed siebie. Po kilkudziesięciu krokach potknęła się i upadła. Podniosła się i znów pobiegła. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zabrakło jej tchu. Ciężko oddychając, zgięła się wpół.

Wokoło jak okiem sięgnąć rozciągały się pagórki, pokryte niską, zrudziałą trawą. Nawet najmniejszy krzaczek nie zakłócał monotonii krajobrazu. Pomijając

zatrzymał się na widocznej w oddali linii lasu. Puszcza Krytów. To tam kryły się potwory. Zadrzała, ale w tym momencie coś zwróciło jej uwagę. Zerwała się na nogi.

Daleko na północy unosiła się niewielka i ledwo widoczna z tej odległości smużka dymu.

Ludzie! Przypomniała sobie szpulki, które często miały ich po drodze. Pan Sorso mówił, że to miejscowi, krywi, jadą do Tyngi na ostatnie zakupy przed zimą. Muszę tam pójść. Poproszę o pomoc. Niech odwiozą mnie do Tyngi, tam przeczekać do wiosny. Na bogów, ale przecież powinnam jak najszybciej dostać się do Omorgu!

Znów poczuła, że do oczu napływają jej łzy, ale tym razem zdołała się opanować.

- To teraz nieważne - powiedziała na głos. - Muszę znaleźć kogoś, kto mi pomoże. I muszę się spieszyć.

Postąpiła parę kroków w stronę majaczącego na horyzoncie lasu, ale zaraz się zatrzymała. Popatrzyła na unoszący się nad drzewami dym. To daleko. Kilka godzin wędrówki. Trzeba się cieplej ubrać. I wziąć ze sobą coś do jedzenia.

- Czyli trzeba wrócić do powozu - rzekła głośno.

Znowu zobaczyła trupy koni rozdziobywane przez ptaki.

Zapach krwi i widok żerujących kruków ściągnął w pobliże powozu następne ptaszyska. Kiedy Newia zbliżyła się powoli, dostrzegła, że na każdym koniu siedzi już nie kilka, ale kilkanaście ptaków. Ominęła je szerokim łukiem i starając się nie patrzeć w tamtą stronę, Podeszła do powozu. Pojazd miał z tyłu przytroczone

kufry. W większości zawierały one jej stroje, suknie, z których żadna w obecnych okolicznościach nie mogła jej

się przydać. Pomyślała o zakrwawionym płaszczu i szalach, które leżały na półkach w środku.

Pokonując odrazę, otworzyła drzwiczki. Rozległo się głośnie „Kra!” - na siedzeniu siedział wielki, czarny jak smoła kruk i patrzył na nią jednym okiem.

Newia zebrała całą odwagę i wsunęła do środka rękę. Ptaszysko nie poruszyło się. Porwała jeden z leżących na ziemi tobołków i wyrzuciła go na zewnątrz. Znow stanęła w drzwiach powozu. Starając się nie patrzeć na kruka, powoli, wstrzymując oddech, pochyliła się w stronę leżącego na półce płaszcza. Kiedy jej dłoń dotykała już niemal ciemnej materii, kruk podskoczył i dziobnął ją w ramię.

Newia krzyknęła. Drugą ręką z całej siły uderzyła ptaka. Odbił się od ściany, ale zaraz poderwał się i znow próbował zaatakować. Porwała płaszcz i wyskoczyła na zewnątrz. Chwyła tobolek i skryła się za powozem. Otworzyła jeden z mniejszych kufrów, gdzie znajdowały się zapasy żywności, złapała na oślep parę pakunków i prędko odbiegła, by znaleźć się jak najdalej.

Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zupełnie straciła oddech. Rzuciła wszystko na ziemię i chwilę odpoczywała. A potem przyjrzała się uważnie każdej szmatce.

W świetle dziennym podarty i zakrwawiony płaszcz nie wzbudzał już lęku. Włożyła go szybko i od razu zrobiło jej się cieplej. Następnie wzięła do rąk pakunek, który udało jej się zabrać z powozu. Miała nadzieję, że znajdzie tam jakiś szal. W środku było kilka męskich koszul, dwie pary płóciennych spodni i szeroki skórzany pas. Najwyraźniej tobolek musiał należeć do pana Sor-so. Rzuciła go z powrotem na ziemię i zajrzała do pakunków z jedzeniem.

62

przebyła dopiero najwyżej połowę drogi. Postanowiła chwilę odpocząć.

Rozejrzała się uważnie dookoła, lecz nie dostrzegła nic niepokojącego. Z ulgą usiadła na ziemi, a potem nawet położyła się na plecach. Przechyliła głowę na bok. Było jej ciepło i zrobiła się nagle senna. Żeby nie zasnąć, usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na temat krainy, w której się znalazła.

Grychty, dziwaczne potwory nieprzypominające swoim wyglądem innych istot, które żyją na ziemi, nawiedzały Doliny Gruaronu co roku. Przychodziły zawsze po przesileniu jesiennym. No cóż, to nie jest jednak regułą, pomyślała. Odchodziły wtedy, gdy na drzewach pojawiały się pierwsze pąki. Przybywały zawsze z północy, nie wiadomo skąd. Puszcza Krytów była przeogromna, a im dalej na północ, tym więcej kryła niebezpieczeństw. Newia przypomniała sobie opowieści pana Sorso o ludziach, którzy w pierwszych latach po pojawieniu się grycht, kilka stuleci temu, ruszali przez lasy, starając się odkryć tajemnicę potworów. Nikt nigdy nie powrócił do Gruaronu.

Newia zastanowiła się. Przyszła jej do głowy rozmowa z margrabią Tyngi. Zapytała go, dlaczego grychty pojawiły się nagle w tych stronach. To było jakieś cztery wieki temu.

Tym razem jej się poszczęściło. W jednej paczce były suchary, w dwóch kolejnych suszone mięso. W ostatniej wymacała pieczone owoce dronów, lokalny przysmak, którym częstowano ją w Tyndze.

Na widok jedzenia poczuła, że jest bardzo głodna. Ostatnim jej posiłkiem był obiad, który poprzedniego dnia zjadła na popołudniowym popasie. Od tamtej pory minęło wiele godzin. Chwyła jeden z sucharów i kawałek suszonego mięsa. Już niosła do ust następny kąsek, ale powstrzymała się. Popatrzyła na smużkę dymu i doszła do wniosku, że to jednak całkiem daleko. Zachciało jej się pić, ale nie miała przy sobie nawet kropli wody.

Z rzeczy pana Sorso wyjęła pas i założyła go sobie na biodra. Zatknęła za niego nóż. Schowała jedzenie do tobołka i zarzuciła go na plecy. Była gotowa do drogi.

Mimo nadchodzącej zimy, słońce świeciło jeszcze całkiem mocno. Powietrze było przejrzyste, nieba nie zdobiła ani jedna chmurka. Rude trawy raz po raz pochylały się pod delikatnymi powiewami wiatru. Jak okiem sięgnąć, było cicho i pusto.

Po trzech godzinach marszu las nadal był daleko. Newia zrozumiała, że początkowo źle oceniła dzielącą ją od niego odległość. Nogi mocno ją bolały, a tymczasem

63

Wcześniej, o ile jej wiadomo, Doliny były najzwyczajszą częścią Cesarstwa, ani szczególnie biedną, ani szczególnie bogatą. Margrabia zmiesza! się i rzekł, że o pojawieniu się grycht opowiada wiele legend, ale wszystko to są bajdy tutejszych chłopów. Można je włożyć między bajki. Tak naprawdę nikt nie wie, co się stało i dlaczego.

Mówiąc to wszystko, margrabia był rozdrażniony, więc jego rozmówczyni nie zadawała już żadnych pytań. Ciekawiły ją co prawda legendy o pojawieniu się grycht, ale postanowiła wypytać o nie kogoś innego. Nie było jednak na to czasu. Jeszcze tego samego dnia wsiadła do powozu, który zaoferował jej margrabia, i rozpoczęła podróż w towarzystwie pana Sorso. A z nim już po paru godzinach spędzonych razem nie miała ochoty rozmawiać.

Ocknęła się z zamyślenia. Odniosła wrażenie, że usłyszała jakiś hałas. Szybko usiadła i rozejrzała się dookoła. Na widok lasu zamarła. Dym, w którego kierunku uporczywie szła, zniknął.

Newia zerwała się na równe nogi. Chwyliła tobolek i prawie pobiegła przed siebie. Wydało jej się, że pamięta miejsce, z którego unosiły się w niebo ciemne smugi.

Tym razem, gnana niepokojem, szła szybciej niż poprzednio. Dotarła do pierwszych drzew, gdy słońce znajdowało się jeszcze wysoko nad horyzontem. Marszerując, bez przerwy patrzyła na niebo nad Puszcą, ale dym nie pojawił się nawet na chwilę.

Las był ciemny i cichy. Na skraju rosły niewysokie drony - często spotykane w Dolinach drzewa o du-<sup>ch</sup>, miękkich liściach, przypominających kształtem łoż o rozłożonych palcach. Teraz liście dronów żółkły i czerwieniały. Wokół cienkich pni rozciągały się szeszczące, kolorowe dywany.

Przypadek sprawił, że zbliżając się do lasu, Newia trafiła na szeroki trakt, który prowadził w głąb Puszczy. Uznała, że to musi być droga wiodąca do ludzkich siedzib. Nie знаła się, co prawda, na śladach, ale wydawało jej się, że widzi na piasku koleiny pozostawione przez wozy.

Bez wahania weszła do lasu. Nie zważała już na zmęczenie i szczególnie dokuczliwy brak wody. Była pewna, że lada chwila trafi na polanę, gdzie wokół niewielkich drewnianych chat zobaczy kręcących się ludzi. I gdzie na środku będzie palić się ogień.

Droga raz po raz skręcała w lewo lub w prawo. Nie wyglądała wcale, że prowadzi do jakiejś osady. Gdyby Newia miała więcej doświadczenia, szybko by się zorientowała, że to jedna z tych opuszczonych ścieżek, które najpierw wydają się uczęszczane, potem zwodzą podróżnego, by w końcu bez żadnej przyczyny rozpląnąć się w gęstwinie. Nie mając jednak o tym pojęcia, szła uparcie do przodu.

Po niespełna godzinie marszu wydało jej się, że słyszy jakiś szmer.

Przestraszona skoczyła w bok i skryła się za najbliższym drzewem. Zaczęła nasłuchiwać. Szmer powtórzył się gdzieś

Niedługo zapadnie zmrok. W lesie już robi się ciemno. Ale... Nad strumieniem może być osada. Musi być. Tylko w którą stronę iść - w górę czy w dół?

Nie miała pojęcia. W jednym i drugim kierunku jar wyglądał podobnie. Oparła ręce na pasie, za który zatknęła nóż. Dopiero teraz spostrzegła, że ma on boczne kieszenie. Zdziwiła się. Otworzyła jedną i znalazła w niej krzesiwo oraz hubkę.

Od razu poczuła się raźniej. Jeśli przed nocą nie znajdzie osady, rozpalę ogień, postanowiła. Zamknęła kieszeń u pasa i już bez wahania ruszyła w dół strumienia.

Po kilkunastu minutach spostrzegła, że ściany jaru zaczynają się obniżać. Pomyślała, że gdzieś niedaleko naprawdę musi znajdować się jakaś sadyba. Przyspieszyła

po prawej. Newia zatrzęsła się. Grychty! Wstrzymała oddech. Z boku nadal coś szemrało, monotonnie i cicho. Wreszcie zrozumiała, co to jest.

Woda. Tu obok musi płynąć strumień, odetchnęła z ulgą. Uśmiechnęła się. A potem bez wahania zanurzyła się w gęstwinie.

Pomiędzy dronami rosły niskie drzewa, których nazwy nie znała. Torowała sobie drogę rękami, od czasu do czasu zatrzymując się i nasłuchując. Szmer stawał się coraz głośniejszy. W końcu las się przerzedził. Newia przeszła jeszcze kilkanaście kroków i znalazła się nad niezbyt głębokim jarem, na którego dnie błyskała woda.

Krzyknęła z radości. Ślizgając się po głazach, zsunęła się na brzeg strumienia. Zanurzyła ręce w wodzie i zapominając o całym świecie, przełknęła zachłannie kilka łyków.

Gdy nasyciła pragnienie, podniosła głowę i rozejrzała się. Jar był wąski, kręty, panował w nim półmrok. Newia uświadomiła sobie nagle, że to nie jest bezpieczne miejsce. Szybko wstała i wdrapała się na górę. Tutaj jednak czekała ją niemiła niespodzianka - przed sobą miała ciasno zbite gałęzie drzew, tworzące szczelną zasłonę z zieleni. Którędy dalej? Idąc tutaj, kierowała się coraz głośniejszym pluskiem wody. A jak znaleźć drogę z powrotem?

Przeszła parę kroków, ale las nie rzedniał ani trochę. Było tu jeszcze ciemniej niż w jarze. Strumień było już ledwo słychać. Mogła nadal iść przed siebie, licząc, że w końcu odnajdzie drogę. Jednak, jak na złość, nie pamiętała, czy w momencie, gdy usłyszała szmer, ścieżka biegła prosto, czy też skręcała w którąś stronę. Jeśli odbijała w bok, Newia mogła nigdy na nią nie trafić.

Powinam wrócić nad strumień, zdecydowała.

Po chwili z powrotem znalazła się nad jarem. Tym razem nie zeszała na dół. Zgubiłam drogę, przebiegło jej przez myśl, zgubiłam się w Puszczy.

Poza szmerem potoku w lesie było cicho.

kroku, nie zważając na to, że coraz częściej potyka się o wystające z ziemi korzenie.

Niedługo potem jar niespodziewanie się skończył. Strumień wypłynął teraz na ogromną polanę. Na jej środku Newia spostrzegła wielkie rozlewisko, którego krańce porastały trzciny.

Podeszła do brzegu i zatrzymała się w miejscu, gdzie trawy nie zasłaniały tafli wody. Rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła śladów bytności człowieka.

To nic. Tutaj mogę przenocować, pomyślała, wzdrygając się, ale zaraz zagryzła wargi. Trudno. Jakoś sobie poradzę. Rozpalę porządne ognisko. Wszystkie zwierzęta boją się ognia. Przeczekam tu noc, a jutro... - Zawahała się. Jutro coś wymyślę.

Położyła tobolek na ziemi, a potem poszła na skraj polany. Było tu niemal ciemno, więc szybko pochyliła się i zaczęła wyciągać spod krzaków suche gałęzie. Nazbierała całe naręcze i zaniósła nad wodę. Za drugim razem zdjęła płaszcz, na którym zaczęła składać chrust. Potem przeciągnęła go nad staw. Nie miała żadnego doświadczenia w paleniu ognisk, więc nie wiedziała, ile potrzebuje drzewa. W końcu nagromadziła tyle gałęzi, że stos sięgał jej głowy.

Teraz należało rozpalić ogień. Newia wyjęła zza pasa krzesiwo i hubkę i popatrzyła na nie w napięciu. Nie miała pojęcia, co dalej. Pomyślała chwilę. Wzięła kilka suchych gałęzi i położyła na ziemi jedna na drugiej. Kucnęła i uderzyła krzesiwem o hubkę. Kilka iskier upadło na chrust, ale zaraz zgasły.

Po paru nieudanych próbach Newia usiadła na ziemi. Zagryzła usta.

Potrzebuję czegoś, co zacznie się szybko palić, pomyślała.

Wkrótce obok gałęzi leżał stosik żółknących traw.

Znów zaczęła krzesać iskry. Tym razem poszło jej lepiej. Żdźbła zapaliły się natychmiast. Newia chwyciła grubą gałąź i rzuciła ją w ogień. Słabiutkie płomienie od razu zgasły.

Trzeba zacząć od nowa, westchnęła. Gdy nowa garść się zapaliła, delikatnie zbliżyła do płomieni najmniejszą gałązkę i dołożyła traw. Gałązka zaczęła wprawdzie dymić, ale ogień ponownie zgasł.

- Potrzeba jeszcze czegoś - powiedziała na głos.

Po chwili wahania odpięła górne guziki sukni. Na Piersi miała ukryty niewielki skórzany woreczek. Nie zdejmując go z szyi, rozsypała nitki i wyciągnęła ze środka kawałek papieru. Przez moment trzymała go w rękach. Znała na pamięć treść krótkiego listu, ale mimo to miała ochotę jeszcze raz go przeczytać. Rozłożyła pergamin. Na polanie było już tak ciemno, że z trudem rozszyfrowywała kolejne słowa.

Niewyraźne pismo układało się w zaledwie kilka zdań. *Jest w Omorgu. Choruje. Wszystko jest tak, jak przewidywałaś. Myliłaś się tylko co do sprawców nieszczęścia. Czekał w gospodzie Pod Najbielszym Szczytem w dzielnicy Meritów. Przyjedź sama. Spiesz się.*

List nie był podpisany żadnym imieniem. Na dole znajdował się jedynie niewyraźny znaczek przypominający kształtem literę w.

Newia przebiegła kilka razy wzrokiem wiadomość i ciężko westchnęła. Czy w ogóle uda jej się dostać do Omorgu? Zamknęła oczy. Nie może teraz o tym myśleć. Przesunęła palcami po cienkim papierze i oderwała od niego wąski pasek.

Znów zebrała trawy i skrzesła ogień. Kiedy suche nitki zapaliły się, zbliżyła do płomienia papier. Jego rozek szybko się zajął. Położyła go na trawy i przysunęła gałązkę. Dodała jeszcze trochę traw. Ogień rozbłysnął mocnym płomieniem. Chwyciła kolejną gałązkę i ze ściśniętym

sercem obserwowała, czy pierwsza już się pali. Kiedy wydawało jej się, że tak, dołożyła drugą.

Kilkanaście minut później nad brzegiem leśnego stawu zapłonął wielki ogień.

Newia rozłożyła na ziemi płaszcz. Z ulgą położyła się na nim. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo bolą ją wszystkie mięśnie.

Zrobiło się już całkiem ciemno. Tak jak poprzedniej nocy, księżyc ani na chwilę nie pojawił się na niebie.

Newia zjadła trochę suszonego mięsa i dwa suchary. Wpatrywała się w ogień. Nie wiadomo czemu przypominały jej się kruki, które rozszarpały martwe konie. Objęła się rękami. Starła się o niczym nie myśleć, ale raz po raz przychodziło jej do głowy, że jest sama w środku nieznanego lasu. Prawdopodobnie nigdy nie dotrze do Omorgu. Prawdopodobnie nie przeżyje najbliższego tygodnia. Rozplakała się. Jej szloch, zmieszany z trzaskiem palących się gałęzi, słychać było na wiele kroków wokoło.

Zajęta swoim nieszczęściem nie zwróciła uwagi, że na skraju lasu, tam gdzie zbierała chrust, coś zaszeleściło. Kilka gałęzi zakołysało się, a jakiś konar złamał się z trzaskiem. Spośród liści wyłoniła się ciemna sylwetka, ni to człowieka, ni zwierzęcia. Stwór syknął. Nasłuchiwał chwilę, po czym opadł na przednie łapy i skokami ruszył w stronę ogniska. W połowie drogi zatrzymał się i wyprostował.

W tej samej chwili Newia podniosła głowę. Zamarła.

Kilkanaście kroków od niej stał potwór, jakiego nigdy w życiu nie widziała. Był wyższy o głowę od najwyższego człowieka. Opierał się na silnych tylnych nogach. Przednie łapy trzymał wyciągnięte przed siebie, jakby przygotowywał się do walki na pięści. W jasnym blasku ognia wyraźnie było widać, że zakończone

są czymś, co do złudzenia przypominało ludzkie dłonie. Stwór miał też wąską i długą głowę z osadzonymi po bokach okrągłymi oczami. Obracały się one niezależnie od siebie, jak oczy ptaka. Nad szerokim pyskiem otwierały się nozdrza, jak dwie czarne jamy. Szpiczaste uszy, podobnie jak cała głowa i ciało, pokryte były brązowymi łuskami.

Newia przyglądała się potworowi szeroko otwartymi oczami. A więc tak wygląda... grychta.

Nie ruszając się z miejsca, zaczęła gorączkowo macać ręką naokoło. Gdzieś po prawej leżał nóż. Potwór stał i spokojnie ją obserwował. Wydawało się, że jest pewny zdobyczy. Kiedy w końcu spostrzegł, że dłoń kobiety zacisnęła się na czymś błyszczącym, powoli opuścił się na przednie łapy. Z pyska wysunął mu się wąski język, którego końcówka rozdzielała się na dwoje. Zasycał.

Z różnych stron lasu odpowiedziały mu kolejne syki.

Jest ich więcej, przebiegło Newii przez głowę.

Grychta zaczęła podchodzić powoli, krok po kroku. W pewnym momencie strzyknęła śliną. Newia instynktownie zasłoniła się i zielonkawa plwocina znalazła się na rękawie jej sukni. Nie zwróciła na to uwagi.

Nagle trzciny po prawej zaszeleściły.

Grychta wyprostowała się. Coś uderzyło ją w głowę. Zaraz potem rozległ się świst i jednocześnie rozdzierający pisk potwora. Kobieta dostrzegła strzałkę, która wbiła się grychcie w nozdrza. Potwór na moment znieruchomiał, tak jakby skrepowała go niewidzialna siła.

Nim Newia zdążyła odetchnąć, z nadbrzeżnych zarośli wybiegł pochylony mężczyzna. Kiedy był kilka kroków od stwora, skoczył i upadł na ziemię tuż przed grychta. Prawą

ręką, w której trzymał miecz, sięgnął „óg potwora. Jednym ruchem przeciął mu ścięgna. Grychta zasyczała i spróbowała strzyknąć śliną. Newia krzyknęła. Mężczyzna zwinął się momentalnie i przetoczył na bok. Kucnął i nim grychta zdążyła się zorientować, znalazł się za nią. Znow przewrócił się na ziemię i jeszcze raz chlasnął potwora po nogach. Ten zachwiał się i upadł.

Wszystko to trwało nie dłużej niż kilka sekund.

Mężczyzna zerwał się z ziemi. Nie zwracając uwagi na grychtę, podbiegł do zamarłej z przerażenia Newii. Mimo że odruchowo cofnęła się, chwycił ją za rękę i szarpnął tak mocno, że poderwała się na równe nogi. Pociągnął ją w kierunku jeziora.

- Do wody! - rzucił szybko. - Wyplucz rękaw! Dopiero teraz spostrzegła zielonkawą ślinę grychty, która przykleiła się jej do sukni.

Mężczyzna szarpnął ją tak mocno, że zachwiała się i przewróciła. Pociągnął ją za rękę, aż znalazła się w wodzie, a sam opadł na kolana. Zaczął szybko ochlapywać jej ramię.

- Boli? Czujesz coś?

- Nie wiem - odpowiedziała Newia zgodnie z prawdą. - Chyba nie.

Mężczyzna rozejrzał się. Na moment zamarł, a potem znow spojrzął na Newie.

- Posłuchaj - rzekł przyciszonym głosem. - W lesie jest ich więcej. Zobaczyły twój ogień. Idą tutaj.

- Uciekajmy... - Próbowała zerwać się na nogi, ale trzymał ją tak mocno, że z pluskiem opadła do wody.



Poczuła na twarzy lodowate krople.  
- Nie zdążymy. Otoczyły polanę. Musimy schować się w trzcinach.

Newii wydawało się, że znów słyszy syk.

Mężczyzna pociągnął ją za sobą. Woda była prze-  
rażliwie zimna. Niezgrabnie brnęła na kolanach. Ruchy  
krępowała jej suknia, która w jednej chwili cała przesiąkła  
wodą. Na szczęście szybko znaleźli się w miejscu, gdzie  
rosły gęste zarośla. Dopiero po paru krokach dno jeziora  
zaczęło opadać. Wtedy podnieśli się na nogi. Wkrótce woda  
sięgała im do pasa.

Gdy grychty podeszły do ogniska, oni już byli między  
trzciniami.

Newia trzęsła się z zimna. Z trudem powstrzymywała  
szczękaniem zębami. Wybawiciel ciągle nie puszczał jej ręki.  
Gdy usłyszał plusk wody przy brzegu, tak cicho jak tylko  
mógł wyszeptał:

- Zanurz się jak najgłębiej.

Pochylił się i delikatnie pociągnął ją za sobą. Gdy już  
tylko ich głowy znajdowały się nad powierzchnią, poczuła,  
że ściska jej rękę.

Spojrzała w stronę ognia i dostrzegła trzy potwory, które  
brodziły przy brzegu kilkadziesiąt kroków od ich kryjówki.



dolnych dzielnicach Omorgu bruk był nierówny. Tu i  
ówdzie wbite w twardą ziemię kamienie sterczały  
wysoko ponad powierzchnią gruntu. W innych  
miejscach chodnik straszył rozdętą czarną dziurą. Taki dół  
był groźniejszy od wystających głazów. Mieszkańcy  
Omorgu - zależnie od stopnia zamożności - łamali w nim  
nogi lub osie powozów.

Za każdym razem, gdy zbliżali się do wyrwy, wierz-  
chowiec Greta Orina strzygł uszami. Pochodził z Ziem  
Zachodnich i jego właściciel nie zdołał przyuczyć go do  
bezpiecznego stąpania po kamieniach Omorgu. Dwa razy  
skręcił kostkę i tylko dzięki uporowi jego pana udało się to  
wyleczyć. Koń zapamiętał, że najwięcej kłopotów *mog* \ mu  
przysporzyć czarne, nieraz bardzo głębokie jamy. Gdy tylko  
natrafiali na jakąś, drżał i starał się jak najszybciej ją  
ominać.

Orin wyczuwał niepokój zwierzęcia. Od czasu do czasu  
przechylał się w siodle i klepał je po lśniącej szyi. Czując  
jego dłoń, koń uspokajał się i potrząsał głową.

Przyspieszał kroku, rzeniem torując sobie drogę między  
przemierzającymi ulice tłumami.

Pan na Omorgu rozglądał się dookoła. Obserwując  
miasto z okien zamku, nie był w stanie ocenić, ilu ludzi  
zdołało już przekroczyć bramy. Wydawało mu się, że nie  
jest ich więcej niż zwykle. Jednak gdy opuścił górne  
dzielnice, natychmiast zorientował się, że w grodzie dzieje  
się coś niezwykłego.

Zazwyczaj do miasta na zimę przybywali najbogatsi z  
okolicznego ludu trynów - ci, którzy mieli czym zapłacić  
za nocleg i posiłki oraz zupełni nędzarze, niema-jący  
własnej ziemi i zapasów. Pozostali spędzali mrozy na  
krytach. W tym roku jednak kryty w wielu osadach nie  
były jeszcze przygotowane na przyjęcie ludzi. Pozbawieni  
wyboru, wszyscy ciągnęli do osadzonego u podnóża gór  
grodu.

Po wyboistych chodnikach przelewały się tłumy try-  
nów. Na twarzy większości malował się popłoch. Ledwo  
uszli z życiem przed grychtami, a teraz jeszcze groziło im,  
że najbliższe miesiące spędzą na zimnym i nierównym  
miejskim bruku. Odwiedzili oberże oraz noclegownie i  
wszędzie słyszeli tylko, że nie ma już miejsc. Co bardziej  
przedsiębiorczy kołatali do wszystkich drzwi po kolei.  
Wyciągali przed siebie woreczki gri, błagając, by dobrzy  
ludzie z Omorgu przygarnęli na zimę chociaż ich dzieci.

Dobrzy ludzie z Omorgu najczęściej odpowiadali na to  
zatrzaśnięciem wrót. Byli prawie tak samo przerażeni jak  
przybysze. Miasto zapełniło się w ciągu kilku porannych  
godzin i nic nie wskazywało, by strumień ludzi ze wschodu  
przestawał płynąć.

Gret Orin przejeżdżał obok ratusza, gdy przed ka-  
miennymi schodami zatrzymał się elegancki powóz. Przy  
pomocy sług wysiadł z niego zgrzybiały starzec,  
przewodniczący radców miejskich. Miał na sobie wy-  
szywaną złotem czerwoną togę, długą do ziemi. Rozejrzał  
się i spostrzegł pochyloną sylwetkę najmłodszego z  
Orinów. Ten specjalnie zatrzymał się. Na widok skurczu  
przerażenia, jaki przebiegł po twarzy starca, uśmiechnął się  
lekkko.

Przebijanie się przez dolne dzielnice zajęło mu ponad  
godzinę. Kiedy wreszcie stanął pod wschodnią bramą  
miasta, było już po pierwszej. Orin zmarszczył brwi. O tej  
porze roku ciemno robiło się koło szóstej, a więc do  
zmroku pozostało około pięciu godzin. Dokładnie tyle  
potrzebował, by odnaleźć War.

Strażnik na rogatkach nie zwrócił na niego uwagi.  
Zajadle klócił się z obwieszoną tobołkami kobietą, która  
trzymała na rękach maleńkie dziecko. Nie było jej stać na  
zapłacenie za wejście do miasta i głośno wyklinała  
chciwość mieszczan Omorgu. Kilkadziesiąt kroków dalej,  
już za bramą, kłębiła się gromada trynów. Trzech ludzi  
pilnowało, by żaden z nich nie dostał się bez kolejki do  
grodu. Orin zauważył, że tego dnia porządku strzeże nie  
dwóch żołnierzy, ale cały oddział świeżo zwerbowanej



straży. Byli to mężczyźni pochodzący z gotów, ludu zamieszkującego brzegi jeziora Dren. Goci byli niemal tak chciwi jak krywi i najczęściej to właśnie oni trafiali w szeregi strażników miasta Omorg.

- Zapłacisz tyle, ile mówię - warknął czerwony z wściekłości strażnik. - Albo fora ze dwora! Trzydzieści gri i ani feszta mniej!

Kobieta odsunęła się dwa kroki i mocniej chwyciła skulone ze strachu dziecko.

- Ty złodzieju! - wrzasnęła. - Ty chciwcze!

Stojący za bramą tryni wyciągali głowy ponad ramionami strażników. Chcieli tylko jak najszybciej dostać się do miasta i denerwowali się, że kobieta tamuje ruch. Jednakże dobrze słyszeli jej krzyki i domyślali się, że tym razem przyjdzie im słono zapłacić za wejście do Omorgu.

- Cicho - zasyczał strażnik, z niepokojem spoglądając na swoich towarzyszy. Nie miał pewności, czy jego słowa nie docierają do cisnących się niedaleko trynów. - Cicho albo zaraz każę cię stąd wyrzucić. Trzydzieści gri to uczciwa cena, za ciebie i za dziecko.

- Uczciwa?! - zawołała kobieta. - Zawsze płaciło się po pięć gri! Dlaczego teraz jest trzy razy drożej?!

Za bramą zawrzało.

- Trzy razy drożej? - powtórzyło kilkanaście głosów. Strażnicy spojrzeli po sobie, a potem skierowali wzrok na dowódcę. Ten rozejrzał się, po czym zawołał:

- Zamknąć kratę!

Jeden z żołnierzy natychmiast podbiegł do kołowrotu.

W tym momencie Orin spiął konia ostrogami.

Cała scena była jasna - korzystając z zamieszania, pilnujący murów goci postanowili zarobić. Na własną rękę podwyższyli kwotę, jaką pobierali od trynów za przepuszczenie przez bramy. Ciekawiło go, od jakiego czasu każą przybyszom płacić po piętnaście gri od osoby. Co najmniej od chwili, kiedy dowiedzieli się o grychtach, pomyślał. Czyli od dobrych kilku godzin.

- Stój! - krzyknął, zajeżdżając strażnikowi drogę.

Żołnierze popatrzyli na niego zaskoczeni. Kobieta zamilkła. Zauważyli go też tryni za bramą.

- Czekajcie! - zawołał ci z przodu do cisnących się za ich plecami towarzyszy.

- Z drogi - powiedział głośno dowódca straży, szybko podchodząc do Orina. - Jeśli chcesz wyjechać z miasta, proszę bardzo, tylko zrób to natychmiast. Opuszczamy kratę. Dość już motłochu wdarło się do środka!

- Motłochu? - powtórzył Orin. - Motłochem nazywasz ludzi płacących ci potrójną stawkę?

Za bramą zrobiło się cicho.

Dowódca spurpurowiał. Rozejrzał się. Ponad plecami żołnierzy dostrzegł skupione twarze trynów.

- Ciszej, na Łotra - wyszeptał, stając tuż koło strzeżenia Orina - jedź stąd, kimkolwiek jesteś. W Omorgu jest już dość trynów, dlatego zamykam kratę. I tak lada chwila

nadjedzie tu goniec z ratusza z dokładnie takim samym rozkazem.

To prawda, pomyślał Gret Orin. Przypomnił sobie ubranego w czerwień starca, niepewnie krocącego po długich schodach. Rady piękno miasta Omorg niewątpliwie doszli do tego samego wniosku co dowódca gotów i zechcą jak najszybciej zamknąć miasto.

Nie zastanawiając się, wymierzył kopniaka dowódcy straży, który potoczył się na ziemię. Jednym ruchem Orin przesunął dźwignię, blokując mechanizm opuszczający kratę. Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, szarpnął za uzdę, tak że jego wierzchowiec wspiął się na tylne nogi. Widząc nacierającego jeźdźca, strażnicy skoczyli na bok, ratując się przed stratowaniem.

Wykorzystali to tryni. Gdy tylko Orin przejechał przez bramę, rzucili się do środka. Kilku od razu zaatakowało dowódcę, który mocował się z dźwignią. Inni obezwładnili żołnierzy. Jeszcze inni ruszyli prosto w głąb miasta.

Orin, nie oglądając się za siebie, jechał szybko na północ.

W pobliżu miasta minął kilka grup spieszących do grodu trynów. Zaraz potem okolica zrobiła się bezludna. W ciągu następnych kilku godzin nie dostrzegł ani jednej chałupy, ani jednego krytu. Im dalej, tym kraj stawał się dzikszysy. Między górami Dren a Puszcą Kry-tów, podobnie jak w okolicy Tyngi, rozciągały się pokryte kamieniami wzgórza, puste i nagie.

Orin nie dziwił się już, że nigdy nie słyszał o Warze. Dziwił się, że ta osada w ogóle istnieje.

Początkowo zastanawiał się, czy Newia wyjechała już z Tyngi. Szybko policzył dni, których potrzebowała, by przyjechać do Gruaronu z Tweru. Uwzględnił również, że musiała się spieszyć. A wtedy... Pochylił się do przodu tak mocno, że na jego plecach pojawił się garb.

Od samego ranka, od chwili, gdy usłyszał o grych-tach, czuł się tak, jakby w ciągu kilku godzin we wnętrzościach wyrósł mu kamień. Jeśli Newii coś się stanie, straci sens cały zeszyły rok, jaki spędził w Omorgu, a nawet więcej - należałoby wymazać z pamięci także kilka poprzednich lat. Tylko jak to zrobić? Natychmiast uświadomił sobie, że gdyby znał odpowiedź na to pytanie, nie zwiedzałby teraz Gruaronu. Nie przejmowałby się losem Newii i w ogóle nie byłoby tego ciężaru, który tamował mu oddech gorzej niż upalne powietrze.

Ale szkoda czasu na próżne rozmyślenia. Gdyby był w stanie zapomnieć o Newii, zrobiłby to dawno temu. A skoro nie jest, nie warto się nad tym zastanawiać. Po prostu trzeba ją jak najszybciej znaleźć. To wszystko.

Dla odmiany zaczął myśleć o człowieku, z którym miał się zobaczyć. Kim był Torn? Dlaczego został wykluczony

z Gildii? Czy naprawdę istnieją jakieś tajemnice, które Hordzi kryją przed światem i które mogą mu, Orinowi, pomóc? Czy jest jakaś inna droga do Tyngi niż uciążliwa wędrówka przez równiny Grolon, góry Seren i Puszcze Krytów?

Słońce dotykało już linii horyzontu, kiedy spostrzegł u podnóża gór charakterystyczne skupisko drzew. Składało się z kilkunastu rozłożystych krytów, wyraźnie odcinających się na tle pustkowia. Orin zmrużył oczy. Domyślił się, że ma przed sobą War.

czy przypadkiem ktoś nie podąża jego śladem. Było to mało prawdopodobne, ale nie chciał ryzykować. Człowiek, którego szukał, ukrywał się przed swoimi pobratymcami, Hordami. Nie przywita gościa z otwartymi ramionami, gdy okaże się, że ten nie potrafił utrzymać swojej podróży w tajemnicy.

Ciemność spływała z gór, rozlewając się szeroko u stóp stromych zboczy. Orin spostrzegł, że lada chwila pochłonie widoczne w dali kryty. Nie zastanawiając się dłużej, ponaglił konia, zmuszając go do galopu.

Kilkanaście minut później szarpnął lekko za uzdę. Wierzchowiec zarżał i przeszedł z galopu w kłus. Gret Orin przyhamował jeszcze bardziej. Ktokolwiek krył się na krytach, spostrzegł już jego obecność, dlatego pan na Omorgu zatrzymał się kilkadziesiąt kroków od najbliższego pnia.

Znajdował się w miejscu, gdzie dochodził już cień gór. Pochylił się do przodu. Wydawało mu się, że widzi kogoś między grubymi konarami drzew. Powoli podniósł prawą rękę.

Po chwili usłyszał głośnie:

- Kto tu?

- Czy to osada trynów, War? - zawołał w odpowiedzi.

Jego koń zarżał głośnie, zaskoczony krzykiem, który zabrzmiał mu tuż nad uchem.

Najbliższy kryt zaszeleścił.

- Kto pyta? - odezwał ten sam głos co poprzednio.

- Chcę rozmawiać z waszym przywódcą - krzyknął Orin.

Doliczył do dziesięciu, kiedy z krytu znów dobiegło wołanie:

- Zsiądź z konia i podejdź powoli.

Gret Orin lekko wzruszył ramionami, ale zastosował się do rozkazu. Po akcencie poznał, że ma do czynienia z trynami. Tryni, podobnie jak wszystkie ludy Dolin, nie słynęły z gościnności. Ci tutaj byli na dodatek szczególnie ostrożni.

Krok po kroku zbliżył się do drzew. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia w górę. Wydawało mu się, że dostrzeżga ukryte za konarami postacie. Nie podnosił jednak głowy. Gdy już tylko kilka kroków dzieliło go od najbliższego pnia, usłyszał głośnie: Stój!

Po lewej piętrzyły się wysokie i niedostępne góry, ciągnące się aż po horyzont. Ich cień pełził daleko na równinę, wciągając w mrok coraz to nowe wzgórza. Po prawej w oddali widać było skraj lasu. Jak okiem sięgnąć, nigdzie żywej duszy.

Orin zatrzymał się. Podniósł się w strzemiączach<sup>1</sup> uważnie rozejrzał dookoła. Manewr ten powtarzał kilka razy od czasu wyjazdu z Omorgu. Po pierwsze, chciał się upewnić, czy jakieś stado grycht nie zapędziło się daleko poza Puszczę. Po drugie, sprawdzał,

Rozległ się świst i z drzew spadły trzy grube liny. Niemal w tym samym momencie ześliznęło się po nich kilku mężczyzn. Kiedy znaleźli się na ziemi, zrzucono im krótkie drewniane luki. Nim Orin zdążył odetchnąć, w jego pierś wycelowano kilka strzał.

Jeden z mężczyzn, trzymający tak jak pozostali napięty łuk, zbliżył się do niego. Tak jak wszystkie ludy Puszczy Krytów, tryn miał włosy splecione w niewielkie warkoczyki.

Orin jeszcze raz wyciągnął przed siebie prawą dłoń.

- Chcę mówić z przywódcą tej osady - rzekł spokojnie.

- Mam mu do przekazania tylko jedno słowo.

Tryn podniósł wysoko brwi.

- Jakie?

Orin spojrzał na niego uważnie i domyślił się, kto Przed nim stoi.

- *Grotho* - powiedział tak cicho, by nie usłyszeli go Pozostali mężczyźni.

Tryn drgnął. Teraz on spojrzał bystro na jeźdźcę. Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem. W końcu tryn powoli opuścił łuk i zdjął strzałę z cięciwy. To samo zrobili natychmiast pozostali łucznicy. Przywódca Waru wyciągnął przed siebie rękę.

- Witaj - powiedział - jestem Ugar. Wybacz mało uprzejme powitanie. Ten, którego szukasz, nauczył nas, jak zachowywać ostrożność.

Zgodnie ze zwyczajem Orin dotknął dłoni tryna wierzchem swojej dłoni.

- Chciałbym zobaczyć go jak najszybciej.

Z twarzy Ugara nie sposób było wyczytać, czy zwrócił uwagę na fakt, że przybysz się nie przedstawił.

- To ponad godzina marszu. Nie chcesz odpocząć? - zapytał.

Orin pokręcił głową.

- Mam go tu zostawić? - położył dłoń na szyi wierzchowca.

-Tak.

Jeden z trynów podszedł i pociągnął konia za uzdę między drzewa.

Ugar odwrócił się do towarzyszy i wypowiedział kilka słów w nieznanym języku. Potem spojrzał w górę i

powiedział to samo. Najwyraźniej nad ich głowami chowali się inni mieszkańcy Waru. Gret Orin miał ochotę zerknąć między gałęzie krytu, ale powstrzymał się. Tryni nie lubili wścibstwa.

Ugar jeszcze raz zmierzył go wzrokiem.

- Chodźmy.

Ruszył w stronę rysującego się na horyzoncie górskiego łańcucha.

Orin popatrzył przez moment za ginącym między drzewami zwierzęciem. Nie miał ochoty zostawiać go z trynami. Spostrzegłszy jednak, że Ugar skręcił w stronę gór, zrozumiał, dlaczego musiał rozstać się z wierzchowcem. Ten był Hord kryje się pewnie w jakiejś skalnej grocie, pomyślał.

Kierowali się prosto w szeroką górską dolinę, rozległą u podnóża, wąską tuż pod górkami szczytami. Na jednym jej końcu rosły należące do Waru kryty. Orin spostrzegł, że dolina zwęża się szybko. Przedzielała ją kilka wysokich kamiennych progów, każdy węższy i bardziej stromy od poprzedniego. Z góry musiał rozciągać się rozległy widok na całą okolicę. Orin pomyślał, że to idealne miejsce na kryjówkę. Spod szczytów Dren można było przyglądać się intruzowi, samemu nie będąc widzianym.

Ugar nie odzywał się ani słowem. Szedł szybko, kierując się ku północnemu brzegowi doliny. Po jakichś dwudziestu minutach zaczęli wspinać się na pierwszy skalny próg. Robiło się coraz ciemniej i Orin potykał się o kamienie tworzące rozległe rumowiska. Tryn zatrzymywał się wtedy i czekał, aż przybysz go dogoni. Raz po raz po prawej albo po lewej stronie słychać było odgłos toczących się głazów.

Gdy po kolejnych kilkunastu minutach wdrapali się na następny próg, przyspieszony oddech zdradzał zmęczenie Orina. Górskie wspinaczki nigdy go nie pociągały. Mimo że spędził trochę czasu w Omorgu, nie przyszło mu do głowy, by choć raz udać się na wycieczkę w stronę szczytów Dren.

Tryn popatrzył na niego z pobłażliwym uśmiechem.

- Już niedaleko.

Orin zagryzł wargi. Spróbował stłumić zadyszkę.

Szli ciągle wzdłuż północnego brzegu doliny, ale droga biegła teraz łagodnie pod górę.

Przed nimi piętrzył się kolejny próg, wyższy i bardziej stromy od poprzedniego. Orin spojrzął na niego z niepokojem, ale w miarę jak zbliżali się do skalnej ściany, Ugar zwalniał kroku. W końcu zatrzymał się i uważnie rozejrzał dookoła.

Znajdowali się w niewielkiej kotlinie z dwóch stron otoczonej górkami zboczami. Za nimi rozciągał się widok na pustkowie ze skupiskiem krytów z przodu. Z tego miejsca War widać było bardzo wyraźnie.

Ugar podszedł do szerokiego, płaskiego kamienia, leżącego przy lewym brzegu kotliny. Jeszcze raz się rozejrzał, po czym, ku zaskoczeniu Orina, usiadł na głazie. Przywołał przybysza machnięciem ręki. Gret Orin, zdziwiony, zbliżył się powoli.

- Dalej musisz iść sam - powiedział tryn, przechylając głowę.

Orin spojrzął we wskazanym kierunku. Podniósł brwi. Za kamieniem znajdował się okrągły otwór przypominający zejście do piwnicy. Palące się gdzieś w środku światło pozwalało dostrzec kilka pierwszych schodków, prowadzących w głąb góry. Miejsce to normalnie musiało być zasłonięte przez głaz, na którym teraz siedział Ugar. W takim razie...

- Ktoś odsłonił otwór, jeszcze zanim pokonaliśmy skalny próg - powiedział głośno Orin. - Kamień leży nieporuszony od chwili, gdy go zobaczyliśmy.

Ugar pokiwał głową.

- Ten, kogo szukasz, sam decyduje, z kim chce się spotkać. To on odsunął kamień. My nie bylibyśmy w stanie go popchnąć nawet wtedy, gdyby towarzyszyło nam czterech trynów.

- A zatem ten człowiek widział nas, kiedy tu szliśmy - bardziej stwierdził niż spytał Orin.

Tryn tylko się uśmiechnął.

Orin podszedł powoli do kamienia. Już miał go wyminąć i zejść na dół, gdy nagle uderzyła go pewna myśl.

- A co by było - zapytał - gdybyś przyszedł tutaj ze mną i zastał głaz zasunięty?

Ugar odchylił się i sięgnął dłonią do tyłu. Wymacał coś za kamieniem i szarpnął. W jego dłoni pojawił się krótki miecz.

*ir=IT ..... w s\*

Wydrążony w skale korytarz biegł ostro w dół. Orin naliczył dwadzieścia pięć stopni, po których spadek się skończył. Minął zamocowaną w żelaznym uchwycie pochodnię, której blask widać było z góry. Przed sobą w odległości kilkunastu kroków dostrzegł następną. Dalej znów pojawiły się stopnie, tym razem prowadzące w górę.

Orin przypomniał sobie drugi skalny próg, nad którym znajdowało się wejście do kryjówki Torna. W tej chwili musiał znajdować się mniej więcej na jego wysokości. Droga, która się przed nim otwierała, prowadziła w głąb góry.

Idąc powoli przed siebie, przyglądał się gładkim, granitowym ścianom. Na tyle, na ile się orientował, korytarz ten nie był odnogą żadnej jaskini. Musiał zostać zbudowany przez człowieka. W jaki sposób? Nie został wykuty w skale - na ścianach nie widać było śladów

ostrych narzędzi. Wyglądał tak, jakby góra na czyjś rozkaz rozdeła się, rozszerzając kamienne wnętrza.

Wstępując na kolejne stopnie, Gret Orin odczuwał coraz większy niepokój.

Kto wie, może ojciec nie przesadzał, mówiąc o potędze Hordów, pomyślał.

Naliczył sześćdziesiąt pięć stopni, gdy korytarz nagle skręcił. Orin podniósł głowę i o mało nie krzyknął. Za zakrętem dostrzegł jakąś postać. Zatrzymał się gwałtownie. W tej samej chwili ten drugi również stanął. Musiało minąć kilka sekund, zanim pan na Omor-gu zrozumiał, że ma przed sobą ogromne lustro, które odbija jego pochyloną sylwetkę.

Powoli podszedł do zwierciadła. Wyglądało tak, jakby zostało wmurowane w skałę. Na bocznej ścianie, na wysokości biodra, znajdowała się żelazna dźwignia. Nie zastanawiając się wiele, Orin pociągnął za nią. Zza ściany dobiegł chrzęst. Lustro powoli podniosło się. Stał na progu wielkiej komnaty, oświetlonej kilkunastoma pochodniami.

Było to okrągłe pomieszczenie o średnicy kilkudziesięciu stóp. Musiało być bardzo wysokie - sufit ginął w mroku. Ściany groty, podobnie jak ściany prowadzącego do niej korytarza, były granitowe. Natomiast podłoga wyglądała tak, jakby zrobiono ją ze szkła. Odbijała światła pochodni, rozbłyskując w niektórych miejscach najdziwniejszymi kolorami: pomarańczowym, turkusowym, perłowym. Rozglądając się po sali, nie sposób było stwierdzić, co stanowiło źródło tych barw.

Najbardziej jednak zaskakiwały przedmioty i urządzenia, znajdujące się w środku. Kilkanaście kroków na prawo od wejścia stał niski stół, przykryty kawałkiem czarnego sukna. Cały jego blat zasłaniały różnej wielkości szkatułki, ustawione jedna na drugiej. Musiało być ich w sumie kilkadziesiąt. Tuż obok stołu poruszało się żelazne ramię czegoś, co przypominało studzienny żuraw. Dalej widać było kolejne tłoki i dźwigi, a także ogromną maszynę, składającą się głównie z kół zębatach. Niektóre z nich obracały się powoli.

Gret Orin podniósł głowę i spostrzegł, że również w powietrzu wiszą jakieś mechanizmy. Nad nim znajdowało się mnóstwo lin podtrzymujących żelazne pomosty, na których stały kolejne urządzenia: lampiony, krzesła, wózki.

Przybysz odwrócił się w lewo. Na stole, znacznie większym od tego, na którym stały szkatułki, wznosiła się gigantyczna szklana budowla. Była to makietka jakiegoś fantastycznego zamku z kilkunastoma basztami i setkami okien, otoczonego na dodatek murem. Wykonano ją ze starannie dobranych kawałków różnokolorowego szkła. Musiało być ich tysiące. Zamek był przepiękny - błyszczał i lśnił w słabym świetle pochodni, rozbłyskując raz po raz srebrem, złotem i purpurą. Gret Orin nie potrafił wyobrazić sobie, ile pracy wymagało zbudowanie czegoś

takiego. Pomyślał, że widzi przed sobą arcydzieło, jakiego nie ogląda się nawet na cesarskim dworze.

Postąpił kilka kroków w stronę szklanego cuda, kiedy nagle coś zaskrzypiało. Szczęknięto żelazo i zza ustawionego na stole zamku wytoczył się niewielki wózek.

Siedział na nim skulony, łysy człowiek. Uwagę zwracały jego szerokie, silne ramiona, niepasujące do zgarbionej sylwetki. Miał na sobie czarne spodnie - takie, jakie noszą Hordzi - i gruby wełniany kaftan. Na zakrzywionym nosie chwiały się okrągłe okulary w drucianych oprawkach, które niemal całkowicie zasłaniały oczy.

Kaleki starzec zatrzymał się przed przybyszem i bez słowa lustrował go wzrokiem. W końcu Gret Orin pierwszy przerwał milczenie.

- Tornie - powiedział, pochylając się lekko na powitanie.

Spostrzegł, że nogi starca były dziwnie skręcone.

Były Hord podniósł głowę. Jego okulary błysnęły. Zakręcił się w miejscu, po czym popychając rękami koła wózka, szybko podjechał ku skalnej ścianie. Orin dopiero teraz spostrzegł, że znajdował się tam długi szereg dźwigni, takich jak ta, która otwierała wejście do groty. Część była wmurowana w ścianę, do części przymocowano łańcuchy i liny, ginące wysoko w ciemnościach.

Gospodarz górskiej groty pociągnął za pierwszy lewar. Zazgrzytał łańcuch. Coś w górze się poruszyło. Gret Orin podniósł głowę i zobaczył zawieszony na linach krzesło, które opuszczało się powoli. Po chwili stanęło na ziemi, kilka kroków od niego. Było bardzo niskie, w sam raz dla dziecka.

Starzec na wózku wskazał na nie i pociągnął za następną dźwignię. Znow coś zaskrzypiało i znow z góry zaczął zjeżdżać jakiś przedmiot. Tym razem była to zawieszona na łańcuchu skrzynka. Były Hord manewrował ostrożnie wajchą. Skrzynka znalazła się tuż obok opuszczonego wcześniej krzesła.

Orin podszedł do obu przedmiotów. Zajrzał do skrzyni. W środku zobaczył karafkę z jakimś płynem, kubek i talerz pełen suszonych owoców dronów.

- Usiądź i częstuj się - odezwał się wreszcie Torn.

Na dźwięk tych słów Orin odwrócił się. Głos starego był wyjątkowo mocny i dźwięczny. Gdyby nie wózek i siwa broda, można by pomyśleć, że należy do młodego mężczyzny.

- Usiądź - powtórzył jeszcze raz kaleka. - Nie cierpię widoku osób, które stoją lub chodzą.

Krzeselko było krzywe i wydawało się bliskie rozpadnięcia.

Torn oparł ręce na kołach wózka. Orin spostrzegł, że były Hord obserwuje go uważnie. Usiadł na krześle, wyciągając przed siebie nogi. Odwrócił się do kaleki i

uśmiechnął najbardziej uprzejmym uśmiechem, na jaki było go stać.

Torn wskazał na skrzynię.

- Częstuj się. Droga, jaką przebyłeś, by się ze mną zobaczyć, musiała być bardziej mozolna niż ta, która wiedzie do samego cesarza.

Krzeselko było bardzo niewygodne.

Gret Orin pochylił się do przodu. Zastanowił się.

Jadąc tu, nie spodziewał się ciepłego przyjęcia. Wcale nie był pewien, czy Torn zechce podzielić się z nim tajemnicami Gildii. Może i miał dług wobec poprzedniego hrabiego Omorg, ale wcale nie musiał o tym pamiętać. Zdradzenie sekretów Hordów stanowiło też ryzyko. Dlaczego miałby podejmować je dla kogoś obcego?

Orin nie był również przygotowany na to, że już <sup>na</sup> P<sup>o</sup>czątku rozmowy za pomocą drobnej manipulacji gospodarz zdobędzie nad nim przewagę. Krzeselko, poza tym, że niskie, miało dwie nogi krótsze. Chwiało się i trzeszczało. Siedząc na nim, trzeba było cały czas uważać, by nie spaść. Wywoływało denerwujące uczucie, że zaraz stanie się coś przykrego.

Orin błyskawicznie zmienił taktykę, jaką przygotował na to spotkanie. Pomyślał, że uprzejme słowa i próba oczarowania zamkniętego w jaskini wyrzutka nie mają sensu.

- Wiesz, kim jestem, prawda? - zapytał, ignorując poczęstunek.

Na wszelki wypadek wyciągnął przed siebie dłoń z sygnetem Orinów.

Torn znów zakręcił się, podjechał bliżej i zatrzymał się dokładnie na wprost gościa. Teraz, gdy przybysz usiadł, patrzył na niego z góry.

- Stary Człowiek miał rację. Nie jesteś podobny do ojca - powiedział, nie zwracając uwagi na podsuniętą rękę.

Orin zmełł w duchu przekleństwo. Stary Człowiek, jego oddany sługa, mógł go przecież uprzedzić, z kim będzie miał do czynienia. Nie raczył tego zrobić, natomiast najwyraźniej opowiadał Tomowi o swoim panu.

- Nie gniewaj się na staruszka - rzekł Torn, zapominając jakby, że mówi o kimś, kto musi być w jego wieku. - I tak dowiedziałem się od niego bardzo mało. A więc, hrabio Omorg - oparł ręce na kolanach - w czym mogę ci pomóc?

Orin podniósł brwi.

- Dlaczego sądzisz, że potrzebuję pomocy? Były Hord lekko pokiwał głową.

- Prędzej czy później każdy, kto trafia do Dolin Gruaronu, potrzebuje jej.

- Czy mnie stać na twoją pomoc? - spytał szybko Orin.

Krzeselko zatrzeszczało. Szklana podłoga zniekształcała wszystko, co się w niej odbijało. Rozmyty obraz Torna na wózku wydawał się dwa razy szerszy.

- Trafne pytanie. - Kaleka, wyraźnie zadowolony, zatarł ręce. - Moją pomoc otrzymasz za darmo. Jak wiesz, jestem coś winny twojemu ojcu. Spłacę swój dług, chociaż to niezbyt popularna praktyka w Dolinach. Ale - przerwał nagle, wskazując na skrzynkę stojącą obok Orina - koniecznie musisz skosztować owoców dronów, które dostarcza mi Ugar. Lepszych nie jadałem nawet wtedy, gdy byłem Hordem.

Gret Orin zawahał się. Nie podobało mu się to nastawienie, by przyjął poczęstunek. Czyżby gospodarz szklanej groty chciał go otruć?

Widząc to, Torn zaśmiał się głośno młodzieńczym śmiechem.

- Oto, co się dzieje z ludźmi, którzy przebywali na cesarskim dworze - powiedział, podjeżdżając do skrzynki. Włożył rękę do środka i wyjął kilka owoców dronów. Jeden natychmiast włożył od ust. - Zwykłą gościnność poczytują za oszustwo, uprzejmość - za maskę kryjącą podstęp.

Gret Orin sięgnął do skrzyni. Wybrał dwa mniejsze owoce i przyjrzał im się uważnie. Nie spostrzegł, że <sup>w</sup> tej samej chwili kaleka zakręcił się na krześle. Gdy znajdował się tyłem do gościa, pomału wypluł na rękę nieprzeżuty miąższ.

- A więc w czym mogę ci pomóc? - powtórzył, kryjąc owoc w dłoni.

Orin przelknął poczęstunek.

- Zgubiłem coś w okolicach Tyngi. Muszę to jak najszybciej odnaleźć.

Były Hord zamyślił się.

- Rozumiem - rzekł. - Grychty wprowadziły zamęt w planach wszystkich ludzi zamieszkujących Doliny. Ty zgubiłeś coś w okolicach Tyngi. Tynga... - zastanowił się. - To daleka droga. Z grychtami na karku, pewnie z miesiącem. A jeszcze idzie zima... Może nawet pięć tygodni albo i sześć.

- Można ją skrócić?

Torn spojrział na niego z uwagą.

- Można.

- Jak?

Kaleka odchylił się z całym fotelem do tyłu.

- Czy przyjrzałeś się korytarzowi, który prowadzi do tej jaskini?

Orin zmrużył oczy. Przypominał sobie gładkie ściany bez jakichkolwiek zadrapań.

- Wyglądał, jakby nie wydrążyła go woda ani nie wyciosały ludzkie ręce.

- Właśnie. A zatem w jaki sposób powstał? - Ton głosu byłego Horda przypominał ton nauczyciela odpytującego ucznia.

Orin milczał przez chwilę.

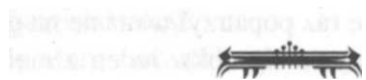
- Hordzi wynaleźli substancję, która roztopia granit - rzekł niepewnie.

Myśl, która przyszła mu do głowy już w korytarzu, wypowiedziana głośno zabrzmiała fantastycznie.

- W Cesarstwie i poza nim.

Orin pokręcił głową.

- Niemożliwe.



Były Hord przyglądał mu się w milczeniu.

Rozumiał, że gość potrzebuje chwili, by oswoić się z tym, co usłyszał. „Niemożliwe” nie dotyczyło tylko wąskiej grupy osób, które wiedziały o istnieniu tajemniczej substancji. Syn poprzedniego hrabiego Omorgu najwyraźniej w ogóle wątpił w to, że jest coś takiego jak noks. Torn nie dziwił się temu - pamiętał doskonale, jak sam był zaskoczony, gdy w podziemiach Hrostu, w głównej siedzibie Gildii Hordów, po raz pierwszy pokazano mu, jak ugina się skałę.

Teraz zastanawiało go co innego. Czy Orin zdawał sobie sprawę, że w chwili, gdy stanął przed Ugarem i wypowiedział hasło, będące imieniem jednego z bóstw trynów, wstąpił na ścieżkę, z której nie ma odwrotu? Czy domyślał się, że z tej jaskini nie można wyjść ot tak sobie, kiedy się chce i jak się chce?

Nie spuszczał wzroku z Orina.

Torn aż klepnął się po kolanach.

- Prawie! Nie tyle roztopia, ile rozsuwa. Albo zasklepia, wedle woli. I nie tylko granit, ale każdy kamień. Każdą skałę.

Spoważniał. Jeszcze raz popatrzył uważnie na gościa.

- Substancja ta nazywa się noks. Jeden z mechaników Hordów wynalazł ją ponad sto pięćdziesiąt lat temu. To był przypadek, mechanik pracował nad czymś zupełnie innym. Noks bardzo trudno przygotować. Potrzeba do tego wielu składników, z których część trzeba sprowadzać spoza Cesarstwa. Hordzi starają się udoskonalić noks, zastępując rzadkie składniki innymi, łatwiej dostępnymi. O ile wiem, na razie bez sukcesów.

- Czy ta komnata, tak jak korytarz, powstała dzięki noksowi? - Gret Orin rozejrzał się dookoła.

- Nie. Tę jaskinię stworzył sam Lotr. - Torn uśmiechnął się. - Ja nie potrafię wytwarzać noksu. Ten sekret znają tylko pierwszy mechanik Hordów i Mistrz Gildii. Jednak na kilka dni przed tym, jak wykluczono mnie z szeregów Hordów, wykradłem trochę noksu. Przewidywałem, co mnie czeka. Całą substancję wykorzystałem do zbudowania korytarza, którym tu przyszedłeś.

Nawet jeśli to prawda, i ta substancja istnieje, na co może mi się przydać? Co to ma wspólnego z drogą do Tyngi? - zastanowił się Orin.

Głośno zapytał o co innego.

- Ile osób wie o istnieniu noksu?

- W tej chwili pięć. Trzech członków Mirotu, kręgu sprawującego najwyższą władzę w Gildii, ty i ja.

- Pięć w całym Cesarstwie? - zapytał z niedowierzaniem pan na Omorgu.

Myśli tylko o swoich sprawach, stwierdził w duchu. Ale myśli o nich jasno. W ten sposób będzie myślał także o innych rzeczach, jakie na niego spadną.

Wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu skrzywione plecy.

Decyzja zapadła.

- Do czego Hordzi wykorzystali dotychczas noks? Sto pięćdziesiąt lat to szmat czasu - odezwał się w końcu Orin.

Godził się już niemal, że ta magiczna substancja musi istnieć. Widział przecież korytarz.

- Jaka jest największa przeszkoda na drodze z Tyn-gi do Omorgu? - były Hord odpowiedział pytaniem. - Zwłaszcza zimą?

Orin zamyślił się.

- Góry Seren - odrzekł. - Ominięcie ich od południa wymaga znacznego nadłożenia drogi. Podróż głównym traktem przez góry zajmuje zazwyczaj trzy tygodnie, ale w zimie, gdy pada śnieg, przebycie samego górskiego odcinka może trwać nawet kilkanaście dni. A czasem jest w ogóle niemożliwe.

- Tak - Torn pokiwał głową. - Góry Seren. Od momentu, gdy Hordzi wynaleźli noks, wszystkie jego zapasy

przeznaczali na zbudowanie pod pasmem górskim długich tuneli, umożliwiających pokonanie najtrudniejszych odcinków.

- O ile skraca to drogę przez Doliny? - zapytał szybko Orin.

- O tydzień - odpowiedział kaleki starzec z uśmiechem - i co więcej, tym razem pogoda nie ma już znaczenia. Nawet gdyby w całych Dolinach szalała śnieżycy, dostaniesz się do Tyngi za czternaście, najwyżej Piętnaście dni.

- Czy Gildia wykorzystuje te tunele?

- W zasadzie nie. O Wielkich Serenach, bo tak nazwał je Mirot, wiedzą tylko te osoby, które wiedzą o istnieniu noksu. I tylko one ich używają - bardzo rzadko, w szczególnych okolicznościach. Szeregowi członkowie Gildii nie mają o Wielkich Serenach pojęcia, tak jak nie mają pojęcia o noksie. Bo i po co?

- Mogliby szybciej dostarczać przesyłki - odrzekł Orin.

- A po co mają dostarczać szybciej przesyłki? - zapytał ze śmiechem Torn. - Żeby częściej biegać przez ten przeklęty kraj?

- Ale w ten sposób Gildia mogłaby więcej zarobić

- nie ustępował Orin.

- A kto powiedział, że Gildia chce więcej zarabiać?

- przekornie zapytał starzec.

Jakieś wspomnienie przebiegło przez głowę młodego pana na Omorgu. Słyszał już kiedyś podobne słowa. Przymknął oczy.

Pieniądze to ostatnia rzecz, o jaką troszczy się Gildia Hordów, powiedział jego ojciec w czasie tej samej rozmowy, kiedy zdradził mu istnienie kulącego się na wózku starca.

Wielkie Sereny. Za kilkanaście dni może być w Tyn-dze. Tego właśnie potrzebował.

Upewni się, że Newii nic się nie stało.

Zalóżmy, że to prawda i że te tunele istnieją. Jeszcze dziś pojedę do Hrostu, do Mistrza Gildii. Powiem mu o noksie i zażadam, żeby dali mi eskortę i przeprowadzili przez Wielkie Sereny. W zamian zaproponuję Gildii pieniądze, tajemnicę, a w ostateczności... - spojrzał na Torna, mrużąc oczy - że im go wydam.

Oczywiście jeśli to wszystko nie okaże się błagą. Ale o tym przekona się w Hroście. Wystarczy, że w rozmowie z Mistrzem Gildii wypowie słowo noks. Reakcja Horda odpowie mu, czy noks i Wielkie Sereny faktycznie istnieją.

Uśmiechnął się. Podniósł do ust jeszcze jeden owoc suszonego dronu.

- Czy to, co usłyszałeś, to wystarczająca pomoc? - zapytał Torn. - Czy spłaciłem swój dług?

- Dowiem się dopiero wtedy, gdy znajdę się w Hroście - odpowiedział Orin. - Ciekawi mnie, ile jeszcze tajemnic kryją Hordzi?

Światło pochodni zadrżało. Przez podłogę przebiegła smuga czerwieni.

- Jeszcze kilka... pomniejszych - odrzekł starzec.

Odwrócił się w stronę szklanego zamku.

I wtedy Gret Orin zrozumiał, że jego wizyta dobiegła końca.

Chciał wstać, ale ze zdumieniem spostrzegł, że nie może zgiąć nog. Również ręce odmówiły mu posłuszeń-

stwa. Nie był w stanie podnieść ramion. Z najwyższym wysiłkiem rozprostował palce.

Poczuł, że robi mu się zimno. Na czoło wystąpił mu pot.

- Nie bój się. - Torn nadal patrzył na swój zamek. - Myślisz, że kazałem ci usiąść na tym małym krzeselku, żeby cię upokorzyć? Małoduszna konkluzja. Nie chciałem, byś się potłukł, kiedy z niego spadniesz.

Orin jęknął. Mimo wysiłków, nie mógł odzyskać kontroli nad swoim ciałem. Spostrzegł jednak, że paraliż nie objął jeszcze głowy. Był w stanie mówić.

- Oszukałeś mnie. Owoce były zatrute - wychrypiał przez zaciśnięte zęby.

Torn tylko pokręcił głową. Odjechał kilka kroków w głąb jaskini, zatrzymując się przy jednym z poruszających się tłoków.

- Nic podobnego - rzekł głośno. - Co do oszukiwania, to raczej ty sam siebie oszukiwałeś. Sądziłeś, że pozwolę ci stąd wyjść, abyś popędził do Mistrza Gildii i mówił mu o rzeczach, o których mogłeś się dowiedzieć tylko ode mnie? Od dwunastu lat chowam się tutaj i przez te dwanaście lat moja osoba spędza sen z powiek Hordom. Wierz mi, nie ma drzwi w Cesarstwie, do których nie zakolatali, żeby wytropić mój ślad.

Paraliż obejmował twarz Greta Orina. Pot spływał mu po czole. Co za głupi błąd. Powinien wyjść z tej jaskini już po kilku pierwszych zdaniach rozmowy. Albo nawet wcześniej - jak tylko zobaczył jej wnętrze. Jak tylko poznał, że kryją się tu znacznie większe zagadki, niż mógł przypuszczać.

Ale... Ojciec mówił, że Torn zaryzykuje dla niego życie. Czyżby tak bardzo się pomylił?

Spróbował otworzyć usta, ale nie zdołał już wypowiedzieć ani jednego słowa.

Były Hord podjechał bliżej. Przyglądał mu się uważnie.

- Nie możesz już mówić, ale jeszcze mnie widzisz. A więc żegnaj, brzydki synu pięknego hrabiego. Na koniec powiem ci, że miałeś rację. Faktycznie w jednym cię oszukałem. Nie, nie chodzi o Wielkie Sereny - dodał szybko, widząc błysk w gasnących oczach gościa. - One istnieją. Ale popatrz - podsunął Orinowi pod nos niewielkie pudełeczko z niebieskawą mazią -

\* to jest właśnie noks. Zostało mi go jeszcze trochę. Jeśli zechcę, mogę cię zatopić w skale. A wtedy nikt cię nie odnajdzie nawet przez najbliższe tysiąc lat.

Gret Orin starał się zapamiętać wszystkie słowa Tor-na, ale rozsypywały się w jego umyśle jak roztrzaskane szkło. W końcu ogarnęła go ciemność. Powoli osunął się z krzeselka, uderzając głową o podłogę.

Tewię obudziło delikatne muśnięcie. Miała wrażenie, że leży w swoim łóżku w Twerze. Wiatr zerwał się przed świtem, przebiegł pustymi ulicami i poruszył zasłoną w oknie. Płótno pogłaskało policzek...

Jeszcze nim otworzyła oczy, poczuła, że jest daleko od domu. W jednej chwili przypomniała sobie chaos ostatnich dwóch dni: ucieczkę przed grychtami, poprzednią noc spędzoną w schowku, włączkę po pustkowiach, zwodniczy dym na horyzoncie i wreszcie wieczór nad jeziorem, który o mało co nie zakończył się tragicznie.

Otworzyła oczy i spróbowała się wyprostować. Nie zdołała jednak wykonać żadnego ruchu. Rozejrzała się z przestraszeniem. W półmroku widać było tylko skupiska żółtych i czerwonych liści. Układały się w barwne zasłony, zakrywające wszystko, co znajdowało się dookoła.

Słońce jeszcze nie wstało. Chłodne powietrze niesło mnóstwo wilgoci. Nie wiadomo dlaczego, ale ten



chłód przestraszył Newie. Znow spróbowała się zerwać. Szarpnęła mocno i natychmiast poczuła ból w brzuchu oraz przedramionach.

Na dole coś zaszeleściło.

- Nie ruszaj się - dobiegł ją cichy głos.

Newia odwróciła głowę. Spojrzała ubranego na czarno mężczyznę, który zbliżał się do niej, zwinnie wspinając się między konarami drzewa. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że znajduje się wysoko nad ziemią, przywiązana szerokimi pasami do gałęzi dronu.

- Jeszcze chwila.

Poczuła dotknięcie i zaraz potem mogła podnieść jedną rękę. Coś zaskrzyphiało i krępujące ją więzy rozluźniły się. Intuicja podpowiedziała jej, że nie powinna wykonywać gwałtownych gestów. Podniosła się powoli, przytrzymując się drzewa. Rozejrzała się i zadrzała.

Znajdowała się na wysokości kilkunastu stóp. Jak w ogóle zdołała się tu wspinać? Potrząsnęła głową i pamięć, jakby dopiero teraz w pełni obudzona, usłużnie podsunęła wspomnienia zeszłej nocy.

Wtedy coś tak abstrakcyjnego, jak wspinaczka po drzewach okazało się bajecznie proste. Człowiek, który uratował ją przed grychtami, czuwał nad każdym jej krokiem. Gdy nurkowali pod wodą, gdy przekradali się między trzcinnami na drugi koniec jeziora i gdy po wyjściu na brzeg rzucili się do ucieczki. Biegli tak długo, że przestało być jej zimno i niemal straciła oddech.

Potem przedzierali się przez gałęzie, aż mężczyzna zatrzymał się i wskazał na najbliższe drzewo. Zrozumiała, że ma się na nie wspinać. Wymacała nad głową gałęzie i złapała się ich. Wybawiciel chwycił ją za nogi i podniósł, dzięki czemu zdołała uczepić się następnych gałęzi. Usłyszała jeszcze, jak zawołał z dołu, żeby wspięła się jak najwyżej i czekała na niego. Wdrapywała się na osłep.

Zatrzymała się dopiero, słysząc na dole hałas. Nie miała żadnego doświadczenia w rozpoznawaniu głosu grycht, intuicja podpowiedziała jej jednak, że pod drzewem muszą znajdować się potwory, które brodziły przy brzegu w poszukiwaniu ich kryjówek. Zadrzała - jak szybko ich dogoniły! Zrozumiała, że jej wybawiciel został na dole, żeby odciągnąć grychty. Przypomniała sobie walkę, jaką stoczył nad jeziorem. Wtedy była zbyt oszołomiona, żeby zwrócić na to uwagę, ale teraz zastanowiła ją sprawność, z jaką poradził sobie z potworem. Dodała do tego czarny strój, o którym słyszała wiele opowieści, i pojęła, że ten, który ją uratował, to jeden z Hordów.

Po niewielu minutach usłyszała szelest i poczuła, że drzewo się trzęsie. Na wszelki wypadek kurczowo chwyciła się gałęzi.

Za chwilę Hord znalazł się koło niej. Powiedział, że grychty już nie wrócą, a oni tutaj, na drzewie, są całkowicie bezpieczni. Że musi zejść niżej, gdzie przywiąże ją do jakiejś gałęzi, żeby nie spadła w czasie snu.

Newia pozwoliła sobą kierować, nie zadając żadnych Pytań. Mężczyzna pomógł jej wymacać gałąź, na której jego zdaniem mogła się położyć. Był to gruby konar, który nawet nie ugiął się pod jej ciężarem. Mimo to nie mogła sobie wyobrazić, jak zdoła zasnąć.

Ale i na to znalazła się rada. Kiedy tylko niepewnie wyciągnęła się w ciemnościach, Hord wcisnął jej do ręki niewielki flakonik i kazał wypić jego zawartość. To środek nasenny, wyjaśnił. Nie zastanawiając się długo, Newia przełknęła gorzki płyn. Nie poczuła nawet, jak przywiązuje do drzewa jej nogi i tułów.

Hord usiadł na gałęzi naprzeciwko kobiety, którą udało mu się wyrwać z matni nad jeziorem.

Jak się tam znalazła? Kim w ogóle była? Dopiero teraz zrobiło się na tyle jasno, że miał możliwość przyjrzeć się jej dokładniej. Zwrócił uwagę, że jest blada i że jej wargi drżą. Rozglądała się niespokojnie dookoła, najwyraźniej zastanawiając się, jak znalazła się tak wysoko nad ziemią.

Jeszcze nad jeziorem domyślił się, że jest cudzoziemką. Od momentu, kiedy dostrzegł płonący ogień, wiedział, że ten, kto go rozpałił, musi pochodzić spoza Dolin Gruaronu. Tu nikt przy zdrowych zmysłach nie paliłby w nocy ogniska z dala od ludzkich siedzib. Nawet kilkuletnie dzieci wiedziały, że grychty zawsze przychodzą do ognia.

Kobieta przypatrywała mu się z napięciem. Podał jej skórzany bukłak z wodą.

Nie poruszyła się. Zrozumiał, że boi się wyciągnąć rękę, żeby nie stracić równowagi. Pochylił się więc do przodu tak mocno, że cudzoziemka musiała wykonać tylko drobny ruch, by wziąć od niego bukłak. Wypiła chciwie kilka łyków i natychmiast zacisnęła ręce na gałęzi.

- Dziękuję - powiedziała cichutko.

Hord spojrzał, że lekko przeciąga wyrazy. Musiała urodzić się na wschodzie.

- Dziękuję też za wczoraj - starała się mówić pewniejszym głosem.

Pokręcił głową.

- To przypadek.

- Że w okolicy był Hord?

Zmarszczył brwi.

- Że w ogóle ktoś tam był.

Poprawiła spadające na czoło włosy. I znow zadrzała, patrząc w dół.

Hord podał jej rękę i pomógł zejść na ziemię.

W trakcie tej operacji Newia zaciskała wargi. Odechnęła dopiero wtedy, gdy jej stopy dotknęły szeleszczących liści.

Hord przyglądał się jej spod oka.

Za godzinę wstanie słońce, a wtedy powinni być już w drodze do Galleck. Nie miał ochoty wracać do osady kryków, którą opuścił wczoraj rano, ale nie było innego wyjścia. Galleck to jedyne miejsce w promieniu dnia drogi, gdzie ta kobieta będzie bezpieczna. Odprowadzi ją więc do kryków, a potem będzie musiał nadrobić stracony czas.

Postanowił od razu przejść do sedna.

- Nie jesteś z Gruaronu, prawda? Newia spojrzała zdumiona.

- Skąd wiesz?  
 - Zapaliłaś ognisko. Zastanowiła się nad jego słowami.  
 - Ogień przyciąga grychty?  
 Pokiwał głową.  
 - Jak tu trafiłaś?  
 Newia szybko opowiedziała swoją historię, a raczej jej ostatnią część.  
 Podróżowała z Tyngi do Omorgu, kiedy jej powóz napadły grychty. Porwały jej towarzyszy. Ona zdołała schronić się przed potworami. Rankiem wydostała się z powozu i nie wiedząc co robić, ruszyła w stronę Puszczy. Dostrzegła dym i szła cały dzień w jego kierunku. Chciała znaleźć jakąś osadę. Zabłądziła i pod wieczór trafiła nad jezioro. Bała się nocy i rozpałała ogień.  
 Hord wysłuchał tego uważnie. Zdziwiła go jedna rzecz.  
 Cudzoziemka powiedziała, że ukryła się pod dachem powozu, jednak najwyraźniej nie wiedziała, że pojazd wyposażony w taki schowek musiał pochodzić z Gildii. Hordzi budowali specjalnie zabezpieczone powozy, które następnie wypożyczali najbogatszym rodom Dolin. Ale siedząca przed nim kobieta nie miała o tym pojęcia. Inaczej wspomniałaby o tym. Ktoś musiał zaproponować jej powóz, ale nie powiedział jaki. Dlaczego?  
 Zastanawiał się, czy o to nie spytać, ale zrezygnował.  
 - Nie wiem, jaki dym widziałeś, lecz w odległości dnia drogi stąd faktycznie jest ludzka osada. Nazywa się Galleck. Zaprowadzę cię tam, a krywi pomogą ci dostać się do Tyngi. Krywi to lud zamieszkujący tę część Gruaronu - dodał, widząc, że zmarszczyła brwi. - Jechałaś do Omorgu?  
 - Tak. - Newia spojrzała na niego.  
 - Idę tam. Możesz mi więc dać list albo jakąś wiadomość. Przekażę ją, komu zechcesz.  
 - Zaczekaj. - Na twarzy Newii znów malowało się napięcie - Naprawdę idziesz do Omorgu?  
 - Tak.  
 - Zabierz mnie ze sobą.  
 Wiatr poruszył gałęziami drzew. Kilka liści opadło na ziemię.  
 Hord zmrugał oczy.  
 - Mogę zabrać do Omorgu jedynie list.  
 - Dlaczego? - Newia podniosła brwi. - O ile wiem, Gildia Hordów zajmuje się eskortowaniem ludzi. Chcę cię wynająć, żebyś zaprowadził mnie do Omorgu.  
 - To niemożliwe.  
 - Dlaczego? Zapłacę tyle, ile zechcesz. Połowę teraz, połowę po przybyciu na miejsce - dodała szybko.  
 Hord lekko wzruszył ramionami.  
 - Nie w tym rzecz.  
 - A w czym?  
 - Grychty są już w Puszczy Krytów, a niedługo będą w całym Gruaronie. To, co zdarzyło się wczoraj, może się powtórzyć. A nawet powtórzy się na pewno.  
 Newia wyprostowała się.  
 - Zaryzykuję.  
 - Ale ja nie.

- Dlaczego?  
 Zapadła cisza. Newia zacisnęła usta.  
 - Muszę jak najszybciej dotrzeć do Omorgu. Mogę nocować na drzewach lub pod ziemią. Nie sprawię kłopotu.  
 Hord był coraz bardziej zdziwiony.  
 - Dlaczego tak ci na tym zależy?  
 Poruszyła się niespokojnie.  
 - Nazywam się Newia Tremor - powiedziała po dłuższej chwili. - Pochodzę z Tweru. O ile wiem, tę część Cesarstwa nazywacie Ziemią Wschodnimi - spojrzała pytająco. Hord kiwnął głową, nie spuszczać z niej wzroku. - Muszę jak najszybciej dostać się do Omorgu, ponieważ... - zawahała się - ktoś tam na mnie czeka.  
 Wzruszył ramionami.  
 - Nie może poczekać przez zimę?  
 - Ten ktoś jest chory... - Jej oczy rozszerzyły się. - Doniesiono mi, że jest chory. Nie mogę zimować w Tyndze. Nie zniosę bezczynności.  
 - Kto to jest?  
 Pokręciła głową.  
 Hord zmierzył ją wzrokiem.  
 - Wiem, co może mnie spotkać. Zaryzykuję. Nie będę opóźniała marszu.  
 Mężczyzna skrzywił się. To ostatnie było mało prawdopodobne.  
 Zastanowił się.  
 Pani Newia Tremor zdawała sobie już sprawę z niebezpieczeństwa. Poznała na własnej skórze, co to znaczy przedzierać się o tej porze roku przez Gruaron. Jeśli okaże się zbyt słaba fizycznie lub po drodze zmieni zdanie, zostawi ją w którejś z zaprzyjaźnionych osad na szlaku.  
 - Dobrze - powiedział w końcu. - Ruszajmy w drogę.  
 Newia uśmiechnęła się, poprawiając ręką włosy.  
 Udało się!  
 Pod drzewem leżały dwa pakunki. Jeden rozpoznała od razu - był to jej tobołek. Hord wyjaśnił, że przed świtem, gdy jeszcze spała, wrócił nad jezioro i znalazł jej rzeczy. Drugą paczkę o dziwnym, podłużnym kształcie, bez słowa zarzucił sobie na plecy.  
 - Co to jest? - spytała Newia, biorąc swój pakunek.  
 Drewniana urna z prochami zmarłego z Galleck, odpowiedział w myślach.  
 Spojrzał na nią i nie odezwał się.  
 Newia czekała na odpowiedź, a nie doczekawszy się, wzruszyła w duchu ramionami.

Przez pierwszą godzinę wędrówki Hord wyjaśniał jej zasady, do jakich musi się zastosować każdy, kto w miesiącach zimowych porusza się po Dolinach Gruaronu.  
 Będą szli tylko w dzień. Przez pierwsze tygodnie grychty ograniczają się najczęściej do atakowania po zmroku. Będą wyruszali godzinę przed świtem i szli z kilkoma krótkimi przerwami aż do zmierzchu. Na początku

może być jej ciężko, ale z czasem się przyzwyczai. Musi zawsze znajdować się kilka kroków przed nim. Nie wolno im zostawiać żadnych śladów, bo w nocy grychty mogą ich wytropić. W żadnym wypadku nie wolno jej krzyczeć, nawet gdyby coś nagle ich zaatakowało.

Newia słuchała tego w milczeniu. Nie podobało jej <sup>się</sup>, że musi iść pierwsza. To było nieprzyjemne - cały czas mieć kogoś za plecami. Jednak nie protestowała.

Przestraszyło ją natomiast, jak bardzo szybko poczuła się zmęczona. Zamiast cieszyć się, że jest pod opieką doświadczonego przewodnika i że idzie do Omorgu, zaciskała usta z wysiłku. Hord wspominał coś o przerwach w marszu. Kiedy będzie pierwsza?

- Czy możemy zatrzymać się na chwilę? - zapytała, odwracając głowę.

Szli wzdłuż jaru, bardzo podobnego do tego, w którym wczoraj znalazła wodę. Jednak tym razem dno niewielkiego wąwozu było suche.

- Po co? - Kątem oka spostrzegła, że nie patrzył na nią, tylko rozglądał się dookoła.

- Jestem głodna - skłamała. - Chciałabym coś zjeść.

Kilka kroków dalej polecił jej skręcić w lewo. Wkrótce doszli do niewielkiego oczka wodnego. Był to mały staw o średnicy kilkudziesięciu stóp. Prawie cała jego tafla pokryta była opadłymi liśćmi. Newia miała wrażenie, że unosi się nad nim zapach zgnilizny.

Nie zastanawiając się wiele, usiadła z ulgą na ziemi. Próbowano rozmasować bolące łydki. Hord pochylił się nad wodą i nabrał jej do bukłaka.

- Będziesz to pił? - zapytała zaskoczona.

- To dobra woda.

Newia popatrzyła z lekkim przerażeniem na błotnisty staw. Rozwiązała tobolek i wygrzebała szybko dwa suchary.

- Zabrałam to z powozu - wyciągnęła rękę w stronę Horda.

- Krocie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

Margrabia nie był ani jej przyjacielem, ani dłużnikiem. Przed przyjazdem do Tyngi widziała go tylko raz w Vernarze, na cesarskim dworze, i to przelotnie. Nie wiązało ich pokrewieństwo lub wspólne interesy, tylko wspólni znajomi. Margrabia przyjął ją w Tyndze jak przyjmował każdego, kto miał wstęp do Vernaru, i jako gospodarz wyświadczył jej drobną uprzejmość, ofiarowując powóz.

Tymczasem okazuje się, że uprzejmość wcale nie była drobna.

- Nie wiedziałaś, że ten powóz pochodził z naszej Gildii? - Hord patrzył na nią uważnie.

- Nie - odpowiedziała - i prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak się stało.

Nawet jeśli margrabia chciał, bym została jego dłużniczką, dopilnowałby, żebym się o tym dowiedziała, przebiegło jej przez myśl. Jakie odniosłby korzyści z tego, że byłaby mu coś winna, nie mając o tym pojęcia?

Pokręcił głową. Nieporuszony stał nad stawem, zastanawiając się nad czymś. W końcu odwrócił się w jej stronę.

- Skąd pochodził powóz, którym jechałaś z Tyngi?

Newia z trudem przełknęła kawałek suchara.

- Ofiarowano mi go - odrzekła. - Czy mogłabym dostać trochę wody?

Hord podał jej bukłak.

- Kto to zrobił? - zapytał, patrząc jak krzywi się, biorąc go do rąk.

Newia potrzebowała chwili, zanim zdecydowała się przytknąć bukłak do ust. Na szczęście chłodny płyn nie smakował tak źle, jak się spodziewała. Zastanowiła się.

- Margrabia Tyngi. Powiedział, że powóz został specjalnie przystosowany do podróżowania przez tę krainę. I faktycznie, wyglądał zupełnie inaczej niż wszystkie powozy, jakie widziałam w Tyndze. Był bardzo wysoki. Ale przedwczoraj dowiedziałam się, że to z powodu tego schowka pod sufitem. Dziwne... - Zamyśliła się.

- Co wydaje ci się dziwne? - Hord pochylił się nad wodą.

- W Twerze nie buduje się takich schowków w powozach. Ani w całej mojej prowincji, ani w sąsiednich. Właściwie nigdy o nich nie słyszałam. - Podniosła głowę. - Co się za tym kryje?

Uświadomiła sobie, że jej przewodnik wie coś, czego ona nie wie. Inaczej nie zacząłby tej rozmowy. Hord podniósł się i wyprostował.

- Tego rodzaju powozy buduje Gildia, do której należę. Faktycznie na pierwszy rzut oka nie wyglądają na pojazdy nadające się do podróżowania po Dolinach Gru-aronu. Są za wysokie i wydają się niestabilne, jednak w chwili próby sprawdzają się świetnie. Mało kogo na <sup>nie</sup> stać, więc nie są tu znane. Margrabia musi być two-<sup>m</sup> Przyjacielem bądź dłużnikiem, ponieważ za wynajęcie jednego z takich powozów zapłacił krocie.

- Mało kogo stać na wynajęcie naszych powozów - rzekł Hord. - Ale margrabia Tyngi jest niewątpliwie jedną z tych osób.

Newia oparła ręce na kolanach. Czy jej przewodnik chciał coś w ten sposób zasugerować? Że coś ją wiąże z margrabią? Wzruszyła ramionami.

- Najprawdopodobniej nie chciał mnie straszyć, wspominając o Gildii - powiedziała, ale bez szczególnego przekonania.

Hord milczał. Obserwował ją kątem oka. Cudzoziemka faktycznie nie miała pojęcia o pochodzeniu powozu. Dziwne.

Nagle uderzyła ją jedna myśl. Przecież Sorso też wiedział o tym schowku. A więc musiał wiedzieć, że powóz jest dziełem Hordów. Ale przez trzy długie dni nie wspominał ani o jednym, ani o drugim. Dlaczego?

I znów, tak jak wczoraj w czasie samotnej włóczgi, odniosła wrażenie, że w czasie ataku grycht wydarzyło się coś istotnego. Że padły jakieś zastanawiające słowa, które nijak nie pasowały do sytuacji. Dotknęła palcami skroni. Kto je wypowiedział?

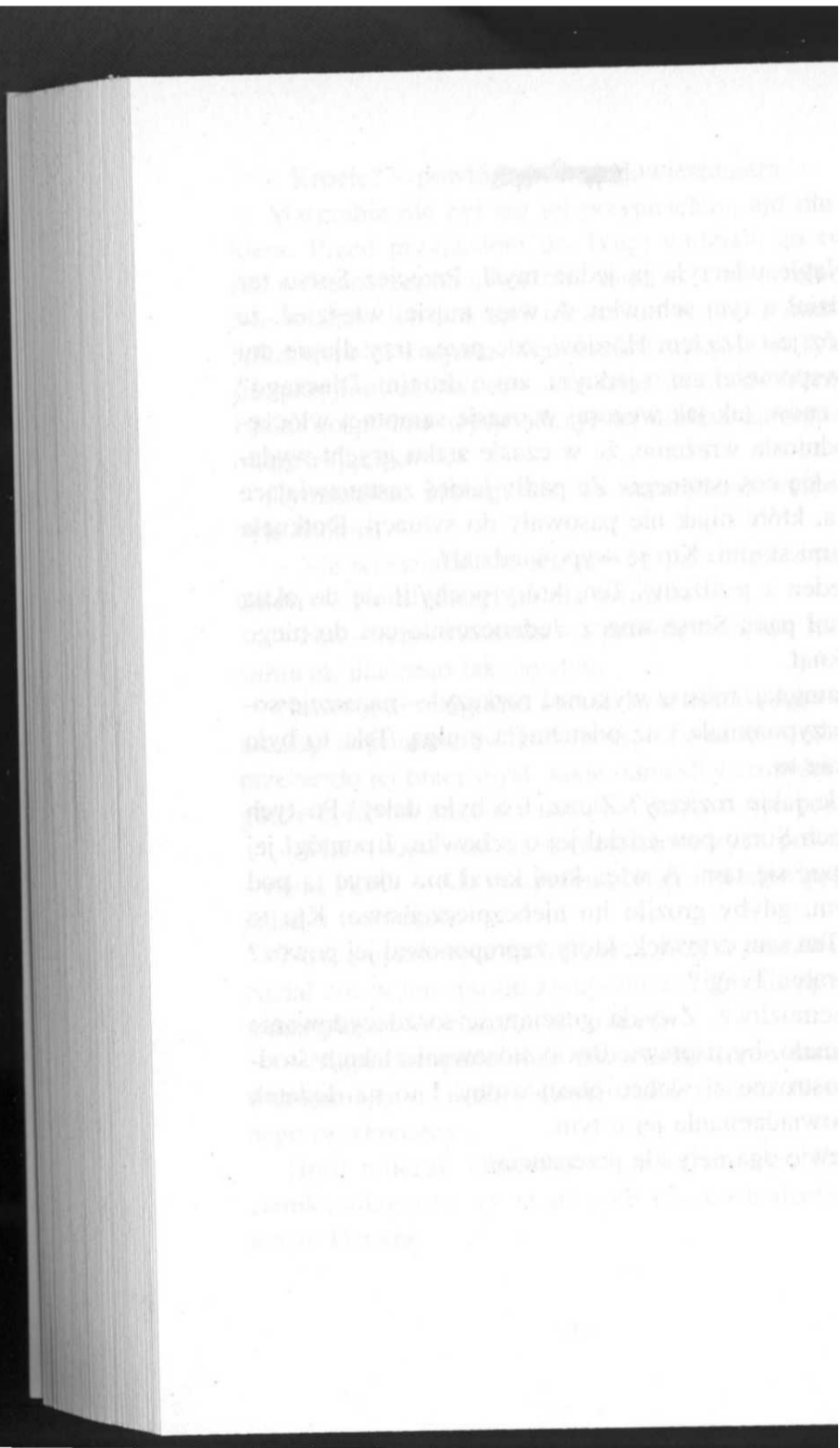
Jeden z jeźdźców. Ten, który pochylił się do okna i rzucił panu Sorso miecz. Jednocześnie coś do niego krzyknął.

Pamiętaj, musisz wykonać rozkazy! - nareszcie sobie przypomniała i aż odetchnęła z ulgą. Tak, to było właśnie to.

Ale jakie rozkazy? Zaraz. Co było dalej? Po tych słowach Sorso powiedział jej o schowku. I pomógł jej wdrapać się tam. A więc ktoś kazał mu ukryć ją pod sufitem, gdyby groziło im niebezpieczeństwo. Kto to był? Ten sam człowiek, który zaproponował jej powóz? Margrabia Tyngi?

Niemożliwe. Zwykła gościnność to zdecydowanie zbyt mało, by usprawiedliwić stosowanie takich środków ostrożności wobec obcej osoby. I to na dodatek bez powiadamiania jej o tym.

**N**ewie ogarnęły złe przeczucia.



hociąż smutek nigdy nie dokuczał Staremu Człowiekowi hrabiego Omorg, od czasu do czasu odczuwał on coś na kształt żalu, przypominając sobie o zainteresowaniach, które w pewnym momencie życia bezpowrotnie porzucił. Zamiłowanie to zabrało Staremu Człowiekowi wiele wieczorów, ale dało też poczucie, że mógłby na pewnym polu wybić się ponad przeciętność.

Swego czasu Stary Człowiek interesował się alchemią. Od zawsze przeczuwał, że ma w tym kierunku zdolności, ale jego życie tak się układało, że dopiero u boku poprzedniego hrabiego Omorg mógł rozwinąć swój talent. W okresie gdy jego pan potrzebował pieniędzy, Stary Człowiek kazał wezwać do siebie miejskiego medyka i aptekarza. Pod ich kierunkiem przez wiele wieczorów poznawał tajniki łączenia ziół, rozkruszonych skał, wydzielin zwierząt i innych naturalnych substancji. Wkrótce prawdziwie się zapalił i sam uczył się przysądzać coraz bardziej skomplikowane mikstury. Udało mu się wytworzyć mocny napój nasenny, rozmaite olejki

halucynogenne, którymi częstował swojego pana, a także kilka bardzo skutecznych trucizn, służących do szantażowania mieszkańców Gruaronu. Metoda była niezawodna - ponieważ trucizna była jego wynalazkiem, żaden bogacz Omorgu nie mógł liczyć, że gdziekolwiek poza zamkiem znajdzie na nią antidotum. W ten sposób do kasy Orina trafiały kolejne sumy, a Stary Człowiek łączył przyjemne z pożytecznym. Potrafił nawet wykorzystać te nieliczne przypadki, kiedy jakiś uparciuch na tyle wątpił w jego zdolności, że z uporem odmawiał zakupu odtrutki. W takich okolicznościach Stary Człowiek gromadził jak najdokładniejsze relacje o jego końcu i wykorzystywał tę wiedzę, warząc kolejne specyfiki.

W tych czasach sługa hrabiego Omorg zbliżył się z Hordami.

Dzięki wstawiennictwu Orina Hordzi dopuścili starca do swoich warsztatów alchemicznych. Co prawda na czas wspólnej pracy z podziemnych sal siedziby Gildii zniknęły ważniejsze księgi i substancje, ale stary i tak korzystał z każdej wizyty w Hroście. To właśnie tam, w niskich i ciemnych komnatach, dokonał najbardziej udanych odkryć. W pewnym okresie Stary Człowiek spędzał w Hroście więcej czasu niż w Omorgu i planował nawet urządzić w zamku prawdziwą pracownię alchemiczną, która zastąpiłaby jego prowizoryczny warsztat. Ostatecznie jednak nic z tego nie wyszło, bo w Omorgu pojawił się Gret Orin. Hrabia Omorg polecił Staremu Człowiekowi nie opuszczać swojego syna na krok, a potem razem z nim udać się na Ziemię Zachodnie.

Uporządkowane życie starego w jednej chwili stanęło na głowie. Nigdy jeszcze jego lojalność nie została wystawiona na tak ciężką próbę. Porzucać Omorg i Hrost właśnie wtedy, gdy jego eksperymenty przestały przypominać pomysłowe ćwiczenia zdolnego ucznia i zamieniały się w dojrzałe badania mistrza...! W ciągu tych kilku dni, kiedy młody Gret Orin poznawał Omorg, Stary Człowiek snuł się za nim jak pies, któremu wydarto z trudem zdobytą kość. Miał nadzieję, że nikomu niepotrzebny przybłęda zniknie z Omorgu jak najszybciej i wtedy on powróci wreszcie do swoich maści i wywarów. Gdy został wyznaczony na towarzysza młodego Orina, Stary Człowiek był o krok od buntu. W porę jednak zdusił w sobie żal i bez słowa skargi zaczął przygotowywać się do drogi.

Obce kraje, a także sprawy, w które powoli wtajemniczał go Gret Orin, sprawiły, że stary przestał tęsknić za słabo oświetloną niską izbą, w której unosił się dziwacznie pachnący opar. Z czasem zapomniał całkowicie o swoich alchemicznych ambicjach - do tego stopnia, że gdy powrócił w końcu do Omorgu, tylko przelotnie spojrzął na swój porzucony warsztat. Stosunki Orina umożliwiłyby mu powrót do Hrostu, ale po krótkim zastanowieniu Stary Człowiek postanowił o to nie zabiegać. Nie czuł już poprzedniej werwy i nie przypuszczał, by ponowne wykonywanie dawno zapomnianych doświadczeń miało mu ją przywrócić.

Wzorem jednak wszystkich, którzy swego czasu mocno czegoś pragnęli, sługa rodu Orinów lubił rozmyślać o sławie, jaką niewątpliwie osiągnąłby, gdyby tylko łaskawy los pozwolił mu dłużej zajmować się alchemią. W nielicznych wolnych chwilach, jakie przytrafiały mu<sup>51e</sup> na służbie u Orinów, Stary Człowiek marzył.

Oto znajduje się w najniższej położonej, najciemniejszej pracowni w Hroście. Stoi przy stole, zastawionym tajemniczą aparaturą i dziesiątkami flakonów z cieczami we wszystkich kolorach tęczy. Po jego prawej stronie jest niewielkie palenisko, na którym w cynowej misie gotuje się gęsty wywar. Po lewej stoją ciasno zgromadzeni Hordzi, z Mistrzem Gildii na czele. Żaden z nich się nie odzywa, żaden nie porusza. Stary Człowiek patrzy na nich przez chwilę, po czym odwraca się i napelnia uprzednio przygotowany kubek parującym wywarem. Następnie podnosi ze stołu pazur grychty i wrzuca go do kubka. Podnosi naczynie, lekko nim kołysze i czeka. Spogląda na Hordów. Przenosi kubek z powrotem nad misę i powoli, powoluteńko, kropla po kropli, wylewa jego zawartość. Hordzi drżą ze zniecierpliwienia, ale gdy Stary Człowiek przechyla kubek do góry dnem, ostatnie kropelki spadają do misy Nie ma go...! Zniknął...! Pazur grychty roztopił się całkowicie w tajemniczym wywarze, którego sekret zna tylko on, przez wszystkich znieawidzony sługa posepnego pana.

W tym momencie fantazje Starego Człowieka zaczynały biec dwojako, a nawet trojako. Raz wyobrażał sobie, że po nadzwyczajnym pokazie jego alchemicznej mocy Hordzi mordują Mistrza Gildii i przekazują mu pierścień Olefa i pas Mirotu, insygnia najwyższej władzy w Hroście. Kiedy indziej zamykał oczy i widział, jak Mistrz Gildii sam prosi go o przejęcie władzy nad wszystkimi Hordami w Gruaronie. Bywało jednak i tak, że Stary Człowiek odrzucał obie te wizje. Przyznawał w duchu, że jest już za stary, by nauczyć się łatwej sztuki rozkazywania i znacznie trudniejszej sztuki podejmowania trafnych decyzji. Wtedy wyobrażał sobie, że przekazuje insygnia panowania nad Gildią swojemu młodemu panu, który zdobywszy taką potęgę, zaczyna intrygą i knowaniami starać się o tron samego Tyrona Śmiałego. I wszystkie, nawet najdrobniejsze plany omawia ze swoim wiernym sługą.

Następnego ranka po nieszczęśliwym dniu, kiedy na Omorg spadła wiadomość o przedwczesnym pojawieniu się grycht i kiedy Gret Orin wyjechał na poszukiwanie Torna, Stary Człowiek był w wyjątkowo refleksyjnym nastroju.

Od dawna już nie spał dobrze i teraz też obudził się na godzinę przed świtem. Nie wstał od razu, tylko podciągnął się nieco na poduszkach, obleczonych szarawą pościelą. Pomyślał, że za kilka godzin Orin powróci i... No właśnie, zupełnie nie wiadomo, co będzie dalej. Stary nie miał ochoty zastanawiać się, czy jego pan nadal jest na niego zły i czy udało mu się dotrzeć do Torna. To wszystko były niewiadome, a on już od wielu lat nie przepadał za

W końcu jednak przesuwające się przed oczami obrazy zmęczyły, a nawet trochę znecierpliwiły starego. Mało to wszystko prawdopodobne, pomyślał ze złością. Zwłaszcza teraz, kiedy uganiamy się tylko za kiecką.

Stary Człowiek wiedział, że nie mógłby wymarzyć sobie na starość lepszego losu niż służba u młodego Orina. Rozumieli się w pół zdania, jeden z łatwością przekonywał drugiego do swoich pomysłów. Myśleli w podobny sposób i mówili podobnym językiem. Unię tę mącił tylko jeden, ale za to dość istotny wyjątek. Otóż mimo wysiłków Stary Człowiek nie był w stanie pojąć, dlaczego, na Łotra, jego pan tak się uparł na tę jedną, niezbyt wysoko urodzoną i na dodatek nieszczególnie ładną dziewczynę. Upór ten, całkowicie nieracjonalny, był czymś, co nawet przerażało sługę, gdyż w niektórych momentach kojarzył mu się z losem poprzedniego hrabiego. Było to jedyne podobieństwo, jakie dostrzegał między ojcem a synem, ale za to naprawdę złowieszcze. I to ono właśnie powodowało, że stary, nie chcąc budzić uśpionych w duszy swojego pana potworów, w kwestii Newii nigdy mu się nie sprzeciwiał.

Stary Człowiek usiadł na łóżku i splunął na brudną podłogę. Niespodziewanie do głowy napłynęły mu żalodne myśli, których natężenie mocno go zaskoczyło. Co prawda nieraz już godził się, że są intrygi, których nie przeprowadzi, możni, którzy nie będą drzeć ze strachu na dźwięk jego imienia, oraz mikstury, których składników nie pozna, ale nigdy jeszcze nie czuł takiej pustki jak dziś. W jego umyśle pozostało jedno słowo.

Starość, szepnęła i aż zazgrzytała resztkami poczer- niałych zębów.

Jednak Stary Człowiek nie stałby się tym, kim był, gdyby długo pozwalał sobie na takie rozmyślenia. Dlatego teraz w jednej chwili przegonił z myśli złe słowo. Nad pewnymi sprawami nie warto się zastanawiać. Gdyby kazano mu zrobić listę takich spraw, Stary Człowiek na pierwszym miejscu wpisałby przemijanie.

Zawołał sługę, który pomógł mu się ubrać. Następnie powoli, ostrożnie stawiając każdy krok, stary poczłapał w kierunku komnaty na szczycie zamkowej wieży. Tam właśnie jeszcze wczoraj rozmawiał ze swoim panem. Prowadziły do niej strome schody, które Stary Człowiek pokonywał z najwyższym trudem. Za każdym razem, gdy musiał się na nie wspinać, przychodziło mu do głowy, że mógłby kazać wnieść się na górę. Za każdym razem

niewiadomymi. Dlatego też zamiast oddawać się próżnym rozmyśleniom, na których strawił cały poprzedni wieczór, powrócił do ulubionych widziadeł. Tym razem wybrał trzeci wariant swoich marzeń i przymknawszy oczy, przedstawiał sobie, jak dzieje Jego talentowi i oddaniu Orin zostaje władcą Hrostu<sup>1</sup> wszystkich zamurowanych w lochach tajemnic.

odrzucał tę myśl, testując jednocześnie, czy jest już skłonny zaakceptować pomoc. W dzień po odjeździe Greta Orina Stary Człowiek musiał użyć całej siły woli, by powstrzymać się od zawołania sług.

Gdy wreszcie wdrapał się na górę, zażądał śniadania, które przyniesiono mu błyskawicznie. Krążące o nim opowieści, a także złe spojrzenia, jakimi często obdarzał ludzi, powodowały, że obsługiwano go co najmniej tak szybko jak Orina. Pozycja, jaką zajmował w zamkowej hierarchii, powodowała, że nawet najstarsi żołnierze, którzy przybyli z poprzednim władcą z Ziem Zachodach, unikali Starego Człowieka. A miejscowa służba nasłuchiwała się o nim tylu legend, że gdy od czasu do czasu popatrzył na tego czy tamtego pacholka spod oka, ci prawie mdleli ze strachu. Starego Człowieka bardzo<sup>10</sup> bawiło i nieraz śmiał się w duchu na widok przera-<sup>Zer</sup>»ia, które potrafił wywołać.

Teraz kazał przenieść jedyny w komnacie fotel bliżej okna, by widzieć wschód słońca. Tam też postawiono przed nim niewielki składany stolik. Na niegdyś białym, a teraz poplamionym i gdzieniegdzie przetartym obrusie wnet pojawiły się świeże bułki oraz dzbanek trachty. Był to wywar z młodych pnączy trachu, popularnego na zachodzie Gruaronu krzewu. Trachtę pijano powszechnie w Omorgu, ze względu na smak i pobudzające działanie. Co prawda niektórzy twierdzili, że może powodować ślepotę, ale Stary Człowiek nie podzielał tej opinii. Mimo podeszłego wieku wzrok miał doskonały.

Machnął dłonią, by odprawić czekającego na dalsze rozkazy sługę. Kiedy młody chłopak kładł już rękę na mosiężnej kłameczce, stary zauważył, że na stoliku, obok bułek i trachty, leżą pergamin oraz długa, zakorkowana tuba.

- Czekaj!

Sługa zatrzymał się w pół kroku, czując, jak robi mu się gorąco.

- Chodź tu! - zawołał znowu staruch, kątem oka badając leżące przed nim przedmioty.

- Słucham. - Pacholek zbliżył się do okna z wyraźnym ociąganiem.

- Co to jest? - Stary Człowiek wskazał na pergamin i tubę.

- To...? - powtórzył chłopak. - Nowy dostawca wina z dzielnicy Meritów chce zaproponować swoje usługi zamkowi.

- Kiedy to przyniesiono? - pytał dalej stary.

- O świcie, nie dalej niż pół godziny temu.



- Jak wyglądał posłaniec? Sługa był coraz bardziej zdziwiony.

- Nie wiem. Nie ja odbierałem te rzeczy. Przyniósł mi je jeden z żołnierzy, pełniących wartę przy platformach.

- A czy wiesz przynajmniej, jak się nazywa ten dostawca?

Niespełna piętnastoletni chłopak skurczył się pod uważnym spojrzeniem starucha.

- Tak. Zapamiętałem nazwisko. Żołnierz powiedział, że dostawca nazywa się Ugar.

Stary Człowiek aż się zatrząsł. Gdyby sługa nie był tak przestraszony, dostrzegłby, że przekazana przez niego wiadomość zrobiła na starym ogromne wrażenie. Chociaż doskonale panował nad sobą, nie był w stanie ukryć przyspieszonego oddechu. Odruchowo zacisnął też ręce na polach swojego kaftana.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Każ tu przyjść żołnierzowi, który rozmawiał z posłańcem. Sam czekaj pod drzwiami, aż cię zawołam.

Pacholek prawie wybiegł z komnaty. Zamknął za sobą drzwi i otarł czoło rękawem płóciennej koszuli. Gdyby nie to, że miał na utrzymaniu czworo młodszego rodzeństwa, nigdy nie wstąpiłby na służbę do zamku. Służył Orinowi już rok, mimo to nigdy nie mógł opanować lęku na widok przygarbionego władcy zamku i z trudem poruszającego się złego starca. Obaj przypominali mu opowieści o Wielkim Koniuszym Cesarstwa, którymi straszyla go matka, gdy był mały i coś zbroił.

Odetchnąwszy, puścił się schodami na dół. Wyskoczył na obszerny, zaśmiecony dziedziniec i pobiegł w stronę murów, gdzie w pobliżu metalowej konstrukcji widać było dwie postacie. Krzyknął do nich i po chwili obok niego stanął jeden z wartowników. Pacholek powtórzył rozkaz Starego Człowieka i żołnierz, wzruszywszy ramionami, ruszył w kierunku zamkowej baszty.

Kiedy wszedł do komnaty, Stary Człowiek sprawiał wrażenie, jakby spał. Siedział dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej zostawił go sługa. Miał zamknięte oczy. Oddychał głęboko. Po komnacie rozchodził się cierpki zapach trachty.

- Wzywałś mnie - powiedział żołnierz bez zbytej uniżoności.

Należał do tych ludzi, których na służbę Gretowi Odnowi oddała babka i mniej niż inni obawiał się starucha oraz tego wszystkiego, co działo się w Guaro-nie. Jednak gdyby mógł wybierać, wolałby w ogóle nie rozmawiać ze starym.

Na dźwięk jego słów Stary Człowiek otworzył oczy.

- Opisz człowieka, który to przyniósł - zaskrzeczał, wskazując na tubę i pergamin.

Żołnierz, wzorem doskonale wyszkolonych gwardzistów cesarskich, nie zawahał się ani chwili.

- To był mężczyzna czterdziestoletni, wysoki, miał włosy splecione w warkoczyki, tak jak nosi tutejszy lud. Ubrany w koszulę i skórzany kaftan. Nie zauważyłem żadnej broni.

- Był konno? - zapytał Stary Człowiek. - Mów dokładnie o wszystkim, co widziałeś.

- Nie - odrzekł żołnierz - ciągnął ze sobą ręczny wóz, taki jak mają sprzedawcy wina. Nie wpuściłem go na platformę, tylko sam zjechałem na dół. Zobaczyłem!" więc wyraźnie, że w wozie znajdowały się ustawione w rzędy tuby, podobne do tej - spojrzał na stolik. \_ Obok nich leżała skórzana torba, pełna pergaminów. Ten człowiek wyjaśnił mi, że jego mistrz, Ugar, dopiero co przyniósł się do Omorgu z Orestii i dzisiaj kazał mu rozwieźć po najzależniejszych domach grodu próbki swojego wina. Dodał też, że wino jego mistrza jest znacznie lepsze od tych, które można dostać w Omorgu, i dlatego spodziewa się, że zdobędzie wiele zamówień. Ale tak mówią oni wszyscy - dodał, widząc, że stary słucha jego opowieści bardzo uważnie.

- Mówisz, że miał przy sobie torbę pełną pergaminów... - powiedział Stary Człowiek, zastanawiając się nad czymś.

- Tak - przytaknął żołnierz.

- Czy w jakiś sposób wybierał ten, który ci podał? - indagował dalej stary.

- Nie. Wziął pierwszy z brzegu.

- Czy to samo mógłbyś powiedzieć o tubie z winem?

Wszystko jasne, przemknęło przez myśl żołnierzowi, staruch obawia się trucizny. Gdybym był na jego miejscu, bałbym się nawet pić wodę, którą własnoręcznie zacerpnałbym ze studni!

- To samo. Wybrał ją ze środka rzędu, na chybił trafił.

Stary Człowiek odczekał parę chwil, udając, że się zamyśla.

~ Dobrze - powiedział wreszcie - możesz odejść.

Kiedy za żołnierzem zamknęły się drzwi, stary wyprostował się i uśmiechnął. Dobrze, powtórzył w duchu, <sup>ten</sup> głupiec rozniesie teraz naokoło, że boję się otrucia. A tymczasem zdradził mi wszystko, czego chciałem się dowiedzieć. I to nie mając o tym zielonego pojęcia. Dostawca wina Ugar z Orestii! Nie może być mowy o pomyśle.

Zresztą, myślał dalej, zbliżając rękę do wysokiej na dwie stopy tuby i gładząc ją opuszkami palców, zaraz się przekonamy.

Zaklaskał w dłonie z siłą, której trudno było się spodziewać po jego wątłym ciele.

- Idź do mojej komnaty - rzekł na widok stojącego w drzwiach pacholka - i przynieś okutą żelazem skrzynkę, która stoi na stoliku pod oknem. Ruszaj się! - warknął, mimo że w tym samym momencie kroki chłopaka zadudniły na schodach.

Oczekując na powrót sługi, Stary Człowiek wziął do rąk bułkę i urwał kawałek. Podniósł go do ust i zaczął powoli żuć. Nalał do kubka trachty, po czym wypił łyk, nie czując w ogóle smaku. Nie odrywał oczu od tuby i pergaminu, jakby chciał przeświecić oba przedmioty wzrokiem.

Kiedy zziąjany pacholek pojawił się znów w komnacie, stary kończył właśnie bułkę. Spojrzał na skrzynkę, wąską, długą na trzy stopy i tak samo wysoką, którą trzymał w rękach spocony sługa. Zauważył pytający wzrok chłopaka i kiwnął głową.

- To ta - powiedział. - Postaw ją na stole i zabierz jedzenie.

Chłopak czym prędzej chwycił tacę z pozostałymi bułkami oraz dzbanek z trachtą. Stary poczekał, aż sługa zamknie za sobą drzwi, po czym - nie spiesząc się - sięgnął do kieszeni kaftana i wyjął pęk kluczy. Dług<sup>0</sup> między nimi przebierał. W końcu podniósł jeden na wysokość oczu i odwrócił się w kierunku okna. Przyjrzał się uważnie kawałkowi żelaza. Ten, zadecydował i włożył klucz do zamka. Po chwili w komnacie dał się słyszeć szcęk metalu.

Stary Człowiek spojrzął na drzwi, jakby chcąc się upewnić, że rzeczywiście są zamknięte. Ustawił skrzynkę przed sobą w taki sposób, że nawet gdyby ktoś nagle wszedł do komnaty, nie zdołałby dostrzec jej zawartości. Następnie powoli podniósł wieko.

Były tam długie i wąskie metalowe rurki, podobne do tych, jakich używają Hordzi, rozmaitej wielkości koła zębate, sprężyny, kawałki blachy oraz wiele innych przedmiotów. Stary Człowiek objął to wszystko szybkim spojrzeniem, po czym wyjął kawałek grubej skóry z dwoma niewielkimi otworami. Następnie odszukał dwie rurki, krótszą i dłuższą. Obie były wygięte pod kątem dziewięćdziesięciu stopni - krótsza w połowie długości, dłuższa w jednej trzeciej. W odróżnieniu od pierwszej, końcówka drugiej rurki zwiężała się w stożek.

Starzec zatrzasnął wieko skrzynki i zamknął zamek. Klucze ponownie schował do kieszeni.

Nie było na co czekać. Podniósł wreszcie tubę z winem Ugara z Orestii i delikatnie ją odkorkował. Natychmiast poczuł aromat doskonale doprawionego korzennego likworu. Tylko największy znawca win wyczułby w bukacie zapachów, który rozniósł się po komnacie, coś niepokojącego. Największy znawca lub utalentowany alchemik.

Równie wolno Stary Człowiek wziął podziurawiony kawałek skóry i zaczepił go na końcu tuby z winem. Dziwna rzecz - oba te przedmioty pasowały do siebie jak ulał. Następnie przez otwory w skórze wsunął do środka obie rurki. Delikatnie poruszył dłuższą, upewniając się, że zanurzyła się w cieczy. Odstawił tubę na stół i złamał pieczęć chroniącą pergamin. Szybko przeczytał krótki, kilkudzaniowy list, polecający dziedzicowi rodu Orinów, władcy wspaniałego zamku Omorg, wyroby jego pokornego sługi, Ugara z Orestii.

Stary Człowiek zauważył, że pismo znajdowało się dokładnie na środku pergaminu, pozostawiając na górze i na dole sporo wolnego miejsca. Wiadomość najwyraźniej ma dwie części, ale czy do obu dostałem klucz? - pomyślał zaniepokojony.

Położył pergamin na stoliku i wziął do prawej ręki tubę w ten sposób, że kciukiem, palcami wskazującym i środkowym przytrzymał rurki. Lewą dłoń zacisnął na tubie. Następnie zbliżył urządzenie do pergaminu tak, by zwiężająca się końcówka była blisko papieru. Pochylił się. Ostrożnie dotknął ustami krótszej rurki i dmuchnął przez nią. Dało się słyszeć ciche syknięcie i na pergaminie pojawił się delikatny osad, składający się z rozpylonych kropelek wina. Stary Człowiek przesunął tubę w bok i znów delikatnie dmuchnął. Powtórzył tę czynność jeszcze kilka razy.

Ostrożnie odłożył pergamin na stół i zamknął oczy. Zaczął odliczać w myślach. Jednocześnie przyszło mu do głowy, że oto skorzystał z jednego z pomysłowych wynalazków Hordów. Gdyby któryś z mieszczan Omorgu zdecydował się wypróbować wyroby Ugara z Orestii i gdyby kropla korzennego wina upadła przypadkiem na pergamin, nic by się nie wydarzyło. Aby zaszła odpowiednia reakcja, kropelki wina należało nanieść na pokrytą tajemnym pismem powierzchnię, rozpyliwszy je uprzednio za pomocą znanego tylko Hordom urządzenia. Hordom i ich najbliższym przyjaciółom.

Doliczywszy do pięćdziesięciu, stary otworzył oczy i chwycił list. Po rozpylonym winie nie było już śladu, natomiast nad pismem Ugara z Orestii pojawiły się jeszcze jakieś słowa. Stary odwrócił się do okna i z trudem odcyfrował niezbyt długie zdanie.

*Staruszkule!* - głosił tekst napisany innym charakterem pisma niż znajdujące się poniżej słowa Ugara. - *Jeśli chcesz uratować swojego pana, musisz wreszcie wymyślić, jak za pomocą soku z dronów, sproszkowanego korzenia krytu i mechatki zbliżyć się do konarów Łotra.*

Pod spodem znajdowała się tylko jedna litera -duże T.

Stary Człowiek przeczytał to zdanie kilkakrotnie, czując, jak wzbiera w nim gniew. W końcu rzucił pergamin na stół, po czym uderzył w niego z całej siły pięścią. Natychmiast otworzyły się drzwi i pojawił się w nich przestraszony sługa. Na jego widok staruch wpadł w prawdziwą furję.

- Precz! - wrzasnął, plując śliną.

Drzwi natychmiast się zatrzasnęły.

Stary odwrócił się do okna i z najwyższym trudem starał się opanować. Przez głowę przebiegało mu mnóstwo myśli, z których większość dotyczyła najbardziej wymyślnych cierpień, jakich w tym momen-<sup>C1</sup>e życzył Tomowi. Ten przeklęty wyrzutek skorzystał<sup>2</sup> <sup>Urf</sup> iówionego sposobu komunikacji, by okrutnie za-<sup>k</sup>Pić ze Starego Człowieka.

Torn, gdy jeszcze należał do Gildii, był jednym z jej najbardziej utalentowanych alchemików. Kiedy Stary Człowiek przebywał w Hroście, pracował z nim wielokrotnie. Były Hord był nawet dla niego kimś w rodzaju przewodnika po zawikłanych ścieżkach alchemii. To on wskazywał Staremu Człowiekowi kierunki, w których tamten powinien podążać, i problemy, jakie powinien zgłębić. Przez pewien czas stosunek, jaki wywiązał się między nimi, przypominał stosunek mistrza i ucznia. Oczywiście nie bardzo odpowiadało to słudze Orinów. Torn dostrzegał to i nie wahał się dawać staremu do zrozumienia, że jest jeszcze wiele spraw, o których tamten nie ma pojęcia.

Tuż przed przybyciem do Omorgu Greta Orina Staremu Człowiekowi wydawało się, że już niemal dorównuje Tomowi. Niestety, właśnie wtedy zmuszony był przerwać swoje eksperymenty i opuścić Hrost. Później dowiedział się o losie Torna z listów hrabiego Omorg. Jego pan zakazał mu jednak opowiadać Gretowi o Tor-nie, do czasu, aż ten sam o niego spyta. Stary Człowiek nie rozumiał tego polecenia, ale go przestrzegął. Teraz żałował swojej lojalności. Ten wściekły Hord wart jest naprawdę, by go wydać Gildii.

*Jeżeli chcesz uratować swojego pana...* - napisał. Ale Orinowi nic nie groziło, gdy opuszczał miasto! Jeśli więc znajduje się w jakichś tarapatach, to najpewniej winny temu jest sam Torn.

Najgorsza była jednak druga część listu. *Musisz wreszcie wymyślić, jak za pomocą soku z dronów, sproszkowanego korzenia krytu i mechatki zbliżyć się do konarów Łotra.* Zaledwie Stary Człowiek przeczytał te słowa, od razu zrozumiał, że ponownie dostał od Torna do rozwiązania zagadkę, nad którą biedził się, gdy po raz ostatni przebywał w pracowniach alchemicznych w Hroście. To była ostatnia rzecz, którą Torn kazał mu przygotować - mocny narkotyk, mający jednocześnie zdolność do reagowania z umieszczonym na pergaminie sokiem z trachu. Sługa Orinów nie miał wątpliwości, że właśnie w ten sposób Torn zaszyfrował kolejną część wiadomości, która musi znajdować się pod słowami Ugara.

Problem polegał na tym, że Stary Człowiek do dziś nie zdołał rozwikłać zagadki. Nie udało mu się przygotować narkotyku, który pozwalał odcyfrować zapisane za pomocą soku z trachu słowa. W dniu, gdy był bliski sukcesu, przyjechał goniec hrabiego Omorg, z rozkazem natychmiastowego powrotu na zamek.

Stary wyprostował się w wytartym fotelu i zacisnął pięści. Co do jednego nie miał wątpliwości - ma mało czasu. Co prawda Torn nic o tym nie wspomniał, ale sługa Orinów wyczuwał, że były Hord daje mu jeszcze coś do zrozumienia. Liczy się każda godzina. A to oznacza, że chwilowo trzeba odłożyć na bok wszelkie marzenia o zemście.

Oczy starego błyszczały, gdy zaklaskał mocno w dłonie. Na pewno da radę. W ciągu kilku minut zdołał sobie przypomnieć mnóstwo szczegółów. Ten specyfik wcale nie był skomplikowany, tylko trzeba wykonać serię doświadczeń i dobrać odpowiednie proporcje składników. O ile pamięta, część z tych doświadczeń już wykonał. Jeśli tylko sięgnie do swoich starych zapisków, będzie <sup>w</sup>iedział, ile jeszcze kombinacji zostało do sprawdzenia.

W którymś momencie z gotującego się wywaru uniesie się niebieskawy dym, co będzie oznaczało, że narkotyk jest gotowy A wtedy ten przeklęty list przemówi do końca.

Stary Człowiek spojrział na kulącego się przy drzwiach pachółka.

- Szybko! - krzyknął. - Zawołaj wszystkich! Idźcie do komnaty, gdzie kiedyś znajdował się mój warsztat. Starsi wiedzą, gdzie to jest. Zaraz dam ci klucz - sięgnął do kieszeni - przynieście mi tu wszystko, począwszy od stołu, a skończywszy na najmniejszym flakoniku. Jeśli któryś coś stłucze...! Wołaj też żołnierzy, niech gotują się do drogi. I wynajmijcie powóz. Wszystko ma czekać w pogotowiu! Zrozumiałeś?

Chłopak wyskoczył z komnaty.

Stary Człowiek wziął feralny pergamin i zbliżył go do oczu.

Jl|hj ażdy, kto w słoneczny dzień miał okazję przecha-**HH**|**M** dzać się po tarasach pięknych pałaców Omorgu

IjL< i przynajmniej na chwilę zatrzymał się, spoglądając na wschód, na linii horyzontu mógł dostrzec ciemny punkt, wyraźnie widoczny na tle łagodnych wzgórz. Był to Kreg, niewielki, ale dobrze ufortyfikowany zamek, położony na rozległym wzniesieniu.

Dla mieszkańców Omorgu było to ważne miejsce - Kreg znajdował się w połowie drogi między górskim grodem a Hrostem, owianą legendami siedzibą Gildii Hordów. Każdy, kto podróżował szlakiem między Omorgiem a Hrostem, zatrzymywał się na nocleg w Kregu.

Zamek był siedzibą Drumenów. Był to miejscowy ród rycerski, mało popularny w Gruaronie. Trzeba było odkurzyć wiele tomów miejskich ksiąg, by wśród radców Omorgu odszukać jakiegoś Drumena. Po części przyczyniały się do tego cechy charakteru panów na Kregu. Wszyscy Drumeni byli milczący i posępni. Zwykli żenić się z prostymi kobietami z okolicznych sadyb trynow, a swoje córki oddawali trynom za żony. W pałacach Omorgu mówiono, że wprawdzie w żyłach Drumenów płynie świeża krew, ale w tej krwi pozostały zaledwie ułamki szlachectwa.

Prawdziwą niechęć do Drumenów budziło jednak co innego. Otóż był to jedyny ród w Omorgu i okolicach, który publicznie uznawał zwierzchnictwo panów na zamku

Omorg. Drumeni pamiętali, że cały górski gród i okoliczne ziemie od wielu setek lat są własnością Orinów. Do włości Omorg należał również Kreg i jak dotąd nie urodził się żaden Drumen, który pozwoliłby tytułować się głośno „panem na Kregu”. Drumeni byli jedynie dzierżawcami zamku. Nie wahali się przypominać o tym nawet najznamienitszemu gościowi, jeżeli ten pomylił się w tytułaturze.

W Omorgu nie wiedziano, skąd wzięło się to przywiązanie do Orinów. Ci ostatni, prawdę powiedziawszy, najczęściej nie zdawali sobie nawet sprawy, że mają w Dolinach Gruaronu tak wiernych i oddanych wasali. Bliższe stosunki z Drumenami nawiązał dopiero poprzedni władca zamku Omorg, Wielki Koniuszy Cesarstwa. W czasie pierwszych dwóch lat jego pobytu w górskim grodzie Drumeni byli częstymi gośćmi Ori-na i jego żony. Po jej śmierci Drumeni ponownie zaszyli się w swoim zamku. Ich krótka zażyłość z Wielkim Koniuszym miała jednak wymierny skutek - w latach, które przyszły później, oni jedni nie byli narażeni na alchemiczne szantaże Starego Człowieka.

Utrzymanie, a także pewną pozycję w okolicach Omorgu Drumeni zawdzięczali tylko i wyłącznie położeniu Kregu. Wszyscy udający się w interesach do

Hordów, chcąc nie chcąc, zatrzymywali się u nich na noc. Drumeni chętnie użyczali podróżnym swoich komnat bądź stajni, niewiele żądając od bogatych, ale bezlitośnie zdzierając z biedaków.

I jedni, i drudzy nie mieli wyjścia. W miesiącach zimowych Kreg był jedynym miejscem, gdzie można było przespać kilka godzin w cieple, nie obawiając się przy tym, że zostanie się porwanym przez grychty. Podróżnych ścigała też do Kregu dyskrekcja Drumenów. Ród ten nie znał co prawda sztuki uprzejmej konwersacji, ale też przyjezdny nie musiał się lękać, że gospodarze zasypią go pytaniami, kim jest, skąd przybywa i dokąd podąży. Tego rodzaju kwestie w ogóle Drumenów nie obchodziły.

Ich zamek był niewielki, dlatego też przyjmowali na zimę jedynie kilka spokrewnionych rodzin trynow. Od tej zasady nie było wyjątków. Nawet tej jesieni, na wieść o przedwczesnym pojawieniu się grycht, najstarszy z Drumenów, Hott, rozkazał sługom natychmiast zatrzasnąć bramę. Następnie wysłał jednego z synów na mury. Abot Drumen miał informować wszystkich przybyszy, że, tak jak w poprzednich latach, schronienia na <sup>Z</sup>łnę muszą szukać gdzie indziej.

W ciągu kilkunastu godzin chłopak ten nasłuchiwał się więcej zaklęć i złorzeczeń niż niejeden radca miejski, <sup>^</sup>ale, jakie przed nim wylewano i przekleństwa, jakie <sup>Cl</sup>skano na jego głowę, niejednego doprowadziłyby do rozstroju nerwowego. Jednak młody Drumen był nieodrodnym synem swojego ojca. Skargi sąsiadów nie dobiły na nim żadnego wrażenia i nie zdołały skruszyć J<sup>e</sup>go obojętności.

Następny ranek ponownie zastał Abota Drumena na murach.

Chłopak był, podobnie jak jego ojciec, niski, ale mocno zbudowany, o szerokich ramionach. Jak wszyscy Drumeni miał ciemne oczy i włosy, które strzygł krótko, odróżniając się w ten sposób od noszących warkoczyki trynów.

Tego dnia pod murami Kręgu pojawiało się znacznie mniej ludzi. Wśród okolicznych sadyb rozniosła się już wieść, że również w tym roku biedacy nie mogą liczyć na miłosierdzie Kręgu. Od czasu do czasu do zamku zbliżała się jakaś wyjątkowo uboga rodzina, której nie stać było na opłaty ściągane na rogatkach Omorgu. Abot cierpliwie i w milczeniu znosił błagania kobiet i widok podnoszonych na rękach dzieci, nad którymi miał się ulitować. Dopiero wtedy, kiedy czuł, że siły biedaków są już na wyczerpaniu, krótko i dobitnie rozkazywał wszystkim iść precz. Zmęczeni bezowocną walką ludzie poddawali się jego słowom jak wyrokowi i wkrótce ginęli Abotowi z oczu. Kiedy tylko ich głosy przestawały zakłócać ciszę, zapominał o ich istnieniu.

Koło godziny dziesiątej, kiedy Drumenowi wydawało się, że może już zejść z posterunku, na horyzoncie pojawiło się kilka postaci. Abot zmarszczył brwi, ale przyjrząwszy się uważniej majaczącym na horyzoncie sylwetkom, uspokoił się i nawet ucieszył.

Dwa dni wcześniej, jeszcze przed nadejściem grycht, Hott Drumen wysłał do Omorgu pachołków, zlecając im kupno sukna i żywności. Powinni byli wrócić wczoraj, spóźnienie zaś - usprawiedliwione w pewnych okolicznościach - wobec ostatnich wydarzeń nabierało poważnego charakteru. Z krótkiej rozmowy, jaką odbył poprzedniego wieczoru z ojcem, Abot wywnioskował, że Hott mocno niepokoi się o losy posłańców. Nie dość że byli to oddani słudzy Drumenów, to jeszcze zabrali ze sobą sporo gri. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że nie tylko ludzie, ale i kilkumiesięczny zarobek mogą przepaść bezpowrotnie.

Abot, rozpoznając zaginionych pachołków, w pierwszym odruchu chciał obrócić się na pięcie i pobiec zawiadomić ojca.

Spojrzał jednak jeszcze raz na zbliżającą się grupę i zauważył coś, co zatrzymało go w miejscu. Hott Drumen wysłał do Omorgu czterech uzbrojonych służących, dając im wóz i dwa konie. Tymczasem teraz Abot widział w oddali cztery sylwetki, podskakujące na wybojach wóz i trzy konie. Mocno się zdziwił. O ile wiedział, ojciec nie polecił sługom kupować dodatkowego wierzchowca.

Zszedł na dół i rozkazał podnieść bramę. Dwaj wartownicy, wywodzący się - podobnie jak większość służby - z sadyb trynów spokrewnionych z Drumenami, od razu chwycili za korbę.

Kiedy tylko żelazna brama uniosła się, Abot wyszedł na zewnątrz. Zbliżający się słudzy zauważyli go natychmiast. Jeden z nich puścił się biegiem w stronę swojego młodego pana.

- Nie mogliśmy... wczoraj... nic kupić w Omorgu... - wydukał przerywanym z wysiłku głosem. - Z powodu przekleństwa... w grodzie zapanowało takie zamieszanie, że... prawie wszyscy handlarze pozamykali kramy... Nawet ci, którzy nas znają, nie chcieli nam nic sprzedać, tłumacząc się, że mają za mało towaru...

- Co to za koń? - przerwał mu Abot, wskazując w kierunku zbliżających się ludzi.

Obok dwóch zaprzężonych do wozu pospolitych juczych koników stapał czarny wierzchowiec, co chwila strzygąc uszami i rozglądając się naokoło.

- Nie dalej jak kilkanaście minut stąd, tuż przy trakcie zobaczyliśmy tego rumaka - opowiadał sługa. - Ktoś przywiązał go za uzdę do drzewa. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że obok w krzakach ktoś leży. Myśleliśmy, że to ofiara grycht...

Abot przerwał mu machnięciem ręki. W czasie gdy sługa mówił, wpatrywał się z uwagą w pięknego konia. Przez chwilę wydawało mu się, że już go kiedyś widział. Ruszył szybko w stronę zbliżającej się grupy.

Pozostali słudzy zatrzymali się i pochylili. Abot nie spojrział na nich, tylko od razu podszedł do wozu. Pachołkowie spostrzegli, że na jego twarzy pojawił się szczególny wyraz. Abot Drumen wyglądał na przestraszonego.

- Żyje? - zapytał cicho, wskazując na postać, leżącą na starannie ułożonych tobołkach i przykrytą kawałkiem sukna.

- Tak - odpowiedział jeden ze sług. - Ale nie wiemy, co mu jest. Wygląda tak, jakby spał. Jednak nie sposób go dobudzić.

Abot milczał, przyglądając się leżącemu na wozie mężczyźnie. W końcu jego wzrok zatrzymał się na dłoni śpiącego, ozdobionej wspaniałym pierścieniem. Drumen pochylił się i pociągnął sukno tak, że zasłoniło zarówno rękę, jak i pierścień.

- Ruszajcie - powiedział.

Sam zbliżył się do przywiązanego do wozu czarnego rumaka, odwiązał go i ostrożnie poprowadził za sługami.

Kiedy stanęli na dziedzińcu Kręgu, w jednym z okien zameczku Abot dostrzegł twarz Hotta Drumena. Odwrócił się.

- Zanieście go do najlepszej komnaty - rozkazał, spoglądając na wóz. - A ty - rzekł do sługi, który uprzednio wybiegł mu naprzeciw - zawiadom mojego ojca.

Najlepsza komnata Kręgu, jak ją nazwał Abot Drumen, przeznaczona była dla najznamienitszych gości. Znajdowały się w niej sprzęty pochodzące daleko spoza Dolin, luksusowe i doskonale utrzymane. Fotele z Wurgii, wyrabiane przez najrzęczniejszych cieśli w Cesarstwie, miały nowiutkie aksamitne obicia. Na wspaniałym łożu z baldachimem leżała śnieżnobiała pościel. Podłoga wyłożona była marmurowymi płytami, a sufit zdobiły malowidła, wyobrażające Olefa składającego na wzgórzach Seren przysięgę Dwustu Dni. Wszystko to robiło niemałe wrażenie na przyjeźdźnych, którzy, oceniając Kreg z zewnątrz, nie spodziewali się w środku ani przepychu, ani nawet podstawowych wygód. Jednak niewielu z nich miało okazję zachwycić się "najpiękniejszym pomieszczeniem zameczku. Komnata otwierana była zaledwie kilka razy do roku.

Hott Drumen zdziwił się więc, kiedy usłyszał od słu-8<sup>1</sup><sup>ze</sup> jego syn kazał zanieść nieprzytomnego mężczyznę właśnie do tego pokoju. Zamyślił się na moment, po czym, nie starając się wcale przeniknąć zagadki, udał się prosto do pokoju, w którym byli nieznajomy i Abot.

Wewnątrz zastał syna pochylonego nad leżącym na szerokim łożu mężczyzną. Nie na darmo Drumeni opisywani byli jako ludzie mało popędliwi - Hott statecznie wkroczył do komnaty, poczekał, aż sługa zamknie za nim rzeźbione drzwi, po czym powoli zbliżył się do łóżka. Nie powiedział ani słowa do Abota, który wyprostował się na jego widok, tylko wyminął go i zatrzymał przy wezgielciu. Jeden rzut oka na leżącego w białej pościeli, miarowo oddychającego człowieka, wyjaśnił mu zachowanie syna. Ale też to, co zobaczył, zaskoczyło go do tego stopnia, że Hott Drumen, mimo całej wrodzonej flegmatyczności, nie zdołał powstrzymać cichego okrzyku:

- Hrabia Omorg!

Abot przyjrzał się spokojnej, uśpionej twarzy Gre-ta Orina.

- Wygląda na to, że kilka godzin temu podano mu silny środek nasenny. W oddechu wyraźnie czuć ziele narji. Kazałem już sporządzić wywar z trachty.

Hott pochylił się nad Orinem i delikatnie wciągnął powietrze. Odwrócił się do syna i skinął głową. Obaj Drumeni podeszli do okna.

Czekając, obaj myśleli o tym samym. Jak to się stało, że pan na Omorgu znalazł się nieprzytomny na gościńcu?

Po jakichś dziesięciu minutach w drzwiach komnaty pojawiła się kobieta, niosąc przed sobą tacę, na której stał porcelanowy dzbanek i filiżanka. Abot Drumen wskazał jej gestem stolik przy łóżku. Obaj mężczyźni zaczęli czekać, aż za służącą zamkną się drzwi, po czym Hott podniósł dzbanek i ostrożnie nalał trochę trachty do filiżanki. Następnie przysiadł na samym brzegu łoża i dał znak. Abot uniósł lekko głowę ich pana. Wtedy starszy z Drumenów wziął filiżankę i zbliżył ją do nosa Orina. Wydawało się, że powieki śpiącego drgnęły. Hott odczekał chwilę, po czym wlał do ust Orina mały łyk trachty.

Orin westchnął głęboko, ale się nie obudził. Hott Drumen policzył w myślach do dziesięciu, a potem znów napał śpiącego trachtą. Tym razem Gret Orin poruszył się niespokojnie.

- Jeszcze łyk - nie wytrzymał Abot.

Ojciec skarcił go wzrokiem.

- Odejdź - powiedział i lekko odepchnął syna. Sam podtrzymał głowę Orina, dając mu do picia resztę trachty.

Gret Orin otworzył oczy. Powoli rozejrzał się dookoła. Wzrok miał zamglony. Hott przyjrzał mu się uważnie i nalał do filiżanki kolejną porcję trachty.

- Wypij to - powiedział cicho, podając Orinowi naczynie i cofając się parę kroków.

Pan na Omorgu odruchowo podniósł się, opierając na łokciach, wziął do ręki filiżankę i przysunął ją do ust. Zawahał się, jakby coś sobie przypominając, ale w tym momencie poczuł charakterystyczny zapach trachty. Jednym haustem wypił orzeźwiający napój.

Sylwetki, jakie widział przed sobą, wydały mu się znajome. Zmrużył oczy, ale zanim zdążył powiedzieć choć słowo, na znak dany przez Hotta obaj Drumeni przykleknęli na jedno kolano.

- Twoi słudzy - powiedział Hott Drumen, dotykając wierzchem dłoni podłogi.

Abot powtórzył jego gest, a potem wstał i wyszedł.

Pan na Omorgu obserwował ich uważnie. Gdy za młodszym Drumenem zamknęły się drzwi, usiadł na łóżku. Jednym spojrzeniem objął piękną komnatę.

- Kreg - powiedział głośno. Zdziwiło go brzmienie własnego głosu. Był mocno zachrypnięty. - Wstań -zwrócił się do Drumena, który nadal klęczał przed nim z pochyloną głową.

Hott Drumen podniósł się, jednak nie wyprostował do końca.

Gret Orin, nie spiesząc się, sięgnął po dzbanek z trachtą i nalał sobie kolejną filiżankę. Wypił ją równie szybko jak poprzednią. Przypomniał sobie kamienną grootę ze szklaną podłogą i skulonego na wózku starca, manipulującego przy wmurowanych w ścianę pieczary dźwigniach. Na wspomnienie Torna aż się wzdrygnął. Owoce dronów były jednak zatrute! Ale przecież żył i nawet nie czuł żadnego bólu. Co się stało? I jakim sposobem znalazł się w Kręgu?

Spojrzał pytająco na Drumena.

- Słudzy wracający z Omorgu znaleźli cię przy trakcie nie dalej niż o godzinę drogi stąd. Twój wierzchowiec przywiązany był do drzewa. Ktoś dał ci środek nasenny z ziele narji.

Gret Orin zastanowił się.

- Jaki mamy dzisiaj dzień? - zapytał.

Jeżeli Hotta Drumena zaskoczyło to pytanie, nie dał tego po sobie poznać.

- Ósmy dzień miesiąca Lorii, dwudziesty dzień przed przesileniem jesiennym.

- Zbliża się południe, prawda? - Orin spojrzął w kierunku okna, przez które do komnaty wpadały rażące promienie słońca.

- Tak - potwierdził Drumen. Orin pokręcił lekko głową.

Widział Torna wczoraj wieczorem. Kiedy razem z trynem z Waru wspinali się na skalną półkę, zachodziło słońce. A więc od czasu, kiedy rozmawiał z byłym Hordem, nie minęło więcej niż piętnaście godzin! Oznacza to, że ktoś musiał przewieźć go z Waru nocą, spiesząc się przy tym i ryzykując spotkanie z grychta-mi. Najbardziej jednak zdumiewał Orina fakt, że znalezienie się w Kręgu odpowiadało jego planom. Przecież po wyjściu od Torna sam przyjechałby właśnie tutaj, kierując się prosto do Hrostu.

Z zamyślenia wyrwało go dokuczliwe swędzenie. Władca zamku Omorg podciągnął odruchowo rękaw kaftana i zobaczył, że całe prawe ramię ma pokryte niewielkimi czerwonymi krostami. Skrzywił się i nie zważając na Drumena, ściągnął kaftan. Podobne zaczerwienienia zobaczył na lewym ramieniu, na klatce piersiowej, a nawet na nadgarstkach.

- Nie mogłem leżeć tam długo, a jednak już zdążyły P°kąsać mnie wądki - mruknął cicho do siebie.

W lecie i na jesieni robactwo mocno dawało się we znaki mieszkańcom Guaronu. Wądki, niewielkie insekty przypominające występujące na Ziemiach Zachodnich mrówki, stanowiły jedną z najbardziej zniechęcających plag.

- Każę przynieść maść na ugryzienia - powiedział Hott Drumen.

- Dobrze - rzekł Orin - i przyslij mi coś do jedzenia. Zajmijcie się też moim koniem. Nie zabawię długo.

Po odejściu Drumena Orin zamyślił się.

Postępowanie Torna w czasie wczorajszego spotkania stanowiło dla niego zagadkę. Były Hord bez wahania zdradził mu tajemnice Gildii, jednocześnie od samego początku podsuwając zatruty poczęstunek! Jeszcze dziwniejsze były ostatnie słowa Torna, które Gret Orin przypominał sobie teraz dokładnie. Starzec na wózku groził mu i zarzucał głupotę. Mówił, że Orin nie powinien spodziewać się, że poznawszy tajemnice Hordów, zostanie puszczony wolno. A jednak... Torn nie zatrzymał go i nawet kazał przewieźć nieprzytomnego w pobliże Kręgu. Orin domyślał się, że rozkaz wykonali tryni z Waru, całkowicie oddani wyrzutowi.

Dlaczego Torn postąpił w ten właśnie sposób? Może po sparaliżowaniu Orina przypomniał sobie, co zawdzięcza jego ojcu, i zmienił zdanie?

Gret Orin odwrócił się od okna i zbliżył do łóżka. Wziął z pościeli swój lekko ubrudzony kaftan i odwrócił go na prawą stronę. Uważnie obejrzał go, badając rękami wpierw kieszenie, a potem każdy szew i

każdą

zmarszczkę. Następnie przyjrzał się swoim spodnio<sup>^</sup> i butom. W końcu wzruszył ramionami. Czy naprawdę spodziewał się, że coś znajdzie? Dlaczego Torn miałby ukrywać coś w jego stroju?

Rozległo się głośnie pukanie i w drzwiach pojawił się sługa Drumenów. Podał Orinowi niewielki szklany pojemniczek, zatkany szczelnie korkiem. Gret Orin odprawił go ruchem ręki, po czym wyciągnął korek i krzywiąc się mocno, natarł sobie ramiona i klatkę piersiową cuchnącą maścią. Po dokonaniu tej operacji czym prędzej zakorkował pojemnik i nałożył kaftan. Odetchnął z ulgą, pieczenie ustąpiło.

Zaczął krążyć po komnacie, wpatrując się w ułożone na podłodze marmurowe płyty.

Czy istnieje jakieś sensowne wytłumaczenie postępowania Torna? Chciał mu pomóc? Dlaczego w takim razie sparaliżował go i straszył? Zmienił zdanie? I to do tego stopnia, że aż kazał zawieźć go do Kręgu? Tylko założenie, że Torn to kryjący się w górskiej samotni kapryśny szaleniec, mogło uzasadnić wydarzenia poprzedniego wieczora. Ale takie wyjaśnienie nie trafiało do przekonania Orinowi.

Po chwili pan na Omorgu wzruszył ramionami. Być może przyjdzie taki moment, że zrozumie zachowanie byłego Horda. Na razie z całej tej przygody wynika niezbicie tylko jedna rzecz - jeżeli ma jechać do Hrostu, musi się przygotować znacznie lepiej, niż przygotował <sup>S1</sup>C do spotkania z Tornem. Hordzi są niebezpieczni. Tymczasem on ma przecież zamiar zmusić ich szantażem, by pozwolili mu skorzystać z Wielkich Seren, jeśli <sup>te</sup> faktycznie istnieją. Musi więc przedsięwziąć szczególne środki ostrożności i tym razem nie wolno mu po-P<sup>^</sup>nić błędu.

Podszedł do łóżka i pociągnął znajdujący się u wezłowia sznurek. Niemal w tej samej chwili do komnaty wszedł Hott Drumen. Orin pomyślał, że mężczyzna musiał czekać pod drzwiami.

- Przynies mi coś do pisania. Czekaj - dodał, zauważywszy, że Hott zamierza opuścić komnatę. - Zaraz wyjeżdżam do Hrostu. Potrzebuję dwóch żołnierzy i... - zawahał się - twojego syna, Abota. Może mi towarzyszyć?

- Jak długo zechcesz - odpowiedział krótko Drumen.

Kilka minut później do komnaty weszło trzech służących. Jeden niósł przybory do pisania i papier. Dwóch pozostałych trzymało niewielki stolik, nakryty i zastawiony pełnymi półmiskami. Orin usiadł na krześle przysuniętym mu przez pachołka. Zaczął szybko jeść. Dopiero gdy nasycił głód i kiedy służy na jego znak sprzątnęli półmiski, zabrał się do pisania listów.

Pierwszy skierowany był do jego przyjaciela z czasów, gdy jeszcze miał wstęp na cesarski dwór. Przyjaciel ten, ceniony przez Tyrona Śmiałego, piastował obecnie w Vernarze wysoki urząd. Orin korespondował z nim często, zdobywając w ten sposób cenne wiadomości na temat wszystkiego, co działo się w otoczeniu cesarza. Nie miał wątpliwości, że są tam ludzie, którzy nie wahałoby się

rozpętać wojny, by zdobyć taką tajemnicę, jaką on posiadał w tej chwili. Wiedza o istnieniu noksu to majątek, który mógłby nawet zupełnie nie-znaczący ród wynieść do niespotykanej potęgi.

W krótkich słowach opisał Torna, jaskinię w środku góry, Wielkie Sereny i noks. Napisał, że nawet gdyby nie udało się odnaleźć byłego Horda, noks znajduje się najprawdopodobniej w Hroście. Dodał na końcu jylka umówionych znaków, które potwierdzały autentyczność listu.

Pismo do Starego Człowieka składało się z kilku zdań.

*Jeśli czytasz te słowa, nie czekaj na mój powrót. Przekaż drugi list na Ziemię Zachodnie. Gdyby Newia jakimś sposobem znalazła się w Omorgu, wyślij ją na zimę do Kręgu. Potem rób, co ci każe.*

Gret Orin zmrugał oczyma. Stary Człowiek odwykł od otrzymywania tego rodzaju wieści.

Zawahał się. A jeśli Newia nie trafi do Omorgu? Nie, w takim przypadku stary nie zajmie się tym jak należy.

do podróży. Gret Orin zauważył, że jeden chłopczyk, najwyraźniej odważniejszy od pozostałych, korzystając z chwili nieuwagi pacholków, podbiegł do czarnego konia i ostrożnie wyciągając rękę, pogładził delikatnie jego lśniąca sierść.

Za plecami Orina pojawił się Hott Drumen. Orin, nie spuszczać wzroku z dziecka, podał mu listy.

- Dokąd mam je wysłać?

- Zatrzymaj je dwa dni. Jeśli w tym czasie wróci twój syn, daj mu je i niech jedzie do Omorgu, do starego. Jeśli nie, po prostu je spal.

Wskazał na pokryty świeżym tynkiem krużganek i zamieciony dziedziniec.

- Wszystko w Kręgu ma się świetnie, prawda? Drumen podążył za jego spojrzeniem.

- Dzięki opiece Łotra - odpowiedział poważnie. Gret

Orin uśmiechnął się w duchu. Nigdy nie mógł zrozumieć silnej wiary w bóstwo drzew, jaką okazywali prawie wszyscy rdzenni mieszkańcy Gruaronu.

Ruszył ku schodom i szybko zszedł na dziedziniec. Hott Drumen trzymał się pół kroku z tyłu.

Na widok pana na Omorgu słudzy skłonili się. Gret Orin skinął im głową, wpatrując się w dziecko, które zachwycone pięknym zwierzęciem nie spostrzegło jego obecności. Podeszedł do malca.

- Podoba ci się? - zapytał cicho, pochylając się.

Chłopczyk podskoczył zaskoczony. Spojrzał pytająco na Hotta Drumena, który zatrzymał się tuż za nim - Pan na Kręgu dał mu znak.

- Tak - odpowiedziało dziecko, odsuwając się o krok -

- Chciałbyś mieć takiego?

Sięgnął do poprzedniego listu i dopisał do niego jeszcze kilka zdań.

Złożył starannie oba pergaminy, zapieczętował je i ruszył do drzwi. W progu obejrzał się jeszcze, po raz ostatni podziwiając piękną komnatę, jakiej na próżno byłoby szukać w jego własnym zamku.

Komnata, usytuowana na pierwszym piętrze Kręgu, wychodziła na krużganek, poniżej którego otwierał się niewielki dziedziniec. Orin podeszedł do balustrady. Oparł się o nią i popatrzył w dół.

Na środku dziedzińca kilku służących uwijało się wokół jego wierzchowca. Czarny rumak cierpliwie znosił wszystkie ich zabiegi - wycieranie, szczotkowanie, sprawdzanie podków. Obok stał drugi koń, mniejszy i nie ^ piękny, którego własnoręcznie siodłał Abot Drumen. Dwóch żołnierzy z herbem Kręgu czekało już w siodłach. Niedaleko, kryjąc się za filarami, chowało się kilkoro dzieci, przyglądając się ciekawie przygotowaniom

- Tak - rzekł pewniej malec - i jeździć jak Hordzi.

- Jak Hordzi? - powtórzył Gret Orin z niejakim zdumieniem.

- Tak - po raz trzeci powiedział chłopiec. - Chcę być Hordem i strzelać z dmuchawek.

- No - Orin wyprostował się i spojrzał spod oka na Hotta Drumena - wydaje mi się, że takie plany nie-szczególnie podobają się twojemu ojcu.

Drumen zachmurzył się. Podeszedł do malca, nachylił się nad nim i szepnął mu coś do ucha. Chłopczyk popatrzył jeszcze raz na Greta Orina i na czarnego rumaka, po czym odwrócił się na pięcie i pobiegł do kryjących się za filarami dzieci.

- Hordzi często tu nocują - powiedział cicho Drumen do pana na Omorgu, jakby się usprawiedliwiając. -A zimą zeszłego roku dzieci były na murach, gdy jeden walczył na równinie z dwiema grychtami. Od tej pory o tym opowiadają i wszystkie chcą wstąpić do Gildii.

Orin uśmiechnął się. Wskoczył na siodło. To samo uczynił Abot Drumen.

- Podnosić bramę! - krzyknął Hott Drumen do wartowników.

Żelazna krata zazgrzytała głośno. Nie minęła chwila, a czterech jeźdźców galopem wyjechało na równinę.



ii?f<sup>w0J</sup>g<sup>o</sup> przewodnika nazywamy Udul. Udu<sup>-^tt</sup>**P**<sup>w</sup> naszym języku oznacza ciemność. Udul za-

1 ^ wsze odchodzi jeszcze w nocy, przed świtem. Innym Hordom też nadajemy imiona. Często odwiedza nas Krun. Kruon to po naszymu zręczny. Pokazał kiedyś naszym mężczyznom, jak z włókien dronów wyrabiać mocne liny. Dzięki temu mogliśmy zawiesić na naszych krytach więcej platform. Kiedy byłem dzieckiem, zawsze na zimę odchodziliśmy na równiny Gro-lon. Teraz nie ma już takiej potrzeby. Mamy liny, więc możemy zostawać na czas mrozów w luinii, lesie.

Kobieta zamilkła. Pochyliła się niżej nad kawałkiem materiału, który obrębiała mocną i grubą nicią. Mimo panujących wokół ciemności ruchy miała szybkie i precyzyjne. Newia obserwowała z zazdrością, jak<sup>w</sup> rękach miejscowej krywki coś, co jeszcze niedawno było pociętymi pasami płótna, zamieniało się w długie<sup>1</sup> ^erokie spodnie. Takie, jakie nosiły wszystkie kobiety w wiosce.

- A jak nazywacie... - Newia zawahała się - je? Kobieta rzuciła jej krótkie spojrzenie.

- Starsi mówią na nie derty, złodzieje. Inni nazywają je, jak wszędzie, grychty. Ale nie mówimy o nich bez potrzeby. Newia pokiwała głową.

Rozmowa z miejscową krywką była interesująca, jednak nie mogła się skoncentrować. Bolały ją nie tylko łydki i uda, ale również - czego zupełnie nie rozumiała - plecy. Na dodatek paliła ją twarz. W głowie czuła lekkie ćmienie, utrudniające zebranie myśli.

Próbowała się przeciągnąć, lecz uda zapiekły tak mocno, że aż jęknęła.

Krywka wyprostowała się i popatrzyła na nią na wpół ze współczuciem, na wpół z politowaniem. Następnie wróciła do szycia. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zwracać do tej obcej, dziwnej kobiety. Z jakiego ludu może ona pochodzić? Krywka nigdy nie spotkała kogoś, kto, jak Newia, nie tylko nie znał choćby najprostszych sekretów luinii, ale również nie miał pojęcia o rundzie, wędrówce.

- Najtrudniejsze są pierwsze trzy dni rundy - powiedziała w końcu. - Pierwszy dzień rundy nazywamy ebun, czyli radosny, wesóły. W ebunie idzie się szybko, bez lęku i ma się poczucie niespożytych sił. Wydaje się, że będzie można tak iść bez końca i nigdy nic się nie zmieni. Drugi dzień rundy to ebron, dzień zastanowienia. Nadal czuje się radość i siłę, ale one schodzą na dalszy plan. Najważniejsze są poważne myśli, ja' kie przychodzą do głowy. Trzeci i najtrudniejszy dzień rundy to gron, dzień prawdy. Jeśli dawno nie byłeś n« rundzie, wszystko zaczyna boleć i ból przesłania zarówno wesołe, jak i poważne myśli. Czuje się łamanie w kościach i pieczenie mięśni. Wtedy trzeba odpocząć - tak jak ty odpoczywasz. - Krywka uśmiechnęła się.

Newia spojrzała na nią z uwagą, ale w uśmiechu tym nie dostrzegła złośliwości. Miejscowa kobieta nie drwiła z niej, na jej twarzy widać było zrozumienie. Newia pomyślała, że w pojęciu krywki wszystko, co ją spotkało w ciągu ostatnich dni, jest najzupełniej normalne. Zwykła historia rundy. Ebun, ebron i gron.

- Co będzie dalej? - spytała.

Krywka przeciągnęła się, prostując na chwilę plecy. Popatrzyła w niebo. Znajdowały się na jednej z najwyższych platform największego krytu w wiosce, co powodowało, że poprzez gałęzie widać było gwiazdy. Newia również podniosła głowę, ale zdołała jedynie spostrzec, że tej nocy jest ich wyjątkowo dużo.

Niebo wyglądało jak płachta czarnego płótna, pokryta delikatnym haftem ze srebrnych nici. Tu i ówdzie rozjaśniały je liczne skupiska gwiazd i mgławice, przypominające maźnięcie pędzla. W przeciwieństwie jednak do dzieł hafciarki niebo nad Newią żyło. Rozświetlały je spadające gwiazdy, ciągnące za sobą srebrne ogony.

Wąty płomień kaganka oświetlającego platformę zdrżał poruszony wiatrem.

Krywka powróciła do szycia.

- Uduł mówił, że jutro będzie kirion, dzień odpoczynku. Pozostaniecie w naszej wiosce. Będziesz mogła, Pani - z widocznym wahaniem wtrącała obce słowo -<sup>2e</sup>brać nieco sił. W tym czasie uszyjemy ci odpowied-<sup>me</sup> do rundy ubranie.

- Tak - powiedziała Newia - ale po kirionie znów rozpocznie się runda. - Teraz ona z kolei przeciągała słowa, starając się wymawiać je jak najbardziej starannie. - Czy dalsze dni też mają swoje nazwy? Czy też ebun, ebron i gron zaczną się powtarzać po sobie?

- Nie, nie zaczną - krywka pokręciła głową - po trzech pierwszych każdy dzień podobny jest do poprzedniego. Każdego ranka trzeba zmusić się najpierw do wstania, a potem do ruszenia w drogę. Każdego wieczora trzeba starać się przemóc, by nie podjąć decyzji o przerwaniu wędrówki. Po ebunie, ebronie i gronie są już tylko wereje, dni walki z samym sobą.

Newia w skupieniu potarła rękami uda. Przesunęła się nieco na posłaniu, tak żeby plecami oprzeć się o pień kry tu.

Jej ebun to dzień, kiedy opuściła kareta i kiedy dym na horyzoncie doprowadził ją aż do Puszczy Kryłów. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby była wtedy szczególnie wesoła, ale niewątpliwie miała jeszcze dużo sił. Teraz wydawało jej się, że to było wieki temu.

Ebron to pierwszy dzień wędrówki z Hordem. Nudny, długi i z każdą godziną coraz bardziej męczący.

Jej towarzysz okazał się małowównym człowiekiem. Początkowo Newia próbowała go zagadywać - a to chciała się dowiedzieć, ile jego zdaniem zajmie im wędrówka do Omorgu, a to ciekawiły ją obce, dziwnie wyglądające drzewa. Pytała też o Gildię Hordów, ale za każdym razem Hord zbywał ją półsłówkami. Szczególne wrażenie wywarła na Newii odpowiedź na pu- tanie, które wydawało jej się najbardziej niewinne z<sup>e</sup> wszystkich:

- Jak masz na imię? - odezwała się w pewnym momencie, przerywając ciszę, którą mącił tylko szelest ich kroków. - Nie wiem, jak się do ciebie zwracać.

Upłynęła długa chwila i Newia odwróciła się, chcąc sprawdzić, czy idący za nią mężczyzna usłyszał jej słowa.

- Jak masz na imię? - powtórzyła. Twarz

Horda była poważna.

- W Gildii imiona przyjmują tylko najstarsi.

- Ale... - Newia potknęła się, więc znów musiała patrzeć przed siebie. - W jaki sposób zatem się różniacie?

- Nie rozróżniamy się. To nie jest potrzebne. Newia przeszła kilkanaście kroków, zastanawiając się nad tymi słowami.

- Jednak - odezwała się w końcu - zanim wstąpiłeś do Gildii, musiałeś mieć jakieś imię. Jak ono brzmiało?

Tym razem odpowiedzi nie było w ogóle.

Newia milczała do końca tego dnia, dumając nad tą jedną krótką rozmową. Gildia Hordów ukazała jej się z nowej strony. Dawno temu, w Twerze, słyszała o niej trochę, ale były to podobne rzeczy, jakie słyszy się o dalekich krainach - dziwne, niesprawdzone i na dobrą sprawę niepozostające w głowie na dłużej niż kilka minut. Potem opowiadał o niej margrabia Tyngi. Po tej rozmowie Newia pomyślała, że Hordzi żerują na miejscowych ludach. Następnie sama spotkała Horda. Jego zachowanie nijak nie pasowało do tego, co słyszała w Tyndze. Zaczęła myśleć, że albo margrabia nie ma pojęcia o Hordach, albo świadomie wprowadził ją w błąd. Jeśli wszyscy Hordzi są tacy, jak ten tutaj, to P° prostu odważni i dzielni ludzie.

Dlaczego w takim razie nie mogą mieć imion? Ne-wia nie spotkała jeszcze istoty ludzkiej, która nie miałaby imienia. Przyszło jej do głowy, że Gildia Hordów ma jeszcze jedno oblicze, o którym tak na dobrą sprawę ciągle nie ma pojęcia.

Trzeci dzień wędrówki, nazwany przez miejscową krywkę gronem, wyleczył ją z wszelkich rozmyślań. Druga noc spędzona na drzewie spowodowała, że Ne-wia obudziła się tak zboląta i połamana, jak nigdy w życiu. Miała wrażenie, że nie tylko nie zdoła iść, ale nawet nie da rady się wyprostować. Na jej narzekania Hord odpowiedział krótko, że przyjdzie do siebie w marszu i że dziś dotrą do zaprzyjaźnionej osady krywów, gdzie będzie mogła odpocząć.

Ten dzień dłużył się niemiłosiernie. Z każdym krokiem miała coraz mniej pewności, że znajdzie w sobie siły, by postawić następny. Przestała interesować się coraz gęstszym i ciemniejszym lasem, który zamykał się nad jej głową. Pytała tylko o jedno - czy daleko jeszcze do osady, do której zmierzają?

Hord odpowiadał krótko i zawsze tak samo: -  
Niedaleko.

Wyminął kobietę i podszedł do jednego z krytów. Podniósł głowę i krzyknął głośno kilka słów w nieznanym Newii języku.

Drzewa poruszyły się, tak jakby na polanie nagle powiał wiatr. Newia usłyszała wysoko na głowę jakieś głosy, ale mimo że wpatrywała się uważnie w gęstą koronę krytów, nie dostrzegła nikogo. Nie trwało to jednak długo. Ledwie umilkły słowa Horda i powitania dobiegające z drzew, na ziemi znalazło się kilkanaście osób. Wszyscy podchodzili do Horda i kolejno pocierali wierzchem swoich dłoni o jego dłoń. Hord skłaniał głowę przed każdym i do każdego zwracał się w nieznanym języku.

W końcu Newia przestała się odzywać. Zaciśnęła zęby i szła uparcie, ani na chwilę nie podnosząc głowy. Śledziła czubki swoich butów, starając się nie myśleć o niczym innym. Jeszcze trzy dni temu były to eleganckie i wygodne trzewiki, dokładnie takie, w jakich w dłuższą podróż wybrałyby się każda dama z Tweru. Teraz były brudne i porysowane, ponieważ ich właścicielka co rusz potykała się na wyboistych leśnych duktach. Newia zaczynała mieć poważne wątpliwości, czy buciki starczą jej na całą drogę do Omorgu - i czy drogę tę w ogóle zdoła przebyć.

Najbardziej ze wszystkiego dokuczały jej stopy. Po kilku godzinach marszu przestała je w ogóle czuć. Nie mogła ruszać palcami, miała wrażenie, że jej nogi kończą się sztywnymi, bolącymi kołkami.

Kiedy zaczęło szarzeć, Hord odezwał się niespodziewanie:

- Zatrzymaj się.

Newia posłusznie stanęła. Odwróciła powoli spoconą i czerwoną twarz. -Tak?

- Jesteśmy na miejscu.

Rozejrzała się zaskoczona.

Byli na niewielkiej polanie. Na środku rosły trzy potężne kryty, oddzielone od otaczającego ich lasu pasem wysokich, pożółkłych traw. U stóp krytów znajdowało się coś, co wyglądało jak stosy ściętych gałęzi. Newia domyśliła się, że to muszą być szałas.

Nigdzie wokoło nie było śladu żywej duszy. Na polanie panowała absolutna cisza, której nie mącił nawet najcichszy odgłos.

I nie słysząc śpiewu ptaków, pomyślała Newia. Uświadomiła sobie, że od momentu gdy przekroczyła granice Dolin Gruaronu, jedynymi ptakami, jakie widziała, były kruki.

- Tu nie ma nikogo - powiedziała, otrząsając się ze wspomnień. - Ta osada jest opuszczona.

Głos jej się lekko załamał.

Tym razem Hord uśmiechnął się lekko.

- Nic podobnego.

W pewnym momencie wskazał na nią. Od grupy odłączyła się kobieta, podeszła powoli do Newii, przyglądając się jej z widoczną ciekawością. Zatrzymała się kilka kroków przed nią i skłoniła, naśladując ruchy Horda.

- Witaj w osadzie krywów - odezwała się w języku Cesarstwa. Mówiła wyraźnie, choć wolno. - Cieszymy się, że możemy cię gościć.

Newia skłoniła głowę. Była zdumiona tym, w jaki sposób martwa polanka zamieniła się w tętniącą życiem osadę.

- Chodź za mną - mówiła dalej krywka - najesz się i odpoczniesz.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Newia znów kiwnęła potakująco głową.

Kiedy znalazły się koło pnia krytu, tuż obok zwisającej gdzieś z góry drabinki, Hord szybko do niej podszedł.

- Zatrzymamy się tu dziś i jutro. Nabierzesz sił. Będziesz też miała czas, żeby... - zamilkł na moment - ...przemyśleć swoją decyzję.

Newia popatrzyła na niego w milczeniu. Powiedzenie, że decyzji swojej nie zmieni i tak czy siak musi dotrzeć do Omorgu, wydało jej się zbyt wielkim wysiłkiem.

- Dobrze - rzekła krótko.

Krywka wspinała się zręcznie po drabince, niknąc raz po raz między konarami krytu. Newia postępowała za nią ostrożnie. Pamiętając o wszystkim, czego nauczyła się w ciągu ostatnich dwóch dni, ani razu nie popatrzyła w dół.

Wkrótce dotarli do szerokiej platformy, zawieszanej tuż przy pniu krytu. Newia dostrzegła na niej posłanie ze skór nieznanym zwierzęt. Nie czekając na zaproszenie i nie przejmując się zupełnie, że platforma trzeszczy i lekko się chwieje, położyła się na nim. Zdążyła jeszcze zapamiętać, że niedługo potem krywka obudziła ją, podając coś do jedzenia. Newia nie miała pojęcia, co to było, ponieważ przelatywał gorące kęsy, ani na moment nie otworzyła oczu. Chwilę później znowu zasnęła i spała aż do późnego wieczora. Gdy się ocknęła, kobieta siedziała obok jej posłania na platformie i szła coś przy wątłym świetle kaganka.

Dym, jaki wydobywał się z niewielkiej miseczki, miał cierpki, drażniący zapach.

Potem już będą tylko wereje, dni walki z samym sobą.

Będziesz miała czas, aby przemyśleć swoją decyzję. Newia patrzyła na szyjącą w milczeniu krywkę. Nie może czekać do wiosny, żeby wygodnie dojechać do Omorgu. Wiosna będzie dopiero za wiele miesięcy. A ona nie może czekać. Każdy dzień czekania to męka!

- Starzy ludzie mówią, że łzy tego, kto płacze w koronie krytu, zamieniają się w poranną rosę na liściach Łotra - rzekła cicho krywka, nie podnosząc głowy znad płótna.

Każdy Hord miał swoje ulubione ścieżki przez pustkowie, które znał jak własną kieszeń i które przedkładał nad inne. Wędrując tą samą drogą, odwiedzał te same osady i często zaprzyjaźniał się z mieszkającymi tam ludźmi. Miejscowi nie rozumieli w ogóle, jak można obywać się bez imienia i dlatego nieraz nadawali „swoim” Hordom takie czy inne miano. W ten sposób towarzysza Newii został Udulem.

O świcie następnego dnia Udul był daleko poza wioską. Na osadę, sadybę tak maleńką, że niemającą nawet nazwy, pojawienie się grycht spadło zniechęcająco. Nikt nie zginął, ale kilkanaście rodzin czekała ciężka zima. Nie mając wyboru,

krywi postanowili zaryzykować. Dwa dni przed pojawieniem się Newii i Udula najodważniejsi mężczyźni zapuścili się głęboko w Puszcę. Udało im się zastawić kilkanaście pułapek na wigry, płochliwe zwierzęta wielkości żrebaka, żywiące się liśćmi dro-nów. Wigry były celem jesiennych polowań wszystkich tutejszych ludów.

Przybycie Horda było dla osady prezentem od losu. Miejscowi zdawali sobie sprawę, że chociaż z pierwszej wyprawy wrócili bezpiecznie, to za drugim razem mogą mieć znacznie mniej szczęścia. Dlatego natychmiast poprosili Udula o towarzyszenie im w drodze do pułapek. Na długo przed świtem pięciu mężczyzn i Hord wyruszyli do Puszczy.

W niewielkim zagajniku krywi umieścili sprytnie zamaskowane liny, splecione w gęste siatki. Rozciągnęli je stopę nad ziemią, przywiązując końce do pni najmniejszych dronów. Wigry, chcąc dostać się do dronów, wchodziły prosto w pułapkę. Nie potrafiły zrozumieć, co je zatrzymuje, dlatego kiedy poczuły opór, zaczynały szarpać się w sieci nerwowo. W ten sposób zaplątały się coraz bardziej, tak że w końcu nie mogły się ruszyć.

Miejsce wybrane było zręcznie - gdy tylko zbliżyli się do zagajnika, zobaczyli, że w pułapki złapało się kilka dużych wigr.

Krywi szybko podbiegli do najbliższej, która na ich widok pisnęła przeraźliwie. Wnet dostrzegły ich inne wigry. Ich piski połączyły się z piskami pierwszego zwierzątka.

Najstarszy z krywów, wysoki mężczyzna o siwych włosach i czerwonej twarzy, sięgnął po nóż. Za chwilę w zagajniku zrobiło się cicho.

- Ile wam to zajmie? - zapytał Hord.

Kryw już nacinał skórę nad kopytami wigry, przygotowując się do jej ściągnięcia.

- Około godziny.

- Rozejrzę się.

Kryw tylko skinął głową, nie odwracając wzroku od „Ctkowanej skóry wigry.

Udul oddalił się o kilkadziesiąt kroków, po czym zaczął powoli okrążyć zagajnik. Co jakiś czas przystawał i nasłuchiwał, po czym kucał i uważnie przyglądał się trawom. Sięgnął do metalowej rurki, umocowanej na ramieniu, wduśił mały przycisk na dolnym końcu i z rurki wysunął się metalowy pręt. Wyciągnął go, następnie sięgnął za koszulę i wyjął niewielki gwizdek, w który lekko dmuchnął. Gwizdek nie wydawał jednak żadnego dźwięku, przynajmniej takiego, jaki mógłby usłyszeć człowiek. Natomiast pręt zaczął drżeć, a po chwili znieruchomiał. Wokół panowała cisza.

Chowając gwizdek, Udul uważnie obserwował pręt. Odliczał w myślach do dziesięciu, ale ten pozostawał nieruchomy. Żadna grychta nie odpowiadała na wabiący ją dźwięk. Oprawiający wigry krywi byli bezpieczni.

Na razie.

Obchodząc zagajnik i wypatrując śladów potworów, Hord myślał o Newii, a raczej sama wyobraźnia podsuwała mu jej sylwetkę. Marszczył brwi i wtedy obraz zniknął, ale za chwilę natrętnie powracał. Cudzoziemka gotowa iść pieszo przez pustkowia do jakiegoś chorego w Omorgu! Kim mógł być ten człowiek? Ktoś z rodziny? Ukochany?

I jeszcze ta sprawa z karetą Hordów, o której najwyraźniej nie miała pojęcia. Uduł zastanawiał się przez dwa dni nad tą kwestią, ale nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Natomiast spostrzegł, że im dłużej dumał nad Newią, tym trudniej było mu skoncentrować się na czymkolwiek innym.

Pokiwał głową. To wszystko oznacza, że podczas tej rundy musi szczególnie uważać.

Przystanął niedaleko kępy młodych dronów. Okrążył już prawie cały zagajnik. Miał zamiar wracać i pomóc krywom oporządzić zwierzęta, kiedy nagle jego wzrok zatrzymał się na leżącym na ziemi żółknącym liściu dronu. Pochylił się i ostrożnie go podniósł. Drgnął. Brzeg niewielkiego liścia uwalany był zielonkawą śliną grychty.

Zapominając o wszystkim, Hord błyskawicznie rozsunął gałęzie dronów. Przepchnął się przez nie. Bezszelestnie ruszył do przodu, uważnie rozglądając się po lesie. Ledwie uszedł kilkanaście kroków, spostrzegł zielonkawą pianę na pniu drzewa. Niewiele dalej kolejny młody dron nosił ślady kilku splunięć grychty. Uduł przyjrzał się im dokładnie i powąchał je z bliska, po czym powoli przykucnął. Ślina była świeża. Grychta musiała być tutaj nie dalej niż przed godziną.

Na wszelki wypadek Hord raz jeszcze wyjął z rurki na ramieniu wąski metal i raz jeszcze sięgnął po gwizdek. Dwukrotnie powtórzył sygnał i dwukrotnie nie otrzymał odpowiedzi. Chowając oba urządzenia, zacisnął usta. Potwór był tu niedawno, a więc nie zdołał odejść daleko. Powinien zatem odpowiedzieć na jego wezwanie. Chyba że...

Uduł podniósł się i już nie starając się zachować cizy, przedarł się przez zagrządzające dalszą drogę krzaki. Ledwie opadła kurtyna kolorowych liści, zatrzymał się raptownie. Kilka kroków przed nim, przyciskając do 2<sup>1</sup>emi zielone jeszcze drzewko, leżała martwa grychta.

Zbliżył się do niej powoli. Nieruchome ciało pokrywała jasnoczerwona posoka. Z licznych ran, zadanych długim i ostrym narzędziem, skapywały ostatnie krople krwi. Krew tworzyła rozległe kałuże, w których odbijały się pnie rosnących wokoło drzew. Uduł już miał pochylić się nad grychtą, by sprawdzić, czy ma nacięcia na kostkach, kiedy spostrzegł, że potwór zachował długie, spiczaste uszy. Zabójca ich nie odciął.

Hord wyminął grychtę, rozglądając się dookoła. Po lewej dostrzegł stratowane drzewka, z połamanymi ga-

łązkami pokrytymi zielonkawą wydzieliną. Wyminął je i za grubym pniem dronu znalazł kolejne dwa martwe potwory. Leżały w niewielkiej odległości od siebie, a z ran, głębokich i długich jak rany pierwszej grychty, padał ciekły wąski strumień krwi.

Przyglądał się im chwilę. Od razu rozpoznał, że zabójcą nie był miejscowy myśliwy. Cięcia pozostawione na skręconych ciałach świadczyły o tym, że ten, kto je zadał, wiedział, gdzie i jak uderzać. Żaden kryw nie miał o tym pojęcia - jeżeli przytrafiło mu się nieszczęście i musiał stanąć z grychtą twarzą w twarz, po prostu walił na oślep. Tymczasem tutaj większość ran była skupiona w górnej części klatki piersiowej. Ten, kto pokonał potwory, sposobem Hordów przeciął ich wrażliwe tętnice szyjne.

Uduł zmarszczył brwi. Czyżby w pobliżu zjawił się ktoś z Hrostu? Niemożliwe. W tym roku tylko on został wysłany jesienią do Tyngi, by zbierać zamówienia z miasta i okolic. Nie spodziewano się ich wiele, więc nie było potrzeby angażować do tego dodatkowych członków Gildii.

Ale w takim razie kto zabił te trzy potwory? Jeśli nie był to Hord, skąd wiedział, jak uderzać i skąd miał odpowiednią broń?

Właśnie pochylał się nad grychtami, chcąc dokładnie zbadać wszystkie pozostawione przez nieznanego wojownika ślady, gdy dobiegł go jęk.

Hord zamarł. Czekał.

Po dobrej minucie znów usłyszał cichy jęk. Nie zastanawiając się, ruszył w jego kierunku. Nie szukał długo. Kilkadziesiąt kroków dalej spostrzegł leżącego na ziemi człowieka, z głową opartą o spróchniały pień.

Był to mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcioletni, o krótko obciętych, zupełnie białych włosach. Miał na sobie długą białą szatę, teraz uwalaną we krwi i podartą na strzępy, przez które prześwitywało ciało. Jego wygląd spowodował, że nawet przyzwyczajonemu do widoku zmasakrowanych ciał Hordowi zrobiło się zimno. Rozciągnięty na ziemi nieszczęśnik miał tak pokiereszowaną twarz, że wśród strzępów policzków i nosa widać było tylko szeroko otwarte, zalewane krwią usta. Reszta głowy była jednolitą, ciemnoczerwoną miazgą. Uduł dostrzegł jeszcze jedną głęboką ranę na piersi. Hord pomyślał, że grychty musiały złośliwie pluć mu trującą śliną w twarz.

Nie zastanawiając się długo, sięgnął do jednej z kieszeni kaftana i wyjął niewielki woreczek. Wsypał jego zawartość do bukłaka z wodą, zakorkował go i potrząsnął kilka razy.

Ranny jęknął przeraźliwie. Całym jego ciałem wstrząsnął okropny dreszcz, tak silny, że mężczyzna aż uderzył kilka razy nogami o ziemię.

Uduł przyklęknął obok i wprawnym ruchem uniósł jego głowę. Drugą ręką podniósł bukłak i wyrwał zębami korek. Wlał do ust nieznanego nieco piekącego płynu.

Nieszczęśnik łapał teraz powietrze krótkimi, gwałtownymi haustami. Uduł widział wyraźnie otwory wyżarte

przez ślinę grycht tam, gdzie niegdyś były policzki, i dziurę na piersiach. Nie miał wątpliwości, że dla rannego nie ma ratunku. Mimo to oddał mu część kserekusu, leku Gildii, który stanowił antidotum na jad grycht. Uważał, że ktoś, kto w pojedynku pokonał trzy grychty, zasługiwał na świadome przejście duszy w koronę Łotra.

Spojrzał w bok i drgnął. Kilka kroków od rannego błysnął metal - broń, którą Udul natychmiast podniósł i zbliżył do oczu. Był to miecz gotów o ostrzu pokrytym mikroskopijnej wielkości rowkami wypełnionymi wynalezioną w Hroście trucizną. Paraliżowała ona grychty na kilka sekund. Tą samą substancją zatrute były strzałki Hordów.

Miecz przeznaczony był wyłącznie dla członków Gildii - jak zatem trafił w ręce człowieka, którego Udul nie widział nie tylko w Hroście, ale również nigdzie indziej?

Nie zdążył się nad tym zastanowić.

- Grychty...! - wychrypiął nagle umierający.

- Nie ma ich! - powiedział szybko Udul.

Ranny podniósł rękę i zaczął szukać czegoś obok siebie. Potem sięgnął do szyi i zacisnął palce, jakby chciał chwycić niewidzialne sznury, tamujące mu oddech.

- Duszę się...! - szepnął.

- To jad grycht. Oszukuje cię, byś przestał oddychać. - Hord chwycił go za rękę i mocno przytrzymał ją w swoich dłoniach. - Kim jesteś?

Oddech nieszczęśnika stał się na chwilę bardziej wyrównany.

- Wiatrem w koronie krytu, czarnoziemem gleby między korzeniami...

Udul zamarł, zaskoczony. Wyczuwając to, umierający wyrwał rękę i dotknął jego twarzy. Następnie powiódł podkurczonymi z bólu palcami po kaftanie, zatrzymując je na skórzanym pasie przebiegającym przez bark. Sięgnął do ramienia, wyraźnie czegoś szukając. Kiedy dłoń natknęła się na metalową rurkę, wydawało się, że nagle stracił siły. Ramię opadło na ziemię.

- Hord...! - szepnął i poszarpane usta ułożyły się w dziwny grymas.

- Kim jesteś? - powtórzył Udul.

Ranny milczał, raz po raz zaciskając ręce. Zbierał resztkę sił. Kiedy wreszcie przemówił, słowa popłynęły zaskakująco szybko.

-Idź do Hrostu...! Idź natychmiast do Hrostu...! Powiedz Wielkiemu Mistrzowi, że język jest zagrożony. Język i... szlak. Zaatakowały nas, zabijając prawie wszystkich. Byliśmy nieprzygotowani... w stancy zostało tylko dwóch. Wytrzymają miesiąc, półtora... powiedz to Wielkiemu Mistrzowi, on zrozumie... Spiesz się!

Umierający jęknął. Szarpnął się, jakby chciał się wyrwać z otaczających go coraz szczelniej ciemności.

- Idź do Hrostu...! Mapa w pasie... jest krótsza droga... tunele pod górami. Poszukaj ich, idź przez Wielkie Sereny. Musisz być za dziesięć dni w Hroście... W pasie...

Udul milczał, patrząc jak postępująca agonia łagodzi grymas warg i rozprostowuje zbieleńcałe palce rannego. Sądził, że to już koniec, kiedy umierający podniósł się nagle i chwycił go za ramiona. Przysunął swoją twarz blisko twarzy Udula.

- Czy Torn został Mistrzem Gildii? Powiedz mu, że stary Grim zawsze go kochał!

Upadł bezwładnie na ziemię. Jego usta znieruchomiały.

Hord wstał i odsunął się parę kroków.

Rozejrzył się dookoła. Nikt nie słyszał jego rozmowy z nieznajomym. Uważnie powiódł wzrokiem po gęstym lesie. Niskie drzewa ani drgnęły. Udulowi wydawało się, że czuje, jak bije z nich chłód.

Podszedł do trupa, uklęknął znów przy nim i wymacał zgrubienie pod białą szatą. Jednym ruchem rozdarł poszarpane płótno i zobaczył, że brzuch nieboszczyka otoczony jest szerokim skórzanym pasem. Drgnął. Taki sam pas miał na sobie, ukryty pod czarnym kaftanem. Tak jak każdy Hord otrzymał go od rymarza Gildii, kiedy jego życie raz na zawsze zostało związane z Hrostem.

Nacisnął sprzączkę i odpiął pas nieboszczyka. Obejrzał go uważnie i sięgnął do wewnętrznych kieszeni, ściągniętych sznurkami. Dwie pierwsze były puste. W trzeciej Hord wymacał pergamin. Wyjął go ostrożnie i rozprostował.

Pierwszym, co spostrzegł na kawałku wyprodukowanego sposobem Hordów papieru, była połówka gwiazdy. Udul znał ten znak - w Gildii oznaczano w ten sposób dokumenty przeznaczone tylko i wyłącznie dla członków Mirotu. Taki znak widniał na księgach z tej części biblioteki Hrostu, której mądrość mogli zgłębiać jedynie najznakomitsi Hordzi. Albo na drzwiach sal sypialnych członków Mirotu i komnat przeznaczonych do ich wyłącznego użytku.

Od tajemnic Gildii, które znał tylko Mirot, Udula dzieliło jeszcze wiele lat rundy. Nie wolno mu było zaglądać ani do ksiąg oznaczonych połową gwiazdy, ani do pokoi, które miały na drzwiach taki znak. W pierwszym odruchu złożył więc pergamin, choć jedno spojrzenie, jakim go objął, pozwoliło mu upewnić się, że jest to mapa, o której mówił nieznajomy.

Już miał wstać, kiedy przypomniał sobie, że pas Hordów ma jeszcze jedną, maleńką kieszeń. Znalazł w niej pierścień z bursztynem, w który wprawna ręka jednego z mistrzów Gildii zatopiła wyjątkową rzadkość

- pęd kry tu.

Hord tylko raz w życiu widział coś takiego. Przyjmując go do Gildii, Wielki Mistrz pokazał mu podobny bursztyn. Udul dowiedział się wtedy, że winien jest posłuszeństwo każdej osobie - nieważne, Hordowi czy nie - u której kiedykolwiek zobaczy taki klejnot.

„Zapamiętaj jego wygląd i to, co kryje - powiedział Mistrz Gildii. W świetle pochodni rozjaśniających mroki największej komnaty w Hroście jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała głowę drapieżnego ptaka.

- Chociaż pewnie nigdy w życiu go nie ujrysz. Mnie przytrafiło się to dopiero wtedy, gdy Gildia powołała mnie w szeregi Mirotu i obdarzyła tym najcenniejszym dla nas

Udul pamiętał, że już wtedy uderzyło go niezwykle piękno bursztynu. Dopiero teraz jednak, gdy trzymał go w dłoni, uświadomił sobie, ile pracy i talentu wymagało stworzenie takiego cuda. Bursztyn, przetopiony przez Hordów znanym tylko im sposobem, miał owalny kształt i równo oszlifowane ścianki, przez które doskonale było widać pęd krytu. Klejnot przypominał medaliony, noszone przez bogate kobiety Dolin. Był jednak od nich piękniejszy.

Ciszę lasu przerwał odległy hałas. Udul odruchowo schował pergamin i bursztyn do kieszeni. Zaczął nasłuchiwać. Uspokoił się, uświadamiając sobie, że dobiegły go właśnie okrzyki krywów. Pomyślał, że musieli usłyszeć krzyk zmarłego i że pospieszyli na jego poszukiwania. Teraz natknęli się na pierwszą grychtę.

Chwilę później hałas zwiększył się. Udul usłyszał, jak któryś z miejscowych krzyczy:

- Patrzcie, jeszcze dwie! Rozpoznał głos najstarszego krywa.
- Tutaj! - zawołał.

Niezależnie od tego, kim był nieboszczyk i w jaki sposób wszedł w posiadanie tajemnic Hordów - zabił trzy grychty. Należał mu się pogrzeb. Krywi muszą zabrać jego ciało do wioski i spalić.

Najbliższe krzaki zaszeleściły i z gęstwiny wyłoniło się dwóch krywów. Udul bez słowa odsunął się od zmarłego.

- On je zabił.

Starszy zbliżył się szybkim krokiem. Na widok nieboszczyka jego twarz znieruchomiała. Hordowi wydawało się, że w oczach krywa mignął strach. Zaraz jednak zdziwił się jeszcze bardziej. Na znak dany przez starszego, obaj

172

luini odwiedzali ich zawsze wtedy, gdy jakieś nieszczęście zagrażało istnieniu osady. Odpędzali wyjątkowo uparte stada grycht, leczyli drzewa i ludzi, a nawet przynosili pożywienie, gdy mrozy nie chciały długo ustąpić.

Opowieść ta wydała się wtedy Udulowi fantastyczna - w końcu bardziej niż ktokolwiek inny znał niebezpieczeństwa, jakie kryła Puszcza. Wiedział, że przeżycie w jej dalekich ostępach bez wiedzy i narzędzi Hordo w jest w zasadzie niemożliwe. Pamiętał, że pomyślał wtedy, iż to ciężar życia kazał krywom wymyślić sobie jakichś bardziej realnych opiekunów niż przebywający w nieznanym wymiarach Lotr. Dlatego nie chciał dyskutować o czymś, co wydawało mu się tylko marzeniem ludzi zrozpaczonych trudnościami, z którymi muszą stykać się na co dzień.

przedmiotem. Niemniej jednak nikt nie wie, co szykuje dla ciebie Lotr i gdzie zaprowadzi cię runda".

krywi ukłękli i dotknęli czołem ziemi. Cichym i monotonnym głosem starszy zaczął odmawiać modlitwę za umarłych. Drugi z miejscowych, kilkunastoletni chłopak, natychmiast do niego dołączył.

Wiedzą, kto to jest, pomyślał Udul. Ogarnęła go niecierpliwość, jednak opanował się.

Odsunął się i oparł plecami o pień drzewa.

Upłynęło kilkanaście minut, zanim starszy kryw podniósł się wreszcie z kolan.

- Idź po resztę - powiedział cicho, kładąc rękę na ramieniu chłopaka.

Następnie podszedł do Udula.

- Nie wierzyłeś, kiedy opowiadaliśmy ci zeszłej zimy o świętych starcach z głębi Puszczy - odezwał się cicho kryw. - Nie wierzyłeś, kiedy pokazaliśmy ci kryt, z którego pnia przepędzili sobie tylko znanym sposobem toczące go robactwo. Gdyby nie jeden z lu-inów, nasze drzewo zamieniłoby się do dzisiaj w próchno i część z naszych ludzi nie miałaby gdzie przeżyć zimy. Uśmiechałeś się, gdy ci o tym mówiliśmy, a my nie mogliśmy dostarczyć dowodów na potwierdzenie naszych słów. A teraz sam znalazłeś dowód. Oto jeden z luinów - to powiedziawszy, wskazał ręką zmarłego.

Udul milczał. Nie spuszczał wzroku z mokrej twarzy krywa i jego błyszczących oczu.

W jednej chwili przypomniał sobie wszystko. Zeszłej zimy, gdy jak zwykle odwiedził tę sadybę, krywi opowiedzieli mu o jakichś świętych starcach, luinach, jak ich nazywali. Luini mieli żyć w głębi Puszczy, opiekuje się drzewami i modląc do Lotra. Krywi twierdzili, że

173

Teraz jednak przekonał się, że to nie były mrzonki. Kilkanaście kroków dalej leżał człowiek, którego siwy kryw znał, podziwiał i szanował.

Czy to jednak oznaczało od razu, że luini istnieli? Może był tylko ten jeden człowiek, który z jakichś nieznanym powodów wybrał życie w głębi Puszczy? Ale temu przeczyły słowa, które nieszczęśnik zdołał wypowiedzieć przed śmiercią: W stancy zostało tylko dwóch. Tylko dwóch. A więc musiało być ich kilku.

Udul ocknął się z zamyślenia. Kryw nadal czekał na jego odpowiedź.

- Stoczył przed śmiercią piękną walkę - rzekł wreszcie. - Więcej nie mogę o nim powiedzieć.

Starszy mężczyzna pokręcił głową, tak że siwe włosy zasłoniły mu oczy.

- I ciebie Gildia przerobiła na swoją modłę...  
Hord zmarszczył brwi. Wskazał na luina. - Kimkolwiek był ten człowiek, pochowajcie go zgodnie z waszymi zwyczajami. Kryw skinął tylko głową.

Pół godziny później wracali już do wioski. Czterech krywów niosło upolowane wigry, natomiast Hord z najstarszym mężczyzną dźwigali pospiesznie sklecone nosze, na których spoczywało ciało luina. Kryw odciął uszy pokonanych przez nieboszczyka grycht, żeby spalić je razem z jego zwłokami.

Grupa szła w milczeniu. Opuściło ich zarówno zadowolenie z pomyślnych łowów, jak i niepokój, który zawsze w ludach Puszczy budziły wędrówki w zimowych miesiącach po luinii. Wyglądali na zubożeni. Nie rozglądali się na boki, nie pytali Udula, czy wszystko jest w porządku, tak jak robili jeszcze kilka godzin temu.

Hord cieszył się z tego milczenia, ponieważ pozwalało mu ono przemyśleć wszystko, co zobaczył i usłyszał. W pierwszej kolejności szybko uporządkował fakty. Nieboszczyk, kimkolwiek był, musiał mieć coś wspólnego z Gildią. Nie tylko miał przy sobie najtajniejsze materiały Hordów, broń z Hrostu, ale wiedział też, gdzie ugodzić grychty. A zatem można chyba przyjąć, że nie zamordował żadnego z członków Gildii, aby przywłaszczyć sobie jego mienie. Zresztą to było niemożliwe również z innego powodu - ci z Hordów, którzy zostali obdarowani przez Gildię klejnotem, takim jak ukryty teraz w jednej z kieszeni kaftana Udula, <sup>m</sup>e poruszali się nigdy samotnie po Dolinach. Hordzi, których najczęściej można było spotkać na ścieżkach

Puszczy, nie mieli przy sobie żadnych przedmiotów, mogących w razie jakiegoś nieszczęśliwego wypadku zdradzić tajemnice Gildii.

Zresztą teorii o rabunku przeczą też słowa nieboszczyka - te o Tornie.

Udul został przyjęty do Gildii rok po tym, jak Torn zniknął z Hrostu. Nigdy go nie poznał, ale wiele o nim słyszał, ponieważ początkowo Hordzi wysłali na poszukiwania wyrzutka swoich najlepszych tropicieli. Wiele się wtedy mówiło w Hroście o polowaniu na Torna, spodziewając się lada chwila ujęcia zdrajcy. Mijały jednak tygodnie, a wiadomość taka nie przychodziła. Torn przepadł jak kamień w wodę.

Natomiast zmarły luin - kimkolwiek był, Udul postanowił nazywać go tak jak krywi - znał Torna. Ba, miał nawet nadzieję, że zdrajca został Mistrzem Gildii! A zatem

Nikt w Dolinach Gruaronu nie kusi losu dla byle czego, myślał Udul. A jeśli wiadomość, którą powinienem zanieść do Hrostu, ma znaczenie? Ja jej nie rozumiem, ale może dla Gildii to tak ważne jak skała, w której wykuto Hrost?

Nawet nie zauważył, kiedy weszli na polanę, na której mieściła się sadyba krywów. Za chwilę pod krytami zaroilo się od ludzi.

wiadomości, jakie miał o Hordach, były bardzo, ale to bardzo stare. Jeśli miał kiedyś coś wspólnego z Gildią, działo się to wiele lat temu.

Ale co mógł mieć wspólnego?

Udul szedł, prawie nie podnosząc głowy. Patrzył uważnie pod nogi. Nie miał wątpliwości, że zagadka, na którą się natknął, nie była przeznaczona dla jego uszu i oczu. Gdyby Mirot mógł zdecydować, on, Udul, nigdy by nie znalazł tego umierającego luina. A zatem to, jak postąpi, może mieć decydujące znaczenie dla jego przyszłości. Może wykonać przypieczętowany władzą bursztynu rozkaz, rozwinąć mapę i pójść nieznaną drogą, by jak najszybciej dotrzeć do Hrostu. Może też dotrzeć do zamku Hordów zwykłymi ścieżkami i po prostu opowiedzieć, co go spotkało. Ale to będzie znaczyło,

że nie wykonał polecenia człowieka, który miał przy sobie klejnot władzy Hordów.

A może nieboszczyk należał kiedyś do Gildii? Może Gildia za jakieś niesłychane zasługi pozwoliła mu żyć w dalekich ostępach luinii? Może uratował kiedyś kogoś z Mirotu i dlatego dano mu bursztyn, by inni Hordzi służyli mu pomocą?

W takim razie dlaczego w Hroście nigdy nie wspomniano o luinie czy też luinach? I dlaczego dla Hordów miałyby być istotną informacją o jakimś języku, który jest zagrożony? Co może obchodzić Gildię, że w stancji zostało już tylko dwóch...?

Udul czuł coraz większy niepokój. Musi podjąć decyzję i musi ją podjąć szybko. Jeśli ma wykonać wolę zmarłego, nie ma chwili do stracenia. Przecież konający powiedział: Idź natychmiast do Hrostu! Udul i tak miał zamiar iść właśnie tam, tamtędy prowadziła droga do Omorgu. Ale te tunele pod górami... Ta mapa... Nie powinien był jej widzieć. Nie powinien był spotkać tego człowieka.

Jest jeszcze trzecie wyjście. Zawsze można mapę spalić, a bursztyn zakopać, by przepadł na zawsze. Nikt nie wie, że Udul rozmawiał ze zmarłym. Nikt nie wie, że coś przy nim znalazł. To bezpieczne wyjście. Wszystko zostanie tak, jak było do tej pory.

-Stój!

Hord usłyszał wołanie starszego krywa dopiero wtedy, gdy ten je powtórzył. Zamienili się miejscami. Udul niósł teraz tylny koniec noszy. Chcąc nie chcąc, widział <sup>P</sup>ed sobą sponiewierane ciało luina i jego zmasakro-<sup>w</sup>aną twarz.

Starszy kryw zatrzymał się i skinął na Udula. Hord pochylił się i obaj delikatnie złożyli nosze na ziemi. Krywi podchodzili do nich powoli, wyczuwając nieszczęście. Udul spostrzegł, że nie zwrócili prawie uwagi na upolowane wigry. Otoczyli zmarłego poważni i skupieni.



- Szedł do nas, by jak zawsze ostrzec nas przed niebezpieczeństwem - powiedział głośno starszy kryw. - Tym razem jednak spotkał go nasz ludzki los...

Udul wycofał się z kręgu. Dostrzegł, że pod jednym z krytów stoi Newia.

Kobieta ubrana była w strój miejscowych - brunatne spodnie i bluzę - na który nałożyła uszyty w ciągu nocy skórzany kaftan. Nie przypominała już cudzoziemki. Przynajmniej z wyglądu, bo jej zachowanie nie zmieniło się. Hord spostrzegł, że na jego widok lekko skinęła głową. Domyślił się, że w ten sposób wzywa go do siebie.

\*\*\*

- Dobrze, że już wróciłeś - powiedziała Newia, gdy tylko Hord stanął przy niej. - Odpoczęłam i, jak widzisz, jestem gotowa do drogi.

Zabrzmiało to dumnie i Newia była z siebie zadowolona. Tak naprawdę z całych sił starała się ukryć wstyd. Ubranie, jakie dostała od krywów, było miękkie i wygodne, ale nigdy w życiu nie miała na sobie czegoś takiego. W jej rodzinnym mieście kobieta prędzej by umarła, niż włożyła brązowe spodnie! Po pierwsze, w Twerze, jak w całym Cesarstwie, spodnie zakładali tylko mężczyźni. Po drugie i nawet ważniejsze, brąz nie cieszył się tam popularnością. Mieszkańcy Tweru nosili się najczęściej na szaro - taki był bowiem kolor kamienia, z którego wydobycia okolica słynęła i który dawał utrzymanie miejscowym. Brązowy natomiast kojarzono z drzewem, który jako budulec stanowił konkurencję dla kamieni.

Newia czuła, jak jej policzki pokrywają się rumieńcem.

Spostrzegła, że Hord już dłuższy czas milczy. Miała wrażenie, że przygląda się jej z dziwną miną.

- Wątpisz w moje siły - rzekła szybko. - Nie potrzebuję już odpoczynku. Mogę iść choćby w tej chwili!

Udul drgnął. Podjął decyzję.

Na pierwszym postoju obejrzy mapę luina.

- W takim razie wyruszamy.

Newia jęknęła. Wcale nie miała na myśli tego, co mówiła! Poczula jak sztywnieją jej zbolale łydki, piszczą naciągnięte kostki i chroboczą stawy kolanowe.



przeciwnie do większości zamków, grodów, a nawet miast i sadyb Gruaronu, Hrost nie był położony na wzniesieniu.

Siedziba Gildii Hordów kryła się w leśnej kotlinie, otoczonej potężnymi skałami. U jej szczytu ział chłodem czarny otwór. Było to wejście do pieczary, którą wyrzeźbione przez wodę korytarze łączyły z kolejnymi grotami. Hordzi zagospodarowali i powiększyli ten ciąg jaskiń, drażąc w litej skale dodatkowe sale i tunele. Na zewnątrz pozostawili jedynie nieliczne, małe, byle jak zbudowane chaty. Niewielu Hordów przebywało na co dzień poza jaskiniami. Prawdziwe życie Gildii toczyło się pod ziemią, w podmywanych wodą skalnych salach.

Kotlinka oddzielona była od reszty świata niewysokim murem z kamienia. W jego środkowej części znajdowały się ogromne drzwi, wytopione z nieznanymi<sup>w</sup> Gruaronie metali. Drzwi nie podnosiły się ani nie otwierały na boki. Jeżeli Hordzi uznawali, że ten, kto<sup>s</sup>oi u bram Hrostu, jest godny zobaczenia jego wnętrza,

prowadzące do Gildii wrota zapadały się pod ziemię. Wyglądało to tak, jakby powoli pożerał je zamieszkujący skalne głębiny potwór.

Na murze w dzień i w nocy czuwały straże. Ich zadaniem, oprócz chronienia siedziby Gildii, było załatwianie wszystkich spraw, z jakimi do Hrostu przybywali mieszkańcy Dolin. Ludzi odwiedzających leśną kotlinkę rzadko kiedy wpuszczano do środka. Jeśli ktoś chciał wynająć Hordów lub wysłać przez nich wiadomość, zwracał się z tym do strażników.

Gret Orin przypuszczał, że Hordzi obserwują swoich gości na długo przed tym, nim ci zbliżą się do muru. Co prawda nie wyobrażał sobie, jak to robili, bo droga z Kręgu do Hrostu biegła przez gęsty las, ale wierzył swojej intuicji. Był przekonany, że tego typu działanie leży w naturze Hordów, a ponadto odpowiada ich interesom. Gildia musi wiedzieć, kto się do niej zbliża, zanim niespodziewany przybysz postawi pierwszy krok w leśnej kotlinie. Hordzi najprawdopodobniej śledzą więc oba trakty prowadzące do Hrostu - jeden biegnący z Kręgu i z Omorgu oraz drugi, łączący Hrost z wąwozem Grol, przez który szedł szlak na wschód, na równiny Grolon i dalej w góry Seren.

Kiedy tylko droga z Kręgu zaczęła się wspinać na wzgórze, za którym rósł okalający Hrost las, Orin zatrzymał się. Reszta towarzyszy poszła jego śladem. Orin poczekał, aż pył opadnie, po czym podjechał do Abo-ta Drumena.

- Omiń szerokim łukiem Hrost i jedź do wąwozu Grol. Powinieneś trafić tam przed świtem. Schowaj się gdzieś.

Twarz Abo-ta Drumena przypominała maskę wkładaną przez sługi cesarza, gdy ku uciesze Tyrona Śmiałego mieli odegrać jakąś tragedię. Gret Orin spodziewał się, że w końcu pojawi się na niej wyraz, świadczący o tym, że Drumen akceptuje - lub nie - jego polecenie. Nie doczekawszy się niczego takiego, mówił dalej:

- Pozostań tam do wieczora. Jeśli do tego czasu nie pojawię się na trakcie z grupą Hordów, jedź do Kręgu. Odbierz od ojca listy, jakie mu zostawiłem, i pędź do Omorgu, do Starego Człowieka. Oddaj mu listy i to.

Ściągnął z palca sygnet i podał go Drumenowi. Abot nie śmiał dotknąć pierścienia.

- Weź to - powtórzył Orin, wciskając mu w dłoń sygnet - prawie na pewno odbiorę go od ciebie jutro wieczorem. Pamiętaj, że masz czekać nie dłużej niż do zmroku. Będę w Hroście tylko kilka godzin. Potem albo wyruszę z Hordami do wąwozu Grol, albo... - zawahał się - albo ty wrócisz do Kręgu.

Abot Drumen pochylił głowę, chowając pierścień do kieszeni kaftana. Wyglądał, jakby wreszcie chciał coś powiedzieć.

- Jedź już! - uprzedził go Gret Orin.

Kiedy sylwetka samotnego jeźdźca zniknęła za wzgórzem, Orin dał znak towarzyszącym mu żołnierzom. Ruszyli stępą. Pochylony mężczyzna na czarnym wierzchowcu nie spieszył się. Od Hrostu dzieliła go zaledwie godzina drogi. Postanowił poświęcić ten czas na

dokładne przemyślenie - po raz kolejny - wszystkiego, co winien powiedzieć Hordom.

Powoli zapadał zmrok. W lesie robiło się coraz <sup>le</sup>mniej i ciszej. Ta cisza wyrwała Orina z zamyślenia.

Zauważył, że nie słyszy ani szumu liści, ani owadów czy ptaków.

Byli blisko Hrostu.

Jeszcze jeden zakręt i z lasu wyłoniła się otoczona skałami kotlina.

Orin wyprostował się i przywołał na twarz uprzejmy uśmiech, dokładnie taki, z jakim zazwyczaj odwiedzał sąsiadów. Był już w Hroście kilka razy. Hordzi przyjmowali go zawsze grzecznie, ale z dystansem.

Dziwaczne drzwi zachroboty na długo przed tym, nim zbliżył się do muru. Pokonując ostatnie zakręty dzielące go od Hrostu, obserwował osuwające się w głąb ziemi wrota. Czarny otwór wiodący do wnętrza siedziby Gildii powiększał się powoli. Gdy Orin znalazł się w końcu przed grubym na kilka dłoni murem, jeden z Hordów, pełniący rolę strażnika, zszedł na dół i wziął jego konia za uzdę. Kiedy tylko znaleźli się wewnątrz kotlinki, podtrzymał mu strzemię. Gret Orin lekko zeskoczył na ziemię. Poczul, jak ogarnia go chłód, bijący z otaczających kotlinę skał.

Na pierwszy rzut oka Hrost, a przynajmniej jego zewnętrzna część, nie zmienił się zbyt od czasu, gdy widział go po raz ostatni. Ledwie Orin zdążył się rozejrzeć, zza jednej z drewnianych chałup, z której dobiegało kwiczenie prosiąt, wychylił się wysoki mężczyzna. Miał na sobie zwykły czarny strój Hordów, ale Orin na jego widok wyprostował się. Na powitanie wyszedł mu Bren Ott, jeden z trzech członków Mirotu.

Hord, starszy już i bardzo szczupły, prawie żyłasty człowiek, szedł w jego stronę powoli, z uśmiechem, który był dokładną kopią uśmiechu Orina.

- Witaj - powiedział swobodnie, lekko się przy tym kłaniając - witaj ponownie w Hroście. Cokolwiek cię do nas sprowadza, nie pozwolimy ci odjechać przed świtem. Mirot zaprasza cię na kolację.

Orin również lekko się pokłonił.

Strażnik, ten sam, który uprzednio pomógł Orinowi zsiąść z konia, przeprowadził przez bramę Hrostu dwóch żołnierzy Drumonów. Skręcili w lewo, w stronę drewnianego budynku, przypominającego stajnię. Tak jak wszystkie budowle w obrębie murów, również i ten sklecony był pospiesznie i byle jak. Orin nie po raz pierwszy pomyślał, że naziemna część Hrostu przypomina zwykłą wieś osiadłych ludów, jakich mnóstwo na Ziemiach Zachodnich. I tam, i tu gdakały kury i kwiczały prosięta, spichlerze były krzywe, a zamykane na skoble drzwi skrzypiały, gdy je otwierano.

Nie można jednak popełnić większego błędu, niż wyrobić sobie zdanie o Gildii na podstawie tego, co ukazuje się oczom za niewielkim kamiennym murem w leśnej kotlinie.

Bren Ott odprowadził wzrokiem towarzyszy Orina.

- Widzę, że Drumeni nie zapominają o swoich obowiązkach względem zamku Omorg - powiedział, gdy tylko żołnierze zniknęli za węgłem.

Orin spojrzał uważnie na Horda, starając się wyczytać z jego twarzy ukrytą za tymi słowami myśl. Czyżby Hordzi dowiedzieli się jakimś sposobem, że w drodze z Kręgu towarzyszył mu Abot Drumen? To było mało prawdopodobne - ale tak samo mało prawdopodob<sup>ne</sup> jest, że Hord przypadkowo wspomniał teraz Drumenów. A może stanowiło to tylko rodzaj przynęty,

wypuszczonej na ośle, w nadziei, że a nuż coś się na nią złapie?

Hord skręcił w prawo, między dwie drewniane szopy. Orin szedł jego śladem, uważnie patrząc pod nogi.

Na ziemi leżało mnóstwo rozrzuconych desek i kawałków metali, różnej wielkości i najrozmaitszych kształtów - od płaskich i cienkich blach po zwoje drutów, a nawet sterty metalowych prętów pod ścianami drewnianych szop. Między tym wszystkim chodziły kury, gęsi i jeszcze jakieś inne ptactwo, które Orin pierwszy raz widział na oczy. Z kolei zbocza kotlinki podpierały ogromne zwały kamieni i gruzu, z których część zdążyła porosnąć trawą.

Orin miał wrażenie, że znajduje się na śmietniku, skrzyżowanym z kopalnianym wyrobiskiem i osadą górników.

- Hrost się rozrasta - rzekł, wskazując na stertę głazów wyglądających, jakby dopiero niedawno wyrwano je z ziemi.

- Nasi mechanicy potrzebują coraz więcej miejsca.

Stanęli przed wysoką skalną ścianą. Znajdowały się w niej drzwi, stanowiące mniejszą kopię tych wmontowanych w mur oddzielający Hrost od świata. Po prawej stronie zatopiono w ścianie niewielką dźwignię. Spojrzawszy na nią, Gret Orin drgnął - dokładnie taką samą dźwignię widział w jaskini Torna.

Bren Ott pociągnął za nią. Wewnątrz skały zachrobotał jakiś mechanizm i drzwi zaczęły się opuszczać. W środku Orin dostrzegł niewielki korytarz, oświetlony pochodniami. Gdy tylko się w nim znalazł, spojrzał uważnie na ściany - były nierówne i nosiły wyraźne ślady kilofów i łomów. Jeśli noks naprawdę istniał, nie posłużył do budowy tego korytarza.

Kilkanaście kroków dalej tunel kończył się pionową ścianą. Na wysokości pasa dorosłego człowieka, na środku, znajdowała się kolejna dźwignia. Chociaż Gret Orin już wiedział, jaki mechanizm kryje, nie zdołał powstrzymać zdrygnięcia. Nie znosił zapadni i wind. Do dziś pamiętał nieprzyjemne uczucie, jakie ogarnęło go, gdy po raz pierwszy stanął na platformie pod murami zamku Omorg.

Hord poczekał, aż gość zbliży się do niego na odległość kilku kroków. Wyjął z uchwytu na ścianie pochodnię, po czym pociągnął za dźwignię. Fragment podłogi, na którym stali, zaczął się powoli opuszczać. Orin był zaskoczony - o ile pamiętał, gdy ostatnio zwożono go do wnętrza Hrostu, winda poruszała się znacznie szybciej.

Bren Ott zauważył jego zdumienie.

- Przebudowaliśmy tę windę - wyjaśnił. - Niedawno jeden z naszych najstarszych mechaników zjeżdżał tędy na dół. Gdy platforma stanęła, zatoczył się i upadł. Nim go podnieśliśmy, już nie żył.

- To musiała być strata dla Hrostu - powiedział Orin po chwili.

- Nie. Ten człowiek był już stary. Spodziewaliśmy się jego śmierci, więc wcześniej zadaliśmy, by cała wiedza, jaką zdołał zgromadzić, wróciła do Gildii.

Orin nie odezwał się już ani słowem.

Podczas powolnej jazdy odliczał w myślach upływające sekundy. Hord również milczał, obserwując przesuwaną się przed ich oczami kamienną ścianę.

Nagle do uszu Orina dobiegł zwielokrotniony przez echo hałas. Składały się na niego głosy rozmawiających ludzi, jakaś muzyka, a także chroboty, stukania i chrzęsty wydawane przez ukryte pod ziemią urządzenia. Te wszystkie odgłosy splatały się, tworząc harmonię dźwięków, która w pierwszej chwili ogłuszyła Orina. Nie zauważył nawet, że podest zatrzymał się, a w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się kamienna ściana, otworzył się szeroki korytarz.

Bren Ott postąpił kilka kroków naprzód.

Tunel, jaki mieli przed sobą, był na kilkadziesiąt stóp szeroki i równie wysoki. Jego ściany zdobiły dwa rzędy ciasno rozwieszonych pochodni, których światło rozpraszały dodatkowo szklane kule wiszące pod sklepieniem głównego traktu Hrostu. Mimo to korytarz pogrążony był w półmroku. Co kawałek odchodziły od niego boczne, mniejsze tunele albo otwierały się niskie i ciemne komnaty. Czasami znów rozszerzał się, tworząc nisze, w których Hordzi zamontowali windy, służące do przemieszczania się na inne poziomy Hrostu.

Jak zawsze, będąc tutaj, Gret Orin zachodził w głowę, w jaki sposób członkom Gildii udało się to wszystko zbudować. Próbował uważnie przyjrzeć się ścianom korytarza, by sprawdzić, czy są gładkie, czy też chropowate, ale między pochodniami rozwieszono trofea - uszy grycht. Było ich mnóstwo i wisiały tak gęsto, że prawie całkowicie zasłaniały znajdującą się za nimi skałę. Z daleka wyglądało to tak, jakby Hordzi na ścianach swojej siedziby powiesili wyjątkowo gruby i gęsty dywan.

Gret Orin szedł pół kroku za Ottem, zaglądając do bocznych korytarzy i komnat, a także obserwując twarze mijających ich Hordów. Wszyscy zachowywali się podobnie. Na widok członka Mirotu na moment spuszczały wzrok, po czym obrzucali Orina błyskawicznym spojrzeniem. Czynili to jednak tak szybko, że ani razu nie zdołał spojrzeć któremuś z nich w oczy.

Bren Ott szedł środkiem korytarza, od czasu do czasu zwracając się z jakąś uprzejmą uwagą do gościa. Orin odpowiadał mu półsłówkami, całkowicie pochłonięty obserwowaniem - a właściwie podglądaniem - głębin Hrostu.

W jednej z grot zdołał zobaczyć trzech mężczyzn, którzy na znak czwartego kucnęli, po czym przetoczyli się na plecach do tyłu, tak by znów stanąć na nogi. W innej sali mignął mu stół alchemiczny, podobny do tego, jaki od lat porastał kurzem w jednej z komnat Omorgu. W kolejnej zauważył szereg kół zębatach, tworzących jakiś nieznan mu mechanizm.

Po kilku minutach marszu Bren Ott skręcił w prawo, w jeden z mniejszych korytarzy. Tunel kończył się stromymi schodami. Gret Orin zwrócił uwagę, że na każdym z kilkadziesiątu stopni namalowano znak - połowę gwiazdy. Taki sam znak zdobił również łuk nad drzwiami,

znajdującymi się na końcu schodów. Zanim się otworzyły, Orin spostrzegł w nich swoje odbicie.

- O ile pamiętam, pierwszy raz jesteś u nas tak Późno. - Bren Ott pierwszy wszedł do niewielkiej, ale wyjątkowo jasnej sali. - Gdybyś nas uprzedził, przygotowalibyśmy coś lepszego niż zwykły posiłek.

- Stary Człowiek żywi mnie takimi rzeczami... - zaczął Orin, zwracając się nie tyle do Otta, ile do drugiego "Czczyzny znajdującego się w komnacie Mirotu.

Przy drewnianym stole, ustawionym dokładnie na środku, siedział niewysoki siwy człowiek. Posturą przypominał Brena Otta - był tak samo chudy i żyłasty. Jego oczy miały głodny i chciwy wyraz. Natomiast profil Mistrza Gildii Hordów, Roveny, kojarzył się z głową drapieżnego ptaka.

Na widok Greta Orina powstał. Nie ruszył się jednak zza stołu.

- Zawsze mnie zastanawiało - powiedział, wskazując przybyszowi miejsce po swojej prawej stronie - jak to możliwe, że stary, będąc całkiem zdolnym alchemikiem, nie jest w stanie ugotować choćby najprostszej potrawy, która nie smakowałaby jak trucizna?

Orin odsunął wysokie krzesło o czarnym obiciu.

- Nigdy nie interesowało go żywienie - stwierdził, akcentując ostatnie słowo.

Roven uśmiechnął się.

Gret Orin usiadł przy stole, zastawionym srebrnymi naczyniami. Bren Ott usadowił się naprzeciwko Mistrza Gildii. Miejsce przed Orinem pozostało puste.

- Urlok, nasz pierwszy mechanik, przyjdzie za chwilę - rzekł Bren Ott. - Pracuje właśnie nad pewnym urządzeniem, które, jeśli uda się je zbudować, znacznie ułatwi nam walkę z grychtami. Poświęca na to całe dnie i większość nocy.

- Do czego ma służyć ten przedmiot? - spytał Orin, rozglądając się po komnacie.

Uderzyło go, że była to niemal pusta sala, o nagich ścianach, pozbawionych jakichkolwiek ozdób. Oświetlała ją, podobnie jak korytarze Hrostu, pochodnie. Jednak te, które Orin widział przed sobą, dawały inne światło - mocniejsze i jaśniejsze. Co więcej, wydzielaly za-skakujący zapach. W jadalni Mirotu pachniało lasem, i to lasem wiosennym, kiedy na drzewach pękają pąki, a ziemia wypuszcza pierwsze soki.

- Pozwoli zabijać kilka grycht naraz.

Drzwi do komnaty otworzyły się i do środka weszło trzech mężczyzn. Każdy niósł ogromny półmisek. Na znak dany przez Rovenę skierowali się do gościa. Gret Orina poczęstowano najpierw kawałkami mięsa młodych wigr, oblanego aromatycznym sosem, w którym pływały owoce dronów. Następnie podano mu ugotowane warzywo, w którym rozpoznał mibię, przysmak bogatych rodów Dolin,

sprowadzany specjalnie z Ziemi Zachodnich. Trzeci sługa postawił na stole ogromną tacę z owocami.

Orin wziął kawałek mięsa i trochę mibii. Zaczął jeść dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że Mistrz Gildii i Bren Ott przełknęli pierwsze kęsy obu potraw. Jeśli gospodarze zauważyli jego ostrożność, to z ich twarzy nie można było niczego wyczytać.

- Doskonale - pochwalił Orin.

Rzecz jasna jedzenie w ogóle go nie interesowało. Jednak rozmowa, jaką musiał przeprowadzić, była trudna. A zatem nawet drgnieniem nie mógł zdradzić, że czuje się niepewnie czy niekomfortowo. Zresztą faktycznie tak się nie czuł - od dzieciństwa przygotowywano go przecież do radzenia sobie w takich właśnie, niezbyt wygodnych sytuacjach.

Mistrz Gildii spojrział na niego spod oka.

- Gdyby któryś z moich kuchcików popsuł mibię, **Wysłałbym** go bez chwili zastanowienia z wyjątkowo ciężką paczką do Tyngi. Nawet gdyby miał dźwigać w niej jedynie kamień. Bren Ott uśmiechnął się.

- Niewielu ludzi opuszcza swe kryjówki, gdy grycht są już w Dolinach - zwrócił się do gościa.

- To prawda - Orin uśmiechnął się, że nie spostrzeżę, iż Bren Ott stara się sprowadzić rozmowę na przyczynę, dla której pan na Omorgu pojawił się w Hroście. - Czy Gildia potrafi wyjaśnić fenomen wczesnego nadejścia grycht?

- Nie mamy pojęcia, co się stało. - Ott pokręcił głową. - Od dawna staramy się dociec, co sprowadziło na Doliny przekleństwo. Badamy stare księgi i tropy grycht w Puszczy, ale jak dotąd... - Rozłożył ręce.

- Osobiście przypuszczam - wtrącił Roven - że ludy Dolin musiały się setki lat temu poważnie narazić Łotrowi. Grychty to kara za grzechy przodków, która w pewnym momencie skończy się tak samo niespodziewanie jak się zaczęła.

- Co wtedy stanie się z Gildią? - zapytał szybko Orin. Mistrz Gildii patrzył na niego spod przymkniętych powiek.

- Lotr wyznaczy nam inne zadania.

Płomienie pochodni pochyliły się.

Orin odłożył srebrne sztućce i wytarł usta serwetką. Następnie sięgnął po karafkę, z której Roven pił już dwukrotnie, i napełnił stojącą przy jego zastawie szklanekę. Szybko przełknął kilka łyków.

- Sława Hordów sięgnęła daleko poza Doliny Gruaronu - zaczął powoli. - I, jak to zazwyczaj bywa z wędrującymi opowieściami, czym dalej od miejsca ich powstania, tym bardziej są niesamowite.

- Masz rację - powiedział Bren Ott. On i Mistrz Gildii obserwowali go uważnie. - Opowieści, jakie na Ziemiach Zachodnich można usłyszeć o Hordach, są niekiedy naprawdę zabawne.

- Właśnie. - Orin sięgnął po jeden z owoców. - Na przykład kiedy ostatnio przekroczyłem tunel Iri, uraczono mnie jedną z najbardziej fantastycznych bajek, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Pochodnie znów zadrżały.

- Rzadko kto przyjeżdża do nas z bajkami - powiedział spokojnie Roven.

- Ta jest naprawdę zajmująca.

- A więc opowiedz ją. - Ott wyprostował się, opierając o krzesło.

Orin spojrział na obu Hordów.

- Słyszałem, że pod górami Seren znajduje się ciąg długich tuneli, pozwalających bez kłopotów pokonać najtrudniejszy odcinek drogi przez Doliny. Ludzka fantazja stworzyła nawet narzędzie, które miałyby pozwolić Hordom zbudować te tunele. Słyszałem, że w posiadaniu Gildii jest substancja pozwalająca topić skałę, tak jak ogień topi wosk. I co najzabawniejsze, wymyślono też jej nazwę.

- Jaką? - głos Mistrza Gildii zabrzmiał jak skrzek.

- Noks.

Mówiąc to, Gret Orin nie spuszczał uważnego spojrzenia z Roveną. Chociaż twarz Mistrza Gildii pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, jego oczy rozwiały wszelkie wątpliwości.

I tunele, i noks istniały.

- Wierysz w bajki? - zapytał cicho Bren Ott.

- Tylko w te, które mogą mi się przydać - odpowiedział Orin.

Znów sięgnął do tacy z owocami, podwijając zawadzające mu rękawy kaftana.

Nim którykolwiek z Hordów zdążył coś rzec, drzwi do jadalni Mirotu otworzyły się. Stał w nich Urlok, trzeci członek najwyższego kręgu Gildii.

- Przepraszam - powiedział, zmierzając w stronę wolnego miejsca. Był tak chudy jak Bren Ott i Roven, ale znacznie od nich wyższy. Miał nieproporcjonalnie długie ręce, zakończone dłońmi o ogromnych palcach. - Niecierpiąca sprawa...

Umilkł nagle, wyczuwając atmosferę panującą w komnacie. Orin, podnosząc wzrok, dostrzegł na jego twarzy okulary w grubych oprawkach.

- Usłyszeliśmy właśnie zajmującą bajkę - powiedział Mistrz Gildii tonem, w którym dźwięczała groźba. - Nawet nie domyślasz się, o czym?

- Tak...? - głos Urloka brzmiał, jak gdyby nie usłyszał ani jednego ze słów wypowiedzianych przez Roveną.

Pierwszy mechanik Gildii stał obok krzesła, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w Orina.

- Tak, fantazję o tunelach pod górami Seren, które mielibyśmy jakoby stworzyć za pomocą substancji zwanej noksem...

- To doprawdy śmieszne! - wykrztusił Urlok, odsuwając z hałasem krzesło.

Orin był zaskoczony jego zmieszaniem. Urlok nawet nie starał się ukryć malującego się w jego oczach przerażenia.

Zauważyli to również Roven i Bren Ott. Mistrz Gildii rzucił Urloкови groźne spojrzenie.

- W jaki sposób taka bajka mogłaby ci się przydać?  
- rzekł, zwracając się znów do Orina.

Orin wypił łyk wody.

- Spieszę się do Tyngi. Bardzo się spieszę. Każdy dzień i każda godzina są dla mnie na wagę złota. Dlatego na najbliższe dwa tygodnie postanowiłem uwierzyć w opowieść o tunelach pod górami. Ale tylko na dwa tygodnie. Potem, gdy już znajdę się w Tyndze, ta historia znów stanie się dla mnie tylko bajką. Taką, o której nie warto nawet wspominać. Nigdy i nikomu

- dodał z naciskiem.

- Cóż... - Roven rozparł się wygodnie w fotelu. Tylko oczy, rzucające błyski, zdradzały jego prawdziwe uczucia.

- Gości, którzy przyjeżdżają do nas z podobnymi historiami, zazwyczaj nie wypuszczamy z Hrostu.

- Oczywiście - odparł szybko Orin, starając się zachować przynajmniej pozorną swobodę. - Gildia nie może sobie pozwolić, by głośno opowiadano o niej równie nieprawdopodobne historie. Ale ja mam przecucie...

- Tak? - Mistrz Gildii powoli przeżuwał kawałek mibii.

Bren Ott milczał od momentu, w którym Orin zdradził cel swojej wizyty w Hroście. Urlok nalał sobie wody, rozlewając przy tym kilka kropel i wypił ją duszkiem.

- Mam przecucie, że jeśli w ciągu dwunastu godzin nie opuścę tych wspaniałych komnat, to wkrótce na dwór Tyrona dotrze długi list - kontynuował Orin. -

Bajka, którą ci opowiedziałem, nadzwyczaj zaciekał cesarza. Słyszał on już wiele o wiedzy i możliwościach Gildii, ale wszystko to były wiadomości niesprawdzone. I dlatego ciągle jeszcze wierzy w taki obraz Gildii, jaki wy mu przedstawiacie. Ale w jego otoczeniu są ludzie, którzy od dawna podejrzewają, że Hordzi to nie tylko dzielni kurierzy, służący ludom Dolin pomocą w najcięższym dla nich okresie. Ci ludzie czują, że Gildia zgromadziła ogromną wiedzę, którą bardzo by chcieli wykorzystać, oczywiście dla swoich celów. Rozumiesz więc, Mistrzu Gildii, że taki list, nie tyle z plotkami czy kolejnymi przypuszczeniami, ile z konkretną, wiarygodną informacją z zaufanego źródła, mógłby wywołać burzę na cesarskim dworze. Taka bajka w rękach ambitnego rodu to klucz do powodzenia i sławy. A dla was to pytania cesarskich urzędników, w końcu wezwanie na dwór i... kto wie, co dalej...

- Daruj sobie groźby - przerwał mu Roven.

Gret Orin uśmiechnął się lekko. Słowa Horda nie przstraszyły go. Teraz był już pewny swego. Gildia nie

zaryzykuje ściągnięcia na siebie uwagi cesarza. Bardziej niż kiedykolwiek był przekonany, że Hordzi nie mogą sobie na to pozwolić.

- Spieszę się do Tyngi. Chodzi mi tylko o to, by dotrzeć tam jak najszybciej - powiedział spokojnie.

Roven milczał, mierząc go wzrokiem.

- Gdzie spotkałeś autora tej bajki? - zapytał cicho. Orin wzruszył ramionami.

- Bez tego bajka jest nieprzekonująca - rzekł Wielki Mistrz z naciskiem.

- Wystarczy, że ja w nią wierzę...

- Nie wystarczy.

- A jednak...

Roven pokręcił głową.

- Nie wygląda na to, żeby ci się spieszyło. Orin pochylił się.

Nie ma sensu tego przeciągać. I tak miałem go wydać, pomyślał.

Spojrzał kolejno na Brena Otta, Urloka i Roven.

- Powiem wam, gdzie go spotkałem, ale dopiero w Tyndze.

Hordzi wymienili spojrzenia. Orin miał wrażenie, że Urlok starał się dać Mistrzowi Gildii jakiś znak i że Roven spiorunował go wzrokiem. Wszystko to jednak trwało tylko ułamki sekund.

- I jeszcze jedno - dorzucił Orin, zanim którykolwiek członek Mirotu zdążył się odezwać. - Ja, w przeciwieństwie do większości ludzi, mam wysokie mniemanie o możliwościach Hordów. Wierzę nie tylko w tunele i noks, ale nawet w to, że potrafią zapobiegać takim przypadkom jak uderzenie pioruna, atak grycht czy najdrobniejsze przeziębienie. I jeśli coś podobnego mnie spotka, powiedzmy, przed sześćdziesiątym rokiem życia, będzie to znak, że Gildia nie zrobiła wszystkiego, by odwdziżyć mi się za milczenie. A wtedy wiadomość o noksie trafi do cesarza - tego, który miłościwie nam Panuje, czy jakiegokolwiek, który nastanie po nim.

- Tylko przed sześćdziesiątym...? - zapytał wolno Bren Ott.

Orin drgnął. Opanował się jednak. Najwidoczniej ^gi dobiegają końca, musi zachować spokój jeszcze tylko kilka minut.

Mistrz Gildii mierzył go zimnym, uważnym spojrzeniem.

- Dlaczego tak ci się spieszy do Tyngi? - zapytał po chwili milczenia. - To musi być dla ciebie sprawa życia i śmierci.

Orin zmarszczył brwi. Wyobraźnia podsunęła mu sylwetkę Newii. Życia i śmierci? Na pewno życia... Ale teraz nie wolno się nad tym zastanawiać.

- Chciałbym wyruszyć przed świtem. Roven i Bren Ott wymienili spojrzenia.



- Dobrze - rzekł w końcu Mistrz Gildii. - Pojedzie z tobą Bren Ott. W Tyndze powiesz mu, gdzie widziałeś - popatrzył na gościa spod oka - Torna.

Orin skinął tylko głową.

Bren Ott podniósł się z miejsca. Kiedy się odezwał, Orin stwierdził, że jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Zaprowadzę cię do komnaty, gdzie odpoczniesz, a potem przygotuję się do drogi.

Orin miał ochotę spytać, jak długo potrwa podróż do Tyngi, ale powstrzymał się.

Wstał, powoli odsuwając krzesło i kiwnął głową Urlokowi. Pierwszy mechanik Hordów nie zauważył tego, wpatrzony w nakrycie stojące przed gościem. Nie doczekawszy się żadnego znaku z jego strony, Orin podszedł do Mistrza Gildii. Chciał coś powiedzieć, ale nie przychodziły mu do głowy żadne słowa, w których nie byłoby nuty triumfu.

Odwrócił się i poszedł za Ottem.

Głos Roveny dobiegł go dopiero wtedy, gdy stanął w drzwiach komnaty.

- Do widzenia - powiedział Mistrz Gildii, odwracając się na krzesło. - Życzę ci, byś umiał strzec swoich tajemnic lepiej niż my naszych.

- Torn zdradził nasze największe tajemnice. To, że opowiedział Orinowi o Wielkich Serenach i noksie, to nic...!

Pierwszy mechanik Hordów wziął do ręki okulary i podał je Rovenowi.

- Orin ma wypisane na dłoniach i przedramionach runy. Te, o których wiemy tylko ty, Bren Ott i ja. I o których wiedział Torn.

- Niemożliwe. - Mistrz Gildii otworzył szeroko oczy.

Urlok pokręcił powoli głową.

- Przez cały czas nie zdejmowałem okularów, mając nadzieję, że Orin rozepnie koszulę na piersiach. Przypuszczam, że również tam Torn wymalował mu runy. Zastanawiam się, jak bez naszej aparatury zdołał sporządzić atrament?

Mistrz Gildii odwrócił się plecami do Urloka.

- To niemożliwe - powtórzył ciszej.

- Przekonasz się, jak tylko zabijemy Orina - powiedział Urlok, wstając z miejsca. - Idę po Brenna Otta.

- Zaczekaj! - Roven wyprostował się. - Jeden dzień nie zrobi nam różnicy. Orin nie ma pojęcia, z czym tak naprawdę przysłał go tutaj Torn. Gdyby wiedział, w tej chwili pędziłby co konń wyskoczy, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od Hrostu.

- Ale... - zaczął Urlok. Mistrz

Gildii pokręcił głową.

j ■■■■■■ †

Ledwie za Orinem i Brenem Ottem zamknęły się drzwi, Roven poderwał się z miejsca. Oparł na stole zaciśnięte pięści.

-Przeklęty Torn...! - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Urlok zdjął okulary i położył je obok nietkniętego półmiska. Był biały jak ściana, a po jego twarzy spływał pot.

Mistrz Gildii popatrzył na niego z gniewem.

- Od kiedy cię znam, nigdy nie zdarzyło ci się w trudnej sytuacji stracić opanowania. Ale dzisiaj... Skąd ten tak jawnie okazywany strach? Patrząc na ciebie, ten potomek wyklętego rodu mógł pomyśleć, że my, Hordzi, strasznie się go boimy! Nie przeczę, opowieść, jaką nas uraczył, nie była przyjemna - dodał. - Ale jeśli dzięki temu dopadniemy wreszcie Torna, gotowy jestem wybaczyć Orinowi i pozwolić mu żyć. Przynajmniej do sześćdziesiątki...

- Musi umrzeć i to jeszcze dziś - odezwał się wreszcie Urlok.

Jego głos brzmiał głucho.

Mistrz Gildii odwrócił się ku niemu.

- Co masz na myśli?

- To, co Orin mówił o cesarzu, jest prawdą. Dlatego tylko pozwoliłem mu stąd wyjść. Tyron Śmiały od dawna interesuje się nami i nie możemy ściągać jego uwagi na Hrost. Tymczasem Orin ma ciągle spore wpływy na dworze. Jak słyszałeś, zabezpieczył się w jakiś sposób przed przyjazdem tutaj. Zaczekaj... - Roven przeszedł szybko po komnacie. - Chce jechać prosto do Tyngi. Obserwowaliśmy go przez ostatnie pół godziny drogi... Musiał jeszcze wcześniej wysłać jakiegoś sługę gdzieś na trakt do Tyngi. Ten sługa ma sprawdzić, czy Orin wyjedzie z Hrostu. A więc Bren Ott będzie mógł działać dopiero wtedy, gdy ten ktoś do nich dołączy.

- To ryzykowne. - Urlok okrążył stół.

- Nie. - Mistrz Gildii przemierzał jadalnię Mirotu długimi krokami. - Ani trochę. Zdrajca zakpił z Orina jeszcze bardziej niż z nas. Pamiętaj, że nasz gość nic nie wie o znakach, jakie nosi na ciele. Zaczekaj... - powtórzył ciszej, zatrzymując się - już wiem. Jego sługa musi czekać gdzieś przed wawozem Grol, bo dalej kończy się ubity trakt. A wawóz Grol to teraz niebezpieczne miejsce. Grychty lubią napadać tam na podróżnych...

- Pójdę po Brenna Otta - rzekł Urlok. Wydawał się już spokojny, ale po twarzy nadal spływał mu pot. -A może mam mu pomóc...?

- Nie trzeba. Z takimi zadaniami Ott radzi sobie doskonale.

## Rozdział II



ekkie powiewy wiatru unosiły leżące na ziemi suche liście. Na drzewach pozostało ich niewiele, a te, które trzymały się jeszcze gałęzi, były najczęściej poskręcane w brunatne stożki. Stożki te opadały z szelestem, ledwie przez Puszcę przeleciał byle podmuch.

Przed świtem w lesie pojawiała się mgła. Wyglądała jak rozwieszona między poczerniałymi pniami pierzyna. Tylko na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie gęstej. Idąc, łatwo było przyzwyczać się do niej, a wtedy zdawało się, że rzednie. Było to jednak złudzenie, jedno z wielu zjawisk, jakie o tej porze roku miały wędrujących przez Gruaron.

Drzewa otalone mgłą upodabniały się do siebie. Każde było wbitym w ziemię pniem, wysoką łodygą wyrastającą nie wiadomo skąd i sięgającą nie wiadomo gdzie. Las stracił intensywne zapachy, zbladł<sup>1</sup> zmatowiał. Można było przemierzać go wiele godzin,<sup>a</sup> ciągle miało się wrażenie, że jest się w tym samym

miejscu. Między tymi samymi drzewami oblepionymi bladą watą.

Bywały dni, kiedy mgła nawet na godzinę nie opuszczała Puszczy. Pojawiała się razem z brzaskiem i ginęła wraz ze zmierzchem. Bieliała się z rozkwitem dnia, po czym coraz szybciej ciemniała aż do zupełnej czerni. Czasami tuż przed zachodem słońca nikła nagle, wessana przez ziemię. Jednak po to jedynie, by następnego ranka pojawić się znowu.

Dni stały się podobne do siebie. Czas zatrzymał się, jakby nigdy już nie miał ruszyć. Zbliżało się przesilenie jesienne.



Po zmroku tego dnia, kiedy pospiesznie opuścili sadybę krywów, Newia i jej przewodnik zatrzymali się na wzgórzu gęsto porośniętym niewysokimi krzakami. Newia usiadła pod jedynym rosnącym tu drzewem, wątlym dronem wysmaganym przez wiatry. Dron był karłowaty i krzywy. Nie było mowy, żeby nawet dziecko zdołało się na niego wspiąć.

Jeszcze dwa dni temu spytałaby natychmiast, gdzie będą nocować, skoro wokoło nie ma żadnego nadającego się do tego drzewa. Teraz z ulgą oparła się o pień dronu, ostrożnie wyciągnęła nogi i odetchnęła głęboko. Spojrzała na swojego towarzysza, który położył obok niej niesiony na plecach pakunek. Następnie rozpoczął wieczorny rytuał z wykorzystaniem gwizdka, który nie gwizdał, i dziwaczego, cienkiego metalu. Newia wiedziała już, że w ten sposób Hord bada, czy w pobliżu nie ma grycht. W milczeniu odpoczywała, patrząc na ciemne i ciężkie chmury, które zdawały się wisieć tuż nad ich głowami.

Tego dnia Newia miała wrażenie, że poruszając nogami, cały czas stoi w miejscu. Mijały godziny marszu, a wokół nadal prostowały się te same drzewa, czarne i pozbawione liści. Na ziemi leżały te same połamane pnie. Niektóre były rozpołowione, jak po uderzeniu toporem i odsłaniały bezwstydnie spróchniałe wnętrza. W ciemnościach próchno świeciło, w dzień przypominało galaretowatą masę. Pokonywanie takich przeszkód było męczące, a w miarę zbliżania się wieczoru stało się prawdziwą udręką.

Newia mechanicznie stawiała kolejne kroki, starając się wykonywać jak najmniej zbędnych ruchów. Trzydniowa wędrownica nauczyła ją oszczędzać siły. Lepiej niż poprzednio rozumiała milczenie towarzysza.

Jeszcze dwa dni temu nagle opuszczenie sadyby krywów wywołałoby lawinę pytań. Próbowalaby dowiedzieć się, kim był zmarły, którego Udul razem z krywami przyniósł z porannej wyprawy do Puszczy.

I dlaczego wyruszyli tak szybko? Ona tylko żartowała, że jest gotowa do drogi. Naprawdę potrzebowała odpoczynku i Udul o tym wiedział. Skąd więc ten pośpiech?

W czasie wędrowki te wszystkie pytania pojawiły się w jej głowie. Zastanowiła się i stwierdziła, że żadnego<sup>2</sup> nich nie warto zadawać głośno. Gdyby wydarzyło się coś ważnego, coś, co mogłoby wpłynąć na powodzenie rundy, Hord sam by jej o tym powiedział. A tak?

W końcu idą do celu, nawet szybciej, niż Newia by sobie życzyła. Lepiej milczeć. Zwłaszcza że w każdej chwili może pośliznąć się na pniu i skrócić nogę. A to oznaczałoby koniec podróży. I zimowanie na którymś z tych dziwacznych drzew razem z zapomnianymi przez wszystkich bogów ludźmi. Lepiej więc milczeć i skupić się na kolejnym kroku. A potem na kolejnym.

Dopiero pod wieczór, gdy Newia usiadła pod drzewem, jej myśli pogalopowały w różnych kierunkach. Przypominała sobie sceny z dzieciństwa, które uważała za pogrzebane na zawsze w zakamarkach pamięci. Pierwszy bal w Twerze. Lekcję jazdy konnej, kiedy spadła z siodła i złamała rękę. Albo wyjazd do Verna-ru, na cesarski dwór.

Na tym ostatnim wspomnieniu Newia zatrzymała się na dłużej. Pamiętała, że kiedyś uważała ten moment za przełomowy w swoim życiu. Matka chciała ją jak najszybciej wydać za mąż, licząc, że jej młodość i uroda zrównoważą skromny posąg. Ojciec, wcześniej żołnierz, był jednym z urzędników cesarza, niezbyt wysoko postawionym w hierarchii i obarczonym wieloma obowiązkami. Newia przypominała sobie jeden z nielicznych momentów, kiedy akurat był w Twerze, i kłótnię, jaka wtedy wybuchła między nią a matką. Nie chciała wyjeżdżać z rodzinnego miasta. Przerazała ją perspektywa znalezienia się w otoczeniu cesarza, wśród ludzi, którzy nawet w opowieściach budzili w niej lęk. Ojciec jednak poparł matkę. Po kłótni i spazmach, które rodzice potraktowali z lodowatym chłodem, Newia dalej płakała w swoim pokoju. Nie zapaliła światła i leżała na łóżku w zupełnych ciemnościach.

Przypominała sobie teraz tę chwilę. Przypominała sobie też moment, kiedy nagle i w pełni pojęła, że jej łyż nic nie zmienia.

Kiedyż to było?

Uśmiechnęła się smutno. Machnęła ręką, odganiając niepotrzebne wspomnienie.

Odruchowo sięgnęła do ukrytego na piersi skózanego woreczka, w którym trzymała drogocenny list. Miała ochotę wyjąć go i jeszcze raz przeczytać, chociaż każde jego słowo znała na pamięć. *Jest w Omorgu. I dalej: Wszystko jest tak, jak przewidywałaś. Myliłaś się tylko co do sprawców nieszczęścia...*

Czy aby na pewno?

Newia zadrżała. To niemożliwe, a jednak... Zachowanie pana Sorso. I ten okrzyk: Musisz wykonać rozkaz! Wynajęty powóz Hordów. Niewątpliwie ktoś starał się, by bezpiecznie dotarła do Omorgu. Ale dlaczego się starał? Komu zależałoby, żeby dojechała bezpiecznie? Czy na pewno się pomyliła?

Wzdrygnęła się. To nie ma znaczenia. Kolejne próżne, zbyteczne rozmyślenia. Najważniejsze jest pierwsze zdanie listu. Tylko ono się liczy. *Jest w Omorgu.*

Zamknęła oczy i oparła głowę o pień drzewa.

Udul obszedł dookoła wzgórze. Tak jak podejrzewał, w okolicy nie było grycht. Nie powinno być. Te, **Które** grasowały w tym rejonie, wymordował człowiek posiadający pierścień Hordów. Luin, jak zwali go kry-wi. Zanim inne potwory zorientują się, że mogą rozszerzyć swoje tereny łowieckie, miną dwa lub trzy dni. Tej nocy nie musieli spać na drzewach. Byli bezpieczni, przynajmniej na tyle, na ile można być bezpiecznym w Gruaronie.

Dla pewności Udul posmarował kilka pni ciemnym smarem, który nabrał z niewielkiego słoika ukrytego w jednej z licznych kieszeni kaftana. Substancja, jeden z ostatnich wynalazków Gildii, wydzielala ostre, cierpki zapach. Ta woń odstraszała grychty i powodowała, że potwory zaczynały przeraźliwie piszczeć. Taki pisk obudziłby każdego człowieka.

Wrócił na wzniesienie.

- Dzisiaj rozpalimy ogień.

Przez chwilę pożałował swoich słów. Wydawało mu się, że Newia spała i że ją niechcący obudził. Uspokoił się, widząc, jak szybko podniosła wzrok.

- A... grychty?

- To nie będzie zwyczajne ognisko.

- A jednak... - nie dokończyła. Udul wyczuł w jej głosie wahanie.

- Grychty, które grasowały w tej okolicy, zostały wybite dzisiaj rano.

- Przez ciebie? - Przechyliła głowę na bok. Hord zrozumiał, że spodziewa się odpowiedzi twierdzącej.

**-Nie.**

Przez chwilę patrzyli na siebie. W końcu Hord odwrócił się.

- Niedługo wrócę.

W lesie nie było suchych gałęzi. Te, które leżały na wierzchu, ponad darnią, przeszły wilgocią przywleczoną z mgłą. Te, które zostały oplecione przez trawy, nasiąkły

wodą zgromadzoną w poszyciu. Jedne i drugie nie nadawały się nie tylko na podpalkę, ale w ogóle do spalenia. Aby był z nich jakiś pożytek, powinny najpierw poleżeć na słońcu i wyschnąć.

Nie było jednak wyboru.

Zbierając gałęzie, Udul zastanowił się. Uświadomił sobie, że nigdy jeszcze mu się nie zdarzyło, by wykorzystał wszystkie wynalazki Gildii już na samym początku rundy. Napój nasenny, którego czasami sam potrzebował, skończył się za dwa dni. Rano oddał luino-wi połowę kserekusu - proszku, który po rozcieńczeniu z wodą stanowił antidotum na jad grycht. Przed chwilą posmarował drzewa maścią czterech gri - pochodzenia tej nazwy nikt w Hroście nie potrafił objaśnić - a zaraz zużyje większość otrzymanej na tę zimę saletry. A przecież to dopiero czwarty... nie, piąty dzień rundy. Kiedy dotrą do Hrostu, będzie musiał prosić Urloka, mechanika Gildii, który również sprawował pieczę nad zgromadzonymi w magazynie zapasami, o dodatkowe porcje wszystkich tych substancji.

Na tę myśl Udul skrzywił się. Urlok niechętnie wydawał Hordom dodatkowe ilości alchemicznych wynalazków Gildii. Zawsze domagał się szczegółowych wyjaśnień, dlaczego Hord wykorzystał już cały zapas Przekazany mu na tę zimę. Zazwyczaj wygłaszał też krótkie pouczenie.

- Wiedza i siła - mówił ponuro, zaciskając na jakimś flakoniku nienaturalnie długie palce - to właśnie stanowi o potędze Gildii. I nie jest to wiedza o tym, jak łączyć naturalne substancje, i nie jest to siła potrzebna do mieszania wywaru w kadzi. To wiedza o tym, gdzie uderzać, i siła, która pozwala zadać to uderzenie. To są właśnie najważniejsze atrybuty członka Gildii, a nie te wszystkie smary i kwasy.

W tym momencie przewiercał wzrokiem stojącego przed nim Horda.

- Jeśli tu jesteś teraz - ciągnął - oznacza to, że ponad to, czym powinieneś naprawdę się interesować i nad rozwojem czego powinieneś pracować każdego dnia, przedkładaś wymysły alchemików.

Oczywiście Urlok nigdy nie uznawał nadzwyczajnych okoliczności, które zmusiły Horda do wypicia do końca kserekusu czy wykorzystania całej saletry.

- Mówisz, że musiałeś. Tak. - Uśmiechał się drwiąco. - A czy wiesz, że Bren Ott w ciągu dwudziestu lat rundy ani razu nie przyszedł do mechanika Gildii, bo wyczerpały mu się zapasy? Wiesz o tym? To dobrze, bo w takim razie musisz też rozumieć, dlaczego jego Gildia powołała do Mirotu, a ty do końca swoich dni będziesz wylewał pot na bezdrożach Gruaronu.

Udul wzdrygnął się. Tylko raz, w czasie swojej trzeciej zimy w Gildii, zdarzyło mu się wysłuchać podobnej przemowy Urloka. Poprzysiągł sobie wtedy, że już nigdy nie narazi się na burę. No cóż, trudno. W końcu to, co go

spotkało, to sytuacja naprawdę wyjątkowa. Nawet Urlok będzie musiał to przyznać. Ten luv z mapą i wydany przez niego rozkaz przypiętowany pierścieniem Gildii zasługują na miano szczególnych okoliczności. Może nawet bardziej szczególnych, niż mi się wydaje, pomyślał Udul i poczuł niepokój, taki sam, jaki odczuwał rano, jeszcze przed podjęciem decyzji o przyspieszonej wędrówce. Może tak szczególnych, że nie powinienem nigdy przyznać się, że o nich wiem, westchnął w duchu.

Odpędził szybko tę myśl. Nie będzie po raz drugi rozstrzygał tego samego.

Wracając na wzgórze, przyglądał się ciemnemu kształtowi skulonemu pod drzewem. Newia siedziała dokładnie w takiej pozycji, w jakiej ją zostawił. Nie poruszyła się również wtedy, kiedy z cichym szelestem złożył na ziemi naręczę gałązek. Podszedłszy bliżej, Udul zauważył, że kobieta ma zamknięte oczy. Pochylił się nad nią i przez chwilę słuchał jej równego oddechu. Spała.

Odsunął się najciszej jak tylko mógł. Przeniósł gałęzie trochę niżej i szybko wybrał kilka, które wydawały mu się najsuchsze. Ułożył z nich niewielki stos. Następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana i wyjął z niej mały woreczek. Zanurzył w nim dłoń i nabrał szczyptę drobno zmielonego proszku. Saletra Hordów miała, podobnie jak wszystkie wynalezione lub udoskonalone przez Gildię substancje, szczególne właściwości. Nie wybuchała, spalała się spokojnie. Natomiast wchodziła w reakcję z wodą i neutralizowała jej działanie.

Udul posypał gałęzie i czekał, odliczając w myślach. Gałązki zaczęły trzeszczeć, tak jakby ktoś włożył je do wielkiego ognia. Po chwili zrobiło się cicho. Wtedy <sup>m</sup>Czyczna sięgnął po krzesiwo i hubkę. Kilka isker **Wystarczyło**, by po najmniejszej **gałązce zaczął** pełznąć ledwo widoczny, niebieskawy jęczyczek ognia.

Hord poczekał, aż płomień obejmie całą gałąź, po czym dołożył jeszcze jeden patyk. A potem jeszcze jeden. Pomalutku ognisko rozpalało się, nie tracąc jednak swojego niebieskawego koloru. Biło od niego słabe ciepło, a wokół zaczął rozchodzić się charakterystyczny zapach palonego drewna.

Udul wstał i zbliżył się do Newii najciszej jak potrafił. Przyklęknął przed nią na jedno kolano i znieruchomiał. Przez minutę słuchał jej oddechu, zanim się upewnił, że zasnęła na dobre. Dopiero wtedy cofnął się i usiadł po drugiej stronie ogniska, tak by od razu zauważyć, jeśli Newia się przebudzi. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana, jednej z tych, których istnienia nie domyśliłby się nikt poza jego właścicielem.

Mapa, którą znalazł przy lulinie, była kawałkiem pergaminu wielkości czterech dłoni dorosłego człowieka. W lewym górnym rogu znajdował się znak Miro-tu, połowa gwiazdy. Pod nim rzędy kresek, pociętych linii i

dziwacznych znaków. Część z nich została namalowana czerwonym atramentem, część - czarnym. Tu i ówdzie Udul spostrzegł złotą kropkę, lśniąca jak światełko.

Wiedza zapisana na papierze to coś, co można ukraść lub odebrać siłą. Wiedza zamknięta w umyśle człowieka nigdy nie wydobędzie się na zewnątrz, chyba że ten człowiek sam na to pozwoli. Jedną z zasad Gildii było, by sporządzać jak najmniej dokumentów. Jak najmniej ksiąg z zagadkami alchemicznymi, opisów działania wynalezionych mechanizmów, danych o zarobkach Gildii. Jak najmniej wszystkiego, co mogłoby trafić w ręce postronnych.

Jeśli już zdecydowano się stworzyć jakiś dokument, zawarte w nim informacje dodatkowo zabezpieczano specjalnym szyfrem. Klucz do niego znali tylko nieliczni - ci, którzy mieli za sobą dziesiątki lat rundy. Rozwiązanie, jakie stosowała Gildia, było proste. Po pierwszym roku wędrówek młody Hord poznawał kilka znaków z tajnego języka Gildii. Dzięki nim nie był w stanie odszyfrować żadnego pisma, ale sam mógł wysłać czy zostawić prostą wiadomość typu: „Potrzebuję pomocy” albo „Idę ze zleceniem”. W drugim roku uczono go kolejnych kilku znaków, które pozwalały mu sklecić dodatkowych kilkanaście zdań. I tak z roku na rok liczba znaków Horda powiększała się, aż w końcu, po dziesięciu latach rundy, osiągał pierwszy stopień wtajemniczenia w tajnym piśmie Gildii. Zgromadzona wiedza pozwalała mu, gdyby chciał lub gdyby Gildia wyznaczyła mu to zadanie, odszyfrować część pergaminów. Oczywiście tych ze zwykłymi informacjami: o stawkach za zlecenia, z przepisami na najprostsze wywary czy powszechnie znane urzędnia. Prawdziwe tajemnice nadal były dla niego niedostępne.

W jedenastym roku wędrówki Hord wstępował w drugi krąg wiedzy - i znów każdego lata poznawał kilkanaście kolejnych znaków Gildii. Gdy minął dwudziesty rok rundy, otwierał się przed nim trzeci krąg ujemnie. Hord mógł wtedy wybrać, jaką dziedzinę wiedzy chciałby zgłębiać pod okiem jednego z mistrzów Gildii. Od tej pory każdego lata spędzał miesiące nie <sup>na</sup> ćwiczeniach i pracach fizycznych w Hroście, ale pod ziemią, poznając tajniki alchemii, mechaniki albo historię naturalną Dolin Gruaronu i Cesarstwa. Od tego



momentu pozostawał pod opieką jednego z członków Mirotu, który przyglądał mu się i decydował, w jaki sposób Gildia najlepiej spożytkuje jego talenty. W tym miejscu najczęściej kończyła się droga Horda - tylko nieliczni dostępowali zaszczytu czwartego wtajemniczenia i zostawali apronami. Piąty krąg tworzyło trzech członków Mirotu.

Udul miał za sobą jedenaście lat rundy. Rok temu wypowiedział słowa przysięgi drugiego kręgu - jedno raptem zdanie, w którym ślubował zgłębiać wiedzę ofiarowaną mu przez Gildię. Przysięga była bardzo podobna do tej, jaką wypowiedział dziesięć lat wcześniej, wstępując do Gildii - wtedy jednak obiecywał praktykować posłuszeństwo. Ceremonia nie miała uroczystego charakteru i nie było na niej Roveny. Mimo to Udul doskonale pamiętał szczupłą sylwetkę Brena Otta, który położył mu dłoń na ramieniu i w skupieniu wysłuchał złożonej obietnicy pilności i pracowitości. Hord za każdym razem, kiedy przypominał sobie tę scenę, czuł na sobie zimne spojrzenie milczącego członka Mirotu i za każdym razem musiał uczciwie przyznać, że jeżeli po jedenastu latach rundy istniało jeszcze coś, przed czym odczuwał lęk, był to niewątpliwie ów chłodny, a jednocześnie badawczy wzrok.

Wrażenie to, które dzielali wszyscy młodzi Hor-dzi, potęgowała reputacja Brena Otta. Kiedy jeszcze wędrował po ścieżkach Dolin, dokonał kilku rzeczy, które rozslawiły jego imię daleko poza Hrostem. Mówiono, że już w pierwszym roku rundy przyszło mu walczyć ze stadem siedmiu grycht i że wszystkie zabił nie odnosząc przy tym poważnych obrażeń. Mówiono też, że to on poprowadził słynną wyprawę sprzed kilkunastu lat, kiedy to trzech Hordów ruszyło tropem porwanego przez grychty najmłodszego brata margrabiego Tyngi. Po przeszło dwóch miesiącach, kiedy i w Tyn-dze, i w Hroście sądzono już, że Gildia straciła trzech zdolnych adeptów, Bren Ott i dwóch jego towarzyszy powrócili z dalekiej północy, niosąc ze sobą zmasakrowane ciało porwanego. Był to ogromny sukces - nigdy jeszcze nie udało się wyrwać grychtom choćby zwłok ich ofiar. Szczegóły tej wyprawy poznał tylko Mirot, a Roven, Mistrz Gildii, osobiście zajął się karierą Brena Otta. Od tej pory Ott każdą zimę spędzał na wędrówkach po Dolinach, ale latem rzadko kiedy oglądał światło dzienne. W najgłębszych pieczarach Hrostu pod czujnym okiem Roveny przygotowywał się do roli aprona.

Jednym z zadań aprona, czyli Horda, który złożył przysięgę czwartego kręgu i jest kandydatem do zasiadania w Miocie, była nauka i zaprzysięganie młodszych członków Gildii. Był to obowiązek nudny i niepopularny, ale Bren Ott nie lekcewał go jak inni. Po odebraniu przysięgi, zgodnie ze zwyczajem, odbywał z każdym krótką rozmowę, która, jak szeptano w Hroście, była decydująca dla przyszłości Horda. Z tego powodu wszyscy lękali się ceremonii wstąpienia do kolejnego kręgu, ale zarazem wyczekiwali jej z niecierpliwością. Powodzenie na ścieżkach Dolin w niejednym wyrobiło przekonanie, że potrafi pokazać się Ottowi nie takim, jakim był w rzeczywistości, ale ta-<sup>nt</sup>, za jakiego chciał uchodzić.

Udul nie żywił podobnych złudzeń. Pracując la-<sup>ktn</sup> w Hroście, miał okazję obserwować Otta i robił to

często, gdy tamten się odwracał. Chuda sylwetka członka Mirotu budziła nie tylko lęk, ale i ciekawość. Coś w ruchach i spojrzeniu Otta intrygowało Udulę. Choć zdarzyło mu się widzieć Otta rozmawiającego uprzejmie, a nawet banalnie z gośćmi Gildii, Hord nie mógł się pozbyć wrażenia, że w takich okolicznościach najmłodszy członek Mirotu przywdziewa tylko maskę. Zdarzało mu się też myśleć, że sama osoba Otta jest jedną z największych zagadek Gildii, tajemnicą, której raczej nie chciałby zgłębić.

Udul doskonale pamiętał każde słowo jedynej rozmowy, jaką odbył z Ottem. Po zaprzysiężeniu obaj usiedli na podłodze. Ott nie spuszczał z niego wzroku. Udulowi wydawało się, że jest to zemsta za te wszystkie spojrzenia, jakie przez lata posyłał mu ukradkiem, i za wszystkie myśli, które poświęcił wychudłej postaci najgroźniejszego z Hordów.

- Puszcza Krytów - powiedział w końcu Ott - odkrywa swoje piękno tylko przed nielicznymi.

Udul otworzył szerzej oczy. Uderzyła go prostota tego stwierdzenia, powszechnie znanego i dyskutowanego w Hroście.

- Tak - rzekł, żeby coś odpowiedzieć. Bren Ott ciągle na niego patrzył.

- Jeszcze mniej jest tych, którym potrafi zastąpić to wszystko, czego się wyrzekli.

Udul nie był w stanie ukryć zdziwienia. Spodziewa! się wszystkiego, ale nie takich słów.

- Tak - powtórzył.

- Hord, który z przyjemnością przemierza ścieżki Puszczy, jest stracony dla Gildii... - Bren Ott zawiesił na chwilę głos, przewiercając Udulę takim spojrzeniem, że ten w końcu spuścił wzrok. - Na szczęście znaleźliśmy sposób, żeby poradzić sobie także z takimi przypadkami.

Jednym sprężystym ruchem podniósł się z ziemi. Udulowi nie pozostało nic innego jak pójść jego śladem. Jeśli myślał, że to koniec niespodzianek, mylił się.

- Od tego lata będzie cię uczył Urlok - powiedział Bren Ott, stojąc już w progu komnaty.

Musiało minąć kilka chwil, zanim Udul zrozumiał, że właśnie stało się coś, co w sposób nieodwołalny i na razie całkowicie dla niego niezrozumiałe, określiło jego los.

Żadnego z Hordów, którzy złożyli przysięgę drugiego kręgu, nie uczył Urlok. Kolejne znaki tajnego języka Gildii poznawali oni dzięki leciwemu apronowi, Normowi. Przez dziesięć lat życia w Gildii Udul nie spotkał nigdy nikogo, kogo nie dotyczyłaby ta zasada. Osobista opieka członka Mirotu to przywilej trzeciego kręgu, nie drugiego. Dlaczego dla niego Bren Ott postanowił zrobić wyjątek?

Jeśli Udul spodziewał się, że spotkanie z mechanikiem Gildii przyniesie odpowiedź na któreś z pytań, mocno się

zawiodł. Lekcje z Urlokiem niczego nie wyjaśniły. Udul pamiętał, jak stanął po raz pierwszy w niskiej i ciemnej komnacie, starając się nie tylko nie Potraścić, ale nawet nie dotknąć żadnego z metalowych Urządzeń, pod którymi ugięły się zbite z nieheblowa-nych desek stoły. Zanim oczy zdążyły na dobre przy-yczaić się do ciemności, zza jednego z takich stołów płonił się Urlok. Mechanik Gildii zmierzył go tylko jednym spojrzeniem, pokiwał głową, jakby był z czegoś niezadowolony, po czym zaprowadził go do komnaty tak małej, że mieściło się w niej tylko niewielkie biurko i krzesło. Na biurku, obok palącej się świecy, leżało kilka kawałków pergaminu.

- Kiedy zapamiętasz te znaki, zawołaj mnie. Nauczę cię, według jakich zasad łączą się ze sobą i jakie są ich dopuszczalne kombinacje.

Udul skinął głową. Był już przyzwyczajony, że zgodnie z tradycją Gildii, tylko część wiedzy i to ta mniej cenna, została zapisana na pergaminie. Usiadł przy biurku i z ciekawością spojrzął na leżące przed nim kartki.

To, co na nich znalazł i to, co nastąpiło później, rozczarowało go. Urlok uczył go po prostu kolejnych znaków Gildii, pasujących do tego, co poznał przez pierwsze dziesięć lat w Hroście. Wbrew temu, czego się spodziewał, nie nauczył się żadnych tajemnych przepisów alchemicznych czy instrukcji budowy potężnych maszyn. Nie przygotowywano go też do żadnej sekretnej misji. Nie wydarzyło się nic takiego, co pozwoliłoby mu sądzić, że został w jakiś sposób wyróżniony. Pod koniec lata doszedł nawet do wniosku, że całkowicie przecenił fakt zajęć z mechanikiem Gildii. Bren Ott nie podjął w jego sprawie żadnych tajemniczych i niezrozumiałych decyzji. Zdaje się, że po prostu Norm był chory i Urlok musiał go zastąpić. A zagadkowa rozmowa po przysiędze? Cóż, nie jest pierwszym Hordem, który gryzie się i wyobraża sobie nie wiadomo co, po tym, jak spoczęło na nim spojrzenie Brena Otta.

Przysięga, ciemne wnętrza pracowni Urloka... Wspomnienia sprzed kilku miesięcy przesunęły się pr<sup>ze0</sup> oczami Udulę, gdy zbliżył się do niebieskawego ognia i uważnie spojrzął na mapę luina. Już w pierwszej chwili dostrzegł na niej kilka kombinacji znaków, których nauczył go Urlok. A zatem nie mogło być żadnych wątpliwości - zmarły tragiczną śmiercią luin musiał kiedyś należeć do Gildii i to co najmniej przez kilkanaście lat. Ale co wydarzyło się później? Jakim sposobem ten człowiek stał się leśną zjawą, nierzeczywistą nawet dla żyjących wśród mgieł Puszczy ludów?

Gdyby luin sam odszedł z Gildii, stałby się wyrzutkiem jak Torn. Hordzi wiedzieliby o nim. Tymczasem jego istnienie spowija cisza starannie skrywanej tajemnicy. Może więc luin był właśnie jednym z tych, którym Puszcza zastąpiła wszystko to, czego się wyrzekli? Może Gildia w

ten sposób broni się przed niebezpieczeństwem - niebezpieczeństwem zubożenia niektórych Hordów - że sama wysłała ich w głąbiny lasu, by żyli z dala od Hrostu?

Czyżby i mnie Ott przeznaczył taki los, pomyślał. Pochylił się niżej nad ogniem.

Nadal coś się tutaj nie zgadzało. Od jedenastu lat mieszkał w Hroście. Przez jedenaście lat przemierzał Puszczę i nigdy nie spotkał żadnego luina. Dlaczego było to

nie ma. To, co mówił luin, niczego nie dowodzi i nawet samo jego istnienie również nie dowodzi niczego. I ta mapa też niczego nie dowodzi. Wskazuje jedynie drogę do dowodu.

Udul popatrzył na kawałek pergaminu. Przedstawiał on północny fragment Puszczy Krytów, rozciągającej się od Omorgu aż do Tyngi. Centralną część zajmował skomplikowany rysunek wydrążonych pod górami Seren tuneli. Było ich kilkanaście, splątanych bez wyraźnego planu w coś, co przypominało kłębek włóczki. Udul zwrócił uwagę, że prowadzą do nich tylko dwa wejścia - jedno dla wędrujących z Omorgu, drugie dla podążających z Tyngi. Wskazówki umieszczone na planie, przynajmniej te, które potrafił w całości lub częściowo odcyfrować, podpowiadały, jak znaleźć oba wejścia i jak je otworzyć.

Hord przyjrzał się uważnie rysunkowi i powoli przeczytał podpisy umieszczone pod niektórymi jego elementami. Część odcyfrował od razu i bez trudu, część rozumiał tylko częściowo, ale znaczenia większości w ogóle nie pojmował. Zauważył, że o ile nie powinien mieć kłopotu z odnalezieniem wejścia do tuneli, o tyle otworzenie go może być trudniejsze. *Trzecia dolina gór Seren, licząc od południa. W górę skalnego progu, po... Po czym? Dalej następowało kilka znaków, których Udul nie znał. I wreszcie - włóż do szczeliny-w prawo. Co włożyć do szczeliny?*

Hord zastanowił się. Góry Seren, wysokie i ostre pasma, przecinały Doliny Guaronu na dwie części. Ginęły dopiero daleko na południu, połknięte przez równiny Grolon, jedyny płaskowyż w prowincji Guarofl-

220

się, dlaczego w Cesarstwie tak mało mówi się o Dolinach Guaronu? Nawet w północnych prowincjach i wokół Morza Suriańskiego, a przecież to sąsiednie krainy.

Hord złożył trzymany w rękach mapę. Zastanowiło go, że Newia o nią nie spytała. Oczywiście każdy mieszkaniec Dolin w pierwszej kolejności zwróciłby na ten szczegół uwagę. Tutaj wiadano, że Hordzi nie używają i nie sporządzają map. Ale nagle zrozumiał, że w wypadku Newii nie miał się czego obawiać. Dla cudzoziemki widok przewodnika studiującego pergamin nie był niczym nadzwyczajnym. Uśmiechnął się na myśl, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

216

aż takim sekretem? Musiał być powód i to bardzo poważny. Czy chodziło tylko o to, by odesłać z Hrostu tych, których świat i ludzie przestali już interesować, tak by pozostali Hordzi tego nie zauważyli? Mało prawdopodobne, zważywszy na słowa, jakie Pzed śmiercią wypowiedział luin.

Udul potrząsnął głową. Wszystko to tylko majaki, <sup>a</sup> on wyobraża sobie rzeczy, których zapewne w ogóle

Przebycie gór stanowiło najtrudniejszy odcinek drogi z Omorgu do Tyngi. Gdyby chciało się je ominąć, oznaczałoby to znaczne nadłożenie drogi. Z kolei przeprawa na północy przez Puszczę była trasą, którą nawet Hord wybrałby niechętnie i tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Udul miał zamiar przeprowadzić się z Newią przez góry, korzystając ze znanego Hordom pieszego szlaku przez trzy przełęcze: Goti, Brun i Ostri. Droga ta, w zimie niebezpieczna i zwodnicza, uważana była jednak za najszybszą. Hord miał nadzieję, że zdążą ją przebyć, zanim spadnie śnieg.

Szlak ten, zwany od pierwszej i najtrudniejszej do przebycia przełęczy szlakiem Goti, rozpoczynał się w czwartej od południa dolinie gór Seren. Wejście do tuneli luina musi znajdować się zatem niedaleko zaplanowanej przez Udula drogi. Czy to przypadek? Mało prawdopodobne, pomyślał Hord, pochylając się niżej nad ogniskiem. Jeśli te tunele istnieją, specjalnie wybudowano je tak, by maksymalnie skrócić drogę przez Doliny.

Dla mnie to dodatkowa korzyść, myślał dalej, delikatnie przesuując palcami po chropowatej powierzchni pergaminu. Jeśli nie uda mi się odnaleźć lub otworzyć wejścia do tuneli, stracimy najwyżej jeden dzień.

Jeszcze raz spojrzął na niezrozumiałe znaki we fragmencie o wejściu do tuneli.

Podniósł głowę. Po drugiej stronie ogniska zobaczył "Patrzono w siebie oczy Newii. Miał wrażenie, że obserwowała go od jakiegoś czasu.

~ Zastanawiam się... - zawahała się na moment. Hord bez drgnienia czekał na ciąg dalszy. - Zastanawiam

221

- Naprawdę?

- Tak. - Newia pochyliła się w stronę ognia, w zamyszeniu obserwując, jak niebieski płomyk połyka kolejną gałązkę. - Podróżowałam po Cesarstwie, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, i później też. Spotykałam wielu ludzi, różnych stanów. Niewielu wspominało Doliny Guaronu. Nawet żona margrabiego Tyngi, którą poznałam w Vernarze, rzadko rozmawiała na ten temat. Zupełnie jakby chciała o tej prowincji zapomnieć. Słyszałam co prawda kiedyś dawno o Hordach, ale... - potarła czoło miękkim gestem. - Nawet nie pamiętam co. Ktoś opowiadał

72



mi o nich w Twerze, ale mówił dziwne rzeczy, trudno było w nie uwierzyć. Dopiero margrabia Tyngi wyjaśnił mi...

- Co wyjaśnił? - Hord postarał się, by w jego głosie nie dało się słyszeć zbytnej ciekawości.

Wiedział, że wiele osób w Hroście byłoby bardzo zainteresowanych tym, co pan Tyngi opowiada przy\* jeźdźcą o Gildii.

Siedząca po drugiej stronie wąskiego ognia kobieta pokręciła głową.

- Nic... To i tak nie było prawdą. - Podniosła wzrok i Hord przez chwilę podziwiał jej błyszczące oczy. - Ale przecież Doliny potrzebują pomocy. Czy tych stworów nie można by jakoś wytępić?

- Gruaronowi nie można pomóc. To przeklęta kraina. Wzdrygnęła się.

- To samo słyszałam w Tyndze i to samo mówił mój towarzysz podróży, pan Sorso. Bez przerwy to powtarzał.

- Bo to jest prawda i zarazem odpowiedź na pytanie. - Udul usiadł wygodnie, prostując nogi. - Kiedyś inne prowincje próbowały pomóc Dolinom, próbował im nawet pomóc cesarz z poprzedniej dynastii. To było cztery wieki temu. Kilka lat po przekleństwie, Olef, ówczesny pan Tyngi, rozesłał po całym Cesarstwie wici. Zjechało się mnóstwo rycerzy z najodleglejszych krain, a cesarz przysłał dwa pułki Grotów, najemników z południowych pustkowi. Oczywiście najwięcej ochotników wydały same Doliny. Olef wybrał pięciuset najdzielniejszych i wraz z nimi udał się na równinę Grolon. U podnóża gór Seren ostatniego dnia lata złożył przysięgę Dwustu Dni. Ślubował, że nim minie dwieście dni, uwolni Doliny od przekleństwa.

Hord umilkł, spostrzegłszy, że Newia najwyraźniej myśli o czymś innym.

- Olef - powiedziała kobieta powoli. - Słyszałam już gdzieś to imię. Czy tak się zaczęła Wielka Wyprawa Olefa?

- Tak. Czy ktoś opowiadał ci już o tym?

- Sorso wspominał Olefa, zanim... - zawahała się. - Powiedział, że nikt z tej wyprawy nie powrócił.

- Mylił się albo nie znał tej historii dokładnie. Wiedocześnie nie pochodził stąd, bo każde dziecko w Dolinach zna historię wyprawy Olefa ze szczegółami.

- To dziwne... - zaczęła Newia.

Jeszcze jeden znak! - powiedziała sobie w duchu. Jeszcze jedna wskazówka! Nim zdążyła dokończyć zdanie, Udul wypowiedział jej myśl na głos.

- Że margrabia Tyngi dał ci za towarzysza kogoś, kto nie urodził się w Gruaronie? Tak, to dziwne.

rzeczy, które grychty rozumieją i doskonale potrafią wykorzystywać podczas polowania.

- Co to takiego?

- Śnieg.

- Prawdopodobnie nie chciał, by podczas drogi za bardzo mnie straszono - usłyszawszy swoje słowa, Newia o mało się nie roześmiała. Pan Sorso był jednym z najbardziej przerażonych ludzi, jakich spotkała w życiu. Teraz jednak, kiedy wiedziała, czego się bał, oceniała go trochę inaczej. - Jak w takim razie zakończyła się wyprawa Olefa? Wiem już, że nie udało mu się dotrzymać przysięgi.

- Tak, i przypłacił to życiem. Ale z wyprawy, którą poprowadził, udało się powrócić trzem rycerzom. Dzięki przekazom, jakie po sobie pozostawili, wiemy trochę na temat tego, co można znaleźć, zagłębiając się w Puszcze.

Newia spojrzała na Udulę pytająco. -

Co?

- Pustą, płaską, pozbawioną roślin ziemię, która nie owocuje i nie daje schronienia.

Newia wzdrygnęła się.

- A co się stało z tymi trzema rycerzami?

- Uznali, że nadal są związani obietnicą, którą złożyli razem z Olefem. Ale skoro nie udało im się przegnać klątwy za pomocą miecza, zrozumieli, że muszą służyć Dolinom inaczej. Wyrzekli się swoich rodów, tytułów i imion i podjęli się pomóc mieszkańcom ojczystej ziemi w najtrudniejszym dla nich okresie, czyli w zimie. - I?

- I założyli Gildię Hordów - rzekł spokojnie Udul. - Po powrocie z Wielkiej Wyprawy Olefa trzech ocalałych rycerzy powołało zakon, którego celem jest walka z grychtami, aż do ich ostatecznego wytępienia. Nazwali się Hordami, łącząc początki imion, które wkrótce mieli porzucić: Hrim, Oron i Dart.

Zauważył, że Newia otworzyła szeroko oczy. Nie miał już wątpliwości, że zupełnie zapomniała o mapie, którą widziała w jego rękach jeszcze kilkanaście minut temu.

- Zdaje się - powiedziała cicho - że teraz dopiero pojmuję, czym jest Gildia. Pewnie nie jest łatwo się do niej dostać?

Hord nic nie odpowiedział. Dopiero po chwili odezwał się zwykłym tonem:

- Spróbuj się przespać. Następne dni wędrówki będą ciężkie. Ta mgła, którą widziałas dzisiaj, będzie nam towarzyszyła długo, być może do samych gór Seren. A gdy zniknie, pojawi się coś gorszego.

- Gorszego? - Newia zauważyła, że nie odpowiedział na jej pytanie.

Przyzwyczała się już, że działo się tak prawie zamsze, gdy rozmowa schodziła na Gildię.

- Tak, gorszego, ponieważ zdradzi nasze położenie<sup>1</sup> kierunek, w którym będziemy iść. A wszystko to są

Hord pochylał się. Delikatnymi ruchami zaczął rozgrzebywać palenisko, tak by gałązki jak najszybciej wypaliły się i zgasły.

Ijy brew temu, co mówiono, Bren Ott często uleli gał gwałtownym uczuciom. A raczej jednemu l' gwałtownemu uczuciu - nienawiści. Nienawidził zdrajcy Gildii, Torna, jedynego człowieka, który wymknął mu się i który od lat wodził go za nos. Nienawidził młodszych Hordów, bo między nimi zawsze mógł znaleźć się jego konkurent, a ponadto wielu z nich wykazywało wstrętne mu skłonności do poświęcenia i szlachetności. Bren nie znosił też kobiet, ponieważ dysponowały tajnymi broniami i potrafiły w niewiadomy sposób kierować nawet najrozumniej szymi mężczyznami. Ale najbardziej i przede wszystkim nienawidził członków wysokich rodów, arystokratów Cesarstwa - gdyż przypominali mu, czym i gdzie mógłby być, gdyby nie nieszczęśliwy przypadek sprzed ponad trzydziestu lat.

Bren Ott urodził się daleko poza Dolinami Guaro-u, w mieście Kryn, leżącym na granicy między Cesarstwem i Południowymi Pustkowiami. Miasto to, niegdyś bogate i tętniące życiem, podupało w czasach Trzydziestu Wojen, kiedy to raz po raz padało łupem wojsk cesarskich lub hord wojowników pustyni. Kryn przetrwał też kilka oblężeń, które zdziesiątkowały miejscową ludność. Wywodzące się z niego rody, które wydały na świat kilka pokoleń rycerzy, powoli traciły wpływy i znaczenie. Ich przedstawiciele musieli przystosować się do nowej sytuacji. Do nielicznych, którym się to udało, należeli Ottowie - dawniej wojownicy, później utalentowani szpiedzy, oddający swe usługi aktualnym władcom Kry nu i na tyle zręczni, że potrafili ich porzucić w przededniu klęski. W miarę jak Kryn wiązał się z Cesarstwem, Ottowie zbliżali się do Marrów, stojących na czele cesarskiej gwardii i odpowiadających za te misje, o których zleceniu, przebiegu i efekcie nikt nie powinien wiedzieć. Ojciec Brena Otta był prawą ręką Tudora Marra, kapitana gwardii, i piastował zaszczytne - choć niejawnie - stanowisko pierwszego szpiega Cesarstwa. Syn miał objąć po nim tę funkcję, i był do tego na jak najlepszej drodze, kiedy zły los spowodował, że jego kariera w szeregach służb cesarskich została raz na zawsze przekreślona.

Po kilku udanych misjach Ott został wysłany do rodzinnego miasta, Krynu. Miał zdobyć poparcie przywódcy jednego z pustynnych plemion, Węgra. Było to zadanie wymagające doskonałej znajomości miejscowych układów, zręczności i jednocześnie stanowczości. Bren Ott, znając porywczy i nieokiełznany charakter pustynnych wodzów, uznał, że najpewniejszym sposobem związania z Cesarstwem Węgra będzie porwanie jego syna i wysłanie go w charakterze

zakładnika na dwór Tyrona. Z właściwym sobie talentem zorganizował i pokierował wyprawą kilkunastu najemników, którzy napadli w nocy na obóz Węgra i porwali kilkuletniego chłopca. Ten sposób załatwienia sprawy wzbudził w pustynnym przywódcy szacunek dla służb cesarza i jego samego. Wkrótce Bren Ott otrzymał

wiadomość, że Węgr jest gotowy do rokowań, które miałyby określić, pod jakimi warunkami złoży hołd potężnemu cesarzowi. Ott, wówczas ledwie dwudziestoletni, osobiście prowadził rozmowy. Był już prawie pewien ich pozytywnego zakończenia, kiedy Węgr zażądał widzenia z synem, chcąc - jak mówił - pożegnać się z nim, zanim straci go na zawsze.

Na kilka godzin przed umówionym terminem spotkania dziecko niespodziewanie zachorowało. Chłopczyk dostał wysokiej gorączki i skarżył się na bóle brzucha. Słabł w oczach, a pod wieczór, kiedy miał po raz ostatni zobaczyć się z ojcem, był już nieprzytomny. Bren Ott podejrzewał truciznę, ale nie zdążył tego sprawdzić. Próbował odwlec spotkanie, a gdy to się nie udało, zdecydował się zaryzykować i osobiście przekazał Węgrowi złą nowinę. Węgr wysłuchał młodzika w milczeniu, po czym raz jeszcze powtórzył, że chce zobaczyć syna. Ott musiał ustąpić. Pech chciał, że dziecko umarło na rękach ojca, zdradzając wszelkie symptomy otrucia. Węgr bez jednego słowa opuścił dom Ottów, gdzie toczyły się rokowania, zabierając ze sobą ciało syna i towarzyszących mu wojowników pustyni.

Bren Ott nie miał wątpliwości, że jedyne, co mu pozostało, to ratować własną głowę. Wiedział, że Węgr za kilka godzin zaatakuje miasto, by pomścić śmierć syna. Wysłał jednego ze swoich ludzi, by uprzedził dowódcę miejskiej straży, a sam co koń wyskoczył uciekł z Kry-nu. Nie troszcząc się o to, co zostawia za sobą, pędził na dwór cesarski, by pierwszy porozmawiać z Tudorem Marrem i zawiadomić go o niepowodzeniu misji. Po dwudziestu dniach, w czasie których opuszczał siodło tylko na kilka godzin, stanął przed Marrem. Szef cesarskiej gwardii wysłuchał go uważnie. Nic nie powiedział. Bren Ott domyślił się, że Marr chce sam sprawdzić, co się zdarzyło w Krynie.

Ponieważ on, Bren Ott, nie miał sobie wiele do zarzucenia, czekał spokojnie na rozwój wypadków.

Pięć dni później, gdy był już prawie pewien, że porażka w Krynie nie wpłynie na dalszy rozwój jego kariery, na dwór cesarski przybył ślaniający się ze zmęczenia żołnierz. Kazał prowadzić się prosto do Tudora Marra. Był to jeden ze strażników z Krynu. Żołnierz ten opowiedział Marrowi, że Bren Ott, o którego obecności i misji w mieście wiedziano, rozwścieczył czymś Węgra, a następnie uciekł, nie zawiadomiwszy nawet mieszkańców o grożącym im niebezpieczeństwie. Tudor Marr wezwał czym prędzej swego podwładnego na konfrontację - dopiero wtedy Bren Ott dowiedział się, że jego posłaniec nie dotarł do dowódcy straży, że Węgr napadł razem z trzema innymi wodzami pustyni na niespodziewający się niczego Kryn, że szukał Otta po całym mieście, a nie znalazłszy go, wymordował ocalałych po szturmie mieszkańców i zrównał Kryn z ziemią. Ponadto na gruzach grodu przysiągł ściagać cesarza i jego służby aż do końca

swojego życia. Na znak tej przysięgi przesyła przez tego oto żołnierza - jednego z tych, których wziął do niewoli - obciążony palec dowódcy straży Krynu z tkwiącym na nim nadal cesarskim pierścieniem.

Po wysłuchaniu tych rewelacji Marr nie spojrzął nawet na Otta, tylko kazał stojącym w drzwiach żołnierzom odprowadzić go do koszar. Bren Ott nie tłumaczył się. Zrozumiał, że przegrał - i to z kretesem.

Nie stracono go od razu. Mijał dzień za dniem, a Bren Ott nadal tkwił w ciemnym lochu w koszarach cesarskiej gwardii. Nie pytano go o nic. Wyglądało to tak, jakby Tudor Marr chciał ukryć swoją największą porażkę pod ziemią i na zawsze o niej zapomnieć. Bren Ott wiedział doskonale, że nie ma najmniejszych szans na wyjście cało z opresji.

Po trzech miesiącach odosobnienia wreszcie drzwi lochu zaskrzypiały i otworzyły się z chrzęstem. Bren Ott musiał zasłonić oczy - wąty płomień pochodni wydał mu się bardziej oślepiający niż promienie słoneczne w południe. Odruchowo skulił się w najciemniejszym kącie lochu, zdoławszy tylko zauważyć, że do środka weszło dwóch ludzi. Sylwetka jednego przypominała Tudora Marra. Drugi był wysokim, chudym mężczyzną, ciasno spowitym w długi, ciemny płaszcz.

- Opowiedz o swojej misji w Krynie - powiedział Marr.

Bren Ott opowiedział wszystko jasno i zwięźle, nie odwracając się do przybyszy i nie odsłaniając oczu. Po chwili milczenia Marr odezwał się znowu:

- Kilka godzin po tym, jak tu trafiłeś, osobiście zakomunikowałem cesarzowi, że cię stracono. Jak się domyślasz, nie złagodziło to jego gniewu po stracie Krynu.



Mimo nieznośnego bólu, który dosłownie rozłupywał mu czaszkę, Bren Ott odwrócił głowę i spojrział na Marra. Potem jego załzawione oczy zatrzymały się na odzianym w czerń mężczyźnie.

- Twój ojciec był moim przyjacielem - mówił dalej Marr. - Ale to nie przez wzgląd na niego postanowiłem cię oszczędzić. Masz więcej talentu niż ojciec, a przygoda w Krynie powinna wyczerpać twojego pecha. Teraz już do końca życia los będzie ci sprzyjał. Jesteś więc prawdziwym skarbem, tak wielkim, że może dzięki tobie zdołam spłacić ciążący na mnie od wielu lat dług.

Tudor Marr odwrócił się do drzwi i zastukał w nie. Zanim się otworzyły, powiedział, wskazując na milczącego przybysza:

- To jest Roven, jeden z Hordów z Guaronu. Od dzisiaj należysz do niego.

Gdy za Marrem zamknęły się drzwi, Roven podszedł do ściany. Wyjął z żelaznego uchwytu pochodnię i zgasił ją w niewielkiej kałuży, która zebrała się w kącie lochu.

- Od dziś należysz do Gildii.

Godzinę później dwaj owinięci płaszczami mężczyźni jechali na północ. Do krainy, o której Bren Ott nie wiedział nic poza tym, że według powszechnego przekonania jest to najbardziej przeklęte miejsce na ziemi.

Przybywszy do Dolin i zaznajomiwszy się z miejscowymi warunkami, Bren Ott musiał przyznać, że los się do niego uśmiechnął. Wyćwiczony w dostrzeganiu pozornie nic nieznaczących szczegółów, Ott szybko zrozumiał, że będąc Hordem, będzie mógł nie tylko rozwijać osobiste zdolności, ale również z czasem zdobyć władzę całkowicie odpowiadającą jego ambicjom. Z tego też powodu od samego początku, od samej próby rundy, wyróżniał się odwagą i skutecznością. Stał się najlepszym Hordem, jaki kiedykolwiek przemierzał Doliny i po paru latach wędrówki znał już całą krainę jak własną kieszeń. Mimo kilku wybitnych czynów, które rozślawiły go w Hroście, awansował tak samo jak inni, wstępując do drugiego i trzeciego kręgu w przewidzianych przez Gildię terminach. Nie skarżył się jednak i nie uważał tego czasu za stracony, rozumiejąc, że cnota cierpliwości jest ceniona w Hroście ponad wszystkie inne. Wkrótce okazało się, że postąpił słusznie - gdy został apronem, Roven, wówczas już Mistrz Gildii, osobiście wprowadzał go w największe tajemnice Hrostu, by ledwie po roku uczynić najmłodszym w historii członkiem Mirotu.

Od tego momentu życie Brena Otta powróciło na dawną ścieżkę. Gildia powierzała mu najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne misje, z których wywiązywał się tylko dobrze lub bardzo dobrze. W ciągu dwudziestu paru lat w szeregach Gildii jeden jedyny raz zdarzyło się, by ktoś go przechytrzył - był to Tora. Bren Ott otrzymał rozkaz odszukania i zabicia zbiega, ale kaleki Hord tak sprytnie zacierał za sobą ślady, że po roku przemierzania równin Grolon, Puszczy Krytów i gór Dren Bren Ott musiał uznać się za pokonanego. Nie znaczyło to jednak, że przestał interesować się losami Torna. Rozkaz Rove-na był cały czas aktualny. Bren Ott rozumiał, że pozostaje mu tylko czekać i czekał cierpliwie, przez dwanaście lat sprawdzając każdą - choćby najbardziej niedorzeczną ~ pogłoskę i każdy najmarniejszy ślad. Bez rezultatu.

Zjawienie się w Hroście Greta Orina i kolacja, z której wynikało, że gość spotkał się z Tomem, na swój sposób wstrząsnęła Brenem Ottem. Przez lata wyobrażał sobie, że Torn chowa się gdzieś, chory ze strachu, i całą energię poświęca na ukrycie raz na zawsze śladów swojego istnienia. Tymczasem okazało się, że zdrajca nie tylko rozgłasza postronnym tajemnice Gildii, ale prowadzi też grę, której celem jest - ni mniej, ni więcej - tylko zniszczenie Hordów.

Zaraz potem jak Ott odprowadził Orina na spoczynek, został wezwany przez Rovenę, który powiedział mu o runach. Mimo że pierwszy mechanik Gildii zaklinał się na wszystkie świętości, że się nie pomylił, jego rewelacje wydawały się tak nieprawdopodobne, że zabrawszy ze sobą okulary, Roven i Bren Ott udali się do komnaty przylegającej do komnaty gościa. Za pomocą wmontowanego w ścianę mechanizmu można z niej było obserwować sąsiedni pokój. Zachowanie Orina przed położeniem się spać, nie zdradzające żadnych emocji, wskazywało, że domyśla się, iż jest obserwowany. Ale nie miał pojęcia, że ukryci za ścianą mężczyźni śledzą nie jego twarz, ale odsłonięte przedramiona, pokryte - widoczną tylko po założeniu odpowiednich szkieł - niebieską płataniną skręconych znaków.

Bren Ott w pierwszej chwili zareagował dokładnie tak samo jak Urlok.

- Trzeba go zabić i spalić jego ciało. Jeszcze tej nocy - powiedział przez zaciśnięte zęby, odsuwając się od ściany i zdejmując zasłaniające mu pół twarzy szkła.

- Naprawdę? - Roven z trudem ukrywał targającą nim złość.

Chciał wyjść z komnaty, ale Roven zatrzymał go ruchem ręki.

- Zaczekaj. Tym razem muszę poznać szczegóły.

- To proste. - Ott wzruszył ramionami. - Orin i jego słudzy, bez względu na to, ilu ich jest, umrą od jadu grycht. Na ich ciałach będą liczne rany wyżarte przez jad oraz zadrapania, odpowiadające wielkością i kształtem pazurom grycht. Wokół będzie rozlana po-soka potworów, a kilkadziesiąt stóp dalej, w najbliższych zaroślach, znajdzie się martwa grychta z wbitym w szyję nożem Orina. Ślady na pobojowisku będą wskazywały, że zaatakowało ich stado składające się z pięciu grycht i że po walce cztery oddaliły się w kierunku północno-wschodnim, do Puszczy.

- Doskonale. - Roven zamyślił się. - Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że Stary Człowiek zechce przyjrzeć się uważniej zwłokom Orina.

- I co z tego? - Bren Ott znów wzruszył ramionami. - Nic nie znajdzie. Jedyne trzy pary szkieł *iri-ogh* są tutaj, w Hroście.

- Torn znalazł sposób, by wymalować runy.

Nigdy jeszcze, od czasu, jak został Mistrzem Gildii, nie uczestniczył w takiej kolacji jak tego dnia. Bren Ott opacznie zrozumiał jego pytanie.

- Myślisz, że tortury coś dadzą?

- Mówisz jak nasz mechanik, który przy całym swoim talencie nie grzeszy bystrością... - Roven nie podniósł głosu, ale mówił tonem, który u innego człowieka równałby się krzykowi.

Ott popatrzył na jego wykrzywioną twarz i w jednej chwili zrozumiał swoją omyłkę.

- Nie możemy go dzisiaj zabić. Orin zabezpieczył się, przyjeżdżając tutaj, a więc musimy pozwolić mu wyjechać. Ktoś to sprawdzi... - Ott zawahał się, ale widząc, że Mistrz Gildii czeka na jego dalsze słowa, kontynuował: - Obserwowaliśmy go dzisiaj, gdy zbliżał się do Hrostu, jechał z dwoma ludźmi Drume-nów. Czyli wysłał kogoś, jakiegoś innego sługę, jeszcze wcześniej... Wysłał na trakt prowadzący do Tyngi. Wystarczy pojechać z nim i poczekać, aż ten ktoś do nas dołączy.

- Właśnie. - Roven był już spokojny. - To samo powiedziałem Urlokowi. Rozumiesz jednak, że to delikatna sprawa. Śmierć Orina odbije się szerokim echem nie tylko w Guaronie. Jest bardzo prawdopodobne, że zainteresuje cesarza, który go cenił, chociaż podobno nie mógł znieść ze względu na pochodzenie. To musi dobrze wyglądać.

Bren Ott był już pewny swego.

- A więc w grę wchodzi tylko wąż Grol. To jedyne miejsce nadające się do tego typu akcji. Zaraz wy-% tam dwóch apronów.

- Mógł to zrobić po omacku.

- Potrafiłby?

- A ty byś potrafił? - odpowiedział pytaniem Ott.

Roven zastanowił się chwilę.

- Tak. Ćwiczyłem to.

- Ja też. - Ott pokiwał głową. - I Torn również się tego kiedyś uczył.

Mistrz Gildii krążył po komnacie.

- Zastanawiam się - zwrócił się do Otta - po co on to zrobił?

Hord po raz trzeci wzruszył ramionami.

- Dowiemy się, jak wreszcie znajdzie się tutaj - wskazał ręką na podłogę.

Roven zatrzymał się przy ścianie. Przez szczelinę między kamiennymi blokami zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia.


- Zanim to zrobisz, pamiętaj...

- Oczywiście. W wąwozie Grol przyjrze się dokładnie runom. Przywiozę też kawałek skóry Orina, co pozwoli nam zbadać skład użytego przez Torna atramentu. To

powinno wystarczyć, by naprowadzić nas na jego ślad. Zresztą zaraz wyślę też kogoś do Omorgu, by obserwował Starego Człowieka.

- Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?
  - A jak inaczej Orin trafiłby do Torna? Zawsze sądziłem - powiedział Ott ciszej - że wtedy, gdy uciekał, ktoś musiał mu pomóc. Może to był właśnie stary.
  - Nie było go wówczas w Gruaronie.
- Bren Ott zamyślił się.  
Roven jeszcze raz zajrzał do sąsiedniej komnaty.
- Śpi - rzekł, odwracając się.

Gret Orin faktycznie zasnął, ale spał niespokojnie <sup>1</sup> raz po raz dręczyły go koszmary. Śniły mu się odrapane komnaty zamku w Omorgu na przemian z ciemnymi lochami Hrostu. Przemierzał jedno i drugie, usiłując znaleźć wyjście na zewnątrz, ale kolejne drzwi prowadziły tylko do następnego tunelu, a ten do jeszcze



jednej - ciemniejszej od poprzedniej - komnaty. Co więcej, Orin nie mógł otworzyć drzwi, które raz już się za nim zamknęły, więc przekonywał się, że jego poprzednia decyzja była zła, że powinien był skręcić w inną odnogę korytarza lub otworzyć inne wrota. Na dodatek nie mógł przypomnieć sobie początku swojej wędrówki, więc nie wiedział, gdzie popełnił pierwszy błąd. Pozostawało mu tylko iść do przodu, wbrew przeczuciu, że każdy krok prowadzi go tylko głębiej w zakamarki labiryntu. Orin próbował biec - poczuł jednak, że ma nogi jak z ołowiu i że może oderwać je od ziemi jedynie po włożeniu w ten ruch olbrzymiego wysiłku. Parł więc do przodu z coraz większym trudem i coraz bardziej przerażony, czując, jak na czoło występują mu krople potu. Nagle wydało mu się, że pomieszczenie się kurczy. Chciał iść szybciej, ale w żaden sposób nie mógł przyspieszyć kroku. Obserwując przybliżające się powoli kamienne bloki, zrozumiał, że nie zdąży wydostać się z pułapki. Ogarnęła go panika i rzucił się do przodu, ale mimo że naprężył wszystkie mięśnie, nie zdołał oderwać nóg od ziemi. Wtedy zaczął krzyczeć i ten krzyk go obudził.

Potem śniły mu się jeszcze inne koszmary, jeden straszniejszy od drugiego. Za każdym razem, gdy się budził, odczuwał coraz dokuczliwsze swędzenie. Pomyślał, że maść, którą dostał w Kręgu, tylko zaogniła podrażnienie. W końcu zasnął na dobre i obudził się do-piero wtedy, gdy Bren Ott poklepał go po ramieniu.

Zjedli we dwóch śniadanie, w tej samej komnacie, w której poprzedniego wieczoru podano im kolację, w milczeniu i pośpiechu przełykając mocną trachtę. Następnie Bren Ott wyprowadził gościa na powierzchnię. Opuściwszy z ulgą puste i ciemne tunele, identyczne jak w niedawnym koszmarnym śnie, Orin przekonał się, że ledwie zaczyna świtać. W szarym półmroku nie dostrzegł ani jednej ludzkiej postaci, tylko niewyraźne zarysy drewnianych bud i hałdy żwiru. Bren Ott poprowadził go do bramy. Tam czekali już na nich żołnierze Drumenów, sennie kiwając się w siodłach. Orin rozejrzył się - miał nadzieję, że zobaczy jeszcze Rovenę, któremu chciał ponownie przyrzec dochowanie tajemnicy i z którego twarzy pragnął wyczytać, czy przypadkiem w nocy Hordzi nie zmienili zdania i nie uknuli czegoś przeciwko niemu. Ale wokół było pusto, między budynkami snuła się tylko niewyraźna jeszcze i prawie niewidoczna płachta mgły. Orinowi nie pozostało nic innego jak pójść w ślady Brena Otta, więc szybko wsiadł na konia.

Brama Hrostu otworzyła się z chrzęstem, poruszona przez niewidzialnego strażnika.

Gret Orin musiał przyznać, że odczuł ulgę, kiedy znalazł się już poza murami Hrostu. W duchu poprzysiągł sobie już nigdy tu nie wrócić. Wstrzymał konia i odwrócił się, by ostatni raz popatrzeć za siebie. Ciemna bryła muru robiła posępne wrażenie, ale dopiero spojrzawszy wyżej, drgnął. Na murze, idealnie wyprostowany, stał wysoki i chudy człowiek, z sylwetki Przypominający Mistrza Gildii. Orin nie był w stanie dostrzec rysów i wyrazu jego twarzy.

Wyprzedził żołnierzy i zrównał się z Brenem Ottem.

Najmłodszy członek Mirotu ubrany był jak każdy Hord wyruszający na rundę. Miał na sobie ciemny

kaftan z mnóstwem kieszeni, przyczepione do ramion metalowe rurki i nanizane na pasek niewielkie strzałki z paraliżującą trucizną. Zauważywszy Orina, przyspieszył, dając mu znak, by pojechał za nim.

Kilkanaście minut później droga skręciła do niewielkiego lasku i rozdzieliła się na dwie odnogi.

Bren Ott zatrzymał się.

- Niech wracają do Kręgu - wskazał na pozostałych w tyle żołnierzy.

- Dlaczego? - Orin spojrzał uważnie na Horda. Bren Ott wzruszył ramionami.

- Drogą, którą się udajemy, możesz przejechać tylko ty.

Pan na Omorgu zgodził się z nim w duchu. Już poprzedniego dnia, obmyślając plan swojej wizyty w Hroście, wiedział, że w razie jej pomyślnego zakończenia będzie zmuszony odesłać nie tylko żołnierzy, ale i Drumena. Jednak mając w pamięci wczorajszą kolację, źle przespaną noc i sylwetkę, którą zobaczył nie dalej niż pół godziny temu na murze, zmienił zdanie. Intuicja podpowiedziała mu, że powinien mieć przy sobie choćby jednego oddanego sługę tak długo, jak się tylko da.

- Pojadą z nami aż do gór Seren.

- Jak chcesz.

Dzień wstawał bardzo powoli. Noc walczyła ze świtem i w gęściej szych partiach lasu wydawało się, że wbrew prawom natury zwyciężyła pierwsza. Stopniowo jednak robiło się coraz jaśniej, ale tylko po to, by można było dostrzec, że tej jesieni w Dolinach Gruaronu dni ładnej pogody bezpowrotnie minęły. Niebo zasnuwały chmury, nawet w południe przepuszczające mało światła i sprawiające wrażenie, jak gdyby wisiały tuż nad ziemią. Gret Orin znał już na tyle klimat Dolin, by wiedzieć, że chmury te oraz mgła to nieomyślne oznaki zbliżającej się zimy.

Jechali ubitą drogą, która prowadziła na przemian przez pola i niewielkie zagajniki. Pola, uprawiane latem przez miejscową ludność, teraz leżały czarne i opustoszałe. Tu i ówdzie widać było już pierwsze skupiska jesiennej mgły, przesuwał się majestatycznie nad ziemią. Minęli kilka niedużych osad. W żadnej nie dostrzegli choćby najdrobniejszych oznak życia, nie gdakały kury, nie szczekały psy.

Po południu łąki i pola skończyły się. Trakt skręcił na wschód, zanurzając się w stary i gęsty las. Pojawiły się też pierwsze wzniesienia, na razie szerokie i łagodne. W tej okolicy Bren Ott polecił Orinowi zatrzymać się, a sam ruszył do przodu, by sprawdzić - jak powiedział - czy przed nimi nie ma przypadkiem zabłąkanego stada grycht. Wrócił po kilkudziesięciu minutach, informując, że las jest bezpieczny.

Droga robiła się coraz węższa i coraz bardziej wyboista, ale dopiero pod wieczór, kiedy między drzewami pojawiły

się pierwsze cienie, las zaczął rzednąć. W oddali było widać już ciemne masywy ścian wąwozu Grol.

Orin ponaglił zmęczonego wierzchowca. Po kilkudziesięciu krokach zobaczył to, na co czekał - z ciągną-<sup>Ce</sup>go się obok traktu zagajnika wyszedł niski człowiek, Prowadzący za uzdę konia. Wystarczył jeden rzut oka <sup>1</sup> Orin rozpoznał Abota Drumena.

Bren Ott również poznał go od pierwszej chwili, ale udając zaniepokojenie, ruszył naprzód.

- Zaczekaj - powstrzymał go Orin. - To mój sługa.

Hord musiał dołożyć wszelkich starań, by ukryć uśmiech. Wszystko było dokładnie tak, jak on i Roven przewidywali.

Grupa jeźdźców zatrzymała się. Żołnierze chcieli wyprzedzić Orina, ale na jego znak pozostali na miejscu. Abot podszedł do nich szybko. Podał Odnowi na wyciągniętej dłoni przedmiot, w którym Hord rozpoznał sygnet.

- Dobrze. - Gret Orin założył go na serdeczny palec lewej ręki. - Pojedziesz dalej ze mną.

Drumen niezbyt zgrabnie wdrapał się na siodło, zezując w kierunku rozbawionego tą sceną Brena Otta.

- Dalej możemy pojechać tylko we dwóch. - Hord przypomniał sobie o swojej roli.

Gdyby nie nastawał na odesłanie towarzyszących im ludzi, Orin mógłby zacząć się nad tym zastanawiać. I wyczuć prawdziwe niebezpieczeństwo.

Pan na Omorgu zmarszczył brwi.

- Pojadą aż do gór Seren.

- Większa grupa może łatwiej paść ofiarą grycht.

- Jesteś tu po to, by tak się nie stało.

Bren Ott wzruszył ramionami.

Po kilkunastu minutach wyjechali z lasu, skręcając w głęboki jar, którego ściany - im dalej nim jechali - pięły się coraz wyżej ku niebu. Wąwóz Grol, wydrążona przez wodę szczyrba, przypominał najtrudniejsze do przebycia partie gór Seren. Łączył zachodnią część Dolin Gruaronu z położoną wyżej równiną Grol. W środkowej części zawsze zalegały wilgotne opary, unoszące się nad stromymi, pokrytymi mchami skałami.

Wąwóz rozdzielał się na kilka odnóg. Bren Ott skręcił w lewo, pomiędzy najbardziej strome ściany. Droga zwężała się stopniowo. Hord prowadził grupę, nie oglądając się za siebie. Czuł na swoich plecach wzrok Orina. Drumena i żołnierze raz po raz zerkali na wysokie skały, które z każdą minutą stawały się bardziej strome i dopuszczały do wnętrza wąwozu coraz mniej światła.

Wkrótce zbliżyli się do pierwszego załomu. Droga zaczynała wspinać się stopniowo. Ledwie minęli zakręt, powietrze przeszył przenikliwy świst nocnego ptaka. Jeźdźcy natychmiast ściągnęli lejce. Piskliwy dźwięk zabrzmiał raz jeszcze, odbijając się z wielokrotnym echem od stromych ścian wąwozu.



Był to umówiony znak Hordów. Aproni zawiadamiali, że zasadzka jest gotowa.

Bren Ott odwrócił się w siodle.

- Zaczekajcie. Pojadę sprawdzić, co spłoszyło tego ptaka - powiedział obojętnie.

Orin zmierzył go uważnym wzrokiem.

- Pojadę z tobą.

- Jak chcesz.

Przed nimi widać już było kolejny załom. Bren Ott wziął lejce w lewą dłoń, a prawą powoli sięgnął do skórzanych pasków, przytrzymujących przymocowaną do lewego ramienia metalową dmuchawkę. Odpinał je po kolei, obserwując dzielącą ich od zakrętu odległość.

Do załomu było już tylko kilkanaście kroków. Hord <sup>Sci</sup>agnął lejce i przechylił się w lewo, udając, że bada, <sup>Czy</sup> na ziemi nie widać żadnych śladów. W miarę jak mijali zakręt, pochylał się coraz niżej, słuchając dźwięku kopyt obu wierzchowców. Gdy był już pewien, że obaj skryli się za załomem, błyskawicznym ruchem wyprostował się, odwrócił i przystawiając do ust kryjący śmiercionośną strzałkę przedmiot, z całej siły dmuchnął.

Wszystko to zdarzyło się tak szybko, że Orin nie zdążył nawet drgnąć. Zauważył gwałtowny ruch Otta, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić czy nawet pomyśleć, ściany wąwozu zatrzęsły się od huku spadających kamieni. Koń Orina stanął dęba - strzałka, którą wypuścił Hord, trafiła wierzchowca prosto w pierś. Orin bez namysłu wyjął nogi ze strzemion i puścił lejce. Upadł na ziemię, tłukąc się boleśnie o ostre głazy. Przed nim zwałił się jego rumak, tocząc z pyska pianę.

Gdzieś z tyłu rozległy się krzyki. Orin, nie zważając na ból, leżał nieporuszony. Najciszej jak tylko mógł sięgnął po ukryty w prawym rękawie nóż. Usłyszał, jak Hord

**Gret Orin prawie zaniemówił.**

- Gdzie on jest?

- Z pozostałymi - powiedział żołnierz, wskazując za jego plecy.

Orin obejrzał się.

- Drumeni - rzekł, przypomniawszy sobie o towarzyszach.

- Co z nimi?

- Stary Człowiek chciał przepłoszyć wasze konie, byśmy zyskali na czasie i mogli zabić tych lotrów. Na jego rozkaz kryliśmy się w górnej odnodze wąwozu. W pewnym momencie przesłał nam z dołu znak, że mamy ruszyć z pomocą. To wszystko, co wiemy.

Orin zamknął oczy.

zsiada z konia. Przyjdzie tu sprawdzić, czy żyję, pomyślał. Przez chwilę nasłuchiwał i w końcu wydawało mu się, że słyszy kroki skradającego się człowieka. Podniósł nieznacznie głowę i spostrzegł ciemną sylwetkę, która zbliżyła się i pochylała nad rżącym zwierzęciem. Ott zaraz zobaczył, że trafił nie mnie, tylko konia, przemknęło mu przez myśl.

Zerwał się z ziemi i skoczył w kierunku Horda. Ten, choć zaskoczony, wyprostował się i błyskawicznie cofnął. Zrobił to tak szybko, że cios wymierzony przez Orina przeciął powietrze. Orin spostrzegł, że przeciwnik cofa się nadal, starając się odpiąć przyczepioną do prawego ramienia rurkę. Już miał ruszyć do przodu, gdy w wąwozie pojawił się jeszcze ktoś.

Za plecami mocującego się z rzemieniami Otta Orin zauważył dwóch szybko zbliżających się mężczyzn.

W starciu z więcej niż jednym Hordem nie miał szans. Ci tutaj chcą mnie zadźgać, pomyślał, gdy usłyszał szczeł metalu.

Instynktownie postąpił krok do tyłu. W tym momencie Hord odwrócił się gwałtownie.

Było jednak zbyt późno, by odparować uderzenie. Mocne pchnięcie w prawe ramię zważyło Brena Otta z nóg. Hord z jękiem upadł na ziemię.

Owinięci w płaszcze mężczyźni odrzucili miecze i przypadli do zwijającego się na ziemi Brena Otta. Błyskawicznie obrócili go na brzuch i skrępowali mu ręce na plecach. Dopiero gdy znieruchomiał, zrzucili kaptury zasłaniające im twarze i podeszli do Orina.

Ten przyglądał się swoim wybawicielom, starając się opanować przyspieszony oddech. Wiedział, że zna te twarze i to doskonale. Minęła chwila, zanim się otrząsnął i poznał własnych ludzi z Omorgu.

- Co tu robicie...? - wykrztusił, z trudem rozpoznając swój zachrypnięty głos.

Pierwszy żołnierz wyprostował się.

~ Przyprowadził nas Stary Człowiek.

- Weźcie go ze sobą - wskazał na Horda. - I złapcie jego konia.

Żołnierze pochylili się nad skrępowanym Ottem. Jeden chwycił go pod ramiona, a drugi za nogi. Gdy go podnieśli, ranny jęknął.

Orin zszedł szybko w dół wąwozu.

Zrobiło się już tak ciemno, że wyloniwszy się zza zakrętu, dostrzegł tylko zanikające w oddali niewyraźne plamy. Nad kilkoma głosami górował znany mu doskonale, zręczliwy skrzek. Orin nigdy jeszcze nie ucieszył się tak bardzo, słysząc burczenie Starego Człowieka. Przyspieszył kroku, zostawiając w tyle dźwigających Otta żołnierzy.

Wkrótce był już w stanie rozróżnić dobiegające

z mroku słowa.

- Zostawcie go, przecież widzicie, że nie żyje. Mówiłem, że nie możecie stracić ani sekundy. Getio! Gdzie jest ten drugi fajtłapa? Było was dwóch i nie poradziście sobie z jednym przeciwnikiem, mając na dodatek przewagę zaskoczenia!

- Zanim zdążyliśmy uderzyć, Swen leżał już na ziemi - odezwał się drugi głos, w którym Gret Orin rozpoznał Getia, kapitana żołnierzy w Omorgu.

- Leżał na ziemi! Jakbym was nie uprzedzał. Straciliśmy z tymi dwoma czterech ludzi, a nie wiadomo... Kto tu?!

Cztery poruszające się sylwetki znieruchomiały. Gret Orin bez wahania podszedł do najniższej, najbardziej pochylonej do ziemi.

- A kogo się spodziewasz?

Mimo ciemności zobaczył, jak oczy Starego Człowieka błysnęły.

- Czy wy też niesiecie trupa? - krzyknął stary, zwracając się do podążających za Orinem żołnierzy.

- Nie... - Nawet z odległości kilkunastu kroków było slychać, że z trudem łapią oddech. - Żyje, tylko go zraniliśmy.

- Widzisz, Getio? To było naprawdę proste... -skrzeczący głos starego wypełniał cały wąwóz.

Gret Orin dawno już nie słyszał tyle triumfu w głosie swego najstarszego sługi. Stary Człowiek mówił i poruszał się z taką energią, jakby ubył mu ze dwadzieścia lat. Orin położył mu rękę na ramieniu. Stary umilkł.

- Macie ze sobą pochodnię? - zapytał Orin. ~ Tak - rzekł szybko Getio.

- Zapal jedną.

Za chwilę w wąwozie rozległ się chrzęst krzesiwa. Wystarczyło kilka iskier, by dobrze naoliwiona pochod-^ zajęła się, roztaczając wokół jasny blask.

Orin zobaczył czterech żołnierzy. Derton i West, ocierający pot z czoła, trzymający pochodnię Getio i jeszcze jeden sługa z Omorgu, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć. Wszyscy mieli zaczerwienione z wysiłku twarze. Tylko wzrok Starego Człowieka był jasny i jak zawsze przenikliwy. Staruch stał lekko pochylony, opierając się na prostej drewnianej lasce, której używał od kilku lat.

Pan na Omorgu wziął pochodnię z rąk Getia. Parę kroków dalej na ziemi leżało dwóch ludzi. Pochyliwszy się, rozpoznał żołnierzy Drumenów, którzy jechali z nim z Kręgu. Na ich ciałach nie spostrzegł żadnych ran - wydawało się, że tylko śpią.

- Co z nimi?

- Trafiły ich kolce Hordów - rzekł cicho Stary Człowiek. Ostrożnie stawiał kroki na śliskich kamieniach. - Ich konie uciekły, ale przypuszczam, że również zostały trafione i zdychają teraz gdzieś w lesie.

- Sprawdziłeś, jakiej użyli trucizny?

- Nie zdążyłem, ale myślę, że to stężony jad grycht.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Dlatego że miało to wyglądać jak atak tych stworów. Hordzi mieli ze sobą to.

Orin pochylił pochodnię. Na wyciągniętej ręce starego leżał przedmiot przypominający odlew ludzkiej dłoni. Tylko że dłoń ta miała nie pięć, ale cztery palce i na dodatek każdy z nich zakończony był pazurem grychty. Rozstaw palców i wielkość pazurów odpowiadały idealnie łapie potwora. Rany zadane tym narzędziem byłyby dokładnie takie jak rany zadane przez prawdziwą grycht?-

Orin obejrzał przedmiot w milczeniu.

Wszystko stało się jasne. To dlatego Bren Ott nie wbił mu po prostu sztyletu między żebra. Jedyny syn Wielkiego Koniuszego Cesarstwa i wnuk Demetrii Orin miał zginąć w Dolinach Gruaronu w wąwozie Grol zabity przez grychty. I nikt nie zadawałby wielu pytań. Taki los może spotkać tutaj każdego, zwłaszcza jesienią, zwłaszcza w tym roku.

A jednak czegoś nie rozumiem, przemknęło Orino-wi przez myśl. Dlaczego? Znałem ich tajemnicę i mieli powód, żeby mnie zabić, ale jeszcze nie teraz. W końcu tylko żywy mogłem ich doprowadzić do Torna.

Kawałek dalej zauważył jeszcze trzy leżące na ziemi ciała: dwóch żołnierzy z Omorgu i Abota Drumena, z twarzą zalaną krwią.

- Ci głupcy mnie nie posłuchali - odezwał się stary, wskazując na żołnierzy. - Wyraźnie im powiedziałem...

- A on? - przerwał mu Orin, schylając się nad Drumenem.

- Żyje, potłukł się tylko o głazy.

Gret Orin patrzył przez chwilę na szkarłatną kałużę krwi, która zebrała się obok głowy Abota. Mało brakowało, by on leżał tutaj z rozbitą głową. Albo, co bardziej prawdopodobne, wyglądałby jak ci nieszczęśni słudzy Drumenów. Bren Ott pochylałby się nad nim... Orin wzdrygnął się.

- Opatrzcie go - rzekł głośnie, odwracając się do Getia. - Następnie zbierzcie wszystkie trupy i ukryjcie w którejś odnodze wąwozu. Pilnujcie jeńca... Ilu ich **było?** - zwrócił się cicho do Starego Człowieka.

- Dwóch. Aproni. Kryli się za skałami. Czekaliśmy,<sup>32</sup> się poruszają, wtedy dopiero zaatakowaliśmy.

Orin odetchnął głęboko.

- Musimy porozmawiać. Gdzie...

Jego słowa przerwał stukot końskich kopyt. Za chwilę w krąg rzucanego przez pochodnię światła wjechał niewielki, kryty powóz, zaprzężony w parę koni. Orin spostrzegł herb jednego z bogaczy Omorgu. A więc tak Stary Człowiek tutaj dotarł, pomyślał.

Staruch powoli, ostrożnie stawiając nogi, skierował się do powozu.

- Przyda nam się jeszcze jedna pochodnia. Muszę ci coś pokazać.

Powóz miał rozkładane metalowe schodki. Gret Orin sam je rozłożył, a następnie pomógł słudze wdrapać się na nie. Odebrawszy od Getia drugą pochodnię, wsiadł do środka. Okna zasłonił ciemnymi kotarami.

Na jednej ławce leżał stos poduszek. Stary Człowiek z wysiłkiem opadł na nie. Dopiero teraz widać było, jak bardzo jest zmęczony. Orin popatrzył na niego uważnie.

- Co tu robisz? - zapytał cicho. - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Stary Człowiek również starał się nadać swojemu skrzekowi jak najcichsze brzmienie.

- Od niego.

- Od kogo?

- Od Torna.

Orin wyprostował się.

- Co takiego?

- Napisał mi o wszystkim... - staruch wskazał ręką za okno.

Orin dotknął dłonią czoła.

- Co on ma z tym wspólnego?

Stary wziął głęboki oddech.

- Nie rozumiem wszystkiego, co tu się stało, a właściwie to prawie nic nie rozumiem... Opowiem ci, co wiem i jak się tu znaleźliśmy. Może ty będziesz w stanie ułożyć to w jakąś całość.

Gret Orin spojrział na niego uważnie. Rzadko zdarzało się, by Stary Człowiek przyznał, że po prostu czegoś nie wie.

- Rankiem następnego dnia po twoim odjeździe dostałem wiadomość od Torna.

- Wiadomość? Jak?

- Mieliśmy umówiony sposób komunikacji - rzekł szybko stary. - Skorzystał z niego po raz pierwszy od lat. Przesłał mi zaszyfrowany list, a ja miałem znaleźć klucz do rozwiązania alchemicznej zagadki... Ale to są szczegóły... Znalazłem to rozwiązanie, które doprowadziło mnie do kolejnej wiadomości, a raczej skrytki, poza Omorgiem. W tej skrytce, wydrążonej, lub tak naprawdę wytopionej w kamieniu, były dwa listy - jeden do mnie, jeden do ciebie. W liście do mnie Torn napisał, że Hordzi chcą cię zabić w wąwozie Grol, a ja mam najwyżej dzień, by tu dotrzeć. Uprzedził, że szykują pułapkę, że grupę najprawdopodobniej będzie prowadził Ott i żeby go nie zabijać. Przewidział nawet, że apronów będzie dwóch.

Orin zacisnął usta.

- Gdzie ten list? - Widząc, że stary nie poruszył się, dodał: - Ten list do mnie...

- Torn prosił cię - rzekł Stary Człowiek po chwili milczenia - żebyś, zanim przeczytasz pismo, spełnił

jeszcze jedną jego prośbę. Napisał, że to pozwoli ci lepiej zrozumieć...

- Co zrozumieć?

- Nie wiem, co zrozumieć - stary mówił z wyraźnym ociąganiem. - Ta prośba jest dziwna...

Ile jeszcze zagadek? - Orin pokręcił głową.

- Co to takiego?

- Kazał mi zabrać ze sobą lustro. Jest tam, na półce nad twoją głową.

Orin obejrzał się i zobaczył duży, płaski przedmiot, owinięty starannie sukrem i przewiązany sznurami. Wstał i zdjawszy go z półki, zaczął rozplątywać sznury.

- I co dalej? - zapytał, mocując się z węzłem.

- Dalej? - stary mówił jeszcze wolniej. Pauzy pomiędzy poszczególnymi wyrazami stawały się nieznośnie długie. - Masz w nie popatrzeć.

Orin znieruchomiał.

- Nie do wiary. Torn napisał ci, że mam się przejrzeć w lusterku?

Stary Człowiek zagryzł wargi.

- Ale nie tak zwyczajnie. Zawołaj Getia.

Nie spuszczać z niego wzroku, Orin odsunął kotarę i wychylił się przez okno. Getio stał kilkanaście kroków od powozu.

Orin odsunął się, tak by nie przeszkadzać Staremu Człowiekowi.

- Obszukajcie jeńca - rzekł stary. - Tylko ostrożnie - W jednej z kieszeni powinien mieć oprawione szkła-okulary. Przynieście je, nawet jeśli się stłukły.

Getio skinął głową i odszedł spełnić rozkaz.

Orin popatrzył na Starego Człowieka z niedowierzaniem. Ten odwzajemnił mu się spojrzeniem, które mówiło: Nie wiem, o co tu chodzi, ale jak do tej pory wszystko, co napisał Torn, sprawdziło się, więc może zrobimy to, co nam zalecił...

Orin wzruszył ramionami i powrócił do rozsupływania węzłów. Wreszcie zdjął chroniące lustro sukno i popatrzył na swoje odbicie. Miał potargane włosy, siniak na brodzie i zaschniętą krew na prawym policzku. Jego ubranie było uwalane błotem.

Odstawił lustro na siedzenie naprzeciwko.

Siedzieli obaj w milczeniu, unikając swojego wzroku. W końcu w oknie powozu pojawił się Getio.

- Proszę.

Orin uprzedził Starego Człowieka i pierwszy sięgnął po podawany przez Getia przedmiot.

Gdy tylko sługa znikł, stary zaslonił kotarę.

Okulary, które Orin trzymał w ręce, miały jedno szkiełko pęknięte.

- Włóż je - powiedział Stary Człowiek. - Włóż je i popatrz na siebie w lustrze.

- Torn musiał zwariować. - Orin przyglądał się szklom. - Co niby mam zobaczyć?

Nagle przypomniał sobie, że podobne szkła wczoraj, w czasie kolacji w Hroście, miał na nosie Urlok.

- Nie wiem. - Stary usiłował nie pokazać po sobie niepokoju. - Włóż je, to się przekonamy.

Raczej ja się przekonam, pomyślał Orin. Włożył okulary i spojrzął w ustawione naprzeciwko lustro.

Po chwili wzruszył ramionami.

- Torn zwariował - zaczął. - To szaleniec... - Okulary zsunęły mu się z nosa, więc poprawił je ruchem ręki.

I dopiero teraz zobaczył.

Cały wierzch jego dłoni pokryty był niebieskimi znakami. Orin machinalnie spojrzął na drugą rękę i zobaczył na niej to samo. Pochylił się bliżej lustra i stwierdził, że pismo ginie pod mankietami. Podciągnął rękawy. Chciał rozpiąć guziki kaftana, ale ręce trzęsły mu się tak, że ledwie mógł sobie z tym poradzić. W końcu zerwał z siebie koszulę.

Ramiona, przedramiona, a także tors i brzuch miał pokryty niebieską siecią nieznanymi mu symboli, przypominającą tatuaż. Orin pochylił się jak najbliższej lustra. Pismo było dziwaczne, poskręcane jak konary drzewa. Nigdy czegoś takiego nie widział.

- Na Łotra... - szepnął bezwiednie.

Jednym ruchem zerwał okulary z nosa i rzucił je na siedzenie naprzeciwko.

Niebieskie znaki zniknęły. Jego ciało wyglądało normalnie, nie licząc drobnego zaczerwienienia, przypominającego wysypkę.

Naraz Orin zdał sobie sprawę z obecności Starego Człowieka. Spojrzął na niego. Stary siedział wciśnięty w kąt i przyglądał mu się szeroko otwartymi oczami.

- Co zobaczyłeś...? - zapytał cicho.

Orin usiadł z powrotem na siedzeniu. Usiłując opanować się, sięgnął po koszulę.

- Daj mi teraz ten list - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Stary odpiął wewnętrzną kieszeń kaftana i wyjął <sup>z</sup>ł<sup>o</sup>żony ciasno kawałek pergaminu. Opanowując drżenie rąk, Orin wziął go i przesunął się do drzwi, tak by znaleźć się jak najbliższej rzucanego przez pochodnię światła. Obejrzał pergamin, zwracając uwagę na pozbawioną znaków woskową pieczęć. Złamał ją i rozłożył list.

W chyboczącym się świetle dostrzegł gęstą sieć równego, lekko pochylonego w lewo pisma.

*Mam nadzieję, że czytając te słowa, nie jesteś ranny i że Stary Człowiek również nie przypłacił swego oddania życiu. To, co się stało, musiało się stać z paru powodów, które - co, mam nadzieję, przynasz, przeczytawszy ten list do końca - są jak najbardziej logiczne i zrozumiałe. Nadszedł czas, bym wyjaśnił ci sekret mojego postępowania i zdradził jeszcze kilka tajemnic Hordów. Czy nadal tak bardzo chcesz je poznać?*

*Ale, ale - mam nadzieję, że znalazłeś przy Brenie Otcie (nie mam wątpliwości, że to właśnie jego Roven wysłał z tobą do wąwozu Grol) szkła iri-ogh? Strzeż ich jak oka w głowie. To prawdziwy majstersztyk Gildii. Nawet nie wiesz, jak trudno je zbudować - strawiłem kilka <sup>l</sup>at życia, by tego dokonać. Czy włożyłeś je i popatrzyłeś na siebie? Jeśli*

*tak, domyślasz się już, że to właś<sup>-nie</sup> z powodu tych znaków Gildia postanowiła cię zabić. Oczywiście domyślasz się też, że to ja wymalowałem je<sup>10</sup> twoim ciele, uśpiwszy cię uprzednio odpowiednio <sup>s</sup>P<sup>re</sup>parowanymi suszonymi owocami dronu. Co to jest?*

*Niebieskie, poskręcane dziwacznie znaki to runy Hordów, największa i najbardziej skrywana tajemnica Gildii. Ten ciąg symboli, przekazywany w Mirocie z pokolenia na pokolenie, jest kluczem do zakończenia misji Hordów w Dolinach Gruaronu.*

*Co one znaczą? Co Gildia kryje pod ziemią od czterystu lat?*

*Zastanów się nad tym. Domyśliłeś się istnienia nok-su, a więc i na to powinieneś wpaść.*

*Poznałem te runy, gdy wstąpiłem do Mirotu, nauczył mnie ich osobiście Roven. Wie o nich tylko on, Urlok, Bren Ott, ja i teraz ty.*

*Przygotuj się na kolejną niespodziankę. Hordzi, których wymieniałem, wiedzą, co kryją runy. Ale żaden nie zna szczegółów, dokładnej treści zapisu. Ani Roven, ani Bren Ott, ani ja nie potrafimy ich odcyfrować. Urlok mógł rozpoznać pewne kombinacje, ale nie jest w stanie odnaleźć sensu przekazanej wiadomości. Wszyscy znamy ją tylko na pamięć.*

*Oczywiście rozwiązanie istnieje. Wieki temu postanowiono, że sekret języka run musi znajdować się poza Hrostem. Gdzie? Cóż, przynaję, nie mam pojęcia. Nigdy nie zostałem Mistrzem Gildii. Tylko Roven wie, gdzie szukać klucza do języka run. Ja się jedynie domyślam, że Gildia ukryła go na dalekiej północy, poza Puszcza Krytów, w krainie, o której od wieków nie było żadnych pewnych wiadomości.*

*I to właśnie tobie przypadnie w udziale zaszczyt <sup>o</sup>d<sup>-</sup>krycia jej dla żywych.*

*Pozwól, że wyjaśnię ci to dokładnie. A więc - atrament, którego użyłem do wymalowania run, powoduje jak już świetnie wiesz, drażniącą wysypkę. Liczyłem na to, że gdy dojedziesz do Hrostu, uprzejmi gospodarze zauważą, że coś ci dolega i zechcą ci pomóc. Hordzi znają się doskonale na chorobach skóry - szkła iri-ogh pozwalają nie tylko odczytywać napisy wykonane sekretnym atramentem Gildii, ale i diagnozować niektóre schorzenia tego typu. Tak więc liczyłem, że prędzej czy później ktoś z Mirotu zauważy prawdziwą tajemnicę, jaką skrywa twoja osoba.*

*Tutaj musiałem podjąć pewne ryzyko. Wiedziałem, że w pierwszym odruchu Roven, a zwłaszcza Bren Ott, zechce cię zabić. Bylem jednak przekonany, że udając się do Hrostu, potrafisz się odpowiednio zabezpieczyć. Oczywiście wobec tego, co nosisz na ciele, nawet najlepsze zabezpieczenie nie zmieniloby twojego losu. Lecz jeśli wystąpiłeś wystarczająco zdecydowanie (a musiało tak być, skoro czytasz te słowa), Roven musiał się zre-jlektować. Dalej sprawa była prosta - znam ich sposób myślenia. Postanowili zabić cię poza Hrostem, tak by wyglądało to na atak grycht. Spieszyło ci się do Tyngi, a ponieważ chciałeś przejechać przez Wielkie*

*Sereny, jedynym miejscem, gdzie Hordzi mogli urządzić pułapkę, był wąwóz Grol.*

*Zastanawiałem się, czy samemu ci nie pomóc, ale ryzyko było zbyt duże. Wąwóz Grol jest bardzo blisko Hrostu. Pomyślałem o Starym Człowieku.*

*W tym samym czasie gdy moi słudzy wieźli cię do Kregu, Ogar ruszył do Omorgu z wiadomością dla Sta-<sup>re</sup>So Człowieka. Nie wątpię, że stary zrobił, co w jego nocy, i rozwiązał małą zagadkę, jaką dla niego przygotowałem. Pierwszy Ust wiódł do skrytki, w której czekały kolejne instrukcje. Jeśli udało mu się wykonać je bezbłędnie, masz teraz w rękach wszystkie atuty w czeka, jące cię rozgrywce.*

*Masz Brena Otta, masz szkła iri-ogh i wiesz (co prawda tylko z grubsza, ale jednak), gdzie się udać, by uwolnić Doliny Gruaronu od ciężkiego brzemienia Gildii*

*Tak, tym właśnie musisz się teraz zająć. Odlóż swoje ważne sprawy na bok - jeśli są naprawdę ważne, czas ich nie zmieni i będą czekały na ciebie tam, gdzie je zostawiłeś, w nienaruszonym stanie. Zamiast do Tyngi, jedź na północ - pierwsza część drogi wiedzie nawet tą samą trasą, przez Wielkie Sereny. Bren Ott pokaże ci, jak przez nie przejść (jeśli nie będzie chciał, Stary Człowiek pomoże rozwiązać ten kłopot). Jedna z odnóg Wielkich Seren prowadzi na północ - tam właśnie musisz jechać. Niestety, nic więcej nie wiem.*

*Oczywiście, czytając to, zastanawiasz się, skąd mam pewność, że zechcesz udać się na nieznaną i niebezpieczną rundę. Przypuszczam nawet, że śmiejesz się z mojej naiwności. Jeśli tak jest, zastanów się przez chwilę - a jakie masz inne wyjście? Hordzi, którzy wyruszyli z tobą z Hrostu, nie wrócą do niego z pomyślnymi wiadomościami. Nim upłynie dwanaście godzin, Roven będzie wiedział, że w wąwozie Grol stało się coś strasznego dla Gildii, coś kompletnie nie po jego myśli. Wiesz, co będzie dalej? Nie minie doba, a twój zamek w Omorgu zacznie być dzień i noc obserwowany. Jednocześnie umyślni Roveną pojedą na dwór cesarski, by śledzić wiadomości docierające do twoich przyjaciół-Oczywiście jeszcze wcześniej Roven wyruszy osobiście w pościg za tobą. A jeśli cię dogoni, nie będzie zadawał żadnych pytań. Nie będzie żadnych układów, żadnych dyskusji. Nikogo nie będzie obchodziło, gdzie mnie widziałeś. Od tej pory nie masz żadnego argumentu, który mógłby przekonać Mistrza Gildii do darowania ci życia, choćby na krótki czas.*

*Zakładam, że w tym momencie rozumiesz już swoją sytuację. Przychodzi mi do głowy jeszcze tylko jedna rzecz, o której warto wspomnieć. Na pewno, czytając te słowa, pomyślałeś, że chociaż odcięty jesteś od wschodnich ziem, możesz spróbować ominąć góry Seren i przez równiny Grolon przebić się na wschód do Tyngi. Nie przeczę, jest niewielka szansa, mimo to nie sądzę, że to by ci się udało. A więc uciekłyś okrężną drogą do Tyngi i oczywiście natychmiast wyjechał dalej na wschód. Wierz mi - nie warto tego próbować. W najlepszym wypadku zyskałbyś*

*przez to kilka miesięcy, no, najwyżej pół roku życia. Hordzi jednak będą cię tam szukać i prędzej czy później znajdą.*

*Tak więc jedź przez Wielkie Sereny na północ. Szukaj kogoś lub czegoś, co pozwoli ci pojąć język run. Jak wspomniałem, masz w rękach wszystkie klucze do rozwiązania zagadki, jakie tylko mogłem ci dać.*

*Rozumiesz już wszystko, a więc rozumiesz też, że od tej pory nie masz do stracenia ani chwili. Spiesz się i niech ci sprzyja Łotr lub cokolwiek innego, w co wierzysz.*

*Kto wie, może zobaczymy się szybciej, niż myślisz. T.*

■ITJ olejne dni wędrówka Newii i Udula były mono-  
1HP%<sup>tonne</sup> ciche i podobne jeden do drugiego.

ljL- Oddalali się coraz bardziej od Tyngi. Hord prowadził ich prosto na zachód, omijając z daleka wszelkie osady ludzkie. Doświadczenie podpowiadało mu, że właśnie tam grasują teraz grychty, a fakt, że jak dotąd nie napotkali żadnej na swojej drodze, potwierdzał jego przypuszczenia. Zaczął mieć nadzieję, że uda im się bezpiecznie dotrzeć do samych gór Seren.

Z każdym dniem Newia coraz lepiej znosiła trudy wędrówki. Chociaż wstawali przed świtem, a zatrzymywali się na noc dopiero godzinę po zapadnięciu zmroku, wydawało jej się, że całodzienny marsz mniej ją męczy. W istocie runda stała się lżejsza niż na początku. Szli teraz najdalej wysuniętym na południe pasem Puszczy, który porastały iglaste bukły, wysokie drzewa o prostym pniu i bardzo gęstej koronie. Pnie bukły były nagie, a gałęzie, nieliczne i grube, pojawiały się

dopiero u szczytu drzewa, rozkładając się szeroko i pochłaniając większość promieni słonecznych.

Pod buklami rosło niewiele roślin. Poszycie było ubogie, gdzieś pojawiały się tylko niewielki dron, przytulony najczęściej do grubego pnia bukli. Pod stopami ścieliły się miękko niewysokie trawy, powoli żółknące i szumiące z każdym powiewem wiatru. Ziemia była gładka jak stół, zniknęły zdradliwe pnie i korzenie, a mgła pojawiała się tylko rano i do południa nie było po niej śladu.

W pamięci Newii zacierały się powoli pierwsze dni w Gruaronie. Pełna kruków karetą i grychta gotująca się do ataku w blasku ognia nad stawem nie straszły już, gdy zamykała oczy. Na dodatek czuła, że szybkie tempo podróży przybliża ją z każdym dniem do Omorgu, a to jednocześnie uspokajało ją i dodawało jej sił.

Udul z kolei przestał się gryźć budzącymi niepokój rozważaniami na temat luina. Nie zastanawiał się już, kim był ten człowiek i jakie były jego związki z Gildią. W jednostajnym krajobrazie starodawnego lasu przyszło mu do głowy, że rozmyślania te są sprzeczne ze wszystkim, czego nauczyła go Gildia. Luin wydał mu rozkaz, który musi spełnić, jak najlepiej potrafi. I to wszystko. Jeśli Gildia uzna, że należą mu się wyjaśnienia, otrzyma je w Hroście. Na razie zaś ma robić swoje, a to oznacza cztery rzeczy: dotrzeć jak najszybciej do Hrostu, opowiedzieć Rovenowi o spotkaniu z luinem, a następnie doprowadzić **Newie** do Omorgu i zanieść przesyłkę krywów nad jezioro Dren.

Wśród wysokich pni bukli cudzoziemka i jej przewodnik stali się bardziej rozmowni.

Newia zadawała wiele pytań dotyczących Dolin Gruaronu - historii tej krainy, zamieszkujących ją ludów, rosnących tutaj roślin. Szczególnie interesowały ją kryty, jako niespotykane nigdzie poza Dolinami. Unikała natomiast tematu Gildii i tego, kim był Hord. Choć dwa rzeczy interesowały ją najbardziej, pamiętała, że Udul już raz zbył ją, gdy pytała o niego, i że prawie zawsze, gdy pragnęła dowiedzieć się czegoś o Hordach, milczał.

Z kolei Udul nie krył swojego zainteresowania Twerem, skąd pochodziła Newia. Zadawał podobne pytania do jej własnych - o historię miasta, zamieszkującą je ludność, lokalne stosunki. I, podobnie jak Newia, od razu wyczuł, że są pewne tematy, których nie powinien poruszać. Należał do nich przede wszystkim powód przyjazdu Newii do Dolin, ale także jej najbliższa rodzina i ród Tremorów, o którym mówiła zdawkowo. Najbardziej jednak zdumiało Hordę, że Newia, która - jak wywnioskował z kilku jej słów - była krótko na dworze Tyrona, nie tylko nie opowiada plotek i nie chwali się znajomością z najwyższymi w Cesarstwie postawionymi osobami, ale w ogóle ucina wszelkie wzmianki na ten temat. Udul sądził, że pobyt w otoczeniu cesarza musi być najbardziej cenionym przez kobiety okresem życia. Newia jednak najwyraźniej uważała inaczej i chociaż Hord nie mógł tego zrozumieć,

powstrzymał się od wypytywania o stosunki panujące w otoczeniu cesarza i o niego samego.

Zakazane tematy nie zagroziły rodzącej się między **nimi**, mimo wszystkich przeciwności, przyjaźni. Nie wiedząc o tym, myśleli o sobie coraz częściej.

Newia zastanawiała się, gdzie urodził się jej przewodnik i dlaczego wstąpił do posepnego, choć pożytecznego bractwa. Ciekawiło ją też, kim byli pozostali Hordzi. Może to po prostu synowie z rycerskich rodów Gruaronu? Udul z kolei zastanawiał się nad powodem przybycia Newii do Dolin i nad człowiekiem, do którego z takim uporem stara się dotrzeć. Przyszło mu do głowy, że skoro zdecydowała się na podróż w samotności, w grę wchodzi najwyraźniej zakazana miłość. Potwierdzały to niektóre obserwacje - nagła chmurność Newii, jedno czy drugie smutne spojrzenie lub zaciśnięcie ust.

Wieczorami Hord czekał, aż Newia zaśnie, po czym znajdował miejsce, gdzie przez gałęzie bukli przedzierało się światło księżyca. W srebrnej poświacie oglądał mapę luina. Wkrótce znał ją już na pamięć, podobnie jak wszystkie zapisane na niej komentarze, zarówno te, które zdołał odcyfrować, jak i te, których znaczenia nie pojmował. Mimo niejasności, był zdecydowany zagłębić się w trzecią od południa dolinę gór Seren, w której według mapy miało znajdować się wejście do tuneli.

Po pięciu dniach wędrówki otaczający ich las zmienił się. Bukle stały się rzadsze, między nimi pojawiły się coraz wyższe i gęściejsze drony. Tu i ówdzie spotkać można też było pojedynczy kryt, najczęściej młody i niezbyt jeszcze wysoki.

Szóstego dnia bukły się skończyły. Teren zrobił się nierówny, a przez Puszcę przelatywały podmuchy lodowatego wiatru. Skręcili bardziej na południe, jednak droga pogorszyła się i nie szli równie szybko jak poprzednio. Szlak raz po raz przecinały jary, niezbyt głębokie, ale o stromych ścianach. Pod wieczór, widząc że Newia ślizga się coraz częściej wśród poślizgniętych liści i coraz częściej podiera się, łapiąc za korzenie, Udul zdecydował się nadłożyć nieco drogi. Szli teraz brzegiem kolejnych wąwozów, prosto na południe.

Od zmroku dzieliły ich jeszcze dwie godziny. W lesie zaczynało się robić ciemno, kiedy Hordowi wydało się, że dostrzegł coś na dnie wąwozu. Zeszli szybko ze zbocza. W jarze panował już półmrok, mimo to Udul widział wyraźnie coś błyszczącego. Wyprzedził **Newie**.

Na ziemi leżał duży kawałek metalu. Jeszcze kilka kroków i Hord się zatrzymał.

- Nie zbliżaj się.

Newia posłusznie stanęła w miejscu.



Udul wolno ruszył przed siebie. Po chwili wypatrzył na ziemi pierwsze ślady ludzkich stóp, zmieszane ze śladami grycht. Pojawiły się z lewej strony ścieżki - Hord podniósł głowę i zlustrował spojrzeniem lewe zbocze jaru. Mimo półmroku szybko dostrzegł pozbawione liści miejsca, przez które prześwitywała goła ziemia. Ktoś musiał zbiegać tędy, ślizgając się i kilkakrotnie przewracając.

Hord skręcił w prawo i przyglądając się uważnie śladom na ścieżce, podszedł do błyszczącego przedmiotu. Przykucnął i delikatnie podniósł stalowy, pordzewiały w paru miejscach szyszak. Przez chwilę przyglądał mu się, po czym wstał i szybkim krokiem zaczął się wspinać w górę wąwozu.

Dookoła panowała cisza. Dalekie powiewy wiatru przetaczały się wysoko nad głową Newii. W głębi jaru nie szeleściły liście i nie trzeszczały poruszane przez wiatr gałązki. Kroki Horda umilkły. Newia musiała wyteńczyć wzrok, by dostrzec majaczącą w oddali sylwetkę. Wydawało jej się, że Hord pochyla się nad czymś.

Chwilę później dotarło do niej, że stało się coś niedobrego. Hord podniósł się raptownie. Odruchowo cofnęła się i otworzyła usta, lecz zanim zdołała zadać jakiegokolwiek pytanie, przewodnik był już przy niej. Chwyił ją mocno za ramię.

- Musimy stąd uciekać. Szybko.
- Co się stało? Co tam było?
- Tędy! - Udul pchnął Newie w bok.

Chwyliła się pierwszego wystającego z ziemi korzenia i starając się nie pośliznąć, rozpoczęła wędrówkę w górę. Ziemia i liście raz po raz osuwały się jej spod nóg. Mimo to nie zwalniała. W połowie drogi źle obliczyła dzielącą ją od następnego korzenia odległość i zachwiała się - byłaby upadła, gdyby Hord jej nie podtrzymał. Gdy stanęli na górze, Udul znów chwyił ją za ramię i nim cokolwiek powiedziała, popchnął w kierunku sąsiedniego jaru. Newia zrozumiała, że mają się w nim schować i zaczęła szybko biec w dół. Na szczęście ten wąwóz był płytki i miał łagodniejsze zbocza. Jego dnem płynął niewielki strumień.

Gdy znaleźli się na dole, Udul zatrzymał się i rozejrzył. Przykucnął. Newia poprawiła rozsypujące się włosy i również się pochylała.

- Co się stało? - szepnęła, starając się opanować przyspieszony oddech.

- Grychty są niedaleko - Hord mówił szybko, ale tak cicho, że ledwie go słyszała. - Duże stado. Są rozdrażnione, bo umknęła im pewna zdobycz. W tamtym jarze był trup, szczątki rycerza z równin Grolon. Musiał zwodzić je długo, a w końcu, widząc, że nie ucieknie, zabił się. Grychty rozszarpały jego ciało - robią tak tylko wtedy, gdy ofiara popełnia samobójstwo. Kiedy ostatni raz je nawoływałem, musiały mnie słyszeć, ale zajęte pościgiem nie odpowiedziały. To się zdarza, rzadko, ale jednak. Teraz krążą wokół tamtego jaru. To tylko kwestia czasu, kiedy wpadną na nasz ślad.

Newia poczuła ucisk w gardle. Popatrzyła na Udu-la szeroko otwartymi oczami. Bardziej od wszystkiego, co powiedział, przstraszyło ją skupienie, widoczne na jego twarzy.

- Co w takim razie...?
- Musimy uciekać.

Hord zastanowił się szybko. Nie mieli wiele możliwości.

- Pójdziemy prosto na zachód. Od gór Seren dzielą nas dwa dni drogi, może dwa i pół. Będziemy iść bez przerwy tak długo, jak długo będziesz w stanie, na ukos przez kolejne wąwozy. Grychty zawsze obchodzą je naokoło. Gdy tylko dotrzemy w góry, schronimy się na pierwszym progu skalnym, w którejś dolinie. Tam będziemy bezpieczni.

- Zaczekaj! - powiedziała Newia, widząc, że Udul chce się wyprostować. - Przecież one w ogóle mogą nas nie znaleźć... Mogą pójść w przeciwnym kierunku...

- Nie. - Hord pochylał głowę. - Zataczają wokół tamtego jaru koła o coraz większym promieniu. Prędzej czy później ich szlak przetnie się z naszym.

- Ile ich jest? Czy gdybyś był sam...?

- Uciekałbym, tak samo jak teraz. Tylko jednemu z naszych mistrzów udało się raz pokonać samemu siedem grycht. Ja jednak nie mogę się z nim równać. - Zamilkł, uświadamiając sobie, jak mało pocieszające jest to, co mówi.

Newia tylko zamrugnęła.

- Siedem? Może być ich aż tyle? Hord zauważył, że drży jej podbródek.

- Pójdziemy strumieniem.

Podniósł się powoli, podając rękę Newii, która chwyciła się jej kurczowo. Wyprostowała się, lecz mimo to nie puszczała jego dłoni. Drugą rękę położyła na ukrytym na piersi woreczku. Hord obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Gdyby... gdyby... - zaczęła, nie wiedząc, jak wytłumaczyć to, o co chciała go poprosić.

Udul niecierpliwie pokręcił głową.

- Nie ma czasu. Jeśli tylko się pospieszymy... Stała w milczeniu, nieporuszona, jak gdyby zastanawiała się nad czymś.

- Gdyby...

- Nie ma czasu - powtórzył Hord. - W dół, środkiem strumienia.

- Mam wejść do wody? - zapytała odruchowo. Mimo powagi sytuacji Udul uśmiechnął się. Newia spostrzegła jego uśmiech i spróbowała odpowiedzieć mu tym samym.

» it %|

Pierwszy syk grychty usłyszeli kilka minut później. Dochodził z oddali, ale zaraz odpowiedziały mu inne głosy. Newia nie była w stanie ich zliczyć. Potem syk towarzyszył im już przez cały czas, odzywając się raz ciszej, raz głośniejsz. Newia miała ochotę spytać Uduła, jak daleko są potwory i czy zacierają w ich kierunku, ale niedawno

nabyta cierpliwość kazała jej milczeć i tylko iść jak najszybciej przed siebie.

Mijała godzina za godziną. Zapadł już zmrok i w lesie zrobiło się zupełnie ciemno. Newia zaczęła szcząkać zębami - tak głośno i tak często, że wydawało jej się, iż to echo przedrzeźnia ją, powielając w nieskończoność okropny dźwięk. Z jednej strony starała się ze wszystkich sił opanować, by nasłuchiwać, czy syk grycht nie zbliża się do nich. Z drugiej - cieszyła się, że nie słyszy go już tak wyraźnie.

Cały czas szli strumieniem. Newia starała się, jak mogła, by stawać tylko na wystających z wody kamieniach, ale najczęściej nic z tego nie wychodziło. Potykała się albo ślizgała na mokrych głazach i raz po raz wpadała w wodę po kostki. Jej brunatne spodnie szybko przeszły wilgocią i były mokre aż do kolan. Wszystko to powodowało, że trzęsa się - na wpół z zimna, na wpół z przerażenia. W końcu potknęła się tak mocno, że byłaby się przewróciła, gdyby Hord nie podtrzymał J'j w ostatniej chwili. Jęknęła - mimo że jej stopy zanurzone były w wodzie, przez duży palec lewej nogi Przeszły jedna po drugiej fale bólu.

Udul pomógł jej wyjść na brzeg i usiąść na najbliższym kamieniu. Tej nocy księżyc był za chmurami i Newia z trudem dostrzegała w ciemnościach jego sylwetkę.

- Teraz pójdziemy prosto na zachód.

W oddali znowu rozległo się syczenie grychty. Za chwilę dołączyły się do niego dwa kolejne głosy.

- Jak to daleko? - przejęta lękiem Newia odwróciła głowę w kierunku, skąd, jak się jej wydawało, dobiegł syk.

- Daleko. I jeszcze nas nie zauważyły. Daj mi rękę.

Nim Newia spostrzegła, Udul owinał wokół jej nadgarstka kawałek cienkiej linki.

- Po co to...?

- Od tej pory ja będę szedł pierwszy. Trzymaj się tego, kiedy będziemy wchodzić pod górę. Tak będzie ci łatwiej.

Newia poczuła, że znów zaczyna szcząkać zębami.

- Chodźmy - powiedziała, podnosząc się z trudem.

Zgodnie z zapowiedzią Horda, szli teraz, a raczej

W którymś momencie po prostu zamknęła oczy. Wiedziała tyle samo, co przed chwilą, ale przyniosło jej to ulgę, w związku z czym nie podnosiła już powiek. Gdzieś w głębi świadomości pojawiła się jeszcze myśl że może w ogóle ich nie otwierać.

Od jakiegoś czasu nie słyszeli już złowrogiego syczenia. Hord zaczął mieć coraz więcej nadziei. Gdyby tylko nie

biegli, pokonując kolejne jary na ukos. Udul pomagał Newii, tak by cały czas mogła przytrzymać się wyprężonej liny. Dzięki temu nie przewracała się, chociaż Hord czuł, że wspinanie się przychodzi jej z coraz większym trudem. Na szczycie jaru zatrzymywali się na chwilę, by Newia mogła złapać oddech, po czym zbiegali szybko w dół.

Noc ciągnęła się w nieskończoność.

Księżyc ani na chwilę nie wychylił się zza chmur i w Puszczy panowały ciemności. Dla Newii oznaczało to poruszanie się po omacku. Zrozumiała teraz, dlaczego Hord zdecydował się iść pierwszy. Mimo że szorstkie włókna boleśnie tarły jej skórę i wpijały się w ciało, Newia zdawała sobie sprawę, że gdyby nie lina, co kilka kroków przewracałaby się lub wpadała na drzewo.

Starała się liczyć kolejne jary, które pokonywali, ale rachunek jej się mylił. Dochodziła do pięciu lub sześciu, a potem zapominała, ile naliczyła, i zaczynała od początku. Starała się też liczyć upływający czas, zakładając, że pokonanie jednego wąwozu zajmuje im od dziesięciu do dwudziestu minut. To jednak było jeszcze bardziej skomplikowane, na dodatek zaś Newia ciągle dochodziła do tego samego wniosku - że noc powinna się już skończyć. Wokół jednak było ciągle czarno, tak czarno, że powietrze zdawało się gęstnieć od spowijającej wszystko ciemności. Zrobiło się też znacznie zimniej - gdyby Newia miała więcej doświadczenia, wiedziałaby, że to jest jedyna wskazówka pozwalająca ocenić, ile jeszcze dzieli ich od świtu.

Stopniowo jej myśli zaczynały się coraz bardziej płatać. Mnożyła i dodawała minuty, a gdy udawało jej się podsumować rachunek i otrzymać jakiś wynik, zapominała, co tak naprawdę liczyła. Potem próbowała liczyć znowu i nagle przestawała, zdając sobie sprawę, że w ogóle nie wie, po co to robi. Straciła nie tylko orientację, w którym kierunku się posuwają, ale też chwilami nie wiedziała już, czy idą pod górę, czy w dół. Trzymała się tylko kurczowo obiema rękami linki i starała się poruszać nogami. Coraz częściej się zdarzało, że w jej głowie panowała kompletna pustka. Trwało to jednak krótko. Newia potykała się, chwiała i przypominała sobie, że musi zrobić kolejny krok.

musieli zatrzymać się o świcie... Wiedział jednak, że bez tego się nie obędzie. Przyspieszony i urywany oddech, który słyszał za sobą, świadczył, że Newia jest u kresu sił.

Kiedy za którymś razem zatrzymali się nad jarem, Newia zachwiała się na nogach.

Udul podtrzymał ją. Widząc, że zamyka powieki, uderzył ją lekko w oba policzki.

- Popatrz na mnie.

Uderzył ją jeszcze raz, tym razem mocniej. Oczy Newii nabrały wyrazu, ale nie wyglądało na to, by zdawała sobie sprawę, co przywróciło ją do przytomności. Przysunął jej do ust bukłak z wodą i zmusił do wypicia kilku łyków.

Zimny płyn otrzeźwił Newie na tyle, że spróbowała stanąć o własnych siłach. Nogi jednak ugięły się pod nią. Na szczęście Udul obserwował ją uważnie i w odpowiednim momencie podał jej ramię.

- Boli cię coś?
- Nie... - odpowiedziała tak cicho, że musiał pochylić się, by usłyszeć jej głos. - Daleko jeszcze?
- Nie. Za godzinę zatrzymamy się na dłużej. Oprzyj się o mnie. O tak, dobrze... - rzekł, czując, że obejmuje go ramieniem.

Dla pewności chwycił jej rękę.

Ruszyli wolno brzegiem jaru.

- Opowiedz mi coś.
- Co?
- Coś o Twerze.
- Nie... Nie wiem...
- Dobrze, to ja ci coś opowiem. Chcesz?
- Tak.

272

jakie spotkało go tego dnia. Nie zastanawiając się długo, wyciągnął łuk i wypuścił kilka strzał w kierunku mandyliona, ani razu nie chybiając. Potem zabrał strzały i wrócił do domu.

Następnego dnia znowu poszedł polować. I tak jak poprzednio po całym dniu trudów wigry uciekły. Myśliwy wracał do wioski, jeszcze bardziej zły niż dzień wcześniej, kiedy znów natknął się na tego samego mandyliona. Tym razem wyjął nóż i chcąc sprawdzić swoją celność, rzucił nim kilka razy w pień drzewa.

Działo się to bardzo dawno temu, kiedy Lotr rozsiewał dopiero po Puszczy ziarna mandylionów. A ponieważ są to drzewa zrodzone z niego samego, pilnie strzegł każdego drzewka i interesował się losem każdego ziarenka, które wypuściło korzenie. Od czasu do czasu rozkazywał jednemu ze swych sług, Tyrowi, przebiegać Puszczę i sprawdzać, czy mandylionom niczego nie potrzeba. I akurat tego dnia, kiedy myśliwy mklinów po raz drugi zranił mandyliona, w pień jego drzewa wcielił się Tyr.

Mandylion opowiedział Tyrowi o człowieku, który od dwóch dni niepokoił go i ranił jego pień za pomocą narzędzi z metalu. Tyr opatrzył rany drzewa, ale nie opuścił jego pnia, tylko postanowił poczekać.

Trzeciego dnia myśliwy mklinów ponownie ruszył za wigrami. Był już jednak zmęczony i rozgoryczony dwiema porażkami, a więc poszło mu równie źle. Już w południe zgubił ślad stada i zmuszony był jak niepyszny wracać do wioski. Gdy przechodził koło mandyliona, zauważył, że

- Starą legendę z Dolin Gruaronu. To jedna z niewielu historii, która zachowała się w pamięci tutejszych ludów po tym, jak na Doliny spadło przekleństwo. Znają ją mklini, których ziemie znajdują się niedaleko stąd, na północy. Chcesz posłuchać?

- Tak...

- Dobrze. Uważaj. Otóż pewnego dnia myśliwy z jednej z sadyb mklinów wybrał się na polowanie. W okolicach jego wioski pojawiło się duże stado wigr i myśliwy chciał być pierwszym, który je wytropi. Szybko wpadł na ślad i ścigał je cały dzień, ale przed zapadnięciem zmroku nie zdołał zabić ani jednej wigry. Gdy słońce zaszło, zmuszony był zaprzestać pościgu. Wracał do domu w złym humorze, gdy nagle na swej drodze napotkał dziwne drzewo. To był młodziutki krypt, wtedy zwany mandylionem. Mklin widział je po raz pierwszy. Myśliwy przystanął i przyglądał się chwilę drzewu, po czym niespodziewanie przypomniał sobie o niepowodzeniu,

273

miejsca, które jeszcze wczoraj nosiły ślady po strzałach i nożu, teraz pokrywa świeża kora.

Dziwne, pomyślał mklin i uważnie przyjrzał się mandylionowi. Bardzo dziwne. Pierwszy raz widzę takie drzewo. Ciekawe, jak się pali?

Wyjął zza pasa topór i ściał drzewo, po czym zaciągnął je do wioski. Tam porąbano je na kawałki i wrzucono do ognia.

Hord zamilkł na chwilę. Rozejrzał się uważnie dookoła.

- Co było dalej? - zapytała Newia, podnosząc opadającą na piersi głowę.

- Dalej? - Udul rozejrzał się jeszcze raz. - Od tego dnia w wiosce mklinów zaczęło się dziać źle. Zwierzyna opuściła otaczające ją lasy, a słońce grzało tak mocno, że wypaliło wszystko, co zasiali na leśnych poletkach. Na dodatek na bydło padł mór i, choć trwało lato, w sadybie prawie nie było co jeść. W promieniu wielu mil wokół las nie rodził żadnych owoców, a wygrzebywane z ziemi jadalne korzenie były co do jednego przegniłe.

Mklini zorientowali się, że musieli rozgniewać jakiegoś leśnego bożka. W tamtych czasach było ich wielu i tak samo wiele było modlitw, które należało odmawiać. Jednak nawet po zmówieniu ich wszystkich nic się nie zmieniło. Las odwrócił się od mklinów i wiosce groziła zagłada.

Przywódca mklinów zebrał wszystkich myśliwych i rozkazał im ruszyć w świat. Mieli udać się do sąsiednich sadyb, by dowiedzieć się, czy i ich nie dotknęła Podobna

klęska i czy nie pojawiło się przypadkiem jakieś nowe bóstwo, które mklini nieświadomie obrazili. Wszyscy myśliwi udali się w podróż, nie wyłączając tego, który nie mogąc upolować wigr, zemścił się na niewielkim, nieznanym nikomu drzewie.

Myśliwi rozeszli się w cztery strony świata, a wraz z nimi wyruszyło ścigające ich fatum. Było ono tak silne, że mklinów, jednego po drugim, spotykało nieszczęście - ginęli kolejno od ran zadanych przez dzikie zwierzęta, z głodu albo zamordowani przez innych ludzi zamieszkujących Puszcę. Byli i tacy, którzy dotarli nawet do Tyngi, ale i tam zły los zdołał ich doścignąć. I tak się złożyło, że po roku do wioski wracał tylko jeden - ten, który poranił, a potem ściał mandyliona.

Kiedy był już blisko sadyby, zauważył coś dziwnego. Otóż w miejscu, gdzie ściał kiedyś dziwaczne drzewko, które spaliło się bardzo szybko i z którego dym nie dawał żadnego zapachu, rosło kolejne, takie samo - tylko kilka razy mniejsze. Myśliwy pochylił się nad wyrastającym z pnia drzewkiem i podziwiał przez chwilę maleńkie igielki i łodyżki. Wtedy Tyr, który nadal tkwił uwięziony w ściętym pniaku, sprawił, że przez Puszcę powiał wiatr. I myśliwy zrozumiał, że to ścięcie tego drzewka ściągnęło na jego osadę nieszczęście.

Czym prędzej pobiegł do wioski, żeby zawołać mklinów i by oddali drzewku cześć. Ale kiedy dotarł do sadyby, zobaczył tylko rozpadające się chaty i zarosłe trawą palenisko. Ci z mklinów, którzy przetrwali zimę, rozpierzchli się po świecie, uciekając jak najdalej od przeklętego miejsca.

Hord znów zamilkł. Zatrzymał się. W Puszczy zrobiło się chłodno. Czerń otulająca las zamieniała się powoli w szarość. Udul pochylił się, pomagając Newii usiąść pod najbliższym drzewem, którego korzenie wystawały z ziemi i rozpościerały się szeroko dookoła.

- Teraz możesz już zasnąć.

Udul chciał się wyprostować, ale Newia złapała go za rękę.

- A co dalej? Z tym myśliwym?

- Sam pochylił czoło przed mandylionem, a potem połamał i spalił swój łuk, zakopał nóż i topór i ruszył w świat opowiadać o potędze, która tkwi w krycie. I w ten sposób ludy Puszczy uznały mandyliony za święte drzewa, którym oddaje się cześć i które są nietykalne. Tak przynajmniej opowiadają mklini. Ale to tylko legenda, bo w rzeczywistości, po tym, jak na Doliny Gruaronu spadło przekleństwo, bywało różnie.

Newia zamknęła oczy. Hord odszedł kilka kroków na bok i odwrócił się na wschód. Nasłuchiwał, czy gdzieś z oddali nie dobiegnie go przeciągły, przekazywany od drzewa do drzewa syk.

Newia spała kamiennym snem, a gdy Udul potrząsnął jej dłonią, miała wrażenie, że zasnęła dopiero przed chwilą. W rzeczywistości odpoczywała przez dwie godziny. Kiedy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła, że w lesie jest już całkiem jasno. Popatrzyła na Horda i zauważyła na jego twarzy cienie.

- Ruszamy? - zapytała tylko, przypominając sobie w jednej chwili o grożącym im niebezpieczeństwie. -<sup>ld</sup>ą za nami?



Udul przykucnął, podając jej bukłak z wodą i trochę suszonego mięsa.

- Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiedziała Newia bez zastanowienia, po czym dotknęła ręką czoła. - Boli mnie głowa. Ruszamy zaraz, prawda?

- Tak.

- Idą za nami? - Newia przelykała pospiesznie wstrętne kawałki mięsa wigry.

Żywiła się nim już od tygodnia, ale nadal miało dla niej smak ziemi.

- Tak. Musimy się spieszyć.

Zamarła na chwilę. Spojrzała na Udula, starając się wyczytać coś z jego wzroku. Dostrzegła w nim niepokój, którego Hord nie próbował maskować.

- Boli mnie głowa - powtórzyła machinalnie.

- To z niewyspania. - Podał Newii rękę i pomógł wstać.

Przez dwie godziny, kiedy odpoczywała, grychty zbliżyły się do nich. Udul słuchał uważnie odległych syków, które przekazywały mu liście Puszczy, i nie miał wątpliwości, że potwory podążają ich śladem. Wiedział też, że Newia będzie potrzebowała coraz częstszych odpoczynków. Zaczynał się obawiać, że jeśli w ciągu dnia nie zdarzy się coś, co poprawi ich sytuację - na przykład nie napotkają jakiegoś krytu czy nawet bukli, na których można by się schronić - będą musieli już nawet nie iść, ale biec kolejną noc.

Był coraz bardziej niespokojny. Gdy ruszyli, co chwila rozglądał się po okolicy. Może jednak rośnie gdzieś tutaj jakiś zapomniany stary kryt albo młode drzewko, które utrzyma choć jedną osobę?

Jednak mijała godzina za godziną, a las był ciągle taki sam. Dookoła jak okiem sięgnąć ciągnęły się niewielkie, rzadkie, bezlistne drony. Jary stawały się coraz płytsze, a przez Puszcę raz po raz przebiegał zimny podmuch wiatru. Byli coraz bliżej ocalenia - czyli gór. Droga była znacznie łatwiejsza niż poprzednio i każdy doświadczony wędrowiec potrafiłby to wykorzystać. Jednak Newia miała coraz mniej sił. Chociaż Hord widział, że stara się jak może, nie była w stanie iść tak szybko jak on.

Dla Newii ten dzień, podobnie jak poprzednia noc, ciągnął się w nieskończoność. Początkowo czuła się całkiem dobrze - sen, choć krótki, mocno ją pokrzepił. Jednak już koło południa jej siły zaczęły się wyczerpywać. Tak jak w pierwszych dniach rundy bolały ją nogi i całe ciało, ale tym razem ból był trudniejszy do zniesienia.

Po południu wiatr zaczął wiać mocniej. Ostre podmuchy strącały z drzew ostatnie liście i podrywały te leżące na ziemi. Tworzyły się z nich słupy kręcące się w powietrzu i unoszące wysoko w górę. Gdy wiatr cichł,

wyschnięte, brunatne stożki opadały, przykrywając ziemię ciemnobrązową płachtą. Ten taniec liści, zwiastujący nadejście zimy, w opustoszałym, zapadającym w kilku-miesięczną martwość lesie, robił przygnębiające wrażenie. Hord, oswojony z tego typu widowiskami, nie zwracał na to uwagi, ale Newia za każdym razem drżała.

Pod wieczór wiatr osłabł. Przez moment w Puszczy zrobiło się tak cicho, że wędrowcy słyszeli tylko szelest własnych kroków. Hord zatrzymał się na chwilę i przykucnął, badając coś na ziemi. Newia stanęła z ulgą. Wiedziała, że nie wolno jej usiąść, więc tylko pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. Wzięła kilka głębokich oddechów i wyprostowała się.

I wtedy właśnie spostrzegła na niewielkim wzniesieniu po prawej stronie drzewo, którego kształt wydał jej się znajomy.

- Kryt! - krzyknęła głośno.

Bez zastanowienia ruszyła do przodu. Zdążyła jednak wykonać tylko kilka kroków, kiedy Hord chwycił ją za rękę.

- Stój!

- Kryt! Przecież to kryt! - Newia usiłowała się wyrwać.

- Schowajmy się na nim!

- Zaczekaj! - Udul trzymał ją mocno już za obie ręce. - Tutaj...

W tej samej chwili powietrze przeszył świst. Hord z całej siły odepchnął Newię, tak że zatoczyła się i straciła równowagę. Przewracając się, spostrzegła, że Udul się zachwiał.

Krzyknęła. Próbowwała się zerwać, jednak nim zdążyła wstać, Hord przyskoczył do niej.

- Nie podnoś się! Kilkadziesiąt kroków od nich coś zaszeleściło. Mimo

ostrzeżenia Newia lekko uniosła głowę. Zauważyła kryjące się za pniami pochylone sylwetki. Zatrzęsa się, widząc, że każda napina łuk.

- Nie podnoś się! - szepnęła jeszcze raz Udul. Jednym ruchem wyrwał strzałę, która wbiła mu się

w kaftan. Skoczył w bok i potoczył się po ziemi, jednocześnie sięgając do rękawa. Odpięcie przytrzymujących dmuchawkę rzemieni zajęło mu sekundę. Gdy dopadł najbliższego drzewa, obok znów świsnęły strzały.

Hord oparł się plecami o pień drzewa. Odetchnął głęboko. Upewnił się, że Newia leży nieruchomo tam, gdzie ją zostawił, i wyjął przypięty do pasa nóż. Mimo że tylko dwóch ludzi do nich strzelało, miał przeczucie, że napastników jest więcej.

Bez chwili wahania wyskoczył zza drzewa. Spozstrzegłszy, że wrogowie nie zdążyli jeszcze założyć kolejnych strzał na cięciwy, puścił się biegiem w ich kierunku. Kiedy zakapturzeni mężczyźni zauważyli go, cofnęli się i błyskawicznie podnieśli łuki. Udul rzucił się naprzód, wypuszczając jednocześnie z ręki nóż. Tym

razem tylko jedna strzała zaśpiewała w powietrzu, bo drugi z napastników upadł na ziemię z przebitym gardłem.

- Hord! - krzyknął ocalały łucznik, cofając się.

Odwrócił się w stronę krytu. Udul już miał skoczyć za nim, gdy coś ciężkiego spadło mu na kark. Upuścił mrkę ze śmiertcionośną strzałką i natychmiast pochylił się do przodu. Mocno szarpnął ciałem i upadając, strząsnął z pleców kolejnego przeciwnika.

Obaj podnieśli się błyskawicznie. Kątem oka Udul spostrzegł, że łucznik cofa się, krzycząc coś głośno. Nie był w stanie zrozumieć słów.

Napastnik stojący przed nim, którego pochyloną sylwetkę okrywał poszarpany i ubrudzony ziemią płaszcz, wyszarpnął zza pasa nóż.

- Nie chcemy zwady z Gildią - wychrypiał, kalecząc słowa. Wskazał na miejsce za plecami Horda, gdzie ukryła się Newia. - Zostaw ją i odejdz.

Udul cofnął się o dwa kroki. W oddali widział, jak łucznik dopadł pnia krytu i jak coś mówił, podnosząc głowę i gestykulując. Kryt poruszył się, jakby ożył.

Nagle przez Puszcę przeszedł donośny syk. Brzmiał zupełnie inaczej niż przez ostatnie godziny. Dotychczas przypominał odległe zawodzenie i był zaledwie o ton czy dwa głośniejszy od szumu wiatru. Teraz przez gęstwinę przeleciał ostry i piskliwy dźwięk, od którego drzewa zdawały się pochylać niżej do ziemi. Na chwilę zapanowała cisza, a potem dźwięk powtórzył się, jeszcze głośniejszy i jeszcze bardziej przenikliwy.

Hord nie widział oczu mężczyzny, zakrytych przez kaptur, ale spostrzegł, że popękane i pokryte krostami wargi skrzywiły się.

- Grychty...

Napastnik odwrócił się i pobiegł w kierunku krytu.

Hord cofnął się.

Newia leżała nieruchomo, tak jak jej kazał, nie podnosząc głowy i tłumiąc każdy głębszy oddech. Słyszac zbliżające się kroki, drgnęła nerwowo.

- Wstań - rzekł szybko Udul i podał jej rękę.

Pociągnął ją za sobą. Pobiegli, omijając kryt szerokim łukiem. Gdy stracili go z oczu, biegli jeszcze kilkanaście minut, aż Newia przystanęła, opierając się o niewielkie drzewko.

- Co... to... było...? - wydyszała.

Hord zatrzymał się kilka kroków przed nią. Ku swemu ogromnemu zdumieniu Newia dostrzegła na jego twarzy słaby uśmiech.

- Kriroksi. Banda kriroksów z równin Grolon.

- Kto...? - Newia zgięła się wpół, starając się złapać oddech.

- Bandyty grasujący na równinach. Głupcy. - Udul uśmiechnął się już wyraźnie.

- A tamto? Ten syk? Są blisko... - Newia starała się wyrzucić z siebie te wszystkie słowa jak najszybciej.

Uśmiech Horda obudził w niej nadzieję.

- Nie. To tylko złuda. - Udul wzruszył ramionami. - Kriroksi nie znają Puszczy Kryto w i nigdy się do niej nie zapuszczają, gdy nadchodzą grychty. Nie mam pojęcia, jak trafili tutaj. Prawdopodobnie grychty odcięły im drogę i nie zdołali wrócić na równiny. I wymyślili, że zostaną na krycie. - Pokręcił głową. - Głupcy.

Newia odetchnęła głęboko.

- Dlaczego? - spytała. - Przecież wszyscy w Puszczy tak robią.

- Chodźmy. - Udul nadal się uśmiechał. - Kriroksi nie wiedzą, jak przetrwać tu zimę. Schować się na krycie to nie wszystko. Trzeba mieć jeszcze zapasy, trzeba wiedzieć, kiedy można zejść na dół. Bez tego nie mają szans. Poza tym zabiłem jednego z nich i w tej chwili jego krew wsiąka w ziemię. Jej zapach spowoduje, że grychty, idąc naszym tropem, odkryją ich kryjówkę.

- I przestaną nas ścigać?

- Nie. Rozdzielią się. Dwie lub trzy zaczają się w okolicy, czekając, aż głód zmusi kriroksów do zejścia na ziemię. I będą tak czekać nawet tygodniami. A oni, zamiast uciekać stamtąd jak najszybciej, stracą teraz kilka godzin, zastanawiając się, dlaczego grycht nie widać, skoro są tak blisko.

- A więc powinni porzucić to drzewo i uciekać?

- Oczywiście. - Hord wzruszył ramionami. - I to natychmiast. Ale nie wpadną na to, w tej chwili są śmiertelnie przerażeni.

Newia pokręciła głową.

- A reszta stada? Ta część, która nie zostanie pod krytem?

- Reszta pójdzie za nami - rzekł Udul ciszej. Skrzywił się, bo zabolowało go ramię. Zauważył, że rękaw kaftana ma przesiąknięty krwią. Spochmurniał. Cztery lub pięć... Gdyby nie to draśnięcie, miałbym szansę je pokonać, pomyślał.

Newia drgnęła, widząc ciemnobrunatną plamę.

- Jesteś ranny! - zatrzymała się. - Trzeba to opatrzyć!

Udul znów się uśmiechnął.

- Gdy tylko będziemy w górach Seren.

- Ale przecież...

- Nadal musimy się spieszyć, tak jak poprzednio - Po zmroku droga zmieniła się po raz kolejny. Znowu pojawiły się jary. Gdy tylko zbliżyli się do pierwszego, Hord zatrzymał się. Widząc, że odwiązuje linkę, Newia bez słowa wyciągnęła rękę. Jednak Udul zawiązał tylko na końcu powrozu niewielką pętlę.

- Trzymaj się - powiedział, podając ją Newii. Choć nie szli wolniej niż poprzedniej nocy, Newii wydawało się, że ma więcej sił. Spotkanie z kriroksami spowodowało, że zaczęła się bać jeszcze bardziej niż poprzednio. Z każdą godziną jej niepokój narastał, co pozwoliło jej znaleźć w sobie nowe zasoby energii.

Raz po raz przez Puszczę przebiegał głośny syk. Ilekroć się rozlegał, drżała nerwowo.

- Nadal idą za nami, prawda? - zapytała za któryś razem.

Pytała o to często, nie mogąc się opanować. Teraz przystanęła na chwilę, opierając się plecami o pień niewielkiego dronu.

- Tak, ale niedługo natkną się na kriroksów i zostaną tam jakiś czas.

- Niedługo? Jeszcze ich tam nie ma?

- Nie.

- Jak to możliwe? Ten syk jest taki głośny, znacznie głośniejszy niż wtedy, gdy jechałam z panem Sor-so, a wtedy one były tuż za karetą.

- To jedna z właściwości Puszczy Krytów. Ten las wzmacnia syk grycht, tak by mamił uciekających. Wydaje ci się, że są tuż-tuż, a więc przywołujesz resztki sił, by biec jak najszybciej, i męczysz się bez potrzeby. A kiedy są naprawdę blisko, liście i gałęzie odbijają syk i masz wrażenie, że zdołasz im uciec. Najgorsze... *fi* Udul zamilkł nagle. - Chodźmy. Przed nami już tylko kilka godzin drogi. Te jary to ostatni pas wąwozów Przed górami Seren.

Newia posłusznie odepchnęła się od pnia drzewa. Prostując się, poczuła, że nogi się pod nią uginają.

Nie zdołałam iść jeszcze kilka godzin, przemknęło jej przez myśl. Nie chciała się jednak nad tym zastanawiać.

- Co jest najgorsze? - spytała, idąc za Hordem i dostosowując swoje kroki do jego tempa.

Nie odpowiedział.

- Co jest najgorsze?

- Gdy nie wiesz tego wszystkiego. Gdy jesteś pierwszy raz w Puszczy w zimie i słyszysz otaczający cię ze wszystkich stron świst.

Newia na moment wstrzymała oddech.

- Kiedy tak jest?

Za ich plecami znów rozległ się syk. Hord skrzywił się stroną kolejnego jaru i pociągnął Newie za sobą. Za chwilę zaczęli schodzić w dół i syk umilkł jak ucięty nożem.

- Do świtu pozostało jeszcze jakieś osiem godzin. Poradzisz sobie? - zapytał poważnie.

Newia zagryzła wargi.

- Postaram się.

Zaczęli znów wspinać się na zbocze. Newia trzymała się kurczowo liny. Przed chwilą chciała o coś zapytać, ale zapomniała, co to takiego. To nie było nic istotnego, ale zaintrygowało ją. Dlaczego ją zaintrygowało?

- Zaczekaj! - wysapała. - Kiedy tak jest? Że się nie wie nic o Puszczy?

Udul nie miał ochoty odpowiadać na te pytania - Zwrócił jednak uwagę, że Newia nie myśli o zagrażającym im niebezpieczeństwie.

- Kiedy jeszcze nie jest się Hordem - powiedział w końcu.

- Nie rozumiem.

- Przed wstąpieniem do Gildii wszyscy kandydaci przechodzą próbę rundy. W zimie samotnie przemierzają Puszczę, bez niczego - bez broni, jedzenia. Trzeba wykonać zadanie, na przykład zanieść list do Tyngi z Omorgu lub odwrotnie. Ci, którym to się udaje, zostają Hordami.

- A pozostali?

Udul wzruszył ramionami. Było już ciemno i Newia nie widziała nic wokoło, ale domyśliła się znaczenia tego gestu.

- Ale przecież... - To, co usłyszała, tak ją zdziwiło, że na moment zapomniała o zmęczeniu i strachu. - Przecież jeśli się nie wie tego wszystkiego, co ty wiesz, i jeśli się nie umie walczyć z grychtami, to nie ma się żadnych szans... Sam to mówiłeś o tych bandytach. Że są bez szans. Więc jak to możliwe...?

- Nigdy nie jest tak, że nie ma się żadnych szans.

Newia potarła ręką czoło.

- Kto może chcieć przez to przejść?

Hord zaczął iść szybciej. Był niezadowolony, że zaczął ten temat. Mieszkańcy Dolin wiedzieli, w jaki sposób wstępuje się do Gildii, i nie zadawali na ten temat zbyt wielu pytań. I tak było najlepiej.

Nagle liną szarpnęło. Newia pośliznęła się. Nim Udul zdążył zareagować, upadła i zaczęła się zsuwać w dół. Zachwiał się na nogach. Przemknęło mu przez myśl,

jeśli i on się przewróci, stoczą się na dno jaru. Zaważył przed sobą gruby korzeń, wystający z ziemi jak kończyzna. Z całej siły rzucił się do przodu i zdołał chwycić się go dokładnie w momencie, gdy linka się naprężyła. Lewą dłonią złapał powróż i pociągnął do siebie.

Newia oddychała głośno, próbując ucześcić się czegoś i jednocześnie starając się wymacać twardy grunt. Mokra ziemia była jednak bardzo śliska i raz po raz uciekała jej spod stóp.

- Złap linkę drugą ręką! Dobrze! I teraz powoli... W końcu Newia stanęła na nogi. Z wysiłku serce biło jej tak głośno, że miała wrażenie, że zaraz wyskoczy jej gardłem. Widziała wpatrzone w siebie oczy Udula, ale nie mogła złapać tchu, by powiedzieć choć jedno słowo.

- Powoli. Złap mnie za rękę... - Hord pomógł jej podciągnąć się do miejsca, gdzie sam stał.

Mimo ciemności spostrzegł na jej czole grube krople potu.

Musiało minąć kilka minut, zanim oddech Newii uspokoił się na tyle, że zdołała podziękować.

- Kto... - zaczęła. Jej głos zabrzmiał tak ochryple, że nie poznała go. - Kto może chcieć przez to przejść?

- O czym mówisz?

Newia uspokoiła go ruchem ręki i odetchnęła głęboko jeszcze dwa czy trzy razy.

- Przez tę próbę rundy. Przecież to szaleństwo. Udul tylko pokręcił głową.

Newia była uparta. Przez ostatnie godziny podziwiał jej upór, ale teraz... A dlaczego ty przedzieras się przez Puszczę? - pomyślał. To takie samo szaleństwo albo niewiele mniejsze. A jednak ani razu nie wspomniałaś o powrocie.

Nie mógł odpowiedzieć Newii.

- Gildia sama dobiera tych, których pragnie widzieć w Hroście - rzekł w końcu.

Newia zmarszczyła brwi. Poczula, że znowu natrafiła na ten sam mur, od którego odbiło się wiele jej pytań.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Kto wie, czy zdołają w ogóle dotrzeć do tych gór, a raczej czy ona zdoła do nich dotrzeć. Gdyby coś jej się stało...

- Jak się nazywasz? Kim byłeś, zanim zostałeś Hordem? - zapytała szybko.

Udul zacisnął usta.

- Uratowałeś mnie już dwa razy - mówiła dalej Newia, biorąc jego milczenie za wahanie. - Wtedy, nad jeziorem, i dzisiaj. Ale nie wiem, komu mam dziękować. Kim jesteś? Pytam...

Hord chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Trzymał ją mocno i szybko wspinał się pod górę. Dopiero gdy stanęli na brzegu jaru, odepchnął ją i nie mówiąc ani słowa, ruszył przed siebie.

...bo jakiś łotr porwał i ukrył w Gruaronie moje dziecko, dokończyła Newia w myślach. Potrzebuję pomocy.





## Epztem 14

Orin prawie nie opuszczał powozu. W wężozie Grol wyskoczył z niego tylko na chwilę, żeby zebrać myśli, ale potem zaszył się w najciemniejszym kącie, pozostawiając

**P**rzez kolejne cztery dni jechali, zgodnie z kierunkiem wytyczonym im przez Torna, na północny wschód.

wszystko na głowie Starego Człowieka. Kazał jedynie zakneblować Otta i powiedział staremu, że ruszają prosto w kierunku gór Seren. Stary Człowiek nie zadawał żadnych pytań, z czego Orin wywnioskował, że w czasie jego nieobecności zdążył przeczytać pozostawiony w powozie list. Kiedyś zbeształby go za coś takiego ostro, teraz tylko uśmiechnął się sam do siebie. Jeśli to przeczytał, dobrze się stało, pomyślał, przynajmniej nie będzie mi zadawał żadnych pytań, a ja nic nie będę musiał mu tłumaczyć.

Przez następne dni Stary Człowiek faktycznie o nic nie pytał. W milczeniu i nawet starając się nie patrzeć na swojego pana, objął dowództwo nad wyprawą. Gdy

tylko wyjechali z wężozu Grol, ruszyli co koń wyskoczy przed siebie. Gret Orin i Stary Człowiek jechali powozem doskonale przystosowanym do podróży po Dolinach, a czterech towarzyszących im żołnierzy i Bren Ott konno. Abot Drumen, któremu rozbita głowa mocno dokuczwała, zajął miejsce obok woźnicy.

Droga wiodła pustą i nagą równiną, przypominającą o tej porze roku martwy łąd. Było to niebezpieczne miejsce, ale podróż tędy miała przynajmniej tę zaletę, że niebezpieczeństwo widać było z daleka. Gret Orin, obserwując w czasie postojów przez szparę w oknie otoczenie, widział, jak stary rozstawia strażę i jak każe zawiadamiać się o wszystkim, co mogłoby świadczyć o obecności w okolicy kriroksów.

Za każdym razem, ledwie zatrzymali się na popas, Stary Człowiek uciekał z powozu, przerażony upartym milczeniem i ciszą, jaka nagle otoczyła jego pana. Orin podejrzewał, że starzec czuje się odpowiedzialny za kłopoty, w jakich się znajdowali; w końcu to on skierował swego pana do Torna. Mimo tych podejrzeń Orin nie uczynił nic, aby utwierdzić sługę w tym przekonaniu lub aby mu ulżyć. Nie mógł zdobyć się ani na jedno, ani na drugie.

Cieszyły go wszystkie momenty, kiedy wokół niego nie było żadnej ludzkiej istoty. Wtedy, a także nocą przy świetle pochodni, wiedziony jakimś odruchem silniejszym

od rozsądku, stawiał naprzeciwko siebie lustro, wkładał szkła Hordów i zaciskając usta, przyglądał się wymalowanym na skórze siatkom niebieskich, poskręcanych dziwacznie run. Widok ten powodował, że zbierało mu się na mdłości, ale mimo to nie mógł się oprzeć, by co parę godzin nie przypomnieć go sobie, poza tymi momentami zastygał w kącie, prawie nic nie jedząc i nie odzywając się do nikogo ani słowem.



Nie ułoży się już z Hordami. Za późno na to. Nie ma najmniejszego pojęcia, co za diabelską tajemnicę nosi na sobie ukrytą pod postacią niebieskich run, ale najwyraźniej dla Gildii to coś tysiąc razy ważniejszego od noksu. Świadczy o tym pułapka, jaką przygotowali w wężozie Grol Hordzi. Żadne argumenty, zaklinania się i przysięgi nie pomogą. Nawet gdyby udało mu się stanąć przed Mistrzem Gildii, nim otworzy usta, Roven każe go zabić.

Powinien więc próbować ucieczki. Tylko dokąd? W pierwszym odruchu chciał wracać co koń wyskoczy do Omorgu. Ale na to też jest za późno. Torn ma rację - Hordzi posłali tam już swoich ludzi z rozkazem obserwowania zamku i przejścia na Ziemię Zachodnie. Mogłby spróbować

się przemknąć, ale szanse powodzenia są niewielkie. To samo dotyczy drogi na południe i na wschód. Hordzi będą go szukać na każdym trakcie Dolin Gruaronu.

Ucieczka, tak samo jak układy, nic nie da. Nie ma dokąd uciekać ani gdzie się skryć. Pułapka, jaką przygotował Bren Ott, to nic w porównaniu z tą, w jaką schwycił go Torn.

Od momentu gdy przeczytał list byłego Horda, myślał - początkowo ze zdumieniem, potem ze strachem

- że w ciągu kilku dni jego misterne plany rozsypały się niczym domek z kart. Jak to się stało, że on, któremu prawie zawsze wszystko się udawało, nagle poniósł porażkę? Jak mógł się tak pomylić co do Torna? Zraniona miłość własna dokuczała mu jak nigdy w życiu, ale to było nic w porównaniu z tym, co zaczął przeżywać, gdy do niego dotarło, że naraził nie tylko siebie.

Orin zaczął myśleć o Newii.

Minął rok od momentu, kiedy widział ją po raz ostatni w Twerze. Prosił, by wróciła z nim do Ostii. Newia stanowczo odmówiła. Później sprawy ułożyły się tak, że nie mógł się z nią więcej widzieć. Wbrew swojej woli, z rozkazu samego Tyrona, musiał udać się do Gruaro-nu. Nie pozostało mu nic innego, jak ściągnąć Newie do Omorgu. Tylko jak to zrobić?

Orin łamał sobie nad tym głowę, aż wreszcie właściwe rozwiązanie podpowiedział mu Stary Człowiek. Wystarczy porwać dziecko, zauważył, a Newia, jak każda kobieta, będzie go szukać nawet na krańcu świata.

Orin początkowo nie chciał się zgodzić. Jednak gdy stary wyliczył mu wszystkie wynikające z takiej koncepcji korzyści, zmienił zdanie. Musiał przyznać, że szantaż był rozwiązaniem idealnym - mając Braga, mógł zmusić Newie, by przyjechała do Dolin Gruaro-nu w tajemnicy i sama. Do Gruaronu, o której to prowincji nie tylko nigdy nie słyszała, ale i nie kojarzyła jej z Orinem.

Wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami starego. Wytropienie i porwanie dziecka z Tweru, z domu, gdzie nikt nie spodziewał się napaści, było proste. Newia wysłała na poszukiwanie zaufanego sług?

- stary z pomocą pana Sorso schwycił go i zmusił do napisania do Newii serii listów, wzywających ją jak najszybciej do Gruaronu. Zgodziła się na wszystko. Pozostało zabezpieczyć jej przejazd przez Doliny, z Tyngi do Omorgu.

Oraz przygotować odpowiednie argumenty, które zdołałyby przekonać ją, że Omorg jest miejscem, gdzie chciałaby spędzić resztę życia.

O tym ostatnim Orin starał się myśleć jak najmniej. Ten problem rozwiąże, gdy wreszcie zobaczy Newie. Będzie na to mnóstwo czasu. W górskim grodzie był całkowicie bezpieczny. Tak jak mówił mu od dawna Stary Człowiek, w Omorgu władza cesarza była słaba. Miastem mógł niepodzielnie rządzić ten, kto miał wystarczająco siły i

sprytu, by po nią sięgnąć. A przecież Omorg należał formalnie do rodu Wielkiego Koniuszego Cesarstwa! Orin mógł robić tutaj, co chciał

- zatrzymanie w mieście kobiety, o którą nie miał się kto upomnieć, zdanej wyłącznie na jego łaskę, to byłaby fraszka.

Porwanie Braga, schwytanie sługi, listy, tajemnica - wszystko się udało. I gdyby tylko grychty nie pojawiły się przedwcześnie w Gruaronie...

Od wyjazdu z Omorgu Orin z całej siły próbował nie zastanawiać się nad tym, czy panu Sorso udało się zatrzymać Newie w Tyndze. Ta myśl prowadziła bowiem do kolejnej - że mogło mu się nie udać i że Newia jest teraz gdzieś na bezdrożach Gruaronu, jeśli jeszcze żyje... Póki działał - znalazł Torna, trafił do Hrostu -był w stanie odsuwać takie rozważania jak najdalej.

Teraz jednak nie mógł już szukać Newii.

**Nawet jeśli Sorso zatrzymał ją w Tyndze, to przecież ona nie zgodzi się pozostać tam długo, uświadomił sobie. Postawiliśmy ją w takiej sytuacji, że zaryzykuje życie, byle jak najszybciej dotrzeć do Omorgu. Nawet jeśli jej się to uda, żadnego z nas tam nie będzie, a wtedy ona - zważywszy na list, który jej wysłaliśmy - popelni jakieś szaleństwo.**

Orin przypomniał sobie, jak dawno temu Stary Człowiek przyniósł mu próbkę tego listu i jak on sam skrzywił się, widząc słowa: *Choruje. Spiesz się*. Pamiętał, że to wydało mu się już przesadą, przekroczeniem jakiejś dopuszczalnej granicy. Gdy powiedział głośno, że kobieta, której zabrano dziecko, może zwariować na samą myśl, że to dziecko choruje, stary wzruszył ramionami i rzekł, a raczej zaskrzeczał: „Wiesz, że damy są w stanie działać szybko i zdecydowanie tylko w razie najwyższej konieczności. A przecież zależy nam, by pani z Tweru przybyła tu jak najszybciej, prawda?”

Ten argument wydał się wtedy Orinowi tak doskonały, że nie protestował dłużej.

Co dalej? - Gret Orin zadawał sobie to pytanie i nie znajdował na nie żadnej odpowiedzi.

Przekłeta kraina, myślał chwilami. Gdyby nie grych-ty, nie byłoby tego wszystkiego.

Dopiero czwartej nocy zdołał zdobyć się na wysilek opuszczenia powozu. Z trudem prostując zdrętwiałe plecy, powoli otworzył drzwi i nie czekając, aż ktokolwiek podbiegnie, by rozłożyć przed nim schodki, zeskoczył na dół.

Żołnierze, rozłożeni na ziemi niedaleko powozu, spali. Tylko Abot Drumen, z głową ciągle przewiazaną zakrwawionym galgankiem, stał na warcie. Na widok Orina poruszył się, ale ten gestem kazał mu pozostać na miejscu. Poszedł w kierunku, skąd jeszcze niedawno dobiegał stłumiony przez knebel krzyk.

Już następnego dnia po opuszczeniu wąwozu Grol, w czasie postoju Stary Człowiek kazał odciągnąć Bre-na Otta na bok. Później wsunął się jak najciszej na siedzenie obok Greta Orina i starając się nie patrzeć mu w oczy, wyjął ze swojej podróźnej torby kilka niewielkich flakoników. Zaraz po tym ulotnił się błyskawicznie z karety. Nie minęło wiele minut, kiedy do uszu Orina zaczęły docierać ludzkie jęki, coraz głośniejsze. Orin zrozumiał, że stary wypróbował na Hordzie swoje alchemiczne wynalazki, ale pomyślawszy o tym, nawet nie wzruszył ramionami. Może gdyby pragnął zasnąć, zrobiłby coś, by powstrzymać zapędy Starego Człowieka i nakazać ciszę. Ale od wyjazdu z Hrostu nie był w stanie ani na chwilę zmrużyć oka.

Kilkadziesiąt kroków w prawo, w niewielkim zagajniku - osobliwości na równinach Grolon - paliło się małe i dobrze zamaskowane ognisko. Orin szedł w jego stronę powoli i jak najciszej, chcąc z ukrycia zobaczyć to, co się wokół niego dzieje. Ostrożnie rozgarniał rękami niewysokie i nagie już gałęzie, aż wreszcie poczuł na twarzy ciepło niedużych płomieni.

Po prawej stronie ogniska, na niewielkim, rozkładanym krzeselku, z którym podróżował już od kilku lat, siedział, a raczej przycupnął Stary Człowiek. Na kolanach miał rozłożonych kilka długich i cienkich gałęzi dronów, powiązanych w jeden pęk. Orin obserwował, jak stary nacina je skrupulatnie jedna za drugą. Potem odkorkował jeden z flakoników, które stały na ziemi, i nasączył znajdującym się w nim płynem przygotowaną uprzednio szmatkę. Następnie przecierał szmatką każde nacięcie, szykując w ten sposób jakieś wymyślne i nieznane Odnowi narzędzie tortur.

Tuż obok starego, rozciągnięty wprost na ziemi i rozebrany do pasa, leżał Bren Ott. Był skrępowany i zakneblowany. Na widok jego odsłoniętych pleców Orin zmarszczył brwi. Galaretowatą masę, składającą się z poszarpanych włókien i mięśni, pokrywały wielkie, wypełnione ropą pęcherze. Przez kolejne warstwy ran, z których te najstarsze zaczynały już gnąć, nie prześwitywał nawet kawałek całej skóry.

Orin wyszedł z ukrycia.

Kiedy tylko zarośla zaszeleściły, Stary Człowiek odwrócił się. Na widok swego pana zamarł - bał się trochę, jak Orin zareaguje na to, co zrobił z Hordem.

Bren Ott również go zauważył. Z wysiłkiem, który spowodował, że na jego twarzy wystąpiły plamy, uniósł głowę i spojrzął na Orina z nienawiścią w oczach.

Jest przekonany, że stary katuje go na mój rozkaz, pomyślał Orin.

Zauważył, że głowa Otta leży na rozłożonej równo i poplamionej w paru miejscach szmacie.

- To po to, by nie stracił przytomności? - zapytał, wskazując na nią czubkiem buta.

Stary Człowiek przytaknął bezgłośnie.

Orin pochylał się i jednym szarpnięciem wyrwał gal-ganek spod głowy Otta. Wokół rozszedł się tak odurzający zapach, że przez chwilę nie widział przez lzy. Wrzucił szmatę do ogniska i dopiero wtedy mógł spostrzec, że blada jak śnieg twarz Otta znieruchomiała.

Stary nadal się nie odzywał, oczekując wyrzutów.

- Co to jest? - zapytał Orin, podchodząc i podnosząc z kolan starca flakonik z płynem, którym ten nasączył gałęzie.

- Rodzaj kwasu - odburknął niechętnie sługa. Orin popatrzył na niego.

- Jak to się stało, że on jeszcze żyje?

- Znam się na tym - odpowiedział Stary Człowiek i od razu tego pożałował.

Orin pochylał się i wziął do ręki pęk gałęzi. Przyjrzał się uważnie nacięciom, kryjącym krople bezbarwnej substancji. Dotknął jednej z nich koniuszkiem palca i natychmiast zagryzł wargi z bólu. Odwrócił się i wrzucił gałęzie do ognia.

Stary się nie poruszył.

Orin rozejrział się. Usiadł na jednym z wystających z ziemi korzeni.

- Opatrz go. Jest mi potrzebny.

Staruch wsunął rękę do leżącej obok niego skórzanej torby. Poszperał w niej i wyjął kawałek białego płótna. Rozłożył go na kolanach i jeszcze raz sięgnął do torby. W jego rękach znalazło się to samo urządzenie, które kilka dni temu pozwoliło mu odczytać wiadomość od Torna.

Stary Człowiek zaczął rozpylać nad płótnem leczniczą miksturę.

Orin przyglądał się temu w milczeniu. Po kilku minutach staruch skończył. Spojrzął na swego pana.

- Połóż mu to na plecach - zaskrzeczał.

Orin podszedł do niego, wziął płótno i przykucnął obok Otta. Stary nie może się już tak nisko schylić, przemknęło mu przez myśl. Rozłożył płótno, starając się nie patrzeć na poranione plecy Horda.

- To wszystko?

- Tak. Za trzy dni dojdzie do siebie. Orin podniósł brwi.

- Zobaczysz. - Stary wychylił się do tyłu, z trudem prostując nogi.

Orin usiadł z powrotem na ziemi.

- Widziałeś list? - zapytał po dłuższej chwili. Staruch przykucnął powieki. Żadna zmarszczka na jego twarzy się nie poruszyła.

- Ja bym próbował ucieczki - wyszczał, zaciskając usta.

- Dokąd? - Orin pokręcił głową.

Ciałem Horda wstrząsnął dreszcz. Płótno zsunęło mu się z pleców. Orin wstał i poprawił je, a potem zbliżył się do ognia, przykucnął i wyciągnął rękę, starając się ogrzać je nad niewielkim płomieniem.

- Jak ci się wydaje, co to może być? - zadał pytanie szeptem.

- Co? - Stary podniósł głowę.  
 - To - Orin wskazał na swoje ramiona.  
 Stary Człowiek podrapał się za uchem, odgarniając kępki włosów. Jego skurczona twarz przypominała pysk grychty. Nie odezwał się.  
 - Przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz - Orin patrzył w ogień, nachylając się nad nim - ale...  
 -Co?  
 - ...trudno mi w to uwierzyć.  
 Wziął spaloną do połowy gałązkę i zaczął rozgrze-bywać żar.  
 - Torn napisał, że te runy to klucz do zakończenia misji Gildii Hordów w Dolinach Gruaronu - powiedział powoli.  
 Stary wzruszył ramionami.  
 - Pomyśl. - Orin odwrócił się. - Hordzi są w Gru-aronie tylko z jednego powodu.  
 Sługa spojrział na niego.  
 - Grycht.  
 - Właśnie.  
 Stary Człowiek pochylił się nagle, próbując wstać. Orin widząc, że starzec nie jest w stanie tego zrobić, podszedł do niego i podał mu rękę. Staruch chwycił ją kurczowo i powoli, zaciskając usta, stanął na nogi.  
 - Myślisz? - szepnął, nie puszczać jego rękawa.  
 - Tak. Wygląda na to, że Gildia wie... - Orin zawahał się.  
 - ...jak pozbyć się przekleństwa? - dokończył za niego sługa.  
 Patrzyli na siebie przez chwilę.  
 - Nieprawdopodobne - powiedział jeszcze raz Orin. Staruch rozejrział się, jakby czegoś szukał.  
 Orin spostrzegł, że obok krzeselka leży laska. Schylił się i podał ją staremu.  
 - Co zamierzasz? - Sługa podniósł na niego przekrwione oczy.  
 Orin zmarszczył brwi.  
 - Nie mam wyboru.  
 Z powrotem podszedł do ognia i nachylił się nad nim. Dwie ułożone koło siebie szczapy dopalały się. Przemykały po nich ostatnie języki ognia, coraz mniejsze i coraz bardziej rozchobotane. Orin odsunął kłody, tak by ogień jak najszybciej zgasł. Zamyślił się.  
 - Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi między wąwozem Grol a górami Seren. To znaczy, że za jakieś dwa dni miniemy po prawej niewielki gród Cynów. Nazywa się Cedia albo jakoś podobnie. Byłeś tam kiedyś?  
 - zwrócił się do sługi.  
 - Nie. - Stary powoli, krok po kroku, szedł do niego. - To biedni ludzie.  
 - Dobrze. Weźmiesz powóz, żołnierzy i pojedziesz tam na zimę.  
 - Dlaczego? Orin odwrócił się.

- Nie mogę dalej ciągnąć cię ze sobą. Powóz nie przejedzie przez góry. Poza tym - i to jest najważniejsze - Roven nie wie, że mi pomogłeś. Przeczekasz u Cynów zimę, a potem - zmusił się do spojrzenia staremu w oczy - znajdź ją. Znajdź ją, oddaj jej dziecko i wywieź oboje z Gruaronu, do Ostii.  
 - A ty?  
 Orin wyprostował się i wytarł pobrudzone popiołem dłonie o rękawy kaftana.  
 - Wezmę go - wskazał głową na Horda. - I pojedę na północ. Góry są już blisko.  
 - A później?  
 Orin wzruszył ramionami.  
 - Nie mam pojęcia.  
 Stary Człowiek zatrzymał się. Popatrzył na Brena Otta. Na jego twarzy pojawił się grymas.  
 - Te Wielkie Sereny... Musisz na niego uważać.  
 - Na niego? - Orin spojrział w kierunku Horda. - Mam nadzieję, że w ogóle będzie w stanie się wtedy ruszać. Swoją drogą... - Zamyślił się - Torn wspomniał, że pomożesz mi przekonać go, by mnie przeprowadził przez te tunele. Czy to właśnie było to? - wskazał na plecy Otta.  
 Stary podniósł laskę i trącił nią lekko Horda.  
 - Nie. Pytałem go o parę spraw z przeszłości.  
 - Odpowiedział?  
 Orin zmrużył oczy, tak by sługa nie dostrzegł w nich drwiny.  
 Staruch nie zwrócił na to uwagi. Nadal patrzył na Horda.  
 - On sam chętnie przeprowadzi cię przez te tunele. A raczej zaprowadzi cię do nich.  
 - Co masz na myśli? - Orin znów zaczął rozgrze-bywać ognisko, wyciągając z niego ledwo tłące się szczapy.  
 - Pamiętaj, że Wielkie Sereny budowali Hordzi. On zna tam każdy zakamarek. Musisz uważać. Najlepiej weź z sobą tego chłopaka Drumenów.  
 - Przesadzasz. Tak go urządziłeś...  
 - Nie przesadzam.  
 Przepalone kłody żarzyły się czerwienią. Wokół było prawie ciemno.  
 - Dobrze. Pojedziemy we trzech.

Przed świtem zrobiło się zimno. Zaczął wiać ostry -| wiatr.

Droga wznosiła się, a otaczające **Newie** i Udula drzewa stopniowo stawały się coraz rzadsze. Zastępowały je karłowate krzewy o ostrych, czepiających się ubrania gałęziach.

W końcu stanęli na brzegu lasu. Zaczynało świtać. Udul zobaczył przed sobą niewielką równinę. Podniósł szybko głowę. Wysoko, zakrywając prawie całe niebo, piętrzyły się czarne pasma poszarpanych szczytów.

Newia, która nie zauważyła tego wszystkiego, korzystając z chwili nieuwagi towarzysza, oparła się o pień drzewa. W głowie jej szumiało. Poczowała, że Udul potrząsnął ją za ramiona.

- Popatrz na mnie. Musimy jeszcze tylko przebiec tę równinę i wspiąć się na pierwszy próg skalny.

Gdzieś w oddali za nimi rozległ się syk. Z trudem otworzyła oczy.

- Oddaliły się...

- Nie! - Udul potrząsnął nią mocniej. - To złudzenie! Są bardzo blisko!

Ruszyli przed siebie.

Gdy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, znowu zaczęło mocno wiać. Tym razem jednak wiatr przyniósł obojgu orzeźwienie. Newia przestała potykać się co kilka kroków, natomiast znów szczękała zębami z zimna i strachu. Nie próbowała tego opanować. Rozglądała się, z przerażeniem patrząc na piętrzące się dookoła nich skalne masywy.

- Boję się - powiedziała nagle, ściskając mocno Udula za rękę. - W tych górach jest coś...

Hord popatrzył na nią, ale nie odezwał się ani słowem.

Przed nimi zaczynał powoli być widoczny skalny próg, dzielący na pół górską dolinę. Pod nogami chrzęścił żwir, sypały się kamienie, w końcu chrobotwały szerokie, płaskie głazy. Na szczęście robiło się też coraz jaśniej. Udul szarpnął mocno Newie, zmuszając ją do ostatniego wysiłku.

Kilkanaście minut później Hord nagle się obejrzał. W dali za nimi, na tle ściany lasu pojawiło się kilka wysokich sylwetek. Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą ich od skalnego progu.

- Biegiem!

Newia odwróciła się i też zobaczyła nadciągające grychty.

Za plecami rozległo się głucho dudnienie. Potwory również ich spostrzegły.

Biegli kilka minut, aż wreszcie Newia potknęła się o wystający kamień i runęła jak długa. Krzyknęła głośno.

Dudnienie zbliżało się.

Newia siedziała oparta plecami o głaz, ściskając kurczowo w rękach metalowe ostrze. Ból ze skrzyżowanej kostki szarpał całym ciałem, ale w tej chwili strach był o wiele silniejszy. Zamknęła oczy i chciała się modlić. Jednak mimo starań nie mogła przypomnieć sobie słów żadnej modlitwy. Była w stanie wypowiedzieć tylko dwa słowa. Łotrze, pomóż, powtarzała urywanym głosem z niewiarygodną szybkością, zwracając się do miejscowego bóstwa.

Nagle otworzyła oczy i przyjrzała się uważnie trzymanemu w rękach mieczowi. Ten metal! Udul użył go nad stawem, przypomniała sobie w mgnieniu oka, jak walczył z grychtą prostującą się w świetle ogniska. Dlaczego mi to zostawił?

Położyła się na ziemi i najwolniej jak potrafiła, przyczołgała się do brzegu kamienia. Starając się stłumić drżenie, ostrożnie wyjrzała.

Niedaleko leżały dwa trupy grycht. Było już zupełnie jasno, więc Newia bez trudu zauważyła, że w gardle każdej tkwiła niewielka strzałka.

Udul rozejrzał się dookoła. Kilka kroków na prawo leżał ogromny głaz, jeden z tych, które musiały odpaść ze skalnego progu i potoczyć się w dół.

Sięgnął do pasa i szybkim ruchem wyciągnął broń z pochwy. Metal zaśnił, odbijając pierwsze promienie słońca. Udul podniósł bezwładną rękę Newii i wcisnął jej w dłoń miecz gotów.

Chwycił ją wpół i zawlókł za głaz.

- Moja stopa! - jęknęła Newia.

Hord spojrział w dół i zobaczył, że jej kostka jest nienaturalnie skrzyżowana. Pomógł Newii usiąść za głazem i przykucnął. Szybko zdjął z ramion niewielki bagaż, który niósł z osady Galleck.

- Posłuchaj - powiedział, biorąc ją delikatnie za oba policzki i zmuszając, by popatrzyła na niego. - Gdyby jakaś grychta podeszła tutaj, spróbuj... - zawahał się, zdając sobie sprawę, jak zabrzmiało to, co zaraz powie - spróbuj uderzyć ją tym - podniósł jej rękę, w której nerwowo ścisnęła zatruty miecz - tu - dodał, wskazując na ścięgna u nóg.

Ku jego zaskoczeniu, Newia, po której twarzy spływały łzy wielkie jak groch, skinęła głową.

Udul wyskoczył zza głazu. Zaledwie jednak przebiegł kilka kroków, zatrzymał się raptownie i skulił, sięgając do rękawów kaftana.

Przed nim, nie dalej niż kilkadziesiąt stóp, stały, pochylając się i sycząc, cztery grychty.



Kilka kroków dalej dwa kolejne potwory - cofając się o krok, to znów postępując do przodu - już się gotowały do ataku na Horda.

Udul wykorzystał już obie strzałki i teraz trzymał w prawej ręce długi nóż. Jego ostrze nie mogło się równać z mieczem, który pozostawił Newii, ale przy odrobinie szczęścia mógłby zabić tym grychtę. Pochylił się do przodu, obserwując bacznie to jednego, to drugiego potwora.

Jedna z grycht, znajdująca się bliżej głazu, za którym ukrywała się Newia, strzyknęła śliną. Udul błyskawicznie uchylił się, ale w tej samej chwili drugi potwór zrobił dokładnie to samo. Newia spostrzegła, że na prawym ramieniu Horda pojawił się strzęp zielonkawej piany.

Przez minutę, która ciągnęła się w nieskończoność, Hord i dwie grychty stali naprzeciwko siebie. Obserwując to, Newia liczyła uderzenia własnego serca. W pewnym momencie jedna z grycht znów strzyknęła śliną, a kiedy Udul odskoczył, druga zrobiła to samo.

I znów trucizna dosięgnęła ramienia Horda.

Zabijają go w ten sposób!

Widać Udul też o tym pomyślał, bo cofnął się dwa kroki. Ostrzem noża strząsnął z rękawa zielonkawą pianę. Newia podążyła za nim wzrokiem i nagle poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

Za plecami Horda, kilkanaście kroków od niego, prostował się trzeci potwór. Musiał obejść walczących wielkim łukiem z prawej, w miejscu, gdzie dolina była szeroka, a jej brzeg ciągle krył się w cieniu. Hord, zaabsorbowany od kilku minut walką, nie zauważył go. Teraz grychta szykowała się do ataku, a Udul, odwrócony tyłem, nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

308

się i przetoczył na bok, dokładnie w tym samym momencie, gdy wszystkie trzy grychty jednocześnie rzuciły się na niego. Wyćwiczonym ruchem przeciął jedną ścięgna. Potwór z warkotem upadł na ziemię. Hord zerwał się na nogi i skoczył w drugą stronę, wystarczająco szybko, by w ten sam sposób powalić drugą grychtę. Tym razem jednak warkoczący stwór przygniótł go swym ciężarem i minęło kilka sekund, zanim Hord zdołał się uwolnić.

Spojrzał w kierunku głazu i zamarł.

Ostatnia grychta stała kilka kroków przed Newią. Ta, podkulając bolącą nogę, próbowała się wyprostować. Ścisnęła w rękach drewniany kij.

Udul krzyknął. Grychta odwróciła się, popatrzyła na niego, po czym znów zwróciła się w stronę Newii. Krzyknął jeszcze raz i tym razem potwór skręcił w jego kierunku. Hord pochylił się, czekając. Dwa oddechy i rzucił się do przodu. Chwilę później rozległ się stłumiony syk i ostatni potwór z podciętymi ścięgnami i rozprutym gardłem padł jak kłoda na ziemię.

Zrobiło się cicho.

Udul zatoczył się.

Pięć grycht!

Nagle, niespodziewanie dla samego siebie, głośno się roześmiał.

Ledwie jego śmiech przebrzmiał, w pustej dolince rozległ się zupełnie inny dźwięk. Pod Newią ugięły się nogi. Oparła się plecami o głaz, objęła ramionami i zaczęła płakać, a raczej zawodzić, kiwając się w przód i w tył.

Hord wstał szybko i podszedł do niej. Przytulił ją, a drugą ręką bezwiednie dotknął jej policzka.

Minęło kilka minut, zanim szloch Newii ustał. Udul odsunął ją delikatnie.

- Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by stał przed grychta z tym... - Uśmiechnął się, wskazując na gruby patyk, który wypadł Newii z rąk.

Newia otarła łzy rękawem i również spróbowała się uśmiechnąć.

- Odejdźmy stąd kawalek.

Podniósł swój pakunek.

Newia wahała się tylko sekundę.

Poczuła, że lewą dłonią dotknęła czegoś innego niż kamień. Obejrzała się i zobaczyła leżący obok gruby kij. Chwyciła go i podpierając się, stanęła na nogi. Ból w kostce prawie ją oślepił, ale pozwoliła sobie tylko na dwa krótkie oddechy. Ścisnąc w jednej ręce ostrze, a w drugiej podpórę, wysunęła się zza głazu.

- Za tobą!

Udul odwrócił się na pięcie i błyskawicznie podniósł miecz gotów, który Newia rzuciła w jego stronę. Skulił

309

- Nie patrz na to. - Zauważył, że Newia spogląda kątem oka na grychty. - Zostaniemy tam do wieczora - wskazał głową na piętrzące się przed nimi skały.

Ku zaskoczeniu Udula na próg skalny wiodła wąska ścieżka, dobrze zamaskowana wśród skał. Z daleka nic nie zdradzało jej obecności. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że u stóp skały zaczyna się rząd równych i płaskich kamieni, zakolami biegnących w górę. Dziwne, pomyślał Hord. Bez kłopotu można by przeprowadzić tędy nawet konie.

Pół godziny później znaleźli się już na górze. Ledwie Udul pozwolił jej usiąść, Newia zasnęła, i to mimo dokuczliwego bólu kostki. Nieco oprzytomniała, czując, jak Hord rozdziera jej but, a następnie nastawia stopę, unieruchamiając ją. Ale gdy tylko skończył, zapadła na dobre w sen.

Udul miał ochotę rozejrzeć się po okolicy, lecz gdy opatrzył wreszcie stopę Newii, poczuł, jak bardzo sam jest zmęczony. Odłożył wycieczki na później i nie zważając, że boli go zranione przez kriroksów ramię, w jednej chwili zasnął.

Obudziło go słońce, którego promienie zaczęły lizać dno doliny.

Hord upewnił się, że Newia śpi spokojnie, wtulona między dwa kamienie i że na jej stopie pojawiła się tylko niewielka opuchlizna. Odszedł na bok, zdjął kaftan i spojrzał na swoje ramię. Krew zdążyła zakrzepnąć, tworząc świeży strup. Krzywiąc się, przeciął go, następnie wycisnął ropę i przyłożył do ramienia jeden z opatrunków, jakie dostał od Urloka na tegoroczną rundę.

Ubrał się i szybko zbiegł ze skalnego progu. Zbliżywszy się do trupów grycht, spostrzegł chmury czarnego ptactwa. Mięsożerne kruki na jego widok odskoczyły kilka kroków od łupu, ale nie przestały uważnie mu się przyglądać. Hord wiedział, że gdyby przebywał zbyt długo

w pobliżu padliny, mogłyby zaatakować. Najprędzej jak mógł odciął po jednym uchu każdej grychty i nie oglądając się za siebie, wrócił na górę.

Po drodze jeszcze raz przyjrzał się ścieżce i znowu przyszło mu do głowy, że może być ona wyłącznie dziełem człowieka. Omijając jak najciszej Newie, zaczął się wspinać na widoczny w oddali szczyt.

Dwie godziny później był na górze. Tego dnia, wyjątkowo jak na tę porę roku, widoczność była doskonała i Udul mógł podziwiać ciągnące się daleko na północ pasma gór Seren i bezkresny obszar Puszczy na zachodzie. Bardziej interesowało go jednak, co jest na południu. Jeden rzut oka wystarczył, by rozpoznał, gdzie się znajduje.

W oddali rozpościerała się pusta i płaska jak stół równina. Bliżej, oświetlony promieniami słabego już słońca, rysował się główny grzbiet gór Seren. Dolina, w której Udul pozostawił śpiącą Newie, była, licząc od południa, trzecia.

To tutaj miały zaczynać się te tunele, pomyślał, zbiegając na dół. Mam szczęście. Nawet jeśli okaże się, że słowa luina były bajką, nie stracimy nawet dnia drogi.

Nagle zawahał się.

Czy naprawdę zależy mi, by ta runda skończyła się jak najszybciej? - pomyślał, ale czym prędzej odpędził od siebie tego rodzaju rozważania. Muszę poszukać wejścia do tuneli. Jeśli w ogóle jest, to niedaleko.

Na dole przystanął obok Newii. Upewnił się, że nadal śpi, po czym wyjął mapę luina. Jeden rzut oka pozwolił mu przypomnieć sobie wszystko, co się na niej znajdowało.

~~~~~

Newia obudziła się dopiero wieczorem.

Kiedy otworzyła oczy, naokoło panował już półmrok. Wyprostowała się i szybko rozejrzała. Udul siedział na kamieniu obok, obserwując kolejne warstwy cieni zakrywające Puszcę Krytów.

Odwrócił się. Jego oczy błyszczały.

- Czy... czy wszystko w porządku? - zapytała Newia z wahaniem.

Hord uśmiechnął się.

- Tak. Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiedziała bez namysłu Newia. Spojrzała w dół, na swoją unieruchomioną kawałkami drewna stopę.

- Boli? -

Nie.

- To dobrze. Przez dzień lub dwa nie powinnaś na nią stawać.

Newia popatrzyła na Udulę ze zdziwieniem.

- Zostaniemy tutaj tak długo? -Nie.

Hord wstał i podszedł do Newii. Podał jej rękę i delikatnie pomógł się podnieść.

Newia oparła się o niego z ulgą, dziwiąc się ciągle błyskom w jego oczach.

Nie rozumiem, pomyślała, nie zatrzymujemy się tutaj i jednocześnie mam uważać na stopę.

Pięć minut później przystanęli przed wysoką skalną ścianą.

Był to zakątek przy zboczu doliny, tuż przed kolejnym skalnym progiem, chłodny i ciemny. Wokół leżały porzucane beładnie wielkie głazy. Newia usiadła na jednym z kamieni.

- To miejsce niczym nie różni się od tamtego - nie wytrzymała.

Hord podszedł do gładkiej ściany i stanął tuż przy niej, rozkładając szeroko ręce.

- Popatrz. Nie zdążyłem tego wypróbować, ale...

Jego palce zaczęły ślizgać się po granicie, szukając czegoś. Wreszcie prawa ręka Udula zatrzymała się w niewielkim zagłębieniu. Mężczyzna przesunął się w tę stronę, nie odrywając dłoni od skały. Newia dopiero teraz spostrzegła, że Hord ma na palcu pierścien z bursztynem, którego wcześniej nigdy nie widziała.

Nim zdążyła o cokolwiek zapytać, Udul zacisnął prawą dłoń w pięść i włożył oko pierścienia do szczeliny. Następnie przekręcił rękę w prawo. Mimo że spodziewał się tego, by zaskoczony łatwością, z jaką kawałek skały się przesunął.

Z głębi góry zaczął dobiegać chrobot.

Udul cofnął się. Nieporuszony patrzył, jak większy i szerszy od niego o kilka stóp blok skalny powoli opada, kryjąc się w głębi ziemi. Taki sam mechanizm poruszał wszystkie bramy w Hroście.

Newia wstała, otwierając szeroko usta.

- Co to jest? - zawołała.

Hord odwrócił się.

- Wielkie Sereny.

Potrząsnęła głową z niecierpliwością. Udul uśmiechnął się i poszedł w kierunku odsłoniętego przez skałę otworu.

- Tunele, dzięki którym dostaniemy się bezpiecznie na drugą stronę gór. Stamtąd dotrzemy do Omor-gu w dziesięć dni.

Zaraz przy wejściu, tak jak się spodziewał, wisiała, zaczepiona za uchwyt, pochodnia. Udul wymacał obok krzesiwo i hubkę.

Zapalił pochodnię i wrócił po Newie. Stała nieruchomo, zastanawiając się nad czymś.

- Czy... - zawahała się - Hordzi zawsze przechodzą tędy przez góry?

- Nie. - Tym razem Udul uniknął jej spojrzenia. Newia zagryzła usta, rozumiejąc, że znów nie dowie się niczego więcej.



Oparła się na ramieniu Horda, który podprowadził ją do odkrytej w górze jamy. Powoli weszli do środka. Newia przyglądała się ze zdumieniem otwierającemu się przed nią szerokiemu korytarzowi. Nawet w świetle pochodni było widać, że otaczające ich ściany są zupełnie gładkie i nie ma na nich śladów jakichkolwiek narzędzi. W jaki sposób to powstało? To nie jest korytarz wydrążony przez wodę. Wygląda tak, jakby skała rozdeła się sama...

Kilkanaście kroków dalej zatrzymali się, bowiem przed nimi pojawiło się urządzenie, jakiego nawet Hord nigdy w życiu nie widział.

Była to szeroka drewniana platforma, wypełniająca prawie cały korytarz. Znajdowała się jakaś stopę nad ziemią. Udul opuścił pochodnię i zobaczył, że platforma wspiera się na szeregu metalowych kół, przymocowanych jedno za drugim. Koła umieszczone były w zagłębieniach, ciągnących się wzdłuż korytarza.

Hord wszedł na platformę. Drewno zaskrzypiało. Przeszedł po niej i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. Urządzenie miało na końcu hak, do którego przyczepiona została naprężona, gruba lina. Jej koniec ginał w ciemnościach.

- Co to jest? - zapytała Newia.

Hord zawahał się. Cofnął się do kobiety i rozejrzył. Obok platformy, w ścianie, zauważył dźwignię. Pod nią znajdowało się zagłębienie, w którym wymacał złożone równo kawałki czarnego płótna. Podniósł jeden z nich i zobaczył, że jest długi i wąski.

- Co to? - powtórzyła Newia.

- Usiądź tutaj - Hord pomógł jej podejść. - Tak, właśnie tak - dodał, widząc, że kobieta, nie zważając na to, że podłoga klatki zakołysała się lekko, wsunęła się na nią cała.

Szybko wskoczył na brzeg platformy i pociągnął za dźwignię.

W głębi góry znów rozległ się chrobot. Lina skrzypnęła. Platforma zadrżała i powoli ruszyła do przodu, ciągnięta jakimś niewidocznym mechanizmem. Newia, siedząc tyłem do kierunku jazdy, zauważyła, że otwór w skale, którym weszli do środka, zaczyna się powoli zamykać. Za chwilę ostatnie promienie światła zniknęły jej z oczu.

Udul przeszedł się po platformie. Spostrzegł, że przy prawym brzegu jest wysoki na pięć stóp filar, zakończony metalowym uchwytem. Zaczepił tam pochodnię i usiadł obok Newii.

Kobieta rozejrzała się wokoło, a potem zapatrzyła na uciekające w tył ściany.

Hord podniósł jeden z kawałków czarnego płótna.

- Gdybyśmy mieli ze sobą konie, zawiązalibyśmy im tym oczy. Wtedy dałyby się wprowadzić na platformę. To przejście zostało zbudowane tak, by nie tylko można było szybciej przebyć góry, ale żeby dało się przy tym również odpocząć.

Newia pokręciła głową.

- Ile to potrwa?

- Co najmniej dobie. I - dodał, przypominając sobie fragment mapy luina - czeka nas po drodze jeszcze jedna niespodzianka.



Kwadrans później Newia, znużona monotonią podróży i nadal wyczerpana dwudniową ucieczką przed grychtami, zwinęła się w kłębek i zasnęła. Hord przyglądał się jej spod wółprzymkniętych powiek.

Przypomniawszy sobie wszystkie zadawane przez nią pytania, o Gildię i o niego samego. Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby na nie odpowiedzieć. Zaczął się zastanawiać, jak to zrobić.

Głęboka i nieporównywalna z niczym cisza, przerywana tylko przez regularny i odległy chrobot, przypominała mu Hrost.

Rozmyślenia pochłonęły go do tego stopnia, że nie zauważył momentu, w którym dobiegający go monotony dźwięk stał się nagle o ton głośniejszy, tak jakby w głębi góry zaczęły nagle działać nie jeden, ale dwa mechanizmy.



Minęły dwie godziny, gdy platforma zatrzymała się niespodziewanie. Udul ocknął się z krótkiej drzemki. Spostrzegł, że dotarli do wysokiej ściany. Znajdował się w niej otwór, w którym ginęła lina. Korytarz natomiast łagodnie skręcał. Hord wyjął z uchwytu pochodnię, zeskoczył na ziemię i nie budząc Newii, poszedł przed siebie. Po kilkunastu krokach natrafił na kolejną platformę, identyczną jak ta, którą jechali do tej pory.

- Musimy się przesiąść - powiedział po powrocie do Newii.

Jeszcze czterokrotnie zmieniali platformę. Dopiero za piątym razem korytarz nie kończył się punktem przesiadkowym. Zamiast tego - jak przekonał się Hord, który jak zawsze jako pierwszy zeskakiwał na ziemię i badał dalszą drogę - skręcał niespodziewanie w bok.

To musi być już tutaj, pomyślał, wspominając miejsce zaznaczone na mapie: „Wielka Sala”.

Przeszedł kilkanaście kroków, minął zakręt i zatrzymał się. Otwierała się przed nim rozległa przestrzeń. Rozejrzył się i zobaczył, że na ścianie obok znajduje się kolejny uchwyt, a w nim przygotowana już pochodnia. Zapalił ją i kilkanaście kroków dalej zobaczył następną. Kolejne światła

odślaniały coraz większy obszar. Hord szedł naokoło groty, rozpalając następne pochodnie, aż wreszcie znalazł się naprzeciwko korytarza, którym tu dotarł. Spostrzegł bliźniaczy otwór w ścianie, którym, domyślił się, wiodła dalsza droga przez Wielkie Sere-ny. Obszedł drugą stronę skalnej pieczary i kiedy wrócił do miejsca, z którego przybył, naliczył dwadzieścia pochodni. Dopiero teraz zauważył, że ściany sali odbijają światło jak lustra, tylko że rozbłyskują przy tym Wszystkimi kolorami tęczy.

Udul przyglądał się przez chwilę komnacie. Już miał wrócić po Newie, kiedy jego wzrok zatrzymał się na leżącym na środku stosie drewna. Poszedł tam i pokręcił głową z uznaniem. Obok drewna, na niewielkiej skrzynce, leżało kilka wełnianych koców. Hord zajrzał do skrzynki i przekonał się, że są tam bukłaki z wodą i trochę suszonego mięsa.

Szybko rozpalili małe ognisko.

- To nieprawdopodobne!

Newia stała na brzegu grotu. Pochodnie zajęły się już i w środku było tak jasno, że musiała jedną ręką zasłonić przyzwyczajone do ciemności oczy. Udul rozłożył koc, ale zanim zdążył do niej podejść, Newia, lekko utykając, zaczęła się kręcić po sali, z zachwytem obserwując grę kolorowych świateł.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam coś równie pięknego - powiedziała, wracając w końcu do Udu-la i siadając na kocu.

Hord podał jej mięso i wodę. Newia jadła, rozglądając się dookoła. Nagle spuściła wzrok i zamyśliła się.

- Przepraszam - zaczęła nieśmiało - za tamte pytania. Ale to dlatego, że chciałam... - przerwała.

Od rana zbierała się na odwagę, ale znów nie miała dość siły, by dokończyć.

- Nie masz za co przepraszać - rzekł szybko Udul, siadając naprzeciwko niej.

Żadne z nich, pochłoniętych własnymi myślami, nie zwróciło uwagi, że w głębi góry nadal rozlega się cichy chrobot.

- Newio - powiedział wreszcie Hord, podnosząc głowę i patrząc jej prosto w oczy. - Nie chciałem mówić o sobie z dwóch powodów. Po pierwsze, od kiedy przyjęła mnie Gildia, cała moja przeszłość jest zamkniętą księgą, o której nie wolno mi opowiadać. Po drugie, nie chciałem, żebyś się przestraszyła.

Spojrzała na niego, przechylając się lekko na bok.

- Czego?

Uśmiechnął się słabo.

- Raczej: kogo. Mnie.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Czego miałabym się przestraszyć? Nikt nigdy nie zrobił dla mnie...

Przerwał jej gestem. Wstał i cofnął się kilka kroków, siadając pod ścianą grotu.

- Jak większość Hordów jestem ułaskawionym skazańcem.

Newia zadrżała.

- Skazańcem?

Milczał.

To niemożliwe, pomyślała.

- Nie wierzę - powiedziała głośno i odwróciła się do Horda.

- Gildia sama wybiera tych, którzy mają znaleźć się w Hroście. Wybiera ich spośród przestępców z Gruaro-nu, którzy... - zawahał się - zostali schwytani.

- Nie wierzę - powtórzyła Newia, ale słabiej niż poprzednio.

Patrzył na nią uważnie.

- Chcesz wiedzieć, jak zostałem Hordem? -Tak.

- To krótka historia - zaczął spokojnie, opierając głowę o skalną ścianę. - Urodziłem się na południu Dolin, w jednym z niewielkich warownych grodów, jakich mnóstwo rozsianych jest nad Morzem Suriańskim. Mój ojciec był kapitanem straży. Raz bawiłem się z grupą przyjaciół w karczmie. Byłem bardzo młody. Zaczepili nas obcy...

Newia podniosła głowę.

- Zaczęła się bójka. Chwyciłem leżący na stole nóż. Uderzyłem.

Milczał chwilę.

- To było tuż obok koszar. Wszyscy mnie znali. Nawet nie próbowałem uciekać.

- Co było dalej? - zapytała cicho.

- Dalej? W Gruaronie obowiązuje zasada, że jeśli Hrost chce skazanego, oddaje mu się go, niezależnie od stopnia winy. Ten przywilej dał Gildii sam cesarz. Ojciec, chcąc mnie ratować, posłał po Hordów. Zabrali mnie do Hrostu, gdzie spędziłem parę miesięcy w podziemiach, a potem wysłali z listem do Tyngi. To była moja próba rundy. Udało mi się.

Newia milczała, starając się szybko zanalizować to, co usłyszała.

- Czy wszyscy Hordzi...? - zapytała niepewnie.

- Większość z nas trafia do Hrostu właśnie w ten sposób. Zasłoniła rękami oczy. Udul patrzył na nią i czekał.

- Nie chciałem... - zaczął. Newia wstała i podeszła do niego.

Z całej opowieści najbardziej zaskoczyła ją jedna rzecz. Kapitan straży! A więc jest synem rycerza.

- Przepraszam. Pytałam, bo...

Wstał.

- Przyjechałam tutaj - Newia zdobyła się wreszcie na odwagę - bo... ktoś, jakiś łotr... porwał i ukrył w Dolinach Gruaronu... moje jedyne dziecko.

Spojrzał na nią.

- Dziecko? Myślałem...

- Co takiego?

- Nieważne. - Udul pokręcił głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- To prawie czteroletni chłopczyk. Porwano go z Tweru, pół roku temu. Wysłałam na poszukiwanie kogoś zaufanego. Dotarł do Gruaronu. Przysłał mi parę listów, ten - sięgnęła do woreczka na szyi i wyszarpnęła z niego kawałek pergaminu - był ostatni. Miałam przyjechać jak najszybciej i nie mówiąc o tym nikomu, do Omorgu.

W oczach Newii pojawiły się łzy.

- Nie widziałam go już sześć miesięcy i dwanaście dni. Każdy z nich jest... męką...

Hord wziął z jej rąk pergamin i szybko go przeczytał.

- Ufasz temu słudze?

- Panu Wetronowi? Tak, tylko że - zaczęła tchu I nie jestem pewna, czy to on wysłał ten list.

- Jak to?

- Wcześniej sugerował, że dziecko porwano dla °kupu. Ale moja rodzina nie jest bogata. Poza tym na P°czątku mojej podróży wydarzyły się dziwne rzeczy. Ktoś zadbał, bym jechała powozem Gildii, i nie był to "ograbia Tyngi. Podejrzewam... że za porwaniem może <sup>Sic</sup> kryć ktoś, kogo... znam...

- Kto taki?

- Ktoś z otoczenia cesarza, bogaty i wpływowy. On mógłby mieć środki, by to zorganizować. Ale nie wiem... - Potarła ręką czoło. - On nie miał nic wspólnego z Gruaronem. Chyba nawet nie wiedział, że istnieje taka kraina. Przynajmniej... nigdy nie wymienił jej nazwy.

- Jak to się stało, że trafiłaś tu sama? Nie masz kogoś... ojca, brata... - zawahał się.

- Nie. - Newia zacisnęła wargi.

- A... - Udul zamilkł na moment - ojciec dziecka? Cofnęła się o pół kroku.

- Mój syn... nie ma już ojca. Hord zmienił temat.

- Dlaczego ten człowiek, o którym wspomniałaś, miałby porwać dziecko?

- Nie wiem - wyszeptła z trudem Newia. - To znaczy... Nie. Nie wiem. Ale gdybym tylko wiedziała, że ma coś wspólnego z Gruaronem, byłabym pewna, że to on.

Niespodziewanie rozplakała się.

- Potrzebuję pomocy. Udul przysunął się bliżej

- Jak dotrzemy do Omorgu, pójdę z tobą... a najlepiej za ciebie... na to spotkanie w dzielnicy Meritów, dobrze? - Mówiąc to, podniósł list, który ciągle trzymał w dłoni. Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Udul dotknął jej ręki. Już miał się pochylić, gdy nagle spojrzął za plecy Newii.

W skalnej komnacie panowała kompletna cisza. Mechanizm wewnątrz skał od kilku minut milczał.

Newia odwróciła się odruchowo i krzyknęła. Na progu sali, kilkadziesiąt kroków od nich, stał, chwiejąc się na nogach, lekko zgarbiony mężczyzna. Newia przyjrzała mu się dokładniej i krzyknęła jeszcze raz - tym razem nie dlatego, że przestraszyła się nieznajomego, który wyrósł przed nimi jak spod ziemi, ale dlatego, że poznała tego człowieka.

**III**iedy Bren Ott ocknął się, Drumen i jeden z żołnierzy z Omorgu pomagali mu wsiąść na siodło. Wojłkół szarzało - zbliżał się świt siódmego dnia od opuszczenia Hrostu. Ott oparł się o szyję wierzchowca. Mrużąc z bólu oczy, przyglądał się, jak Stary Człowiek żegna się ze swoim panem, następnie wsiada do powozu i razem ze czterema żołnierzami odjeżdża na południe.

Hord obrócił z trudem głowę. Przekonał się, że został tylko z młodym Drumenem i Orinem. Ten ostatni, przytrzymując ręką strzemie, patrzył skupiony na oddalający się powóz i towarzyszących mu jeźdźców.

Po kilku minutach, kiedy w dali widać było tylko czarną plamkę, Orin wskoczył na siodło. Dał znak Drumenowi. Abot wziął za uzdę konia Horda. Ruszyli w stronę kładących się na niebie szarych cieni.

Prosto w góry, pomyślał Bren Ott. Ciekawe, dokąd pojechał stary?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, już byli w drodze. Pierwsze kroki spowodowały, że Hordem

wstrząsnęła fala bólu. Od tej chwili nie był w stanie myśleć już o niczym innym, jak tylko o przesywającym kluciu, które z pleców rozlewało się na całe ciało. Niemał z każdym krokiem konia oblewał się potem i robiło mu się słabo. Kiedy już czuł, że jest bliski zemdlenia, wkładał cały wysiłek w to, by podnieść głowę i spojrzeć na Orina. Ten widok powodował, że Hord znajdował w sobie dodatkowe siły.

Od porażki w wąwozie Grol Bren Ott myślał tylko o jednym: w jaki sposób wyrwać się z krępujących go więzów i raz na zawsze uwolnić Gildię od Greta Orina.

Początkowo były to czcze rozważania. Cowieczome spotkania ze Starym Człowiekiem powodowały, że był coraz słabszy. W końcu zrozumiał, że swój błąd w wąwozie Grol najprawdopodobniej przyplaci życiem. Był przekonany, że staruch z rozkazu swego pana ma go zadreżyć na śmierć. Później okazało się co prawda, że tortury były wyłączną inicjatywą Starego Człowieka, jednak odkrycie to nie zmieniło w żaden sposób planów Brena Otta co do właściciela zamku Omorg. Orin musiał umrzeć. I to jak najszybciej, ponieważ każda godzina jego życia zwiększała tylko rozmiar porażki najmłodszego członka Mirotu.

W czasie wieczornych spotkań ze Starym Człowiekiem Bren Ott ani na chwilę nie porzucił myśli o zemście. Wręcz przeciwnie - po każdej kolejnej sesji tortur przysięgał sobie, że przyjdzie dzień, kiedy naprawi popełniony w wąwozie Grol błąd i jednocześnie z nawiązką zapłaci Orinowi za wszystko, czego doświadczył od jego sługi. Teraz, gdy zostali sami, wystarczyło, żeby popatrzył na niego, by natychmiast przypominał sobie, że ten człowiek jest przyczyną jego największej życiowej klęski. Większej nawet od tej w Krynie sprzed trzydziestu lat.

Bren Ott wiedział, że nie będzie w stanie spojrzeć w oczy nie tylko Rovenowi, ale nawet najmłodszemu Hordowi w Hroście tak długo, jak długo Gret Orin będzie przy życiu. Dręczył się myślą, że od kiedy położono pierwszy kamień pod mur oddzielający Hrost od świata, nie zdarzyło się jeszcze, by w tak ważnej dla Gildii sprawie ktoś o tak wysokim stopniu wtajemniczenia jak on, tak bardzo zawiódł.

Mimo tego rodzaju myśli koło południa poczuł się już tak słaby, że zachwiał się w siodle. Orin, jadący z tyłu, krzyknął coś. Drumen zatrzymał się natychmiast, zeskoczył z konia i pomógł Hordowi zsiąść na ziemię. Bren Ott zachwiał się na nogach i nim Drumen zdążył go przytrzymać, upadł.

Wokół zrobiło się ciemno.

\*\*\*

Orin zeskoczył z konia. Podszedł szybko do Horda. Pochylił się nad nim i dotknął dłonią jego czoła. Było gorące i lepkie od potu.

Rozejrzał się uważnie po okolicy. Znajdowali się gdzieś w północnej części równiny Grolon. Wokół, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się płaskie jak stół połacie ziemi. Od rana słońce nie zdołało przebić się przez gęsto zbite warstwy chmur, które przesuwały się po niebie, przeganiane przez coraz ostrzejsze podmuchy wiatru. Mimo południa było chłodno i dość ciemno.

Kilkanaście kroków po prawej Orin spostrzegł kępę niewysokich krzaków. Wskazał na nie Drumeno-wi i wziął za uzdy wszystkie trzy konie. Zaprowadził je w pobliże krzewów, na których chwiały się smętnie ostatnie liście. Konie pochyliły się natychmiast i przepychając się wzajemnie, zaczęły obgryzać korę z wątlých gałązek.

Drumen pochylił się nad Hordem. Wziął go pod ramiona i przeciągnął w stronę krzaków.

Orin otworzył podróżną torbę, którą dostał od starego, i wyjął z niej kawałek płótna. Następnie, tak jak wczoraj w nocy sługa, rozpylił nad nim kilkanaście kropel leczniczej mikstury.

Podał płótno Drumenowi.

- Zmień mu opatrunek.

Drumen przykleknął obok rannego.

Materiał, który Orin położył Hordowi na plecach przy ognisku, w ciągu kilku godzin zdążył się przykleić do ran. Lekarstwo, którym był nasączony, powodowało, że skaleczenia przestały krwawić i zamknęły się. Drumen powoli odrywał płótno od pleców Brena Otta. Miało zielonkawy kolor, bo obok krwi wykwitły na nim rozległe plamy ropy.

Orin przyglądał się temu z odległości kilkunastu kroków, marszcząc brwi i lekko kręcąc głową. To lekarstwo faktycznie działa szybko, pomyślał. Ale z tymi trzema dniami to stary przesadził. On potrzebuje co najmniej tygodnia, żeby chociaż jako tako przyjść do siebie.

Popatrzył jeszcze raz na bladą twarz rannego. Mimo że Drumen zerwał mu już z pleców stary opatrunek i przykrył rany świeżym materiałem, Hord był ciągle nieprzytomny.

Orin chciał mu dać do powąchania sole trzeźwiące, ale zawahał się. Odszedł kilka kroków na bok i znowu uważnie się rozejrzał. Wokół było pusto.

Nagle poczuł się zmęczony.

- Daj mi koc - rzekł do Drumena.

Chłopak podskoczył do siodła.

- Obudź mnie za dwie godziny - powiedział Orin, biorąc ciasno zwinięty wełniany pled.

Następnie rzucił koc na ziemię i z ulgą wyciągnął się na nim. Przez chwilę przyglądał się przewalającym się nad jego głową ciemnym kłębiastym chmurom. Przyszło mu do głowy, że lada moment może zacząć padać. Szybko zamknął oczy, starając się nie myśleć ani o tym, ani o niczym innym.

Drumen usiadł na ziemi, obserwując rozciągającą się przed nim przestrzeń. Odwrócił się tyłem do Horda. Po-

dobnie jak Orin nie spostrzegł, że ranny, już przytomny, rozgląda się po okolicy.

Bren Ott w pierwszej kolejności upewnił się, że Orin ma zamknięte oczy i że równo oddycha. Wtedy powoli przekręcił głowę i oparł policzek o wilgotną ziemię. Zaczął odliczać w myślach, obserwując, jak pan Omor-gu powoli zapada w sen. Kiedy doliczył do stu, znów przekręcił głowę i mrużąc oczy, zaczął z kolei przyglądać się Drumenowi.

Abot siedział nieporuszony, bezmyślnie spoglądając w dal.

Hord zagryzł wargi.

Przejdź się, odpowiedział mu w myślach. Nie możesz siedzieć beczynnym i gapić się tylko w jedną stronę. Niebezpieczeństwo może przyjść także z południa lub zachodu, nie tylko z północy. Czy nikt w Kręgu nie nauczył cię, jak powinno się pełnić wartę? Tak -dobrze!

Drumen wstał. Bren Ott szybko zamknął oczy i wstrzymał oddech. Chłopak podszedł do niego i pochylił się na moment, po czym okrążył zarośla i zniknął Hordowi z oczu.

Gdzie może być mój kaftan? Zabrał go stary czy też jest przy którymś koniu? - Bren Ott lekko podniósł głowę.

Uzyskanie odpowiedzi wymagało przekręcenia się na bok.

Hord położył na chwilę głowę na ziemi i wziął kilka głębokich wdechów. Następnie najwolniej jak tylko potrafił zgiął prawą rękę, przyciskając ją mocno do boku. Poczł, że na czoło wystąpił mu pot. Jeszcze raz odetchnął głęboko i zagryzając wargi, spróbował odepchnąć się od ziemi.

Ból w plecach był tak przeszywający, że mimo iż skrzył lekko tułów, nie zdołał podnieść głowy. Upadł z powrotem na brzuch.

To nic. Jeszcze raz.

Ciemne chmury, z których od popołudnia kropił drobny deszcz, wreszcie rozwił wiatr. Powietrze zrobiło się przejrzyste, widoczność się poprawiła. W oddali, na wschodzie, zamajaczyły granatowe kontury czegoś, co wyglądało jak kolejny burzowy front.

Gret Orin zatrzymał się. Słońce znajdowało się dokładnie za jego plecami tuż nad linią horyzontu. Jego cień połączony z cieniem jego wierzchowca rozciągał się daleko na ziemi.

Mężczyzna popatrzył uważnie przed siebie. W nocy znów będzie padało, pomyślał. Chyba że...

- Słuchaj - odwrócił się do Drumena - czy to nie przypadkiem...? - wskazał ręką przed siebie.

Abot Drumen zmrużył oczy.

- Tak - odpowiedział po chwili - zdaje się, że to już Sereny.

To, co na pierwszy rzut oka przypominało zawieszony nad ziemią burzowe chmury, w rzeczywistości było górskimi pasmami, wznoszącymi się wysoko nad równiną.

Mniej więcej doba, Orin szybko ocenił odległość.

Rozłożył szeroko palce, przyciskając je z całej siły do ziemi. Zamknął oczy i szarpnął się mocno. Udało mu się utrzymać na boku kilka sekund, w czasie których błyskawicznie zlustrował wszystkie trzy konie. Przewrócił się na ziemię i jęknął głośno.

Orin przekręcił się na bok.

Bren Ott położył głowę na żółknącej trawie, oddychając z trudem.

Jest przy siodle Drumena. Odpięli dmuchawki, ale chyba nie wymacali zaszytej w mankiecie trującej strzałki.

Jak każdy Hord wyruszający na rundę przy wyjeździe z Hrostu miał przy sobie dwa rodzaje strzałek: nasączone paralizującą substancją i służące do walki z grychtami, oraz jedną dodatkową, zatrutą czymś zupełnie innym - jadem grycht. Ta ostatnia przeznaczona była na specjalne okoliczności - czyli takie, w jakich się właśnie znalazł.

Muszę poczekać do wieczora, pomyślał Bren Ott i zamknął oczy.

Dwie godziny później Drumen, który zdążył kilka razy okrążyć obozowisko, podszedł do Orina. Nim zdążył się nad nim nachylić, ten już się podniósł.

Hord przyglądał się temu spod na wpółprzymkniętych powiek. Nagle poczuł, że coś zimnego kapnęło mu na ramię.

Gret Orin i jego towarzysz spojrzeli w niebo.

- Zaczyna padać. W drogę! - krzyknął Orin. Wyjął z torby szczelnie zakorkowany flakonik

i przykucnął obok Otta. Hord szybko otworzył oczy.

- Zimno mi - wyszeptał najciszej jak tylko mógł. Orin wyprostował się. Odwrócił się do Drumena,

składającego koc.

- Jak będzie w siodle, zarzuć mu kaftan na ramiona. Pod wieczór, po raz pierwszy tego dnia, przejaśniło się.

- Pojedziemy jeszcze kilka godzin. Potem prześpiemy się do świtu, a jutro pod wieczór powinniśmy już być w górach.

Ruszył do przodu, omijając Drumena i kiwającego się w siodle Horda.

Kiedy tylko Orin wyprzedził go, Bren Ott lekko się wyprostował. Po raz pierwszy od południowej przerwy znalazł się na końcu grupy. Odczekał jeszcze kilka minut, by się upewnić, że Orin nie zmieni zdania i nie zawróci, po czym powoli, nie spuszczać wzroku z jadących przed nim mężczyzn, sięgnął do mankietu zarzuconego mu na plecy kaftana.

Szybko wymacał zaszytą w środku strzałkę. Drgnął z radości, czując, że jest nienaruszona. Gdyby była złamana, wyjęcie jej, a następnie użycie, wiązałoby się z ryzykiem, że sam się zatruje. A tak, gdy zapadnie noc i będzie miał dość czasu, ostrożnie wydobędzie specjalnie zabezpieczoną strzałkę - i problem, do którego powstania się przyczynił, zostanie definitywnie rozwiązany.

Bren Ott pieśczośliwie przesunął palcami po rękawie kaftana. Pochylił się i oparł o szyję konia. Po raz pierwszy od dwóch dni poczuł, jak wracają mu siły.

Zmrok zapadał szybko. Mimo że tego wieczoru nie świecił księżyc, na równinie było jeszcze dość jasno. Jechali powoli, noga za nogą, w kierunku widocznych w oddali gór. Wokół było cicho. Bren Ott zamknął oczy i, mimo bólu, próbował zasnąć. Kilkakrotnie udało mu się zapaść w krótką drzemkę i za każdym razem, gdy otwierał oczy, stwierdzał, że czuje się coraz lepiej.

334

- Po co? - Bren Ott usłyszał w głosie Orina rozbawienie.  
- Jest tak ciemno, że i tak niczego byś nie wypatrzył. Miejmy nadzieję, że również nic nie wypatrzy nas.

Hord zmrużył oczy. Począł, aż chłopak pomoże mu zejść z konia. Przez moment próbował utrzymać się na nogach, ale nic z tego nie wyszło. Gdyby nie Dru-men, który go w ostatniej chwili podparł, znów runąłby jak długi.

Orin wziął pled i rozłożył go na ziemi kilkanaście kroków od jeńca. Drumen odprowadził konie na bok i związał im nogi. Potem sięgnął do jednego z pakunków i wyjął z niego zawinięte w kawałki natłuszczonego płótna suszone mięso oraz suchary.

Orin wziął od niego jedzenie. Obaj usiedli na trawie. Po kilku minutach Orin wskazał na rannego.

- Nakarm go.

Drumen podszedł do Horda i przykucnął przy nim. Bren Ott lekko potrząsnął głową.

- Wody.

Chłopak podał mu bukłak. Hord wypił chciwie kilka łyków i z ulgą położył głowę na ziemi.

Orin przeszedł obok, spoglądając na niego przelotnie. Położył się na uprzednio przygotowanym posłaniu. Drumen zapakował resztki jedzenia i szybko wyciągnął się obok koni.

Pan na Omorgu przewrócił się kilka razy z boku na bok i raz czy dwa odetchnął głębiej, jakby mocując się z jakąś dręczącą myślą.

Bren Ott leżał, nie podnosząc głowy. Czął.

Nie może zasnąć. Pewnie myśli, co ma robić dalej. Swoją drogą, Hord zamknął oczy, dokąd on jedzie? Cały czas kierujemy się na góry Seren, czyli pewnie zechce przejechać przez Wielkie Sereny. A potem? Torn najprawdopodobniej wysłał go na północ. Ale przecież on sam nie wie...

Bren Ott odwrócił głowę. Nie, to nie ma sensu. Orin jeszcze raz odetchnął głębiej. Hordowi wydawało się, że wyszeptał

Po paru godzinach nagle zerwał się wiatr. Przez całą równinę przeszedł ostry podmuch, po którym wszystkim jeźdźcom zrobiło się zimno. Orin wyprostował się i rozejrzał. Na niebie nie było widać gwiazd.

Hord, przyzwyczajony do ciemności, spostrzegł, że Orin ściągnął lejce. Drumen poszedł jego śladem. Zatrzymali się.

- Mam stanąć na warcie? - spytał Abot, zeskakując na ziemię.

335

coś, jedno słowo, które zabrzmiało jak imię. Jednak zaraz po tym oddech pana na Omorgu się wyrównał.

Abot Drumen już od kilku minut głośno chrapał. Bren Ott ostrożnie wyciągnął przed siebie lewą rękę. Zaczął nią macać naokoło, tak daleko, jak tylko zdołał sięgnąć. Następnie, nie znalazłszy tego, czego szukał, wyprostował prawą rękę. Jego dłoń zaczęła powoli myszkować wśród lekko wilgotnych traw, aż w końcu zatrzymała się.

Hord odetchnął. Począł chwilę, by minęło klucie w plecach, po czym wziął znaleziony patyk i włożył go do ust. Zaciśnął na nim zęby.

Sięgnął do mankietu. Wybrał moment, kiedy Drumen chrapnął wyjątkowo głośno i jednym szarpnięciem oderwał guzik. Przez otwór wysunęła się strzałka. Jej ostrze było przewiązane nieprzepuszczalnym materiałem. Bren Ott rozplatał go i ostrożnie ukrył strzałkę w dłoni. Następnie zamknął oczy i starał się wyrównać oddech.

Po chwili oparł się na łokciach. Szybko spojrzął w stronę Drumena, a następnie Orina, upewniając się raz jeszcze, że obaj śpią. Zaciśnął z całej siły zęby na kawałku drewna i napiął wszystkie mięśnie, by unieść się na rękach. Gdy mu się to udało, próbował podciągnąć **pod siebie kolana tak, by znaleźć się na czworakach. Przewął jedną nogę, chciał dołączyć do niej drugą, ale wysiłek okazał się zbyt wielki. Bren Ott upadł, przesuając się zaledwie o jakieś dwie stopy w stronę Orina.**

**Za głośno, pomyślał.**

**Odczął, aż ustanie klucie szarpiące całe ciało. Tym razem uniósł się niżej, raptem pół palca nad ziemię. Próbował się czolgać, ale siły starczyło mu na wykonanie ledwie dwóch ruchów. Przesunął się do przodu o stopę, lecz nie wywołał przy tym żadnego hałasu.**

**Przez równinę raz po raz przelatywały poddmuchy wiatru.**



Muszę się pospieszyć, myślał Hord, jeśli wiatr przegoni chmury i zrobi się trochę jaśniej, pewnie od razu ruszymy dalej.

Zmierzył wzrokiem dzielącą go od Orina odległość.

Z drugiej strony, mówił do siebie, powinienem zachować choć trochę sił. Muszę trafić za pierwszym razem.

Czołgał się powoli, odpoczywając co chwilę. Oddychał wtedy głęboko i delikatnie obracał w palcach strzałkę. Mimo że starał się nie urazić pleców, z każdą pokonaną grudą ziemi bolały go coraz mocniej. Zrobiło mu się tak gorąco, że miał ochotę zrzucić z siebie kaftan.

Zauważył, że Orin spał niespokojnie, przewracając się z boku na bok.

Po kilkunastu minutach najciszej jak mógł wyciągnął przed siebie rękę i wymacał brzeg welnianego pledu. W tym momencie wiatr rozwiął chmury. Na niebie ukazały się gwiazdy i nad równiną zrobiło się nagle jaśniej.

Bren Ott szybko wsparł się na łokciach. Błyskawicznie rzucił się do przodu. W ostatniej chwili wyciągnął przed siebie prawą rękę, w której ścisnął strzałkę. Gwałtowny ruch i skurcz wszystkich mięśni ramienia wywołały taki ból, że Hord krzyknąłby, gdyby z całej siły nie zaciskał zębów.

Nim czubek strzałki dotknął gardła Orina, rozległ się głośny trzask.

## MIM

Gret Orin obudził się raptownie. Przed oczami coś mu błysnęło. Bez namysłu przetoczył się na bok i skulił. Usłyszał hałas i głośny jęk - Hord, wykorzystując resztkę sił, spróbował jeszcze raz go dosięgnąć. Orin obejrzał się, po czym w okamgnieniu zerwał się na równe nogi. Dосkoczył do Brena Otta i mocnym kopnięciem wybił mu z rąk strzałkę.

Hord leżał bez ruchu. Aby stwierdzić, czy jest przytomny, Orin musiałby się nad nim pochylić. Minęło kilka chwil, zanim zdołał się na to zdobyć. Wcześniej jednak odnalazł i szybko rozdeptał broń, którą chciał go ugodzić Ott.

Błądą twarz rannego pokrywały wielkie krople potu.

Oddychał z trudem.

Orin zerwał Hordowi z pleców kaftan i odrzucił go

na bok.

Bren Ott jeszcze raz głośno jęknął.

Stary miał jednak rację, pomyślał pan na Omorgu. Szybkim krokiem podszedł do Drumena. Uderzył go lekko w ramię.

- Wstawaj.

Abot podniósł się, przecierając oczy.

- Wstawaj - rzekł z przynagleniem Orin. - Jedziemy. Wsadź go na konia - wskazał na Horda - i zwiąż mu ręce. Masz go pilnować. Od tej pory nie wolno ci spuścić go z oka. Ani na chwilę, rozumiesz?

Abot spojrział na niego lekko otumanionym wzrokiem, ale nim zdołał cokolwiek powiedzieć, Orin był już w siodle.



atrzymali się dopiero przed zmierzchem następnego dnia, niedaleko pierwszych górskich pasm. Znow dopisywało im szczęście - dzień był pogodny i cie-

ply. Mimo że jechali szybko, nieraz w widocznym z daleka tumanie kurzu, ani razu nie natknęli się na grychty.

Po nocnej przygodzie Orin przestał dawać Hordowi lekarstwo starego. Jednak nawet bez niego Bren Ott czuł się coraz lepiej. Dobrze zniósł cały dzień w siodle. Nie odmawiał już jedzenia, natychmiast przelżykając wszystko, co dostawał od Drumena na krótkich popasach. Uśmiechał się w duchu na myśl, że na miejscu Orina trzymałby o głodzie takiego jeńca jak on.

Orin nie zwracał czy też udawał, że nie zwraca na niego żadnej uwagi. Za to Drumen nie spuszczał z niego oka. Był cały czas obok, prowadząc jego konia za uzdę. Od czasu do czasu sprawdzał również więzy na rękach Horda.

Bren Ott znosił to spokojnie. Mimo że miał skrepowane dłonie i mimo ostatniego niepowodzenia czuł

coraz większą pewność siebie. Zbliżali się do Wielkich Seren, które - jak każdy wtajemniczony Hord - znał jak własną kieszeń. Kilkakrotnie przechodził przez tunele, uczestniczył w naprawie znajdujących się w środku mechanizmów, a nawet sam zaproponował jedno czy dwa udogodnienia. Były wśród nich i takie, które mogły mu się przydać w obecnej sytuacji.

Tym razem musi się udać, myślał, przypominając sobie wszystkie zakamarki i skrytki, jakie mieściły się w podziemnych korytarzach.

Pod wieczór Orin wstrzymał na chwilę konia.

- Którędy?

- Druga dolina od południa - odpowiedział Bren Ott bez wahania.

Mimo że czuł się już całkiem niezłe, zadbał, by jego głos brzmiał słabo.

Było już prawie ciemno, kiedy ominęli łukiem niewysokie z tej strony szczyty Seren. Przed nimi otwierał się wąwóz, znacznie węższy od tego, w którym tunele rozpoczynały się po drugiej stronie gór.

Orin zatrzymał się.

- Gdzie jest wejście? - zapytał, ścierając pot z czoła.

- Nad pierwszym progiem. - Hord oparł się o szyję wierzchowca.

Pan na Omorgu zeskoczył na ziemię.

- Dalej pójdziemy pieszo - powiedział do Drumena.

Sługa odpiął przytroczone do siodła koc oraz zdjął bukłak i sakwy z żywnością. Potem pomógł jeńcowi zejść na ziemię. Bren Ott natychmiast osunął się na najbliższy kamień.

- Spłosz konie.

Hord uśmiechnął się w duchu. Nikomu, kto nie widział Wielkich Seren, nie mogło przyjść do głowy, że można przez nie przeprowadzić wierzchowce.

Gdy znaleźli się na szerokiej, niewidocznej z daleka ścieżce prowadzącej na pierwszy próg, Orin zmarszczył brwi. Obejrzał się, ale żadnego z koni nie było już widać. Ott, prowadzony przez Drumena, zauważył to, ale nie odezwał się ani słowem.

Bez trudu znalazł miejsce, w którym było wejście do Wielkich Seren.

- Miałem przy sobie pierścień Mirotu - powiedział do Orina. - Wziąłeś go od starego?

Gret Orin skinął potakująco głową, sięgnął do kieszeni i podał Hordowi klejnot.

Drumen podprowadził jeńca pod skalną ścianę. Wystarczyło jedno spojrzenie, by Bren Ott wypatrzył, gdzie znajduje się charakterystyczna owalna szczelina. Szybko wsunął oko pierścienia w otwór i bez trudu je przekreślił.

- O! - Abot Drumen nie mógł się opanować. Orin tylko pochylił się swoim zwyczajem do przodu. Przed nimi otwierało się właśnie wejście do szerokiego tunelu.

Ledwie znaleźli się w środku, Ott zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Gdzieś w głębi góry rozlegał się cichy chrobot. Mimo że był zaledwie o pół tonu głośniejszy od szumu wody, Hord rozpoznał go natychmiast. W Wielkich Serenach pracował już jeden mechanizm i któraś z platform przesuwająca się. Co z kolei znaczyło, że...

Ktoś tu jest! - pomyślał Ott i ze zdumienia na chwilę zapomniał, że nie jest jeszcze w stanie stać o własnych siłach. Wyprostował się nagle, łowiąc uchem daleki, cichy dźwięk.

Orin, który w tym czasie zdążył znaleźć i zapalić pochodnię, spojrział na niego uważnie.

Hord zrozumiał, że popełnił błąd.

- Tędy - powiedział, wskazując przed siebie. - Trzeba uruchomić platformę.

Orin mający za sobą wizyty w Hroście i u Torna, widząc wmurowaną w ścianę dźwignię, bez wahania wprowadził mechanizm w ruch. Wcześniej jednak jego ręka zanurzyła się w znajdującym się obok wajchy zagłębieniu, z którego wyjął kawałki podłużnego czarnego płótna. Tak samo jak Udul domyślił się natychmiast, do czego służą.

Pochylił się nad Hordem, świecąc mu pochodnią w oczy.

- Czujesz się znacznie lepiej, niż sądziłem - powiedział cicho. - I nie musieliśmy wcale pozbywać się koni. Jeśli jeszcze raz zataisz przede mną coś takiego...

Ott już miał uśmiechnąć się drwiąco, ale Orin nie dokończył groźby, tylko odwrócił się do Drumena.

- Zwiąż mu ręce z tyłu, a nie z przodu. I zwiąż mu nogi.

Chwilę później Ott leżał rozciągnięty na platformie, nie mogąc się poruszyć. Drażniło go spojrzenie Drumena, który ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku. Orin oparł się o jeden z filarów klatki. Wydawało się, że zasnął.

Ott wsłuchiwał się w oba pracujące wewnątrz góry mechanizmy.

Kto to może być? - zastanawiał się. Pierścienie Wielkich Seren są w Hroście. Poza jednym... - przypomniał sobie nagle. Północna stacja. Coś musiało stać się luinom!

Uświadomiwszy to sobie, poczuł, jak po raz pierwszy od wielu lat poci się ze strachu.

Orin nie może spotkać się z żadnym z luinów.

Platforma sunęła do przodu z prędkością niewiele przewyższającą szybkość ludzkiego marszu.

Przez kolejne godziny sytuacja Brena Otta nie zmieniła się ani trochę. Drumen przyglądał mu się, śledząc każdy jego ruch. Orin zaś spał, budząc się tylko wtedy, gdy musieli przesiąść się na kolejną platformę.

W pewnej chwili Ott zauważył, że w tunelu zrobiło się ciszej. Drugi mechanizm przestał działać.

Luin jest już w Wielkiej Sali.

Kilkadziesiąt minut później piąta z kolei platforma zatrzymała się. Orin ocknął się z odrętwienia.

- Co się stało?

Hord udawał, że śpi. Orin podniósł się i trącił go lekko butem. Jeniec nawet się nie poruszył, starając się równo i spokojnie oddychać.

Po chwili, która wydawała mu się tak długa jak podróż przez Wielkie Sereny, usłyszał głos Orina.

Nie zważając, że z bólu pot wystąpił mu na czoło, Hord macał związanymi z tyłu rękami, badając dół filaru. Drumen przytrzymał mu głowę i uderzył go w policzek. W tym samym momencie palce Otta wymacały niewielki sęk. Hord jęknął, tak jakby właśnie wróciła mu przytomność. Jego głos zamaskował cichy szczepek zapadki.

Drumen odsunął się, widząc, że jeniec przychodzi do siebie. Było tak ciemno, że Bren Ott nie musiał ukrywać uśmiechu. W jego rękach znajdowała się niewielka dmuchawka.

Nagle w oddali rozległy się krzyki.



Korytarz, którym szedł Gret Orin, był dokładnie taki sam jak tunel prowadzący do grotty Torna. Miał gładkie ściany bez najmniejszych śladów zadrapań. Orin podniósł wysoko pochodnię i rozglądał się dookoła. Chciałbym zobaczyć, jak działa noks, pomyślał.

To naprawdę są Wielkie Sereny, myślał dalej. I nie chodzi tylko o wysokość czy rozległość. Także sam ich zamysł jest niezwykły. Te platformy... Założę się, że gdzieś w głębi jest coś do jedzenia. Torn miał rację - dzięki nim za dziesięć, góra czternaście dni mógłbym być w Tyndze.

Nagle zatrzymał się.

Dostrzegł przed sobą błysk światła i jednocześnie usłyszał jakieś głosy.

Kto tu jest? Przecież tu nie może być nikogo!

346



Chwilę później nie miał już wątpliwości, że to co się wokół niego dzieje, to rzeczywistość - nie sen.

Newia podbiegła do niego, szybko pokonując dzielącą ich odległość. Zatrzymała się przed nim i gestem, który Orin doskonale znał i pamiętał, poprawiła spadające na czoło włosy. Oddychała płytko, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

Orin objął ją spojrzeniem. Spojrzał, że ma spuchniętą kostkę, podrapane ręce oraz że jest ubrana w poszarpany i

- Sprawdź, co mu się stało. Pójdę zobaczyć, co jest przed nami.

Kilka sekund później Ott usłyszał oddalające się kroki. Drumen pochylał się nad nim i szarpnął go mocno, zmuszając, by usiadł. Jeniec zachwiał się i wtedy Drumen zrobił to, na co Hord od początku liczył - oparł go plecami o filar platformy

Dotknął czoła, pocierając je wierzchem dłoni. Jeden z głosów, męski, przycichł nagle. A potem odezwał się drugi, miękki, kobiecy.

Słyszając go, Orin zachwiał się na nogach. Newia?

Oparł się o ścianę korytarza. Mam halucynacje, pomyślał z wysiłkiem. Albo to sen i zaraz obudzę się w Omorgu.

Kobiecy głos zabrzmiał znowu, głośniejszy niż poprzednio. Słysząc w nim było łyzy.

Orin z najwyższym trudem ruszył z miejsca. Minął zakręt i stanął w progu ogromnej, rozświetlonej rzędem pochodni sali.

Kolorowe światła odbijające się od jej ścian w pierwszej chwili prawie go oślepiły. Zamrugał oczami i przesunął się do przodu. Podniósł głowę i zatrzymał się raptownie.

Na środku sali, niedaleko niewielkiego ognia, stało dwoje ludzi. Ubrany w czarny strój Gildii Hordów jasnowłosa mężczyzna pochylał się nad ręką niewysokiej kobiety.

Gret Orin patrzył na tę scenę, nie będąc w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Hord spojrzał go i zamarł. Kobieta odwróciła się i krzyknęła ze strachu, a potem, po kilku sekundach, krzyknęła jeszcze raz.

Orin postąpił dwa kroki do przodu i z uśmiechem, który całkowicie zmieniał wyraz jego chłodnej zazwyczaj twarzy, wypowiedział cicho pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy:

- Newio, jakie to szczęście widzieć cię znowu...

347

brudny strój, wyglądający tylko trochę lepiej niż łachmany żebraków w Gruaronie. Przestał się uśmiechać.

Dotarła tutaj z Tyngi, pomyślał.

Newia szybciej przyszła do siebie. Oczy pociemniały jej z gniewu.

- Ty... ty... łajdaku! Łotrze! - zawołała głośno, zaciskając ręce tak mocno, że aż zbieleły jej palce. - To ty to zrobiłeś! Gdzie on jest?! Gdzie ukryłeś moje dziecko?! Oddaj mi natychmiast mojego syna!

Zamachnęła się gwałtownie, tak jakby chciała go uderzyć. Gret Orin odruchowo chwycił ją za ręce, mocno przytrzymując.

Newia wyszarpnęła się błyskawicznie i odskoczyła. Cała się trzęsła. Złapała prawą dłońią lewy nadgarstek, pocierając go raz za razem, tak jakby chciała rozmasować bolące miejsce.

- To ty... porwałeś... mojego syna, prawda? - zapytała, z trudem wypowiadając kolejne słowa. Na jej policzki wystąpiły plamy. - Odpowiedz natychmiast, jeśli masz chociaż resztki... sumienia...

Orinowi wydawało się, że zaraz zemdleje.

- Tak, to ja... - zaczął szybko.

Newia nie dała mu dokończyć. Wyprostowała się, rozprostowując ręce.

- Gdzie on jest?! Co mu zrobiłeś?! Na co choruje?!

Choruje? Musiało minąć kilka sekund, zanim Orin przypomniał sobie ostatni list, który ze Starym Człowiekiem wysłali Newii.

- Uspokój się - rzekł cicho. - Nic mu nie jest. Nigdy nie był chory.

Oczy Newii zwęziły się powoli.

- Jak to? Dostałam od mego sługi list... Orin zagryzł wargi.

- To ja ci go wysłałem. Zresztą poprzednie... też.

Newia dotknęła ręką czoła, starając się zebrać myśli.

- Nie jest chory... - powtórzyła bezwiednie. - List był sfalszowany?

Orin tylko skinął głową.

Newia westchnęła.

- A co się stało z moim sługą? Z panem Wetrone?

- Stary Człowiek się nim zajął.

- Stary Człowiek? - powtórzyła powoli. - Zajął się nim?

Co to znaczy?

Orin zawahał się.

- Wiesz, co to znaczy - rzekł po chwili. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ty łajdaku... - powiedziała w końcu. Nadal starała się zapanować nad oddechem. - Jak mogłeś do tego dopuścić... Znałeś go przecież...

- Przejmujesz się byle kim! - nie wytrzymał Orin i nagle uświadomił sobie, że używa słów Starego Człowieka.

Newia przeszła parę kroków i zawróciła, znów poprawiając rozsypujące się na czoło włosy. Z trudem porządkowała myśli.

- Powóz Hordów! - powiedziała nagle, jakby sobie coś przypomniała. - Pan Sorso! To ty to wszystko ukartowałeś! To z twojego polecenia dołączył do mnie w Tyndze! Margrabia nie miał z tym nic wspólnego. Ty kazałeś Sorso dopilnować, żeby... żeby...

- ...żebyś bezpiecznie przejechała przez Gruaron.

Zaśmiała się głośno.

- Bezpiecznie?! Gdyby nie on - wskazała ręką za siebie - już dawno bym nie żyła.

Orin przelotnie spojrział na stojącego na środku sali mężczyznę, ale zaraz wrócił wzrokiem do Newii.

- Co się stało z Sorso? - zapytał, próbując odzyskać inicjatywę. - Wyjechaliście z Tyngi, zanim pojawiły się grychty, prawda?

Newia nie odpowiedziała. Zakryła rękami twarz, ale zaraz odsłoniła ją i znów popatrzyła Orinowi prosto w oczy.

- Gdzie jest Brag? Kiedy go widziałeś po raz ostatni?

Orin zrozumiał, że Newia nie zamierza odpowiedzieć na żadne z jego pytań.

- Tydzień temu.

Przypomniał sobie dziedziniec zamku w Kręgu i dziecko, głaszczące lśniąca sierść konia.

- Tydzień temu? Siedem dni? Ty... Ty łotrze! Ja nie widziałam go już ponad... ponad sześć miesięcy... - głos Newii zaczął się nagle rwać. - I przez ten czas myślałam... myślałam... że najprawdopodobniej... już nigdy... Orin zgarbił się, zamykając oczy.

- Jednego nie rozumiem. - Newia stała się niespodziewanie niemal spokojna. - Porwałeś mojego synka i zabiłeś mego sługę. Dlaczego? Na co liczyłeś? Czyżbyś był aż tak naiwny, by sądzić, że po tym wszystkim zgodzę się do ciebie wrócić? - Pokręciła głową jakby ze zdumieniem.

Gret Orin poczuł, jak ogarnia go fala gorąca. Zaciśnął usta.

- Twój syn, twoje dziecko - powiedział cicho. - Nie zapominaj, że on jest również mój.

Jego oczy spotkały się z oczami Newii. Wydawało mu się, że kobieta znów spróbuje go uderzyć. Zdziwił się, widząc, że cofa się o krok i podnosi głowę.

- Nie spotkałam nigdy gorszego człowieka niż ty - powiedziała powoli i wyraźnie wymawiając każde słowo.

JQ | d chwili pojawienia się w Wielkiej Sali nieznajomego Udul nie ruszył się z miejsca. Najpierw chciał biec Newii na pomoc, ale słysząc jej pierwsze słowa, zawahał się. Ona go zna, uświadomił sobie ze zdumieniem, patrząc na Orina. Wydawało mu się, że już kiedyś widział go przelotnie. Kto to jest? Jak się tutaj znalazł?

Hord nie mógł się długo nad tym zastanawiać, nie chcąc stracić ani słowa z rozgrywającej się przed nim sceny. Newia krzyczała głośno, mężczyzna początkowo wydawał się spokojny, ale w końcu nie wytrzymał. Do Udula dotarło, jak zauważył cicho, że dziecko jest też jego.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał Hord, przypominając sobie słowa, które Newia wypowiedziała kilka minut wcześniej. Mówiła, że jej dziecko nie ma już ojca. Wtedy Udulowi przyszło do głowy, że ojciec jej synka po prostu nie żyje. Ale to nie była prawda. A zatem?

Hord popatrzył uważnie na Orina.

Istniało jeszcze inne rozwiązanie zagadki.

To jej były kochanek, a zarazem ten ktoś bogaty i wpływowy, kogo tak się obawiała. Nie chciał przyznać się do bękarta, porzucił ją, a teraz zmienił zdanie.

W tej samej chwili mężczyzna pochylił się nagle do przodu. Udulowi wydawało się, że rozpoznał ten gest. Pan zamku Omorg! - błysnęło mu w głowie, syn starego, szalonego hrabiego!

Udul przypomniał sobie, jak tego lata jeden z Hor-dów pokazał mu Orina na rynku w Omorgu.

Newia powiedziała coś, czego Udul nie usłyszał. W wielkiej skalnej grocie zapanowała nagle cisza. Hord spostrzegł, że Orin postąpił do przodu i zrozumiał, że musi znaleźć się przy Newii jak najszybciej.

Nie zdążył jednak wykonać więcej niż pięciu kroków, kiedy nagle zamarł. Za plecami Orina pojawił się ktoś, na

Drumen, słysząc dobiegające z oddali krzyki, pomyślał, że jego panu grozi niebezpieczeństwo. Postanowił ruszyć mu na pomoc. Pamiętał jednak o rozkazie dotyczącym Brena Otta. Nie wolno mu było pozostawić jeńca ani na chwilę samego.

Mimo że był silny, zaciągnięcie związanego mężczyzny do błyskającej wszystkimi kolorami tęczy skalnej groty zajęło mu kilka minut.

Udul i Bren Ott poznali się natychmiast. Na twarzy Otta pojawił się dziki grymas, który u niego oznaczał radość. Udul zauważył, że na rękach i nogach jednego z jego mistrzów są więzy i już miał skoczyć mu na pomoc, ale w tej samej chwili Ott dał mu znak. Błyskawicznie przeniósł wzrok na Orina i dwukrotnie zamrugał.

Był to prosty sygnał, jeden z tych, których uczono już najmłodszych adeptów Gildii. Zabij go.

Udul nie zastanawiał się długo. Kątem oka zmierzył pomieszczenie i zapamiętał jego wymiary. Potem pochylił się, wyszarpując z pochwy miecz gotów, i skoczył do przodu.

Ledwie Orin zdążył odepchnąć Newie na bok, Hord wyrósł tuż przed nim jak spod ziemi.

Sekundę później Orin otrzymał tak mocne uderzenie w pierś, że zachwiał się na nogach. Zaraz potem jeszcze jeden cios i upadł na plecy. Przed oczami błysnął mu metal, którego chłód poczuł za moment na gardle.

- Nie! - krzyknęła Newia.

Udul zawahał się. Orin wykorzystał to i z całej siły kopnął go obiema nogami. Hord przewrócił się na bok. Zanim zdążył się podnieść, wpadł na niego Abot Drumen, który pchnął Brena Otta na ziemię i skoczył na pomoc swemu panu.

czyj widok Hord poczuł, jak włosy podnoszą mu się na głowie.

\*\*\*

Ogłuszony ostatnimi słowami Newii Gret Orin nie zauważył, że jasnowłosy Hord zbliżył się nagle do nich. Spostrzegł go dopiero, gdy Udul zatrzymał się raptownie, patrząc szeroko otwartymi oczami na coś, co znajdowało się za jego plecami.

Orin odwrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z Drumenem, na którego ramieniu opierał się Bren Ott.

Spojrząwszy na Otta, pan na Omorgu uświadomił sobie w ułamku sekundy, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Orin zerwał się na nogi, sięgając po nóż. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce, a ruchy stały się nagle prawie tak zwinne jak Udula. Będzie o jednego Horda mniej! - przemknęło mu przez myśl.

- Na bok! - krzyknął do Drumena.

Abot Drumen puścił Horda i posłusznie cofnął się pod ścianę. Newia instynktownie zrobiła to samo. Bren Ott, który upadł na brzuch, przekręcił się tak, by móc obserwować walkę.

Hord błyskawicznie wyprostował się i odwrócił do Orina. W prawej ręce nadal trzymał miecz gotów. Lewą sięgnął do prawego ramienia, odpinając dmuchawkę ze strzałką.

Dobrze! - pomyślał Bren Ott.

Orin, zgadując, co zamierza zrobić przeciwnik, natychmiast skoczył do przodu.

Udul tylko na to czekał. Zrobił unik i jednym mocnym uderzeniem wytrącił Orinowi nóż z ręki. Orin, wykazując jeszcze lepszy refleks, cofnął się dokładnie wtedy, gdy dłoń Horda uzbrojona w trujące ostrze przecięła powietrze. Udul zachwiał się na moment, tracąc równowagę i w tej samej chwili otrzymał mocne uderzenie łokciem w głowę.

Orin cofnął się, rozglądając jednocześnie za jakąkolwiek bronią.

Nim Drumen zdążył podać mu nóż, w powietrzu rozległ się świst. Miecz gotów rzucony zręcznie przez Udulę przeleciał tuż obok jego ramienia. Orin zachwiał się na nogach. Pot wystąpił mu na czoło.

Udul wykorzystał ten moment wahania i ruszył do przodu. Zanim jednak doskoczył do Orina, na jego drodze stanęła niespodziewanie Newia.

- Nie! - złapała go za rękę. - Niech najpierw powie, gdzie jest moje dziecko!

Hord znów się zawahał. Szybko spojrzał na kobietę. Orin cofnął się jeszcze o krok i poczuł, że plecami dotyka skały. Miał wrażenie, że podłoga zatrzęsała mu się pod stopami.

Przez skalną grotę przeleciał ostry podmuch.

\* \* \*

Wszyscy zadrżeli.

Powiało jeszcze raz, tym razem tak silnie, że kilka pochodni zgasło. Newia krzyknęła i upadła na kolana.

Podłoga naprawdę zaczęła drżeć, a wraz z nią niesamowite, rozszepiające kolory skalne ściany.

Gdzieś w głębi góry rozległo się głucho dudnienie. Narastało stopniowo, aż do ogłuszającego grzmotu, po którym wszystkim zadzwoniło w uszach. Na policzkach Newii pojawiły się łzy. Udul przykucnął, rozglądając się dookoła. Orin instynktownie zrobił to samo.

Jedynie Bren Ott wiedział, co się dzieje, ale i on był tak samo przerażony jak inni.

Noks, pomyślał. Ktoś używa noksu.

Podłoga znów zadygotała. Ott zauważył, że nóż, który Udul wytrącił Orinowi z ręki, potoczył się w jego stronę. Szybko przekreślił się na plecach, tak by ostrze znalazło się na wysokości jego rąk, w których nadal trzymał dmuchawkę ze strzałką.

Ściana po drugiej stronie sali zaczęła się nagle poruszać.

Skalne masy przesuwwały się, jakby popychane jakąś niewidoczną siłą. Granit kurczył się i rozszerzał, wydając nieprawdopodobny, piskliwy i zawodzący jęk. Lustra wtopione w ściany pękały i spadając na podłogę, roztrzaskiwały się z hukiem.

W głębi grotę narastało dudnienie, głośniejsze niż poprzednio. Jeszcze jeden grzmot i gładka ściana ugięła się, otwierając szerokie przejście.

Zanim ktokolwiek z obecnych w Wielkiej Sali zdążył się poruszyć, w korytarzu zabrzmiały ludzkie kroki. Do skalnej grotę wpadło kilku ubranych w brunatne stroje mężczyzn, których włosy splecione były w niewielkie warkoczki. Dwóch błyskawicznie podskoczyło do Udula i wykręciło mu ręce. Jeden chwycił **Newie**, inny przystawił Abotowi nóż do gardła. Dwóch następnych ruszyło w kierunku wijącego się na podłodze Bre-na Otta.

Z tunelu wytoczył się drewniany wózek na kółkach, na którym siedział skulony, łysy starzec.

Torn! - błysnęło Orinowi w głowie.

Nagle, ku jego zaskoczeniu, Bren Ott zerwał się na równe nogi. Na ziemię spadły przecięte liny, które dotychczas krępowały mu kończyny. Ott odtrącił z ręcznie pierwszego tryna, po czym podniósł dmuchawkę do ust. Strzałka zaświstała Orinowi koło ucha.

Pan na Omorgu bezwiednie dotknął szyi, podniósł rękę do oczu i zobaczył krople krwi.

Ott skoczył w kierunku przejścia, którym przyprowadził go Drumen. Starzec na wózku krzyknął coś do trynów w

ich języku i dwóch z nich pobiegło za Hor-dem. Ich kroki dudniły jeszcze przez chwilę, a potem stopniowo cichły.

Torn zakreślił się na swoim wózku.

Zwinął dłoń w pięść i uderzył nią w oparcie fotela. Pojechał w stronę korytarza, w którym zniknął Bren Ott.

- Ucieknijcie im - rzekł sam do siebie, kiwając głową.

Odwrócił się i szybko poruszając rękami, podjechał do stojących. Pod kołami jego wózka chrzęściło potłuczone szkło.

Jednym spojrzeniem ogarnął Udula i **Newie**, po czym jego wzrok zatrzymał się na Orinie. Zmarszczył brwi.

- Woda! - rzucił głośno.

Jeden z trynów puścił Udula, podbiegł do byłego Horda i podał mu bukłak. Torn sięgnął do kieszeni i wyjął z niej woreczek. Szybko wysypał jego zawartość do bukłaka i zamieszał, potrząsając nim kilkakrotnie.

- Wypij to! - nakazał, podjeżdżając do unoszącego się powoli Orina.

Pan na Omorgu przypomniał sobie suszone owoce dronów, którymi ostatnio poczęstował go Torn, i cofnął się.

- Strzałka Otta, która cię zraniła, była zatruta jadem grycht - rzekł z przynagleniem Torn. - Jeśli tego nie wypijesz, za minutę nie już nie będzie w stanie cię uratować, a za pięć minut umrzesz.

Orin spojrział na niego uważnie. Zaciśnął usta i sięgnął po bukłak. Zachłystując się, przełknął piekący płyn. Uspokoił się, widząc, że Torn odetchnął z ulgą.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał, gdy tylko zmieszana z ksereksem woda przestała palić mu gardło.

Torn, obserwujący go uważnie, uśmiechnął się.

- No, widzę, że przyszedłeś już do siebie.

- Skąd się tu wzięłeś? - powtórzył Orin i nagle postąpił do przodu.

W ułamku sekundy przyszło mu do głowy, że to Torn jest sprawcą wszystkich jego nieszczęść. Oszukał go, obiecując pomoc, naraził jego życie, wysyłając do Hrostu...

Widząc jego ruch, były Hord cofnął się. Powiedział coś, czego Orin nie zrozumiał i jeden z trynów wykręcił Newii rękę. Krzyknęła.

Orin zatrzymał się.

- Jeśli jeszcze raz choćby drgniesz... - powiedział cicho

Torn.

Niespodziewanie znów się uśmiechnął. Obejrzał się w kierunku Newii.

- Zguba się znalazła! - rzekł z drwiną.

Obrócił się kilka razy na fotelu. Podjechał na chwilę do Udula, spojrział na niego przelotnie, po czym wrócił do Orina.

- Skąd się tu wzięłem? - powtórzył jego pytanie. - To proste. Wyprawilem cię do Hrostu, zawiadomilem Starego Człowieka, a potem sam wyruszyłem w drogę. Mam paru

przyjaciół na obrzeżach Puszczy, którzy ułatwili mi rundę. Wyobraź sobie, że mimo kalectwa mogę jeździć konno. - Zaśmiał się lekko, uderzając ręką w oparcie fotela. - Mało kto wpadłby na to, widząc mnie na tym rumaku.

- Uwinąłem się nawet szybciej niż ty - kontynuował. - Już od dwóch dni czekam w Wielkich Sere-nach. W mojej sytuacji wyprawa była dość ryzykowna, ale zdecydowałem się zamienić moją pieczarę na te lochy z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałem udzielić ci przed dalszą drogą paru dobrych rad, których nie odważyłbym się powierzyć pergaminowi. Po drugie, i nie ukrywam - znacznie ważniejsze - miałem nadzieję, że wreszcie dostanę Brena Otta.

Orin spojrział na niego zaskoczony.

- To jemu zawdzięczam, że jestem przykuty do tego... - mówił dalej Torn, znów dotykając swojego wózka. - Chciałem mu za to odpowiednio podziękować. I mało brakowało... - Zamyślił się.

W zachodnim tunelu rozległy się kroki. Do skalnej groty wróciło dwóch trynów, którzy pobiegli w pościg za Ottem. Jeden powiedział coś do Torna, który pokiwał tylko głową.

- No właśnie. Schował się w którymś z bocznych korytarzy. To oznacza, że już niedługo nie będzie go w Wielkich Serenach. Założę się, że obydwaj - popatrzył kolejno na Udula i Orina - nie zauważyliście podczas jazdy na platformach, że z głównego tunelu odchodzą w równych odstępach ukryte przejścia?

Żaden się nie poruszył.

- No tak, mieliście co innego w głowie - rzucił Torn, znów spoglądając na Newie.

Zakręcił się w miejscu.

- Tak więc, hrabio Omorg, chciałem dostać Otta. Jeśli przyznasz, że mój plan wyrwania go z Hrostu był majstersztykiem, gotowy jestem z równą uprzejmością powiedzieć ci, że wykonałeś go wspaniale. Gdyby nie drobny pech... No - dodał, widząc, że na twarzy Orina pojawiła się nagle nadzieja - nie myśl, że tylko o to chodziło. Gardło Brena Otta to miała być taka... mała nagroda dla mnie, za cierpliwość, którą wykazałem przez ostatnie lata. Wszystko pozostałe, o czym pisałem ci w liście, nie zmieniło się ani na jotę. Twoja runda nadal prowadzi na północ.

Orin spojrział na Newie. Szybko zebrał myśli.

- Pójdę, gdzie chcesz i zrobię, co zechcesz - powiedział cicho. - Ale mam prośbę.

Torn przestał się uśmiechać. Zmrużył oczy. - Jaka?

Orin wskazał oczami Newie.

- Pomóż jej dostać się do Omorgu. Torn patrzył na niego z namysłem.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - powtórzył Orin. Były Hord pokręcił powoli głową.

- Widzieliśmy się ostatnio bodaj siedem albo osiem dni temu. - Podniósł obie ręce do góry, udając, że liczy na palcach. - Wtedy też chciałeś czegoś ode mnie. Pamiętasz,

co powiedziałaś? Zapytałeś: „Czy stać mnie na twoją pomoc?” i zrobiłeś to z taką pewnością siebie, że przyznam się, byłem prawie wstrząśnięty. Teraz też prosisz i idzie ci już lepiej. - Zaśmiał się cicho, ale jego śmiech zaraz umilkł. - Jednak nadal nie nauczyłeś się prosić tak, jak trzeba to robić w Gruaronie.

- Czyli jak?

- Z pochylonym karkiem.

Orin wzruszył ramionami z niecierpliwością. Torn przyglądał mu się z drwiącym uśmiechem.

Machnął ręką.

- W innych okolicznościach sam bym pomógł tej damie. To znaczy pomógłbym jej wydostać się z Gruaronu, bo mam przeczucie, że Doliny nieszczególnie przypadły jej do gustu. Jednak teraz sprawa nie jest taka prosta.

- Dlaczego? - zapytał szybko Orin.

- Bo nie jesteś tu jedynym, któremu zależy na jej losie - rzekł ze śmiechem Torn, zerkając na Udula.

Orin wyprostował się. Jego wzrok powędrował za wzrokiem Torra.

Przypomniał sobie, że w czasie walki Hord dwukrotnie posłuchał Newii. I że gdy wszedł do skalnej groty, pochylał się nad jej ręką.

- Właśnie - potwierdził Torn, widząc błysk w oczach Orina. - Widzę, że zaczynasz pojmować, że twoja sytuacja, że tak powiem - rodzinna - trochę się skomplikowała.

Orin zdołał się opanować.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To prawda, nie wiesz - zgodził się niespodziewanie Torn. - Tak samo, jak nie wiesz jeszcze paru rzeczy. Na przykład tego, że ta piękna sala - powiódł rękami naokoło - ma znakomitą akustykę. I że w jej suficie wydrążono specjalne otwory, które pozwalają słyszeć z dość daleka wszystko, co się tu mówi. Wspomniałem już, że czekam tutaj na ciebie od dwóch dni. Oczywiście nie miałem na myśli tej sali, tylko jeden z wielu korytarzy oplatających groty. Są w nich miejsca, z których doskonale da się słyszeć wszystko, co dzieje się w Wielkich Serenach. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jakie było moje zdumienie, gdy kilkanaście godzin temu usłyszałem, że ktoś uruchamia nie zachodnią, jak się spodziewałem, ale wschodnią platformę! Czekałem cierpliwie, aż ten ktoś dotrze do Wielkiej Sali, a potem... Potem byłem jeszcze bardziej zdumiony, poznając z rozmowy, albo raczej z rozmów, jakie usłyszałem, że niedaleko ode mnie znajduje się osoba, z powodu której zdecydowałeś się zawrzeć ze mną znajomość! Swoją drogą, czy zdażyłeś pomyśleć, jakie masz nieprawdopodobne szczęście? - Zaśmiał się. - Chociaż z drugiej strony... - Pokręcił głową.

- Co takiego? - zapytał Orin.

- Z drugiej strony nie wiesz również, że wpadając tutaj, przerwałeś scenę wzruszającą, a może nawet...

Udul drgnął niespokojnie.



- No, no - zauważywszy to, Torn odwrócił się. -Dość już tych żartów.

Kilka ruchów rękami i znalazł się naprzeciwko Udu-la. Jego twarz spoważniała. Przyjrzał się Hordowi, tym razem bardzo uważnie lustrując go od stóp do głów.

- Od ilu lat jesteś w Gildii?

Udul milczał.

- Nigdy cię nie widziałem, a zatem mniej niż dwa-  
naście - odpowiedział sam sobie Torn. - Co oznacza, że  
albo dopiero co wkroczyłeś w drugi krąg, albo kończysz  
pierwszy. Ani w jednym, ani w drugim wypadku nie  
mogłeś zdobyć choćby okruszka wiedzy o Wielkich  
Serenach. A zatem - jak tu trafiłeś?

Mierzyli się obaj wzrokiem.

- Wiesz, kim jestem, prawda? - bardziej oznajmił niż  
zapytał Torn. Pokiwał głową. - Wyrzutkiem, najgorszym  
wrogiem Gildii. Dlatego nie chcesz mówić. Ciekawe -  
ściszył głos - czy wybicie zębów lub wykipienie oka  
cokolwiek by tu zmieniło?

Po twarzy Udula przemknął cień uśmiechu.

- Ale nie tobie - kaleka nie spuszczał z niego wzroku -  
jej.

Newia szarpnęła się raptownie. Udul popatrzył na Torna,  
zastanawiając się, czy ten gotów jest spełnić groźbę.

Na twarzy byłego Horda nie było uśmiechu.

- Masz dwie sekundy na decyzję. Udul

spojrzał szybko na Newie.

- Pytaj - szepnął.

- Jak tu trafiłeś? - powtórzył Torn.

Udul opowiedział o spotkaniu z umierającym luinem i o  
mapie, jaką od niego dostał.

- Mapa? - Torn zmarszczył brwi. - Pokaż mi ją.

- Wewnętrzna kieszeń - powiedział Udul.

Jeden z przytrzymujących go tryków sięgnął we  
wskazane miejsce i podał Tomowi kawałek pergaminu.

- Światło!

Inny tryk chwycił pochodnię i zbliżył się z nią do  
Torna. Były Hord rozprostował pergamin. Uważnie  
obejrzał każdy jego skrawek, podnosząc go do oczu, a  
nawet przez moment wachając.

- Tak, to robota luinów - powiedział cicho do siebie. -  
Jedno mnie zastanawia - dodał, znów patrząc na Udula - jak  
to się stało, że zdołałeś odcyfrować choćby jej fragmenty?

- Nie rozumiem - odpowiedział jasnowłosy Hord.

- Ach. - Torn przyjrzał mu się uważnie. Zamyślił się na  
kilka sekund. - Dobrze, zajmijmy się tym później. A zatem  
luin dał ci mapę. Ale skoro tu jesteś, musiał też dać ci...  
pierścień?

Na jego znak jeden z tryków wykręcił Udulowi rękę. W  
świecie pochodni błysnął bursztyn, który Hord nadal miał  
na palcu. Tryk pchnął Udula do przodu, tak że ten znalazł  
się tuż przed Tornem i zmusił go, by pokazał dłoń.

Torn spojrział na pierścień i nagle zagryzł wargi.

- Po co luin dał ci oba te przedmioty?

- Chciał mi pomóc szybciej dostać się do Omorgu -  
odpowiedział Udul.

Przyszło mu do głowy, że zatai przynajmniej część  
prawdy.

Torn rzucił coś gniewnie. Tryk trzymający Newie cofnął  
się nagle i uderzył ją w twarz, tak że krzyknęła i upadła na  
ziemię.

Orin chciał ruszyć jej na pomoc, ale inny tryk, w którym  
rozpoznał Ugara, zbliżył się do niego z wysoko uniesionym  
ostrzem i przystawił mu je do szyi.

Torn zmrugał oczy.

- Czy nikt w Hroście nie nauczył cię, że kłamstwo  
opłaca się tylko wtedy, gdy wiesz więcej niż twój roz-  
mówca? - zapytał spokojnie Udula. - Dlaczego luin dał ci te  
przedmioty? - powtórzył.

- Miałem udać się prosto do Hrostu i przekazać wia-  
domość - powiedział szybko Hord.

-Jaką?

Udul miał wrażenie, że śni na jawie swój najgorszy  
koszmar.

Jeszcze raz spojrział na skuloną na ziemi Newie.

- Luin powiedział, że język jest zagrożony. Język i  
szlak. Że zaatakowały ich grychty i zostało tylko dwóch w  
stancji. Że wytrzymają nie więcej niż miesiąc, półtora.

Torn rozmyślał nad tym przez chwilę. Udul spostrzegł,  
że palce kaleki zaciskają się kurczowo na poręczach fotela.

- Język? Czy jesteś pewien, że użył dokładnie tego  
słowa? -

Tak.

- Język... I ten pierścień... - szepnął wolno Torn do  
siebie.

Myślał nad czymś kilkanaście sekund, po czym znów  
zwrócił się do Udula.

- Czy ten człowiek powiedział, jak się nazywa?

- Grim. I...

- Co jeszcze? Czy powiedział coś jeszcze?

Hord przypomniał sobie dokładnie ostatnie słowa luina.

- Powiedział: „Czy Torn został Wielkim Mistrzem  
Gildii?” i dodał: „Powiedz mu, że stary Grim zawsze go  
kochał”.

Torn obrócił się gwałtownie, tak że o mało nie wywrócił  
fotela, a potem podjechał do ściany, kryjąc się przed  
wzrokiem pozostałych.

Minęło dobrych kilka minut, w czasie których nikt się nie poruszył.

Torn powoli, tak jakby nagle zrobił się bardzo zmęczony, wrócił na środek sali.

- Puście go - powiedział cicho do trynów trzymających Udula.

Tryn pchnął Horda mocno do przodu. Udul upadł na kolana.

- Posłuchaj - rzekł Torn, zbliżając się - posłuchaj i zapamiętaj. Mówiąc mi to wszystko, nie tylko nie zrobiłeś nic złego, ale, jak zaraz się przekonasz, przysłużyłeś się Dolinom Gruaronu jak jeszcze nie zrobił tego żaden z Hordów. Nie wyłączając - uśmiechnął się nagle - trzech założycieli Gildii.

Udul spojrział na niego jak na szaleńca.

- Zaraz się przekonasz, że mówię prawdę - ciągnął spokojnie Torn. Odwrócił się niespodziewanie w stronę Orina. - Chodź tutaj. Nazwałem cię już dziś szczęściarzem, ale teraz muszę ci przyznać, że jesteś po prostu w czepku urodzony.

Ugar opuścił miecz. Orin, który słuchał z uwagą słów Horda i nic z nich nie zrozumiał, podszedł do nich niepewnie.

Obaj z Udulem spojrzeli na siebie i obaj cofnęli się, przypominając sobie niedawną walkę.

- Niech żaden z was nie waży się zrobić kroku - powiedział ostro Torn. - Już raz nie dopuściłem, żebyście się nawzajem pozabijali i teraz też na to nie pozwolę. Najpierw wysłuchacie mnie, a potem...

- Wielka Wyprawa Olefa - zaczął Torn, mówiąc spokojnie i głośno - od niej wszystko się zaczęło i na niej mogło skończyć. Jak wiecie obaj i jak wiedzą wszyscy w Gruaronie, powróciło z niej tylko trzech śmiałków, którzy mimo klęski, wierni przysiędze wodza, postanowili dalej służyć Dolinom. Założyli Gildię

Hordów. Zadaniem Gildii było gromadzić wiedzę, tak by móc kiedyś uwolnić Gruaron od przekleństwa i jednocześnie służyć mieszkańcom prowincji, pomagając im w zimie. To ostatnie oczywiście za drobną opłatą. -Zgadza się, prawda? - zwrócił się niespodziewanie do Udula. - Tego cię nauczyli w Hroście i tylko to wiedziałeś przez lat... ile w końcu?

- Jedenaście - szepnął Hord.

- Jedenaście - powtórzył Tora - a zatem przygotuj się na przykrą niespodziankę. Gildia powstała nie po to, aby odkryć tajemnicę grycht, ale po to, by...

Spojrzał na Orina.

- ...by ją ukryć? - dokończył Orin, pochylając się. W oczach Torna pojawił się błysk.

- Wyprawa Olefa, mimo że prawie wszyscy jej uczestnicy zginęli, zakończyła się sukcesem. Gdzieś tam na północy zdarzyło się coś, co wyjaśniło zagadkę grycht, albo przynajmniej wskazało, jak się ich pozbyć. Myślę, że to pewnie jakiś rytuał, który trzeba wykonać lub jakaś próba. Jednak ci, którzy założyli Gildię - Hrim, Oron i Dart - zamiast przejść przez tę próbę czy spełnić rytuał, nagle uświadomili sobie wszystkie korzyści, jakie mogą odnieść, jeśli grychty będą atakować Gruaron. Zrozumieli, po jaką władzę mogą sięgnąć i jaką wiedzę zdobyć. Wrócili więc z północy i założyli Gildię, której pierwszym celem było zamaskowanie raz na zawsze tego, czego się dowiedzieli. Sposób na to był prosty. Trzech założycieli Gildii wymyśliło język Hordów i runy, czyli jego odbicie na pergaminie. W tym języku zapisali to, czego dowiedzieli się na północy. Następnie przekazali runy wybranemu przez nich

Mistrzowi Gildii i kazali mu nauczyć się ich na pamięć. Nie zdradzili mu jednak ich dokładnego znaczenia. Torn zamilkł na chwilę.

- Wszystko, co powiedziałem do tej pory, wiedzą tylko członkowie Mirotu - Urlok, Bren Ott i Roven. Jedynie oni znają runy, ale, zwróćcie uwagę, tak jak zostało postanowione wieki temu, żaden z nich ich nie rozumie. Podobnie zresztą jak ja. Znam na pamięć zapis, ale nie pojmuję jego sensu. Wiem tylko, że to wyjaśnienie zagadki grycht.

Orin pochylił się do przodu.

- Napisałeś, że sekret run jest na północy.

- Tak - Torn się uśmiechnął - bo zaledwie tyle wiedziałem... do dzisiaj. - Popatrzył na Udula. - Dzięki temu, co usłyszałem od ciebie, domyślam się już wszystkiego. Zaczęło się to pewnie tak. Któryś z trzech pierwszych Hordów wrócił na północ i został pierwszym luinem. To on zabrał ze sobą jeden z pierścieni Gildii, ten sam - powiedział - który masz teraz na palcu. Nauczył tych, których przysłało mu z Hrostu, języka run, nie zdradzając im jednak, po co. Może wmówił im, że to jakiś nowy sposób modlitwy?

Znów się uśmiechnął.

- I w ten sposób tajemnica stała się bezpieczna. Runy były w Hroście, ale nikt ich nie rozumiał, a sekret ich języka znali luini, nie wiedząc jednak, do czego ten język służy. O luinach z kolei wiedział Mirot, z którego tylko Mistrz Gildii pojmował ich prawdziwą rolę. Jego zadaniem, oprócz ochrony tajemnicy, było dbanie, by od czasu do czasu wysyłać któregoś z młodszych Hordów do stacji luinów.

Torn pokręcił głową z podziwem.

- Luini... Jakie to było proste. W całej Gildii nie rozumiałem właśnie tego jednego. Skąd to nagle pobłażanie

dla niektórych Hordów? Dlaczego pozwalano tym, którym obojętna była i wiedza, i władza, odejść z Gildii i zatopić się do końca życia w lesie? Można przecież było ich złamać jak wszystkich pozostałych. A jednak nie - tych, którzy po latach rundy nadal nie zdradzali pożądanym przez Gildię cech, odsyłano po prostu, choć w największej tajemnicy, na północ. Zastanawiałem się, po co ten sekret, i nawet pytałem o to kiedyś Roven. Powiedział, że Gildia nie może pozwolić, by wszyscy Hordzi wiedzieli o słabości niektórych swoich braci. To wytłumaczenie doskonale pasowało do Gildii i trafiło mi do przekonania.

- Czy wiesz - zwrócił się do Udula i podniósł do góry mapę luina, którą nadal trzymał na kolanach - że ja, były członek Mirotu, nie potrafię zrozumieć nic z tego, co tu jest napisane? Powiedz mi - dodał niespodziewanie - kto uczył cię przez ostatni rok alfabetu Gildii?

- Urlok - odparł Udul po chwili wahania. Torn uśmiechnął się.

- Właśnie. Urlok. Urlok, który jako jedyny w Hroś-cie zna pewne wstępne kombinacje języka run. Kto zdecydował o tym, że on będzie cię uczył?

- Bren Ott.

Torn pokiwał głową.

- Rozumiesz już, Hordzie? - zapytał. A kiedy Udul się nie odezwał, rzekł spokojnie: - Miałeś zostać następnym luinem.

Udul przypomniał sobie rozmowę z Brenem Ottem i wszystkie swoje podejrzenia.

- Urlok nauczył cię pierwszych kombinacji języka run. Uczylby cię jeszcze cztery lata, a potem Roven wysłałby cię na północ, na krańce Puszczy. Nikt w Hroś-cie nie wiedziałby o tym, co się z tobą stało, bo - jak mówiłem - tylko Mirot wie o luinach. Dopiero u nich tak naprawdę nauczyłyby się czytać runy. Dzięki temu jednak, czego już się dowiedziałeś, zdołałeś wykorzystać tę mapę.

Udul wyprostował się.

- Nie wierzę.

- Czyżby? - w głosie Torna znów zabrzmiała ironia. - A nie zastanawiałeś się przypadkiem, dlaczego człowiek, który zmarł na twoich rękach, miał przy sobie pierścień Hordów? I tę mapę, którą mógł mu dać tylko ktoś z Mirotu? Nie przyszło ci do głowy, że musiał mieć jakiś związek z Gildią i musiał kiedyś być w Hroście?

Hord pochylił głowę. W głębi duszy musiał przyznać, że słowa Torna wyjaśniały wszystko, co niepokoiło go od chwili spotkania z luinem.

- Nigdy nie uwierzę, że istnieją te runy...

- Nie istnieją? - Torn się zaśmiał. - No cóż, żywy dowód na to masz przed sobą.

Odwrócił się.

- Czy zabrałeś Ottowi szkła *iri-oghl* - spytał Orina. Orin sięgnął do kieszeni i podał Tomowi niewielki przedmiot.

Kaleka wziął szkła w prawą rękę, a lewą chwycił Orina za nadgarstek.

- Włóż je - powiedział do Udula, podając mu okulary. - I popatrz na jego dłoń.

Hord nałożył szkła. Nagle się cofnął. Orin szarpnął się, chcąc się uwolnić, ale Torn przytrzymał go nadspodziewanie mocno i podwinął mu rękaw.

- Popatrz uważnie - powiedział cicho do Udula. - Bez szkła wygląda to jak zwykłe uczulenie. Ale gdy je włożysz... Ja nic z tego nie rozumiem, ale ty... musisz rozpoznawać pojedyncze znaki.

Tak było w istocie.

Udul gwałtownie zerwał z nosa okulary. Torn puścił nadgarstek Orina, który odsunął się szybko.

To niemożliwe, myślał Hord, musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie tego wszystkiego.

- Te runy mogą znaczyć cokolwiek - powiedział w końcu. - Nie wierzę, że Gildia wiedziała... - zawahał się.

- Jak pozbyć się grycht? - dokończył Torn. - Przyznaję, że sam, gdy wstępowałem do Mirotu i opowiadał mi o tym Roven, nie byłem w stanie uwierzyć. Po tylu latach rundy...

- Zamyślił się nagle. - Tylu cierpieniach i niebezpieczeństwach... I raptem okazało się, że tego wcale nie musiało być. Ale runy znaczą właśnie to i nic innego. - Wyprostował się. - Zastanów się, Hordzie, nad jedną rzeczą. Bren Ott prawdopodobnie zdołał otworzyć schowek na platformie i kiedy się tu pojawiłem, miał w rękach dmuchawkę z jedną, jedyną strzałką. I nie zaatakował mnie - zdrajcy, wyrzutka, renegata, którego ściga od dwunastu lat - tylko jego - wskazał ręką na Orina. - To właśnie z powodu run Ott kazał ci go zabić - mówił dalej Torn, widząc, że Hord milczy. - A potem spróbował sam. Hrabiego Omorg, którego skłoniłem, choć w pewnym sensie wbrew jego woli, do przyjęcia tajemnicy run, ścigają teraz wszyscy Hordzi na czele z Rovenem. Oczywiście tylko Roven jedyny wie, dlaczego.

Udul patrzył na Torna, wbrew woli słuchając go z uwagą.

- No, domyślam się, że nie masz nic przeciwko temu, by dostali go w swoje ręce. Nawet pewnie byś im pomógł. Nie radziłbym ci jednak tego robić, tak samo jak nie radziłbym ci zbliżać się już do jakiegokolwiek Horda, nie mówiąc o Hroście.

- Dlaczego?

- Bren Ott wydał ci rozkaz, a ty go nie wykonałeś, chociaż dwukrotnie miałeś okazję. Zawahałeś się w tym jednym jedynym przypadku, kiedy nie wolno było ci tego zrobić. Gildia ci tego nie daruje.

Hord cofnął się pod ścianę.

- Po co to wszystko? - nie wytrzymał Orin.

Torn milczał. Powoli podjechał w stronę Udula. Na jego twarzy pojawiło się współczucie.

- Posłuchaj mnie - powiedział wreszcie, zmuszając Udula, by na niego spojrział. - Nie popełniłeś żadnego błędu. To, co cię spotkało, to nie nieszczęście ani kara, ale szansa.

Hord nie odezwał się.

- Pójdiesz na północ i zaprowadzisz go - Torn wskazał na Orina - do stnicy luinów. Odnajdziesz pozostałych dwóch i pomożesz im odczytać runy. A potem zrobicie, obaj lub jeden z was, to co jest w nich zapisane i raz na zawsze uwolnicie Doliny Gruaronu od grycht.

Orin pochylił się do przodu.

- Dlaczego to robisz? - zapytał, podchodząc szybko do Torna. - Nawet jeśli to prawda, przecież nie zależy ci...

- ...na Gruaronie? - Torn odwrócił się do niego. - A co ty możesz o tym wiedzieć? Co możesz wiedzieć o pragnieniach innych ludzi?

Orin zatrzymał się w pół kroku.

- Zaprowadzisz go na północ - Torn znów zwrócił się do Horda. Nagle odezwał się językiem Gildii, zrozumiałym tylko dla niego i dla Udula. - Jeśli wam się uda, kryty znów będą mandylionami.

Udul podniósł głowę.

- Jeśli mnie oszukałeś...

- Nie - rzekł Tom z powagą. - W czasie rundy myśl o tym wszystkim, co ci powiedziałem. Zobaczysz, za każdym razem dojdiesz do tego samego wniosku. Że to prawda.

“ f w v

- Hrabio Omorg - Tom tym razem zwrócił się do Orina - rozumiesz już, czemu ciągle nazywam cię szczęściarzem, prawda?

Orin nie poruszył się z miejsca.

- Od początku naszej znajomości niepokoiła mnie jedna myśl: co zrobić, żebyś miał jakąkolwiek szansę przedrzeć się zimą przez Puszcę? Nie miałem pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Sam nie przeżyłbyś tam trzech dni. Chciałem ci nawet dać moich dwóch trynów, których nauczyłem paru sztuczek Hordów, ale na twoje szczęście poprowadzi cię ktoś, kto ma za sobą jedenaście lat zimowej rundy.

- Zaczekaj - powiedział nagle Orin - dlaczego nie spisziesz tych ran na pergaminie i nie dasz ich - wskazał na Udula głową - temu Hordowi? Dlaczego koniecznie muszę tam iść ja?

Tom uśmiechnął się szeroko.

- No, prawie poczułem się, jakbym rozmawiał ze Starym Człowiekiem - śmiał się nadal głośno - twoja gotowość do szlachetnych czynów jest po prostu rozbrajająca. Jednak, muszę przyznać, pytanie jest słuszne...

- Dlaczego? - powtórzył Orin. Kaleka patrzył na niego spod oka.

- Dlatego, że stoisz teraz przede mną. Poradziłeś sobie w Hroście, w wąwozie Grol i później. A to wcale nie było takie proste. Zawsze wiedziałem, że do stnicy luinów

powinien udać się ktoś bystry. Wskazują na to zresztą pierwsze słowa ran.

- Pierwsze słowa ran? Znasz je? - Orin przysunął się o krok.

- Zna je Urlok i kiedyś podzielił się ze mną tą wiedzą. Nie, nie - dodał, widząc że pan na Omorgu chce się odezwać. - Nie powiem ci, jakie to słowa. Niech to będzie niespodzianka.

Newia poruszyła się nagle.

Z całej rozmowy, jaką usłyszała, rozumiała tylko kilka rzeczy. Po pierwsze, że Gret Orin znalazł się w Wielkich Serenach nie tylko dlatego, że jej szukał i że ma poważne, a nawet bardzo poważne kłopoty. Po drugie, że jej wędrówka z Udulem skończyła się niespodziewanie i że kłopoty Orina w jakiś sposób dotyczą teraz również Horda. Po trzecie wreszcie, że o jej dalszych losach zadecyduje starzec na wózku, który kazał ją uderzyć i bez przerwy śmiał się dziwnym, młodzieńczym śmiechem.

- Panie - zwróciła się do Torna.

- Ach tak. - Kaleka spojrział na nią. - Rozumiem, że chciałabyś jak najszybciej opuścić to miejsce? Jeszcze chwila. Nie wątpię, że zgodzisz się przyjąć na najbliższe miesiące moją gościnę...

Orin zamknął oczy.

- Kiedy ją wypuścisz? - spytał.

Torn skrzywił się.

- Wypuścisz? Chyba raczej - kiedy przestanę ją chronić?

- Jak to?

- Bren Ott widział ją przez moment.

Orin zachwiał się.

- Wiosną, jeśli do tego czasu przejdiesz swoją rundę, ta dama będzie mogła wyjechać z Gruaronu.

- A jeśli mi się nie uda? - zapytał Orin.

- Cóż - wzruszył ramionami Torn - wtedy się zastanowię. Nie masz pojęcia, jak przez te wszystkie lata dokuczał mi brak kobiecego towarzystwa...

Newia wyprostowała się.

- Czy mogłabym porozmawiać z nim chwilę na osobności? - wskazała ruchem głowy Orina.

Orin drgnął, słysząc ton, jakim wypowiedziała słowa „z nim”. Nie czekając na pozwolenie Torna, który skinął głową, podszedł do Newii.

Podniosła oczy. Od razu zrozumiał, o co chce zapytać.

- Brag jest w Kręgu - powiedział najciszej jak mógł, pochylając się nad nią. - To zamek jego ojca - wskazał na Drumena. - Weź mój sygnet - podał go jej nieznacznie, zaślanając się ciałem, tak by Torn tego nie widział. - Spróbuj uciec, ale dopiero wiosną...

Newia odsunęła się już od niego.

Torn przyglądał się tej scenie z rozbawieniem.

- Wyprowadźcie ją - rzekł do swoich trynów.

- Jeszcze jedno. - Newia podeszła szybko do Udula i podała mu rękę. - Do widzenia. Dziękuję.

Hord dotknął jej dłoni.  
- Proszę nie zapomnieć... - powiedział nagle, nie kończąc.  
- Nie zapomnę - odparła.  
Odwróciła się szybko.  
Orin patrzył na to spod przymkniętych powiek.  
- Tamten korytarz - powiedział Torn, wskazując zachodni tunel. - Jego też zabierzcie - popatrzył na Drumena.  
Newia spojrzała na podchodzących do niej trynów.  
- Pójdę sama - powstrzymała ich.  
Torn uśmiechnął się lekko. Skinął głową. Zanim zdążyła wyjść z Wielkiej Sali, Orin zastąpił jej drogę. Również chciał się pożegnać, ale żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Przypomnił sobie, jak Newia przed niecałą godziną krzyknęła, że nie zna gorszego człowieka niż on.  
Nim zdążył się odezwać, wyminęła go szybko i nie oglądając się, wyszła z górskiej grotty. Dwaj tryni postępowali krok za nią.

~~~~~

Pochodnie dopalały się powoli.  
Orin patrzył na korytarz, w którym przed chwilą zniknęła Newia. Nagle zaboląły go jednocześnie plecy i ramiona. Poczul się tak zmęczony, że miał ochotę, tak jak stał, położyć się na ziemi i zasnąć.  
Nie było jednak na to czasu.  
Udul podeszedł do ogniska i rozgarnął je nogą. Podał pakunek, który niósł z osady Galleck, jednemu z trynów.  
- Niech to trafi nad jezioro Dren.  
- Bądź spokojny - odezwał się Torn, milczący od dłuższej chwili. - Popatrz - wskazał korytarz, którym przybył do skalnej grotty - pójdziecie tędy. Zrobilem przejście do jednego z najstarszych tuneli biegnących na

Orin zawahał się.  
- A jak wrócimy?  
Były Hord roześmiał się, głośno i szczerze.  
- O to na twoim miejscu bym się teraz nie martwił.  
Gret Orin szybko ruszył za Udulem, starając się dogonić znikające w oddali światło.

~~~~~

Torn policzył powoli do stu. Podjechał blisko skalnej ściany. Wyciągnął ręce, badając każde zagłębienie i każdą, nawet najdrobniejszą szczelinę.

północ. Czeka was dzień lub dwa drogi w ciemnościach. Kiedy korytarz się skończy i wyjdziecie na zewnątrz, idźcie nadal wzdłuż gór. Gdy Puszcza zageści się i pojawią się bagna, skręćcie na zachód. Gdzieś tam jest stacja lulinów. To wszystko, co wiem.

Udul wysłuchał tego uważnie, jednocześnie zawijając w jeden z koców to, co znajdowało się w skrzyni.

Orin spojrział na niego. Pomyślał, że powinien zrobić to samo, ale ciągle nie mógł ruszyć się z miejsca.

- Masz. - Torn podał Udulowi jakiś woreczek. - Cały zapas ksereksu, jaki mam przy sobie. I jeszcze to - skinął na tryna, który położył przed Udulem skórzaną torbę i miecz gotów. Wewnątrz zadźwięczał metal. - Strzałki, dmuchawki i zapasowa broń. Jak już upewnisz się, że nie poderżnie ci w nocy gardła - wskazał głową na Orina - naucz go posługiwać się tym. Tam, dokąd idziecie, będziecie musieli obaj walczyć z grychtami.

Udul zarzucił sobie torbę i koc na plecy.

- Hrabio Omorg - Torn odwrócił się - w innych okolicznościach zrobiłbyś mi zaszczyt, nie chcąc porzucić mojego towarzystwa, ale teraz...

Orin odwrócił się, by ukryć wyraz twarzy. Torn zaśmiał się.

- Ruszajcie. Policzę do stu, a potem zamknę za wami to przejście - wyjął z kieszeni niewielkie pudełko. Otworzył je i w środku błysnęła niebieska maź.

Udul wziął jedną z pochodni. Spojrział jeszcze raz na Torna.

- To prawda - szepnął kaleka. - Zobaczysz. Hord, nie oglądając się na Orina, zniknął w ciemnym korytarzu.

- Twoja kolej - powiedział ze śmiechem Torn. Orin postąpił parę kroków, ale tuż przy ścianie zatrzymał się.

- Dlaczego chcesz zamknąć ten korytarz? - zapytał. Torn westchnął z niecierpliwością.

- Za parę godzin pojawią się tu Roven i Bren Ott. Będą szukać każdego śladu...

- Poświęć mi - rzekł do najbliższego tryna. Delikatnie nabrał na palec odrobinę noksu.

- Kłamstwo - powiedział, rozsmarowując niebieską maź. - Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego ludzie tak sobie kłamią? Słyszałeś jego ostatnie pytanie? - Odwrócił się do tryna. - „Jak wrócimy?”. Wrócimy! - Ręka Torna zatrzymała się w powietrzu. - Orin zapytał właśnie w ten sposób, a przecież i on, i jego przewodnik zdążyli w ciągu ostatniej godziny co najmniej kilka razy pomyśleć, że z rundy, którą właśnie zaczynają, w najlepszym przypadku wróci tylko jeden z nich.

ZAŚMIAŁ SIĘ ZNOWU, WYPEŁNIAJĄC NOKSEM SZCZELINĘ W GRANICIE.

Magdalena Salik  
RUNY HORDÓW

**Już wkrótce:**

**Magdalena Salik**

**RUNY HORDÓW**

*Doliny mroku, tom 2*

Czy wyprawa zlecona przez szaleńca ma jakiegokolwiek szanse powodzenia? Dopiero w drodze na północ Gret Orin pojmuję, że nie znał jeszcze Guaronu. Musi mierzyć się nie tylko z zimnem, głodem i grychtami, ale również rosnącą nienawiścią do swojego przewodnika. Wędrówka w nieznane jest tym trudniejsza, że - jak ze zdumieniem odkryje - został oskarżony o morderstwo, a w pościg za nim wysłano mściciela.

*vfitàu te mu (i ùrws2t tjc*

Wiele wskazuje na to, że przekleństwo, jakie ciąży na Guaronie, nie ma żadnej przyczyny. Udul nie może w to uwierzyć. Walcząc o uwolnienie Guaronu jest gotowy coraz więcej zaryzykować i coraz mniej chętnie słucha głosu rozsądku. Tym bardziej, że niespodziewanie poznaje na bagnach kogoś, kto myśli dokładnie tak samo jak on.

Czy istnieje droga ucieczki z jaskini Torna? Newia jest przekonana, że tak - i nieoczekiwanie spotyka kogoś, kto oferuje jej pomoc w wydostaniu się z Dolin. Niestety nie wie, że na skutek błędu popełnionego przez Starego Człowieka, nie tylko życie jej strażnika, ale i jej własne znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Runy Hordów to zapis, kryjący sposób pozbycia się grycht. A co, jeśli tak nie jest?

**Magdalena Salik** - redaktorka i dziennikarka naukowa. Szczególnie interesuje się badaniami nad sztuczną inteligencją, rzeczy-wistościami wirtualnymi oraz futurologia. Miłośniczka RPG.

Zasady sprzedaży wysyłkowej:

- ◆ wysyłka jest realizowana za pobraniem po uprzednim złożeniu zamówienia telefonicznego, listownego, przez e-mail ([runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)) lub przez formularz na naszej stronie internetowej ([www.runa.pl](http://www.runa.pl))
- ◆ niezależnie od wartości zamówienia doliczany jest koszt wysyłki w wysokości 12 zł
- ◆ przypominamy o czytelnym wpisaniu imienia, nazwiska i adresu oraz tytułów zamawianych pozycji
- ◆ w przypadku nieodebrania przesyłki kolejne zamówienia nie będą realizowane

Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j. ul.  
Grzybowska 77 lok. 436 00-844 Warszawa tel./fax: (0-22) 45 70 385  
e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową:  
[www.runa.pl](http://www.runa.pl)